

# PO DOBREJ STRONIE

Błyskotliwa. Emocjonalna,  
a zarazem przemyślana  
w najdrobniejszych szczegółach.  
Zakochałem się w tej powieści.

**STEPHEN KING**

Nie można jej przegapić.

**HARLAN COBEN**

**SPENCER QUINN**

AUTOR BESTSELLERÓW Z LISTY „NEW YORK TIMESA”

**SPENCER QUINN**

# Po dobrej stronie

przełożyła

Katarzyna Dudzik

 **insignis**

Tytuł oryginału

*The Right Side*

Copyright © 2017 by Pas de Deux

First published in USA in 2017

by Atria Books, An Imprint of Simon & Schuster, Inc.

1230 Avenue of the Americas

New York, NY 10020

Atria Books and colophon are trademarks of Simon & Schuster, Inc.

Przekład

Katarzyna Dudzik

Redakcja i korekta

Julia Diduch, Dominika Rychel, Anna Hadała-Żoźnik, Maria Brzozowska

Skład

Tomasz Brzozowski

Projekt okładki

Anna Dorfman

Zdjęcia na okładce

Mark Owen / Arcangel (kobieta i droga), Artsilense / Shutterstock (pies), Joe Belanger / Shutterstock  
(góry i niebo),

Early Spring / Shutterstock (buty), Sunti / Shutterstock (spodnie)

Konwersja do wersji elektronicznej

Aleksandra Pieńkosz

Copyright © for this edition

Insignis Media, Kraków 2019. Wszelkie prawa zastrzeżone.

ISBN pełnej wersji 978-83-66071-98-8

**Po więcej ebooków koniecznie zajrzyj do chomika [JamaNiamy](#)**



Insignis Media

ul. Lubicz 17D/21–22, 31-503 Kraków

tel. +48 (12) 636 01 90

[biuro@insignis.pl](mailto:biuro@insignis.pl), [www.insignis.pl](http://www.insignis.pl)

[facebook.com/Wydawnictwo.Insignis](https://facebook.com/Wydawnictwo.Insignis)

[@insignis\\_media](https://twitter.com/insignis_media)

[@insignis\\_media](https://instagram.com/insignis_media)

Snapchat: [insignis\\_media](#)

# **Spis treści**

*Strona tytułowa*

*Strona redakcyjna*

*Dedykacja*

1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13

14 15 16 17 18 19 20 21 22 23

24 25 26 27 28 29 30 31 32 33

*Podziękowania*

*Joshowi, Angie i Cassie*

# 1

– Chcę się tylko upewnić, że dobrze zapisałem pani nazwisko. –  
Mężczyzna obrócił się na krześle, żeby spojrzeć na ekran laptopa.

Z wiszącego na jego szyi identyfikatora można było wyczytać, że nazywa się Machado. Krzesło, na którym siedział, wydało skrzypnięcie, wyraźnie nieznośne dla kobiety siedzącej po drugiej stronie biurka. Przyprawiło ją o ból głowy pulsujący w tym samym miejscu co zwykle; ból przypominający eksplozję w zwolnionym tempie. Jego natężenie rosło bardzo powoli. Mogłoby się wydawać, że to przykre doznanie zniknie samo lub można je stłumić niewielkim wysiłkiem. Kobieta wiedziała jednak, że nie może na to liczyć.

Machado – doktor Ernest Machado, psychiatra, jak głosiła plakietka – mrużył oczy, wpatrując się w monitor.

– Wciąż nie mogę przyzwycząić się do tych cholernych progresywnych szkieł – powiedział i postukał palcem w okulary.

– To przykre – przyznała kobieta.

Doktor Machado zerknął na nią, po czym poprawił okulary na nosie i znów zatopił wzrok w monitorze.

Oho, ukradkowe spojrzenie, pomyślała. A może powiedziała to na głos? Mogło tak być. Szczerze mówiąc, miała to gdzieś.

– LeAnne Hogan? – zapytał lekarz.

– Tak.

– LeAnne razem?

– Tak.

– Anne od dużej litery?

– To jakiś problem?

– Och, nie. Gdyby pani wiedziała, jakie imiona nam się trafiają...

Doktor Machado wklepał coś w komputer i obrócił się z powrotem twarzą do niej. Miała ochotę udusić go gołymi rękami, ale była to zalewie przelotna myśl, jedna z tysiąca, które właśnie kłębiły się w jej głowie.

Gapił się na nią, a jego wzrok ciągle uciekał gdzieś w bok. Teraz wszyscy patrzyli na nią w ten sposób.

– Może zaczniemy od tego, że powie mi pani, dlaczego się tutaj znalazła? Ma pani ochotę na kawę, wodę albo coś innego do picia?

– Dlaczego tutaj jestem?

– Z pani punktu widzenia.

Wzruszyła ramionami.

– Wysłano mnie tutaj – powiedziała. – Dostałam skierowanie.

– Tak, oczywiście, ale... Chodzi mi o szerszą perspektywę, LeAnne.

– Szerszą perspektywę? A czy to nie jest po prostu standardowa procedura?

Doktor Machado zanotował coś na kartce leżącej na podkładce – wyglądała jak jedna z tych typowych lekarskich podkładek, na których wypisuje się recepty. LeAnne brała teraz paroksetynę, prednizon, penicylinę i percocet i nie były to nawet wszystkie leki na literę P, jakie zażywała.

– Ma pani rację – odparł doktor Machado. – Ale co chciałaby pani osiągnąć? Tego właśnie pragnę się dowiedzieć. Jeśli zna pani swoje cele, możemy pomóc pani je osiągnąć.

Skinęła głową.

– Poproszę kawę. Z mlekiem i dużą ilością cukru.

Doktor Machado zamrugał powiekami. Podniósł się z krzesła i podszedł do ekspresu do kawy stojącego w kącie gabinetu.

– Przynajmniej dwie saszetki cukru. A najlepiej trzy.

\* \* \*

## **Wstępne badanie w kierunku zespołu stresu**

## **pourazowego**

### **Przed podjęciem służby wojskowej**

#### **1. Struktura rodziny i środowisko wychowawcze (rodzaj i jakość związków między członkami rodziny):**

– Nikt na całym świecie nie śmieje się w tak szalony sposób – powiedział tata.

To tylko jeszcze bardziej rozśmieszyło LeAnne.

– Co cię tak bawi? – zapytał.

– Wszystko!

Rozpędziła się w paru szybkich, drobnych krokach, a potem zrobiła kilka gwiazd z rzędu. Swój popis zakończyła pełnym obrotem w powietrzu i pewnie wylądowała na obu stopach. Bułka z masłem.

– Ho, ho, gdzie się tego nauczyłaś?

– Na gimnastyce!

– Tak? – tata podszedł do pikapa i ściągnął z uchwytu na broń karabin kalibru 0,22 cala.

– Masz – rzekł. – Weź Małego O. Ja wezmę lodówkę.

Mały O, czyli Mały Obrońca. Tak tata nazywał „dwudziestkę dwójkę”. Często powtarzał, że obrona jest bardzo ważna. „Nasza rodzina zajmuje się tym od niepamiętnych czasów. Walczyliśmy już w wojnie secesyjnej. Nawiasem mówiąc, po obu stronach”. LeAnne wzięła od niego Małego O i sprawdziła, czy nie jest odbezpieczony – to *numero uno*, jak mawiał ojciec, pierwsza rzecz, którą trzeba zrobić, gdy bierze się broń do ręki. Trzymała karabin tak, jak należało – obiema dłońmi, z lufą skierowaną w dół pod kątem czterdziestu pięciu stopni. To właśnie w ten sposób nauczyła się stopni i mogła potem popisać się tą wiedzą na lekcji; dzięki temu dostała piątkę z plusem za aktywność, co stanowiło połowę oceny z matematyki. Razem z tatą weszła na długie, łagodnie nachylone zbocze porośnięte dorodnymi kaktusami – karnegiami olbrzymimi. Ojciec niósł lodówkę. Kilka kaktusów podziurawionych było pociskami, zawsze



w górnej części, tam, gdzie byłaby głowa, gdyby kaktusy ją miały. Jednak to nie oni byli sprawcami obrażeń odniesionych przez kaktusy.

– Co jest, do cholery, nie tak z tymi ludźmi? – zapytał tata.

– To je rani?

– A jak myślisz? Spójrz na nie. Czy to w porządku, że ktoś je tak podziurawił?

– Nie. Ale chodziło mi o to, czy to sprawia im ból.

Tata pochylił głowę w jej stronę. LeAnne lubiła patrzeć na jego twarz – szeroką, o surowym wyrazie, z czujnymi oczami, które lśniły, kiedy wszystko układało się pomyślnie, tak jak teraz na pustyni.

– Dobre pytanie – odpowiedział.

Weszli na szczyt wzgórza i usiedli. Tata podniósł pokrywę lodówki turystycznej i otworzył puszkę zimnego piwa. Druga strona zbocza była stroma i najeżona skałami aż do samego podnóża. Na dole widać było wyschnięte koryto rzeki i dwie topole amerykańskie rosnące nieopodal. Między dwiema topolami zaparkowano stary przerdzewiały samochód, o ile o pozbawionej kół kupie złomu można powiedzieć, że ktoś ją zaparkował. Ale tak to właśnie wyglądało z punktu widzenia LeAnne. Zupełnie jakby ktoś kiedyś wybrał się na krótką przejażdżkę samochodem i zatrzymał się właśnie w tym ocienionym miejscu.

– Buick roadmaster, rocznik 1947. O ile dobrze pamiętam, stryj Rodney miał właśnie taki wóz.

– Kim był stryj Rodney?

– Twoim stryjecznym dziadkiem.

– Stryj Rodney był moim dziadkiem?

– Chryste. Po prostu... Nieważne. Zapomnij. Rodney pił na potęgę. Kopnął w kalendarz, kiedy byłem jeszcze dzieciakiem, młodszym od ciebie. Roadmastera pozbył się dużo wcześniej. Znałem go tylko ze starych zdjęć.

– Pokażesz mi je?

Tata pokręcił głową.

- Przepadły.
- W pożarze?
- Tak.

Tata wrzucił pustą puszkę do lodówki i uraczył się kolejnym zimnym piwem. Wręczył też LeAnne jednego z uwielbianych przez nią piernikowych ludzików z jasnozielonymi oczami. To mama piekła te pyszności.

Pożar był niezwykle ważnym wydarzeniem w historii rodziny. Spalił się położony nieopodal Flagstaff dom, w którym dorastał tata. W pożarze zginęli jego rodzice, czyli dziadkowie LeAnne. Tata był wtedy za granicą, właśnie zaczynał służbę, jeszcze nie spotkał mamy LeAnne, zatem i LeAnne nigdy nie poznała dziadków ze strony taty. Rodziców mamy również nie poznała, ale z zupełnie innych powodów.

– No dobrze – powiedział tata, pociągając spory łyk z puszek. – Dostyc tych pogaduszek. Zobaczmy, co potrafisz.

– Mam strzelać na siedząco?

– Czemu nie? – Tata wskazał ręką buicka roadmastera. – Prawe tylne światło jest chyba nienaruszone?

– Co to znaczy: nienaruszone?

– To znaczy, że coś jest nieuszkodzone, całe.

LeAnne spojrzała w dół. Według doktora Ralpundi, który przed rozpoczęciem sezonu badał wszystkich członków drużyn sportowych, miała sokoli wzrok. Lewym okiem potrafiła odczytać trzeci rząd od dołu na tablicy okulistycznej, prawym – nawet drugi i pierwszy.

– Tak, światło jest całe.

– Rozwal je.

Oczywiście to prawe oko było jej okiem dominującym, jednak celując, nie zamykała lewego – podobnie jak tata.

– Jeśli je zamkniesz, to skąd będziesz wiedzieć, czy z lewej strony nie zbliża się jakieś niebezpieczeństwo? – Zawsze bawiło ją, kiedy tata tak mówił; tak jakby ni z tego, ni z owego w jej kierunku mogła polecieć

piłeczka bejsbolowa.

LeAnne podniosła Małego O. „Niech broń sama znajdzie cel”, mówił zawsze tata. To też śmieszyło LeAnne. Jak broń mogła zrobić coś „sama”? Broń to tylko rzecz. Jednak wkrótce przekonała się, że tata miał rację. Teraz, ignorując odległy cel, prawym okiem spojrzała na szczerbinę i skoncentrowała się na przestrzeni między krawędziami w kształcie litery V. Wypuściła z płuc całe powietrze; miała wrażenie, że czas się zatrzymał. Kiedy znowu zaczął płynąć, pociągnęła za spust. Chociaż „pociągnęła” to zbyt mocne słowo. Użyła jedynie tyle siły, ile trzeba, żeby wcisnąć sprężynę długopisu, która wysuwa wkład.

Trzask. Cichy trzask. W końcu był to tylko kaliber 0,22. Odrzut też był niewielki, niczym kopnięcie płodu w brzuchu matki. Tylny reflektor pękł bezgłośnie. Drobnie czerwone odłamki zamigotały w słońcu niczym krople zamrożonej krwi. Pocisk sięgnął celu.

– Taa – powiedział tata.

Zrobiło się zupełnie cicho. Na pustyni zawsze jest cicho, lecz teraz – kiedy już wybrzmiał huk strzałów – cisza jakby się wzmogła.

– A może to ten sam – zastanowiła się LeAnne.

– Co?

– Może to buick stryja Rodneya.

– Skąd ci to przyszło do głowy?

– Nie złość się, tato.

– Nie złoścę się. Dlaczego miałbym się złościć? Pytam tylko, skąd, do cholery, wziął się w twojej głowie taki pomysł?

– Tak po prostu.

Tata znów na nią spojrzał i zmierzwił jej włosy.

– Ale czupryna.

– Mama mówi, że z moimi włosami nic nie da się zrobić.

– Naprawdę?

– Mówi, że wyglądają jak stóg siana.

– Serio?

– Mhm.

Tata odwrócił się, dopił piwo, wrzucił puszkę do lodówki i sięgnął po kolejną.

– Daj mi to cudenko – poprosił.

LeAnne zabezpieczyła broń i podała ją ojcu.

– Być może to faktycznie stary roadmaster Rodneya.

– Naprawdę? – zapytała z ekscytacją LeAnne.

– Większe szanse niż na loterii. Loteria to jedna szansa na milion. A ten roadmaster? Jak wiele takich samochodów z tego akurat rocznika sprzedano w Arizonie? Kilka tysięcy?

– Czyli to jak jeden do kilku tysięcy? Takie jest prawdopodobieństwo?

Tata nie odpowiedział, zbliżył się do krawędzi zbrocza i krzyknął: „Hej, Rodney! Uważaj!”. A potem, trzymając broń zupełnie od niechcienia, niczym zabawkę, oddał kilkanaście strzałów.

Zrobił to tak szybko, jakby puszczał serię z karabinu maszynowego. Na karoserii roadmastera pojawiły się rzędy śladów po kulach tak równe, że wyglądały jak zdobienia.

\* \* \*

– Proszę – powiedział doktor Machado.

– Hm?

Niespodziewanie pojawił się po jej prawej stronie. Wzięła kawę i nawet nie podziękowała. Nie miała na to siły. Poza tym kim właściwie był ten dupek? I co ona tu robi? Upiła niewielki łyk.

– Wystarczająco słodka? – zapytał.

Co to niby miało znaczyć? Jeśli tak dalej pójdzie, ta rozmowa zakończy się rozlewem krwi.

– Grał pan kiedyś w bejsbol?

– Przepraszam, nie rozumiem.

– Bejsbol. Taki sport. Grał pan kiedyś?

– Nie. Dlaczego pani pyta?

LeAnne wzruszyła ramionami. Milczeli, ale nie siedzieli w ciszy – nie było w tym szpitalu takiego miejsca, w którym panowałyby cisza. Doktor Machado znowu usiadł po drugiej stronie biurka. Spojrzał na nią. Ona zaś popatrzyła na oprawione w ramkę i wiszące na ścianie zdjęcie: doktor Machado z żoną i dwójką małych chłopców – wszyscy uśmiechnięci i ubrani w koszulki polo. Miała ochotę zapytać go, czy grał kiedyś w polo.

– A może zaczniemy od początku? – zaproponował Machado.

Odwróciła się w jego stronę.

– Pani dzieciństwo; matka, ojciec, miejsce, gdzie pani dorastała, i tak dalej.

Już miała mu powiedzieć: „Zacznijmy od »i tak dalej«”, ale wybrała milczenie.

Doktor Machado przekartkował jakieś dokumenty. Miał bardzo zadbane dłonie, jakby właśnie wrócił od manicurzystki. LeAnne starała się nie myśleć o wyglądzie swoich paznokci. Zwłaszcza tych dwóch, które nadal w pełni nie odrosły.

– Wiem, że pani ojciec także był wojskowym. Starszy sierżant Rex Hogan, Zielone Berety. – Doktor Machado popatrzył na nią. – Proszę mi o nim opowiedzieć.

– Nie ma wiele do opowiadania.

– Z dokumentów wynika, że opuścił armię, kiedy miała pani... chwileczkę... osiem czy dziewięć lat? Co robił potem?

– Nie ma tego w papierach?

Doktor Machado pokiwał głową.

– Zawsze wolę potwierdzić informacje, które otrzymuję. – Nie miała ochoty niczego potwierdzać. – Czy może pani opisać swoją relację z nim? – ciągnął psychiatra. – A może woli pani zacząć od czegoś innego? Na przykład od matki?

Wstała.

– Wolałabym wrócić do mojego pokoju. Boli mnie głowa.

Doktor Machado położył dłonie płasko na biurku.

– Przykro mi to słyszeć. Przełożymy nasze spotkanie. Czy chce pani, żebym wezwał kogoś z personelu, kto pani pomoże?

– Pomoże mi?

– Odprowadzi panią.

– Dokąd?

– Do pani pokoju.

Powiedział to, jakby chciał dodać: „A dokąd niby miałyby pani pójść?”. Zrozumiała. Zrozumiała aż za dobrze. Miała oko – ha! oko! – na jego oparte o biurko dłonie. Dupek z wydelikacjonymi rączkami. Te dłonie, na zasadzie przeciwieństwa, przypomniały jej inne dłonie, które tak szybko wynurzyły się spomiędzy fałd burki.

– Nie potrzebuję pomocy – oznajmiła.

## 2

Łóżko LeAnne stało przy oknie, a łóżko Marci – jej współlokatorki – przy ścianie naprzeciwko. Kiedy LeAnne wróciła, Marci leżała przykryta kołdrą, odwrócona twarzą do ściany. Spod pościeli wystawały tylko jej włosy – brązowe odrosty były dłuższe niż jasne końcówki – i fragment tatuażu na ramieniu: litery AXA i kształt przypominający pieczarkę. LeAnne wiedziała, że jest to wystrzelony w powietrze korek od szampana i słowa „NA MAXA”.

– Nadal mi nie wyjaśniłaś, co to za pozycja – zażartowała LeAnne.

– To nie było zabawne nawet za pierwszym razem – odparła Marci, podciągając wyżej kołdrę.

LeAnne wyjrzała przez okno. W pobliżu szpitala znajdowała się obwodnica. LeAnne śledziła wzrokiem karetkę, która skręciła z głównej drogi i podjechała bliżej, a potem zniknęła jej z oczu zasłonięta niższymi segmentami budynku. Jeszcze wczoraj gałęzie niskich drzew rosnących wzdłuż drogi, która prowadziła do szpitala, były zupełnie nagie, dzisiaj pokryły się drobnymi różowymi kwiatami.

– Wiśnie zakwitły.

– Gównu mnie to obchodzi – odburknęła Marci.

LeAnne usiadła na swoim łóżku. Nie czuła senności, mimo to wypełnienie pod kołdrę wydawało jej się dobrym pomysłem. Ktoś zapukał do drzwi.

– Tak?! – zawołała LeAnne.

– Protezy oczne! – odpowiedział jej donośny, wesoły kobiecy głos.

LeAnne nie zareagowała. Po chwili drzwi się uchyliły, a kobieta wsadziła głowę do pokoju.

– Dzień dobry. Przepraszam, że zajęło mi to tak długo. – W tym

momencie zauważyła Marci i zaczęła mówić ciszej: – Ups. Czy ona śpi?

– Nie – wymamrotała Marci w poduszkę.

– To dobrze – powiedziała kobieta. Miała ze sobą małe plastikowe pudełko. – To było prawdziwe wyzwanie: odtworzyć taki odcień błękitu. Niesamowity kolor, kojarzy mi się z kwitnącymi polami łąbinu niebieskolistnego w Teksasie. Widziała pani kiedyś błękitny łąbin?

– Nie.

– Musi to pani zobaczyć – odparła.

Weszła głębiej do pokoju, zostawiając za sobą otwarte drzwi. LeAnne nienawidziła, kiedy ktoś nie zamykał drzwi. Kiedyś nie zwracała na to uwagi, teraz chciała, żeby wszystkie drzwi były zawsze zamknięte.

– O co chodzi? – zapytała.

– Jeszcze raz przepraszam za opóźnienie. Tak jak mówiłam, to z powodu trudności z dopasowaniem koloru. Ostatecznie zwróciliśmy się do prawdziwego nowojorskiego artysty, z Brooklynu. Ubezpieczenie tego nie pokrywało, ale wysupłaliśmy dodatkowe środki z dużego cywilnego grantu. Myślę, że będzie pani zadowolona z rezultatu. – Kobieta uniosła pudełko.

– Co jest w środku?

– Trzy najlepsze, moim zdaniem, protezy. Nie potrafiłam wybrać żadnej z nich. A potem pomyślałam, że mogę zostawić pani tę decyzję.

LeAnne miała wrażenie, że rozmawiała już wcześniej z tą kobietą. Wyteżyła pamięć, ale nie znalazła żadnego związanego z nią wspomnienia.

– Trzy? – zapytała.

– Chce pani zobaczyć więcej? W sumie powstało kilkanaście.

– Oczu? – upewniła się LeAnne.

Wyraz twarzy kobiety na chwilę stał się nieco mniej przyjazny. LeAnne wolała ją w takiej odsłonie, ale kobieta szybko odzyskała panowanie nad sobą.

– Tak, to protezy oka – odpowiedziała. – Jestem tu, żeby zrobić przymiarękę. Ale to właściwie czysta formalność, bo protezy zostały już



przecież dopasowane.

LeAnne zastanawiała się przez chwilę.

– Zrobiono to w Niemczech?

– W Niemczech?

– Mam na myśli protezy. Czy dopasowano je w Landstuhl?

– Och nie, zajęliśmy się tym tutaj. Wiem, że łatwo się w tym wszystkim pogubić. Przepraszam, jeśli mówię zbyt szybko. – Kobieta dostrzegła chyba zmianę w wyrazie twarzy LeAnne. Odwróciła wzrok. – To znaczy, jeśli nie wytłumaczyłam pani wszystkiego odpowiednio.

– Ależ skąd. Pani wyjaśnienia są jasne. Wszystko rozumiem. Rzecz w tym... – nieświadomie podniosła głos – że już podjęłam decyzję.

– Ale... jeszcze ich pani nie widziała. Czy nie byłoby...

– Podjęłam decyzję... – przerwała jej LeAnne, a może to tylko jej głos podjął decyzję, może to jej głos chciał postawić sprawę na ostrzu noża, chciał zrobić to, tak, NA MAXA – ...że nie chcę żadnego gówna w kolorze błękitnego łubinu.

Rzuciła się w kierunku plastikowego pudełka, ale kobieta zareagowała błyskawicznie, zupełnie jakby przewidziała, co się wydarzy, i chwyciła je pierwsza. Ten szybki ruch, a także świadomość, jak powolna się stała – a przecież kiedyś bez trudu łapała te cholerne afgańskie muchy – jeszcze bardziej rozwścieczyło LeAnne. Zerwała z oka opaskę i rzuciła nią z całej siły, nie w kobietę, nie w żaden konkretny cel, ale po prostu przed siebie. Opaska wyfrunęła przez drzwi i wylądowała na korytarzu.

Do pokoju zajrzał sanitariusz – rosły mężczyzna w zielonym uniformie. Faceta takiego rozmiaru najlepiej zaatakować w szyję. Ręce LeAnne wiedziały, jak to zrobić; przyjęły już odpowiednią pozycję i się napięły.

– Jakież problemy? – zapytał.

– Żadnych – odparła kobieta.

Sanitariusz podał jej opaskę i wyszedł. Zanim zniknął z ich pola widzenia, zerknął szybko i ukradkowo – kolejne ukradkowe spojrzenie! – na

twarz LeAnne. Nie uszło to jej uwadze. Co? Nie podobam ci się, wielkoludzie?

Kobieta położyła opaskę i plastikowe pudełko na stoliku na kółkach przy łóżku LeAnne.

– Zostawię to tutaj, żeby mogła pani dokonać wyboru według swoich preferencji. – Podeszła do drzwi. – Większość pacjentów woli protezę od opaski. Współczesne protezy do złudzenia przypominają żywe organy. Ale wybór należy oczywiście do pani.

Wyszła.

– „Do złudzenia przypominają żywe organy” – powtórzyła LeAnne. – Słyszałaś te bzdury?

Marci wciąż leżała w łóżku twarzą do ściany, owinięta szczelnie kołdrą.

– Chyba każdy w szpitalu słyszał.

– Masz jakiś problem?

– Najmniejszego – odparła Marci.

Było to oczywiście bzdurą. Marci miała problemy, chociaż nie tyle co wcześniejsza współlokatorka LeAnne, której imienia nie pamiętała. A może pomyliła ją ze swoją współlokatorką z niemieckiego szpitala? Miała tam w ogóle jakąś współlokatorkę? Wytężyła pamięć, ale jedynym wspomnieniem związanym ze szpitalem w Landstuhl był obraz kosza na śmieci wypełnionego zakrwawionymi bandażami; krew wyciekała spod niego na podłogę pokrytą białymi i czarnymi płytkami. Wisienka na torcie pamięci – robaczywa i spleśniała. Jednak tutaj, w Bethesdzie, wiśnie dopiero okryły się kwiatami.

– Pieprzone gnojki, nie mają o niczym pojęcia – rzuciła LeAnne.

– Ci, co robią protezy? – Marci przewróciła się na plecy i usiadła na łóżku.

LeAnne mówiła o kwiatach wiśni, ale przyznać się do tego oznaczałoby przyznać się do szaleństwa.

– Nieważne – odpowiedziała. – Sama nie wiem, co mówię.

Współlokatorka dziwnie na nią spojrzała. Czy dlatego, że LeAnne nie nosiła teraz opaski? Nawet jeśli tak, to czy mogła ją za to winić? Tymczasem Marci odsunęła kołdrę i przerzuciła nogi nad krawędzią łóżka. Tylko jedna noga dotknęła podłogi. Druga kończyła się kilkanaście centymetrów nad miejscem, gdzie powinno być kolano; kikut owinięty był grubą warstwą opatrunków. Marci sięgnęła po oparte o ścianę tuż przy wezglowiu łóżka kule. Jedną chwyciła bez wysiłku, drugą strąciła na podłogę. Donośny stukot upadającej kuli wydawał się nie mieć końca. LeAnne nie po raz pierwszy była świadkiem takiej sceny. Wiedziała już, że Marci nie chce pomocy; milczała więc i wpatrywała się gdzieś w przestrzeń, dopóki współlokatorka nie opanowała sytuacji. Marci stęknęła cicho; udało jej się wstać.

– Trening? – zapytała LeAnne.

Marci skinęła głową i skierowała się do drzwi.

– Miałaś rację co do kwiatów wiśni! – krzyknęła za nią LeAnne, kiedy Marci była już na korytarzu.

LeAnne odniosła wrażenie, że usłyszawszy to, współlokatorka chciała pokazać jej środkowy palec, ale poruszając się o kulach, miała ograniczone pole manewru. Marci ruszyła przed siebie. W szpitalu można spotkać zarówno tych, którzy mają doświadczenie w poruszaniu się o kulach, jak i tych, dla których jest to zupełna nowość. Marci zaliczała się do drugiej grupy. LeAnne zamknęła drzwi.

Trafił im się wygodny pokój – niezbyt duży, ale z własną łazienką. LeAnne podeszła do umywalki, ochłapała twarz chłodną wodą i spojrzała w lustro. Chryste, pomóż mi.

\* \* \*

– To nie ma nic wspólnego z talentem – powiedział pan Iglesias.

Trenował LeAnne od zawsze, to znaczy odkąd skończyła dwa lata. Był niskim, umięśnionym mężczyzną. Miał lekko kołyszący chód, nosił na szyi

gruby, złoty łańcuch i zawsze zaczynał mówić po hiszpańsku, kiedy był naprawdę zadowolony z wyników LeAnne albo innej swojej podopiecznej.

– LeAnne ma ogromny talent, na dodatek szybko się uczy i nie boi się ciężkiej pracy. Problem polega na tym... Po prostu spójrzcie na nią.

– Co z nią? – mama i tata zadali to pytanie jednocześnie, nie patrząc na LeAnne, ale na pana Iglesiasa.

Stali przed liceum LeAnne. Właśnie zakończyły się klubowe mistrzostwa Arizony, w których LeAnne zajęła ósme miejsce w klasyfikacji generalnej. Rok wcześniej była czwarta. Mama i tata mówiący zgodnym chórem – fenomen. Po pierwszym semestrze dziewiątej klasy LeAnne jej rodzice się rozwiedli. Tata został w ich dawnym domu, a mama przeniosła się do Scottsdale. LeAnne kursowała między nimi, ale mieszkała głównie z ojcem. Nowy mąż mamy, Alex, miał trójkę własnych dzieci i nie było dla niej wolnej sypialni. Nie przeszkadzało jej to. Ledwie zauważała Alexa – w porównaniu z tatą trudno nawet było nazwać go mężczyzną – i trójkę jego rozpuszczonych bogactwem bachorów, których życie sprowadzało się do zakupów i przesiadywania w domu.

– Chciałabym, żebyś przestała opowiadać, że Alex jest bogaty – powiedziała kiedyś mama. – Jest współwłaścicielem biura księgowego. To nie oznacza, że jest bogaty.

Ale mama wyglądała teraz na bogatą. Miała włosy bogaczki i skórę bogaczki – szczególnie na czole, gładkim jak wypolerowany kamień. Mimo to nadal jeździła tym samym minivanem i wciąż pracowała jako pomoc dentystyczna.

– Fakt, że tak kurczowo trzyma się tej pracy – rzekł tata pewnego wieczoru, kiedy wypił trochę zbyt dużo – mówi mi, że któregoś dnia jeszcze tu wróci. Na kolanach. Życzę powodzenia!

– Tato, proszę.

Rozwód rodziców – przykra sprawa, ale nie katastrofa. LeAnne nie miała powodów do narzekań. Dogadywała się z obojgiem rodziców, miała

mnóstwo przyjaciół, zajęta była szkołą, treningami i zawodami. Jeden drobny szczegół: mama nie piekła już piernikowych ludzików z jasnozielonymi oczami, które LeAnne tak lubiła. Czasami za tym tęskniła.

– Jedenasty rok życia to punkt przełomowy – powiedziała kiedyś Tasha, jej najlepsza przyjaciółka z drużyny. – Jeśli twoi rodzice rozwiodą się, zanim skończysz jedenaście lat, masz przechlapane. Po jedenastym roku życia połączenia w mózgu są trwalsze i złe doświadczenia już im tak nie zaszkodzą.

– Serio? – powiedziała LeAnne, która miała dwanaście lat, gdy jej rodzice się rozwiedli. – Gdzie to usłyszałaś?

– Nie usłyszałam, przeczytałam. Można nawet powiedzieć, że zgłębiłam temat.

– Twoi rodzice się rozwodzą?

– Nie, chociaż... Nigdy nie wiadomo, prawda?

Rozśmieszyło to LeAnne, sama nie wiedziała czemu. Tasha także się roześmiała. Jak zauważyła kiedyś Tasha, śmiech LeAnne był zaraźliwy.

– Sprawdziłam to dla ciebie – powiedziała Tasha, kiedy wreszcie przestały się śmiać.

– Naprawdę?

– Zawsze możesz na mnie liczyć – zapewniła Tasha.

Stuknęły się pięściami, pięść Tashy na górze, pięść LeAnne na dole. Tasha nie wyrosła tak bardzo jak LeAnne. W ciągu tych wszystkich lat, kiedy ze sobą rywalizowały, Tasha tylko raz pokonała LeAnne, na jednych z ostatnich zawodów, w których LeAnne brała udział – stanowych mistrzostwach odbywających się w ich liceum. Tasha zdobyła wtedy trzecie miejsce.

\* \* \*

– Co z nią? – powtórzył pan Iglesias, nieco zdziwiony. – Cóż, urosła trochę w ciągu ostatniego roku. Musieli państwo zauważyć.

– I co z tego? – powiedział tata. – Jest w doskonałej formie.

– Ona... – próbowała wtrącić coś mama, ale tata nie pozwolił jej dokończyć.

– Zajmę się tym, jeśli nie masz nic przeciwko.

LeAnne cofnęła się o krok. Po drugiej stronie parkingu rodzice Tashy, niewiele wyżsi od swojej córki, tulili ją i poklepywali po plecach. Mama Tashy co jakiś czas wspinała się na palce, jakby miała ochotę podskakiwać niczym mała dziewczynka i z trudem się od tego powstrzymywała. LeAnne uśmiechnęła się.

– Ależ spokojnie – powiedział pan Iglesias, unosząc dłoń. – Oczywiście, że jest w świetnej formie, to najsilniejsza dziewczynka, jaką kiedykolwiek trenowałem. Nie o to mi chodzi. Rzecz w tym, że bardzo urosła w tym roku. Kiedy ostatni raz ją mierzyłem, miała prawie metr osiemdziesiąt. Zastanówcie się państwo. Ile gimnastyczek o takim wzroście znajdziecie państwo wśród najlepszych zawodniczek?

Prawidłowa odpowiedź brzmiała: „Żadnej”. LeAnne od dłuższego czasu próbowała nie dopuścić do siebie tej myśli. Bo co mogła zrobić? Uwielbiała gimnastykę. I nie było to dla niej tylko hobby. Chciała zostać profesjonalistką. A jedyna ścieżka kariery dla zawodowych gimnastyczek to ta, która kończy się na olimpijskim podium.

– Cóż – rzekła mama – zawsze musi być ten pierwszy raz.

Na takie słowa, zwłaszcza padające z ust mamy, tata zwykle reagował sarkastycznym grymasem. Tym razem było inaczej.

– To prawda. Zawsze jest ten pierwszy raz. Bez dwóch zdań.

– Nie mówię, że nie – powiedział pan Iglesias. – Ale przecież nie musimy się spieszyć. Proszę przemyśleć na spokojnie kilka rzeczy. Na przykład to.

Wyciągnął zrolowaną gazetę z tylnej kieszeni spodni i otworzył ją na rozkładówce.

– Co to? – zapytał tata.

– Trzy najlepsze zawodniczki z zeszłego roku – odpowiedział trener. – Ogólnokrajowe zawody NCAA w skoku o tyczce kobiet. Zauważyli coś państwo?

Cała trójka pokiwała głowami: mama, tata, LeAnne. To naprawdę rzucało się w oczy.

– Taki sam wzrost, taka sama budowa ciała. Mało tego, LeAnne biega jak sarna i ma niesamowicie silne mięśnie klatki piersiowej. Ma też świetne poczucie czasu i taką kontrolę nad własnym ciałem, jaką mają tylko gimnastyczki. – Pan Iglesias wręczył swojej podopiecznej gazetę. – Skok o tyczce – powiedział i poklepał LeAnne po ramieniu. – Będziesz wymiatać.

\* \* \*

Plastikowe pudełko było wyściełane aksamitem i miało trzy przegródki. Wyglądało jak szkatułka na biżuterię: tu pierścionki, tu naszyjniki, tu kolczyki. To, co leżało w środku, było zupełnie jak biżuteria – błyszczące, kolorowe i bardzo ozdobne.

– Moja szkatułka na biżuterię – powiedziała głośno LeAnne, patrząc znowu w lustro lewym okiem, tym słabszym, wciąż jednak na tyle sprawnym, że na tablicy okulistycznej odczytywała bez problemu trzeci rząd od dołu.

Nie ma co narzekać na taki wynik. Jednak kiedy masz dwoje oczu, niewiadome może zaatakować cię tylko od tyłu. Kiedy masz jedno, niewiadome zyskuje szerokie pole manewru. Otaczały ją trzy ślepe kwadranty; przez cały czas czuła, jak wąski jest teraz jej margines bezpieczeństwa. Kiedy spała, było inaczej. W snach widziała tak jak wcześniej. Wszystkie swoje koszmary oglądała na szerokim ekranie.

Poczuła, że łzy napłynęły do jej lewego oka. Lewego? Po prostu jedyne, jakie ma, do cholery! Łzy – to było żalosne. LeAnne gwałtownie pokręciła głową, wyciągnęła wydrukowaną na lśniącem papierze ulotkę i otworzyła ją. „Instrukcja użytkownika”.

Przeczytała instrukcję dwa razy, ale nic do niej nie dotarło. Instrukcja zawierała też obrazki przedstawiające atrakcyjną kobietę w wieku LeAnne, trochę do niej podobną. Miała ciemne włosy, niebieskie oko (też tylko lewe) i jasną cerę. Skóra kobiety z ulotki była nieskazitelna także wokół jej prawego oczodołu. Inaczej niż w wypadku LeAnne. Widziała kiedyś zdjęcie księżycowego krateru – ciemnej dziury pokrytej czymś, co wyglądało jak srebrzyste, rozgałęziające się promienie, niczym zamrożony rozbryzg. Jej czoło, skroń i policzek pokryte były nie srebrnymi, a czerwonymi nitkami. Pielęgniarki pocieszały ją, że to zniknie, zwłaszcza jeśli będzie używać kremu aloesowego, który nie znajdował się, co prawda, na liście preparatów zapewnianych przez Departament do spraw Kombatantów, ale był łatwo dostępny w internecie.

Zamknęła plastikowe pudełko i założyła opaskę – dużą i wygodną.



### 3

Czuła suchość nosie, w ustach. Wszystko wyschnięte na wiór. To przez tę przeklętą pustynię. Dziwne, ale przebywanie na pustyni w Arizonie nie wywoływało u niej takich objawów. Jak każda pustynia, także i ta znakomicie niosła dźwięki. Słyszała odległy huk wystrzałów ze sto pięćdziesiątek piątek i modliła się do Boga, żeby pociski trafiły tam, gdzie powinny, czyli w pozycje nieprzyjaciela. Bóg sprzyja... coś tam, coś tam. Próbowwała sobie przypomnieć dalszy ciąg, ale linia ognia przesunęła się w jej stronę. Czyżby znalazła się w strefie ostrzału? Otworzyła oczy.

Oko.

Te obrazy wracały do niej nagle jak fala powodziowa, jak rozpędzona lokomotywa wypadająca z torów.

– Cholera.

Czy będzie musiała przeżywać to każdego poranka, aż do końca swojego pieprzonego życia? Dlaczego umysł skazywał ją na codzienne przypominanie sobie tego wszystkiego od nowa?

Co się z nią porobiło?

Zdała sobie sprawę, że ktoś puka do drzwi. Spojrzała na łóżko Marci. Puste. Światło, które wypełniało pokój, nie było światłem poranka.

– Kto tam?

– Kapitan Gerald Stallings, G-2.

LeAnne chwyciła butelkę z wodą, stojącą na szafce przy łóżku. Wypiła wszystko, do ostatniej kropli. Przypomniała sobie, komu sprzyjał Bóg – dużym batalionom. A więc jednak jej mózg nie zlasował się kompletnie. Usiadła na łóżku.

– Mogę wejść?

Zaczęła przetrząsać posłanie w poszukiwaniu opaski. Musiała zsunąć jej

się z głowy w trakcie snu. Znalazła ją pod poduszką i założyła z powrotem.

– Jeśli szuka pan Marci, to nie ma jej tutaj.

Drzwi otworzyły się i do środka wszedł mężczyzna o łagodnej twarzy, ubrany w niebieski mundur z dwiema srebrnymi belkami na wyłogach. Spojrzał w jej stronę, stanął na baczność i, co było naprawdę dziwne, zasalutował jej. Kapitanowie zazwyczaj nie salutują sierżantom, zwłaszcza sierżantom mającym na sobie nie mundur, a pizamę.

– Nie – odpowiedział, opuszczając dłoń. – Szukam właśnie pani.

LeAnne zastanawiała się, czy ona także powinna zasalutować. W końcu wciąż była żołnierzem, chociaż już nie w czynnej służbie – no chyba że o czymś zapomniała? Na myśl o tym, że mogła o czymś zapomnieć, parsknęła śmiechem.

Kapitan Stallings uśmiechnął się.

– Chętnie pośmieję się razem z panią. Co panią tak rozbawiło?

– Gdybym tylko potrafiła to wyjaśnić... – powiedziała LeAnne.

Kąciki ust kapitana obniżyły się nieco, ale wciąż się uśmiechał.

– Cieszy mnie to, że mimo wszystko udało się pani zachować pogodę ducha.

– Czy my się znamy? Z moją pamięcią nie jest zbyt dobrze.

– Nie miałem przyjemności poznać pani wcześniej.

LeAnne spojrzała na kapitana, zastanawiając się, w jakim kierunku pójdzie ta rozmowa.

– W takim razie – zaczęła, próbując trzymać się jakoś toku konwersacji – skąd pan wie, co udało mi się zachować, a czego nie?

Na ustach kapitana wciąż błąkał się nikły uśmiech.

– Racja. Mój błąd. Ale naprawdę interesuje mnie, jak pani sobie radzi. – Zerknął na niski taboret stojący pod stolikiem na kółkach. – Mogę usiąść? – zapytał.

LeAnne wzruszyła ramionami.

Kapitan przyciągnął stołek i usiadł na nim, kładąc na kolanach teczkę

z miękkiej brązowej skóry, ozdobioną mosiężnymi okuciami.

– G-2? – zapytała LeAnne.

– Tak.

– Czyli wywiad.

– Zgadza się.

– Czego pan chce?

– Dojdziemy od tego – powiedział Stallings. – O ile tylko czuje się pani na siłach.

Łagodny głos pasował do łagodnych rysów jego twarzy i stanowił dla niej przyjemną odmianę – nieczęsto słyszy się taki głos, gdy pracuje się w wojsku. Jednak jego spojrzenie nie było łagodne. Nie było też ostre. Raczej baczne.

– Wciąż odczuwa pani ból?

– Nie.

– Cieszy mnie to. Zażywa pani dużo leków?

– Nie.

Pokiwał uprzejmie głową. Jego spojrzenie stało się jeszcze bardziej uważne. LeAnne poczuła, że zaczyna mieć go dosyć.

– Próbujemy zrozumieć, co właściwie stało się siedemnastego stycznia – powiedział Stallings.

Siedemnastego stycznia? A dzisiaj jest...?

– To data ostatniej misji. Pani ostatniej misji. – Stallings zerknął do swojego telefonu. – Operacja Nocny Pociąg, o ile się nie mylę. Jeśli nie chce pani o tym rozmawiać, proszę powiedzieć.

– Nie o to chodzi – odpowiedziała LeAnne. – Ale jeśli niczego nie pamiętam, to jakich informacji mogę panu udzielić?

To ucięło temat. Na dobre. LeAnne przez chwilę cieszyła się swoim momentem triumfu. Kiedy przeminął – tak szybko! – miała jedynie ochotę wpełznąć z powrotem do łóżka i zakopać się w pościeli.

– Rozumiem – powiedział Stallings. – A tak przy okazji: skąd się

w ogóle wziął ten kryptonim?

O co mu chodziło? Nie docierało do niego, że drzwi do jej pamięci zatrzasnęły się na amen? Jeśli wywiadu nie było stać na nic lepszego, to mieli przesrane. Dla LeAnne nie była to zresztą żadna nowina.

– Kto go wybrał? – nie ustępował Stallings.

Czujny wzrok, żadnych wątpliwości.

– Kapitan Cray – odpowiedziała spokojnym, a przynajmniej w miarę spokojnym głosem.

– Dowódca misji?

Skinęła głową niczym uprzejmy przedsiębiorca.

– Nocny Pociąg. Co to właściwie miało oznaczać?

– Nie wiem.

– Podoba mi się ta nazwa.

– Podoba się panu kryptonim operacji?

– Owszem. – Odłożył telefon na bok. – A może wrócimy teraz do pani ostatniego wspomnienia z tamtej nocy?

– Mówiłam już panu, nic nie pamiętam.

– Rozumiem – po raz kolejny zapewnił Stallings. Musiał mieć jakąś własną, inną od słownikowej, definicję tego słowa, bo wciąż drążył temat. – Dostała się pani do strefy ostrzału. Pamięta pani cokolwiek?

– Była pełnia.

– Tak? – Stallings otworzył teczkę i zaczął w niej szperać, przerzucając jakieś papiery. – Pierwszy raz o tym słyszę.

– Jak to?

– Jestem trochę zaskoczony, tylko tyle. Nie wspomniano o tym w żadnym raporcie ani wywiadzie.

– Nie wierzy mi pan?

– To nie jest kwestia wiary. To fakt, który można sprawdzić. – Wziął do ręki komórkę i przez chwilę lub dwie stukał palcem w ekran, po czym skinęła głową. – Siedemnasty stycznia, wschód księżycy o 19.43 czasu lokalnego,

zachód o godzinie 2.19. – Stallings przesunął swój stołek w kierunku LeAnne. – Pełnia. Pamięta pani coś jeszcze?

– Nie lubię pełni.

– Dlaczego?

– Nie lubię pełni w trakcie misji – odwarknęła LeAnne. – Równie dobrze mogłaby nam towarzyszyć orkiestra dęta.

Tak naprawdę wyprowadziła ją z równowagi fizyczna bliskość Stallingsa. Przysunął się zaledwie o kilka centymetrów, ale jego obecność stała się przez to bardziej odczuwalna. Mógłby już sobie pójść.

Kapitan wciąż kiwał potakująco głową – chciał w ten sposób okazać LeAnne swoje wsparcie, nie zdając sobie sprawy, że doprowadza ją tym do szału.

– Nie lubiałam – poprawiła się LeAnne. – Nie lubiałam pełni, gdy wypadła w czasie misji.

– Rozumiem. Czy powiedziała pani o tym dowódcy?

– To nie działa w ten sposób.

– Nie? W takim razie jak to działa?

– Walczył pan kiedyś?

– Nie.

W pokoju zapadła cisza – szpitalna cisza wypełniona półszepkami, odgłosami aparatury i odległymi syrenami karetek. LeAnne przypomniała się inna pełnia – trening w świetle księżyca, skoki o tyczce na stadionie, na którym poza nią nie było żywej duszy. To właśnie wtedy udało jej się odkryć optymalne ułożenie nadgarstka podczas skoku. Tamten nocny trening otworzył jej drogę do prawdziwych sukcesów.

Kapitan Stallings przestał się uśmiechać. LeAnne poczuła, że jest blisko celu. Czy to miało jakiś sens? Tak jej się wydawało.

– Chciałbym pokazać pani kilka zdjęć – oznajmił Stallings. – Zobaczymy, czy kogoś pani rozpozna.

LeAnne wzruszyła ramionami.

Stallings sięgnął ponownie do teczki i wyciągnął z niej plik zdjęć w formacie trzynaście na osiemnaście centymetrów. Pokazywał je LeAnne jedno po drugim. Kilka pierwszych fotografii przedstawiało Afgańczyków; niektórzy ubrani byli w stylu zachodnim, inni mieli na sobie tradycyjne stroje, dwóch nosiło mundury polowe afgańskiej armii.

– Nie – odpowiedziała LeAnne. – Nie, nie, nie, nie. I tego także nie.

– Jest pani pewna?

– Tak. Dlaczego pan pyta?

– Chciałem to tylko potwierdzić.

Stallings zamierzał odłożyć kolejne zdjęcie na spód stosu, kiedy LeAnne złapała go za kościsty nadgarstek. Poczwała, jak jest chłodny, co oznaczało, że ona sama była rozpalona. Kapitan otworzył szeroko oczy, jakby jej zachowanie go zdumiało. Przez chwilę doświadczyła swojej dawnej siły.

– Chciałabym jeszcze raz rzucić okiem.

– Oczywiście. Żaden problem. – Uwolnił rękę z uścisku. Pozwoliła mu. Jej dawna siła gdzieś odeszła. Albo w ogóle zniknęła. Próbowwała odnaleźć ją w sobie, ale na próżno. – Wszystko w porządku? – zapytał Stallings.

– Tak.

– Wydawało mi się, że przez chwilę poczuła się pani gorzej.

– Nic mi nie jest.

Uważnie przypatrywała się zdjęciu. Wszystkich Afgańczyków cechowała pewnego rodzaju odmienność. Trzeba nauczyć się nie zwracać na nią uwagi, jeśli ma się zamiar cokolwiek tam, w Afganistanie, zrobić albo przynajmniej odróżnić jednego Afgańczyka od drugiego. Owa odmienność ujawniała się przede wszystkim wtedy, gdy stawali przed obiektywem aparatu albo gdy mieli do czynienia z zachodnimi kobietami. Znikała niemal zupełnie, kiedy się uśmiechali, ale z doświadczenia LeAnne wynikało, że nie zdarzało się to zbyt często.

Mężczyzna na zdjęciu nie uśmiechał się. Nosił podobne nakrycie głowy co prezydent Karzai, zrobione z karakułów, czyli, jak się dowiedziała

w trakcie szkolenia, skór i futer abortowanych płodów jagniąt tej rasy. Czapka z karakułów? Czemu nie? A jednak przeszkadzało jej to wtedy i przeszkadzało teraz. Czy wszystko trzeba wykorzystać? Czy wszystko musi się dostać w chciwe ręce człowieka? Sfotografowany mężczyzna miał wąską twarz, odstające uszy i głęboko osadzone, ciemne, błyszczące inteligencją oczy. LeAnne wydawało się, że to on się jej przygląda.

– Zmieniła pani zdanie? – zapytał Stallings.

– Nie – odpowiedziała. – Nigdy wcześniej go nie widziałam. Kto to?

– Gulab Yar-Muhammad. Przynajmniej pod takim nazwiskiem go znamy. Yar-Muhammad znaczy „przyjaciel Mahometa”. To może być prawdziwe, wcale nie tak rzadkie nazwisko albo przydomek niosący pewne przesłanie. *Nom de guerre*, jeśli wie pani, co to znaczy.

Spojrzenie LeAnne ześlizgnęło się ze zdjęcia na nadgarstek Stallingsa. Lekko poczerwieniał od jej uścisku. Prawidłowo.

– Mamy informacje, które łączą go z wydarzeniami, jakie rozegrały się nocą siedemnastego stycznia.

– Jakie informacje?

– Przepraszam, ale niektóre szczegóły są tajne.

– Co, do diabła? Przecież mam poświadczenie bezpieczeństwa.

– Niestety, poruszając ten temat, wkraczamy w „szarą strefę” – oświadczył Stallings, a LeAnne zauważyła, że zagapił się na jej opaskę. – Ale – dodał, dostrzegając pewnie zmianę wyrazu jej twarzy – lepiej chyba zostawić dyskusje na ten temat prawnikom?

To zbiło LeAnne z tropu. Stallings zaczął opowiadać o Gulabie Yar-Muhammadzie, o rzeczach, które ten być może zrobił lub nie zrobił, o ludziach, których być może znał lub nie znał. LeAnne wykonała kilka nieznaczących ruchów lewą ręką, które mogły wydawać się bezcelowe, ale nie byłyby takie, gdyby trzymała w dłoni tyczkę. Jej nadgarstek wciąż pamiętał, wciąż był nadgarstkiem czempionki; nie zapomniał, co zrobić, żeby zapewnić jej tych kilka dodatkowych centymetrów, decydujących

o wygranej. Och, skakać o tyczce w świetle księżycy w pełni! Niewiele brakowało, żeby zaczęła śnić o tym na jawie. Marzeniom bliżej jednak było do sennych wizji nawiedzających człowieka nocą: czaiły się na dnie jej prawego oczodołu, gdzie zawsze panowała ciemność. I nagle to sobie uświadomiła – teraz każdego dnia o każdej porze nosi w sobie noc.

– Czuje się pani zmęczona? – zapytał kapitan.

Skupiła wzrok na jego twarzy.

Przyglądał się jej z troską.

– Nie.

Wyciągnął rękę. Wyglądało to tak, jakby chciał ją poklepać po kolanie, ale sekundę później zmienił zdanie.

– Dokończymy innym razem. Będziemy wtedy wiedzieć więcej. Na każdy temat. Chciałbym jedynie, żeby przyjrzała się pani teraz jeszcze jednemu zdjęciu. – Wyciągnął ze stosu kolejną fotografię.

– To Katie.

– Katie?

– Oczywiście, Katie. Moja tłumaczka. Musiał pan to wiedzieć.

Pokiwał głową.

– Chciałem to tylko potwierdzić. Proszę mi o niej opowiedzieć.

– Co chce pan wiedzieć?

LeAnne spojrzała ponownie na zdjęcie. Katie – tak naprawdę Kathena, ale wszyscy, to znaczy wszyscy Amerykanie, zwracali się do niej Katie – wpatrywała się gdzieś przed siebie pustym wzrokiem. Patrząc na to zdjęcie, nikt nie domyśliłby się, jak bardzo była zabawna; fotografia wiernie oddawała jednak jej urodę. Była drobną, zadziorną kobietą. Szybko zrzucała burkę, kiedy wchodziły do domów, w których przebywały tylko kobiety i dzieci. Na zewnątrz, w obecności pogrążonych w dyskusji mężczyzn, Katie wygłaszała pod adresem dyskutantów obraźliwe komentarze w języku angielskim. Z twarzą ukrytą za zasłoną burki wymyślała im od „imbecyli, zakutych łbów i nieuków”; rzucała te obelgi pogodnym tonem, starając się



naśladować nienaganny akcent prezenterów BBC. W takich chwilach zwycięstwo wydawało się LeAnne możliwe, choć zarazem bardzo odległe.

– Coś jej się stało? – zapytała LeAnne. – Powiedzieli mi, że wszystko z nią w porządku. Nie było jej na liście.

– Nic jej się nie stało. Dzięki pani. Kathena wiele pani zawdzięcza. Niezależnie od wszystkiego.

– Niezależnie od wszystkiego? Nie rozumiem.

Kapitan Stallings schował zdjęcie i zamknął walizkę.

– To dopiero początek naszych rozmów. Mam nadzieję, że za kilka dni będę mógł powiedzieć pani więcej.

Wstał.

– Proszę skupić się na powrocie do zdrowia.

– Ale co miał pan na myśli, mówiąc o Katie?

Uśmiechnął się i powtórzył:

– Niedługo dowie się pani więcej.

Kiedy wyszedł, wstała i zaczęła szperać w szufladzie. Znalazła. Kiedy dostała tę listę? Tutaj? W Landstuhl? Jeszcze wcześniej? Kto jej to dał? I dlaczego? LeAnne nie potrafiła odpowiedzieć na żadne z tych pytań. Sprawdziła listę. Nie było na niej Katie. Zobaczyła sześć nazwisk w porządku alfabetycznym. Pięciu Afgańczyków i jeden Amerykanin – kapitan Jamie R. Cray, lat trzydzieści. Przyczyna śmierci: „Wybuch. Siły wroga”. Ta lakoniczna notatka była podsumowaniem dwóch błędów, które popełniła.

\* \* \*

Marci wróciła do pokoju bez swoich kul. Nosила teraz czarno-srebrną protezę nogi, wyglądającą bardzo nowocześnie i zarazem elegancko.

– Wow! – zawołała LeAnne. – To taka proteza, dzięki której można bardzo szybko biegać, prawda?

– Lepiej, kurwa, żeby tak było – odpowiedziała Marci, kuśtykając

w kierunku łóżka, na którym po chwili usiadła, mocno zaciskając wargi.

– To boli?

– Jak skurwysyn. Podobno za jakiś czas ból przejdzie. – Marci przyglądała się swoim stopom: tej prawdziwej i tej sztucznej. Obie obute były w jaskrawoczerwone adidas.

– Dostałaś nowe buty?

– Za darmo. Dobrze wiedzieć, że można dostać coś w życiu za darmo, LeAnne. Idzie ku lepszemu.

LeAnne podeszła do łóżka Marci, usiadła obok niej i objęła ją ramieniem. Razem przyglądały się nowej nodze Marci.

– Jest na swój sposób piękna – rzekła LeAnne. – Naprawdę.

– Niektórych facetów to kręci. Tak przynajmniej twierdzi moja fizjoterapeutka.

– Wierzę jej.

Marci pokiwała głową.

– Mężczyźni już niczym mnie nie zaskoczą.

LeAnne roześmiała się. Marci dołączyła do tego wybuchu wesołości. Hej! Czyżby mój śmiech wciąż był zaraźliwy?, pomyślała LeAnne i śmiech momentalnie uwiązał jej w gardle.

## 4

– Masz ochotę wyjść na zewnątrz? – zapytała Marci następnego albo jeszcze kolejnego dnia.

– Po co? – zdziwiła się LeAnne.

– Powinnam trochę pochodzić. Będziesz mogła wytknąć mi niedoskonałości mojej techniki.

– Nie możesz chodzić tutaj?

– W szpitalu? A niby gdzie miałabym to robić?

– Ja... – LeAnne próbowała przypomnieć sobie, kiedy ostatni raz przebywała poza szpitalem i była zarazem przytomna.

– Nad czym się tu zastanawiać? – zniecierpliwiła się Marci. – Tak czy nie?

– Tak.

Włożyły szlafroki na piżamy, zjechały windą do głównego holu i wyszły z budynku. Był ciepły wiosenny dzień. Kiedyś LeAnne uwielbiała wygrzewać się na słońcu – ale teraz, mimo że nawet nie patrzyła w kierunku słońca, jego blask ją raził. Zmrużyła lewe oko tak mocno, że niemal je zamknęła. Nie pomogło. Czuła oślepiającą jasność po drugiej stronie.

– Coś nie tak? – zapytała Marci.

– Zaraz wracam.

– Co takiego?

LeAnne odwróciła się i z powrotem weszła do budynku szpitala. Blask przygasał, ale bardzo powoli, jakby niechętnie. W szpitalnym sklepieniu kupiła parę tanich, trochę za dużych okularów przeciwsłonecznych. Okuliści dają takie okulary pacjentom, którym zakropili oczy i którzy wracają do domu samochodem. Przeglądając się w lustrze za kasą, zauważyła, że okulary zasłaniają całą opaskę i mniej więcej jedną trzecią blizny.

Potrzebowała jeszcze większych okularów albo czegoś w rodzaju... zasłony na twarz. Gdy ta myśl przyszła jej do głowy, poczuła mdłości. Mało brakowało, a zwymiotowałaby na czarne, wyjątkowo eleganckie półbuty kasjera.

Ponownie wyszła na zewnątrz. Marci siedziała na ławce pod jednym z drzew wiśni. LeAnne usiadła obok niej. Blask niemal zniknął. Ponieważ Marci usiadła po prawej stronie ławki, LeAnne musiała usiąść po lewej, przez co straciła współlokatorkę z pola widzenia. Zdarzyło jej się to po raz pierwszy w życiu. Wiedziała, że kiedyś będzie musiała się z tym zmierzyć. Kusilo ją, by obrócić się parę razy w miejscu niczym pies, który robi kilka obrotów wokół własnej osi, zanim ułoży się w najwygodniejszej pozycji.

Wyczuła ruch po prawej stronie. Marci chyba jej się przyglądała.

– Wybierasz się do Hollywood? – zapytała Marci.

Dobre.

– Przypominasz mi pewną aktorkę – ciągnęła Marci. – Nie mogę sobie przypomnieć jej nazwiska.

LeAnne widziała, co znajduje się przed nią, ale nie potrafiła określić swojej odległości od tych obiektów. Czuła się, jakby oglądała świat przez prototyp jakiegoś niedopracowanego jeszcze urządzenia.

– No, pomóż mi – ponagliła ją Marci.

– Ale w czym mam ci pomóc? Co jest? – LeAnne obróciła się w stronę współlokatorki niemal o dziewięćdziesiąt stopni, żeby jej jedyne oko mogło się na coś przydać.

Marci wyglądała na trochę zaniepokojoną.

– Och, nic, nic. Próbowałam sobie tylko przypomnieć nazwisko tej aktorki, do której jesteś bardzo podobna.

– Nie jestem podobna do żadnej pieprzonej aktorki. – LeAnne odwróciła twarz w drugą stronę i odsunęła się o kilka centymetrów.

– Cruella De Mon – powiedziała Marci. – Chociaż to nie aktorka, tylko postać.

LeAnne prawie jej nie słuchała. Przyglądała się licealnej drużynie biegaczy, którą dostrzegła w oddali. Policzyła ich – zwyczajnie dokładnego liczenia członków każdej grupy ludzi nabrała w wojsku. Na przykład tamtej nocy, siedemnastego stycznia, w domu, w którym się wtedy znalazła, przebywało szesnaście osób, wliczając w to ją samą oraz Katie. Szesnaścioro ludzi plus dwie kury. Drużyna biegaczy składała się z czternastu osób – chłopców i dziewcząt – o wszystkich możliwych odcieniach skóry. Tylko niektórzy z nich mieli sportową smykałkę i biegli bez wysiłku, ale widać było, że nikt z drużyny nie zaprzęta sobie głowy żadnymi zmartwieniami. Na tym właśnie polega piękno biegów długodystansowych. Wiedziała o tym dobrze, bo kiedyś sama często trenowała na szkolnej bieżni.

\* \* \*

– Będiesz skakać o tyczce? – zagadnął ją pan Adelson, trener lekkiej atletyki w Fremont High. Kiedyś, kiedy jeszcze sam uprawiał zawodowo sport, trenował pchnięcie kulą; LeAnne nie знаła nikogo, kto miałby tak silne nadgarstki.

– Mam nadzieję, trenerze – odpowiedziała.

– Z tego, co wiem, Tony Iglesias uważa, że masz predyspozycje. Co o nim myślisz?

Co to miało być? Jeden trener pytał ją, co sądzi o drugim trenerze?

– No dalej – zachęcał ją pan Anderson. – Warto mieć własne zdanie. Chyba że wolisz dołączyć do stada owiec.

To było dla niej coś nowego. Nie uważała, by wygłaszanie takich opinii było czymś właściwym, jednak nie chciała, żeby ktoś brał ją za owcę.

– Jest świetny! – powiedziała.

– Nie musisz tak przesadzać – odparł Anderson. – Przypomnij mi: jak sobie radzisz z upadkami?

– Upadkami?

A może trener powiedział: „wypadkami”? Miał zabawny akcent. Jakby

nie był stąd. Jakby pochodził ze wschodu – z Bostonu lub z Filadelfii.

– Owszem. Z nagłą zmianą pozycji ciała z pionowej na poziomą zakończoną twardym lądowaniem.

– Milion razy spadłam z równoważni, trenerze. Przywykłam do upadków.

– Milion razy? – Pan Adelson wyciągnął zmiętą kopertę z kieszeni swoich dresowych spodni, wygładził ją i zerknął na gryzmoły na jej odwrocie. – To jak udało ci się wygrać te wszystkie zawody?

– Nigdy nie wygrałam niczego naprawdę ważnego.

– Z powodu upadków?

– Nie, po prostu zawsze był ktoś lepszy. W gimnastyce liczy się wiele drobnych szczegółów.

– W sumie można powiedzieć, że trenowałaś upadki.

LeAnne nigdy nie myślała o tym w ten sposób.

– Okej – powiedział trener Adelson i pokiwał kilka razy głową. – Okej, okej. A co z pompkami?

– Pan Iglesias uwielbia pompki.

– Uwielbia sam je robić?

– Możliwe – odparła LeAnne. – Ale nigdy nie widziałam, żeby je robił.

– Ha! – trener Adelson wydał z siebie głośny dźwięk, coś pomiędzy parsknięciem a warknięciem. LeAnne drgnęła przestraszona. – W porządku – powiedział. – A teraz pokaż, co potrafisz.

– Mam robić pompki?

– A o czym teraz rozmawiamy?

– Tutaj?

– Podłoga nie jest dla ciebie dość czysta?

LeAnne oparła dłonie o pokrytą zielonym linoleum podłogę. Niezbyt czystą, mówiąc szczerze.

– Prawdziwe pompki – zastrzegł trener Adelson. – Podpieraj się palcami stóp.

– A można to robić inaczej? – zapytała LeAnne. Była już przygotowana do ćwiczeń i wpatrywała się w podłogę przed sobą.

Zrobiła sto pompek. Mogłaby zrobić jeszcze kilka, zanim pojawiłyby się u niej oznaki wysiłku, ale trener ją powstrzymał:

– Dość. Wystarczy. Zmęczyłem się od samego patrzenia.

\* \* \*

Między drzewami wiśni stała fontanna. Nie działała, ale w zbiorniku była woda, w której pływały płatki kwiatów.

– Powinnam teraz ćwiczyć chodzenie – powiedziała Marci. – Ale mi się nie chce. Wiesz, na co mam ochotę? Mam ochotę się urznąć.

Urznąć się? To nie zdarzało się LeAnne zbyt często. Raz podczas balu na zakończenie szkoły – pod koniec imprezy wszyscy członkowie drużyny lekkoatletycznej przenieśli się na barkę na Lake Pleasant. Drugi raz podczas jej pobytu na wyspach Florida Keys, też na łodzi; wtedy poszło bardzo szybko. Trzeci raz w Katarze, podczas ostatniego dnia jej pierwszej weekendowej przepustki; ona i reszta dziewczyn z CST\* opuściły bazę, wypiwszy wcześniej co najmniej trzy piwa, a potem wybrały się do miasta, gdzie wstąpiły do baru na dachu hotelu; po jednej stronie parkietu tańczyli saudyjscy biznesmeni w galabijach, a po drugiej stronie amerykańskie żołnierki w T-shirtach. Czwartego razu nie było.

– Jak właściwie miałybyśmy to zrobić?

– Jak miałybyśmy się nawalić? Gorzałą.

Spojrzały na wejście do szpitala przypominające kształtem literę U, a potem na drogę. Biegacze zniknęli.

– Myślisz, że gdzieś w okolicy znajdziemy sklep monopolowy? – zapytała LeAnne.

– Nawet jeśli, co z tego? – odpowiedziała Marci. – W życiu tam nie doczłapię.

Poczuły lekki podmuch wiatru. Mała, zwarta eskadra płatków wiśni

zerwała się do lotu, po czym wylądowała w zbiorniku fontanny.

– A może potrenujemy? – zaproponowała LeAnne.

– Co?

– Dzisiaj dojdziemy do fontanny i wrócimy. Jutro pójdziemy trochę dalej.

– Ni z tego, ni z owego mówisz takim dziarskim tonem. Wolę chyba, kiedy nie udajesz.

Wstały i ruszyły w kierunku fontanny. LeAnne miała Marci po swojej lewej stronie.

– Jak ci idzie? – zapytała.

– Moje kolano chce się zginać – odparła Marci. – Ale przecież już go nie ma. Niedorzeczne, prawda?

LeAnne zwolniła kroku i przyglądała się, jak radzi sobie Marci.

– Może powinnaś stawiać większe kroki nową nogą.

– Pieprz się.

LeAnne miała wrażenie, że Marci posłuchała jednak jej rady. I chyba szła trochę pewniej. Po kilku minutach zaczęła ciężko oddychać i musiały zrobić sobie przerwę na innej ławce, niemal tuż przy fontannie. LeAnne usiadła tak, żeby mieć Marci po lewej. Postanowiła sobie, że od tej pory będzie to jej główny cel: mieć wszystko po lewej stronie. Od teraz aż do końca świata.

– Nie mogę się pozbyć tych okropnych myśli – powiedziała Marci po chwili.

– Jakich?

Marci wzięła głęboki wdech. Gdy wypuściła powietrze z płuc, LeAnne usłyszała cichy pomruk, coś jakby stłumiony dźwięk dziecięcej grzechotki. Był to dziwny, zupełnie dla niej nowy dźwięk. Czyżby wyostrzony słuch miał być rekompensatą za ograniczone pole widzenia? Być może teraz otworzy się przed nią cały świat nowych dźwięków. Te rozważania przyćmiło wspomnienie chwili, kiedy po raz pierwszy spojrzała w lustro po



zdjęciu opatrunku. Obraz powrócił bez żadnego ostrzeżenia, niczym tsunami, i tłumiał każdą pozytywną myśl.

– Chciałabym, żeby to był ktoś inny – rzekła Marci. – Żeby to przytrafiło się komuś innemu, nie mnie.

– I co w tym złego?

– A co, gdybym chciała, żeby przytrafiło się to konkretnej osobie?

LeAnne nie odpowiedziała.

– To spora różnica, prawda?

– Musiałabym wiedzieć coś więcej. To zdarzyło się w Iraku?

– Na litość boską! A gdzie indziej? Mówiłam ci, że byłam w Iraku. Mówiłam ci to pierwszego dnia.

LeAnne odwróciła się w jej stronę.

– Nie tak głośno, młoda damo – upomniała ją. Umilkły. W tej ciszy było coś ponurego. LeAnne zdołała się opanować. – Nie wiem, o czym mówisz – dodała cicho.

Marci rzuciła jej krótkie spojrzenie i odwróciła się.

– Cholernie mnie przerażasz. Wiesz o tym?

LeAnne przypatrywała się płatkom wiśni pływającym w zbiorniku fontanny przez swoje za duże okulary przeciwsłoneczne.

– Mówiłam ci, że byłam w Iraku – ciągnęła Marci, ona również ściszyła głos. – A ty, pierwszego dnia, powiedziałaś mi, że byłaś w Afganistanie.

– Pierwszego dnia?

– W poniedziałek. Wtedy trafiłaś do naszego pokoju.

– Co mamy dzisiaj?

– Czwartek. Ale ja mówię o poprzednim poniedziałku.

LeAnne zamyśliła się.

– Czwartek zawsze był moim ulubionym dniem tygodnia – oznajmiła Marci. – Chcesz wiedzieć dlaczego? – dodała po krótkiej chwili.

– Pewnie.

– Bo już ekscytujesz się sobotnim wieczorem, robisz plany, nie możesz

się doczekać. Rzeczywistość najczęściej nie dorastała tym planom do pięt, ale nie miało to dla mnie żadnego znaczenia. Nadchodził kolejny czwartek, a ja znów byłam cała podekscytowana.

Marci wsunęła obie dłonie pod swoją nogę, tam, gdzie proteza łączyła się z kikutem, podniosła ją i przesunęła.

– Tym kimś konkretnym jest Eddie Mears – powiedziała. – Według harmonogramu to on miał wtedy jechać, ale dostał sraczki. Zastąpiłam go. W końcu sraczka mogła się tam zdarzyć każdemu. To miejsce to piekło.

– Irak?

– Afganistan pewnie też, ale to Irak widziałam na własne oczy. Piekło niby jest pod ziemią, ale czasem wyskakuje na powierzchnię. Taki właśnie jest Irak. Jego godłem powinien być fugas. Taki jak ten, który mnie załatwił.

– Służyłaś w transporcie?

– Zgadza się. Prowadziłam dwutonowe ciężarówki, kursowaliśmy w tę i z powrotem po autostradzie do bagdadzkiego lotniska. Saperzy ciągle ją przeczesują. Ale... – Marci uniosła rękę, po czym pozwoliła im opaść bezwładnie wzdłuż ciała. – Przecież każdy dostaje czasem sraczki, prawda?

LeAnne wstała.

– Koniec przerwy – powiedziała, wyciągając dłoń i pomagając Marci wstać. – Idziemy.

Ponownie ruszyły w kierunku fontanny.

---

\* CST – Cultural Support Team (Zespół Wsparcia Kulturowego), oddział armii amerykańskiej złożony z samych kobiet. Głównym zadaniem oddziału jest udział w takich akcjach, w których ze względów kulturowych nie mogą uczestniczyć mężczyźni (chodzi o interakcje z kobietami i dziećmi w krajach muzułmańskich).

## 5

– Hej, gwiazdo! – zawołał trener Adelson. – Wszędzie cię szukałem.

LeAnne próbowała wejść do szkolnego autobusu razem ze swoją tyczką; chciała położyć ją na podłodze, zanim nadciągnie reszta drużyny. Odwróciła się w stronę Adelsona i zauważyła, że towarzyszy mu wysoka kobieta, której nie znała.

– Chciałbym, żebyś poznała dawną mistrzynię skoków o tyczce. Oto Gina Torelli, moja była podopieczna z Kalifornii. Pamięta mnie jeszcze z czasów, gdy mogłem pochwalić się bujniejszą czupryną.

– Cześć – powiedziała LeAnne.

– Miło cię poznać – odparła Gina Torrelli. – Gratulacje. Świetnie ci dzisiaj poszło.

– Dzięki.

Była wtedy uczennicą drugiej klasy liceum. Tamtego wiosennego dnia, podczas przedostatnich zawodów w sezonie, ustanowiła swój życiowy rekord – trzy metry dziewięćdziesiąt dziewięć centymetrów. Statuetka, którą otrzymała, wystawała z tylnej kieszeni jej dresowych spodni.

– Gina jest asystentką trenera drużyny lekkoatletycznej w West Point – powiedział trener Adelson. – Kojarzysz West Point, LeAnne?

– Tak, trenerze.

– Opowiadałem Ginie o tradycjach wojskowych w twojej rodzinie. Z tego, co wiem, twój tata był w Zielonych Beretach?

– Zgadza się.

– Twój dziadek też służył w wojsku?

– W Wietnamie.

– Żaden z nich nie był oficerem?

– Żaden.

Trener Adelson zerknął na Ginę.

– Planujesz iść do college’u? – zapytała Gina.

– Tak.

– Rozważałaś kiedyś możliwość kariery w wojsku?

– Raczej nie. Nie myślałam jeszcze o mojej przyszłej karierze.

– A może zastanowiłabyś się nad tym teraz? – powiedziała Gina.

– Wezmę tyczkę – zaofiarował się trener Adelson.

Przejął tyczkę od LeAnne i stękając, wdrapał się po schodkach do autobusu. W środku ciągle na coś wpadał, robiąc przy tym mnóstwo hałasu.

Gina przewróciła oczami.

– W ogóle się nie zmienił poza włosami, które, tak między nami mówiąc, były trochę zbyt bujne. Ale przecież nie chciałybyśmy, żeby się zmienił, prawda?

– Hmm, nie – odparła LeAnne, chociaż niektórzy członkowie drużyny nie lubili trenera Adelsona, zwłaszcza kiedy mówił do nich „brachu” albo „ziomalu”.

– Trenerzy się starzeją, a dzieciaki w drużynie są zawsze w takim samym wieku. Na tym polega kłopot – podsumowała Gina.

LeAnne pokiwała głową. Czyżby Gina zdołała odczytać nie do końca sprecyzowane pytania, które kłębiły się w jej głowie, i trochę pomogła rozwiązać dręczące ją wątpliwości? Nagle, po raz pierwszy w życiu, LeAnne zobaczyła samą siebie jako studentkę college’u. Zapragnęła tego i chciała natychmiast zrealizować to pragnienie.

– Ale to nie jest twój problem, LeAnne. – Gina, prawdziwa trenerka z college’u, uśmiechnęła się, a LeAnne po raz pierwszy dobrze jej się przyjrzała.

Trudno było określić, ile ma lat. Trzydzieści pięć? Czterdzieści? Twarze dorosłych stanowiły dla LeAnne zagadkę. Jedna tylko rzecz rzucała jej się zazwyczaj w oczy – zmęczenie. Ale nie zauważyła tego, gdy patrzyła na Ginę. Może dzięki temu jej twarz wyglądała tak miło, chociaż nie była

piękna ani nawet ładna.

– Domyślasz się, które miejsce w moim zespole dałby ci w tym roku twój wynik? – LeAnne pokręciła głową. – Drugie. Mam zawodniczkę, która dwa razy skoczyła cztery metry i cztery centymetry i kilka razy cztery metry i jeden centymetr.

– Cztery metry i cztery centymetry? – powtórzyła LeAnne. – Wow.

Gina wyglądała, jakby miała ochotę roześmiać się radośnie, ale jeśli faktycznie tak było, zdołała się powstrzymać.

– Pamiętaj, że ona jest pięć lat starsza od ciebie. Kto wie, jakie wyniki osiągniesz w jej wieku, jeśli nadal będziesz trenować.

– Na pewno będę – zapewniła ją LeAnne.

Nigdy nawet nie przeszło jej przez myśl, że mogłaby zrezygnować z treningów.

– Dlaczego?

– Uwielbiam skakać o tyczce.

– A co sprawia, że tak lubisz tę dyscyplinę?

LeAnne nigdy się nad tym nie zastanawiała.

Co sprawia, że uwielbia ten sport?

– Myślę, że chodzi o to uczucie.

– Opowiedz mi o tym.

To nie było łatwe zadanie.

– Nie śpiesz się – powiedziała Gina.

Hałasy wewnątrz autobusu ucichły. Czyżby trener Adelson podsłuchiwał?

– Jakiś czas temu na angielskim uczyliśmy się o sztukach trzyaktowych. Skok o tyczce trochę mi je przypomina. Najpierw zawiązanie akcji, czyli bieg. Potem rozwinięcie akcji, czyli wykonanie tych wszystkich ruchów, dzięki którym tyczka ugina się we właściwy sposób. I wreszcie rozwiązanie akcji: puszczasz tyczkę i lecisz. – Gina uważnie przypatrywała się LeAnne.

– O to ci chodziło? – zapytała LeAnne. – Czy o coś innego?

– To mi wystarczy – odpowiedziała Gina. – Nawiasem mówiąc, widziałam twój arkusz ocen. Świetnie się uczysz. Jeśli w przyszłym roku na testach SAT pójdzie ci tak samo, jak teraz na testach próbnych, będziesz mogła ubiegać się o przyjęcie na West Point. Masz naprawdę duże szanse, żeby się dostać, o ile w ogóle jesteś tym zainteresowana. Pamiętaj, że dostaniesz oferty także od innych uczelni. Jestem pewna, że niektóre z nich zaoferują ci stypendium, nie wiadomo jednak, jak wysokie. Studia w West Point są darmowe, ale po ukończeniu szkoły czeka cię pięć lat aktywnej służby wojskowej i trzy lata w rezerwie. Służysz jako oficer i oczywiście dostajesz żołd. Musisz jednak zrozumieć, że dokonując takiego wyboru, podejmujesz zobowiązanie.

LeAnne pokiwała głową.

– Powiedziałaś, że nie zaplanowałaś jeszcze swojej kariery, ale musiałaś zastanawiać się kiedyś nad tym, co chciałabyś robić w życiu.

– Nie bardzo. Ale... – LeAnne urwała, bojąc się, że to, co powie, zabrzmia głupio lub niedojrzale.

– Tak?

– Nie chcę siedzieć za biurkiem.

Oho. To z całą pewnością zabrzmiało niedojrzale. Domyśliła się po wyrazie twarzy Giny.

Nagle z wnętrza autobusu dobiegł je gromki głos trenera Adelsona:

– Powiedz jej, do cholery, o tradycjach wojskowych w twojej rodzinie.

LeAnne poczuła, jak intensywny rumieniec oblewa jej policzki, ale Gina znów wywróciła oczami i zażenowanie LeAnne zniknęło.

– Ale przecież trener już o tym wspomniał – powiedziała półgłosem.

– Kilka razy. Na pewno nie jest małomówną osobą – stwierdziła Gina, głośno i wyraźnie. – Chciałabym jednak usłyszeć, co ta tradycja znaczy dla ciebie – dodała ciszej i spojrzała LeAnne prosto w oczy.

Wokół autobusu zaroilo się nagle od pozostałych członków drużyny, wyglupiających się, żłopiących gazowane napoje i obżerających się

przekąskami.

– Mój tata mówi, że zadaniem naszej rodziny jest chronić innych.

– Co przez to rozumie?

LeAnne doskonale wiedziała, co jej ojciec ma na myśli, bo często słyszała, jak powtarzał: „Przeciętny Amerykanin jest jak świnia tarzająca się w gównie – zbyt głupi, żeby zauważyć, że zbliża się wilk. Ktoś musi ich pilnować, nawet jeśli za cholerę na to nie zasługują”.

– Ktoś musi dbać o pokój na świecie – powiedziała. A potem wpadła jej do głowy pewna myśl. Wyrzuciła ją z siebie, czując się nagle dziwnie dorosła: – Pokój sam się nie utrzyma.

Gina uniosła brwi.

– Twój ojciec tak powiedział? „Pokój sam się nie utrzyma?”

– Coś w tym rodzaju – udzieliła zdawkowej odpowiedzi LeAnne.

\* \* \*

Po dwóch kolejnych sesjach treningowych LeAnne i Marci udało się w końcu dojść do fontanny. Wciąż nie działała; woda w zbiorniku pokryta była brudną pianą. Usiadły na krawędzi, możliwie najdalej od innego miłośnika fontann, starszego wąsatego mężczyzny, pociągającego z butelki ukrytej w papierowej torbie.

– Udało się nam – z dumą obwieściła LeAnne.

Marci nie słuchała jej. Przypatrywała się starszemu mężczyźnie.

– Udało się nam dojść do fontanny – powtórzyła LeAnne. – Pierwszy etap za nami.

– Hej! – zawołała Marci do mężczyzny. – Ty!

Staruszek wolno i niechętnie obrócił się w ich stronę. Po chwili jednak wyraźnie wzbudziły jego zainteresowanie. Uważnie przyjrzał się najpierw protezie Marci, potem wielkim okularom przeciwsłonecznym LeAnne, a potem znowu protezie.

– Tak, ty. – Nie pozostawiła mu żadnych wątpliwości Marci. –

Rozumiesz, co się do ciebie mówi?

– No.

– Co masz w torbie?

– Co? – stęknął, próbując niezdarnie ukryć papierową torbę pod pachą.

– Słyszałeś. Co masz w torbie?

– Jesteście z policji czy jak?

– A wyglądamy na gliny?

Ponownie przyjrzał się protezie Marci i ciemnym okularom LeAnne, tym razem nieco uważniej.

– Nie jesteście glinami. Gliny nie noszą piżamek.

– Piżamek? – zdziwiła się Marci. – Ile masz lat? Pięć?

LeAnne spojrzała na siebie i zdała sobie sprawę, że faktycznie ubrana jest w piżamę. I ma na nogach klapki. Paznokcie u stóp miała połamane i brudne. Próbowwała sobie przypomnieć swoją wcześniejszą garderobę. Wiedziała, że tamtej nocy, kiedy przebywała w oświetlonej blaskiem księżycą osadzie, miała na sobie hełm i kamizelkę kuloodporną, a także mundur w maskujące wzory. Katie ubrana była niemal tak samo, jednak zamiast hełmu miała na głowie chustę. LeAnne nic więcej nie potrafiła sobie przypomnieć.

Mężczyzna wstał i wyprężył się niczym struna. Chyba poczuł się urażony.

– W czerwcu skończę pięćdziesiąt sześć lat.

– Nie wyglądasz na tyle – powiedziała Marci.

– Wygląda na dużo starszego – skomentowała LeAnne.

– To właśnie miałam na myśli.

Czy ich rozmówca dosłyszał tę uwagę? Raczej nie. Tak czy inaczej, LeAnne nie zaprzętała sobie tym głowy.

– Wszystkiego najlepszego z okazji nadchodzących urodzin! – zawołała Marci. – Chętnie wypilybyśmy twoje zdrowie.

Mężczyzna wsadził papierową torbę jeszcze głębiej pod pachę.



– Ale nie tymi twoimi szczochami. Jak daleko jest do najbliższego monopolowego?

– Stąd?

– Jezu Chryste – nie wytrzymała Marci. – Nie, z Marsa.

– Stąd to... – jego niemal bezzębne usta otworzyły się i zamknęły.

LeAnne wstała i podeszła do niego. Już dawno nie zdarzyło jej się iść tak szybkim krokiem. Mężczyzna odsunął się, ale zrobił to zbyt wolno. Wyrwała mu papierową torbę i wyjęła z niej butelkę.

– To moje – zaprotestował mężczyzna. – Nie macie prawa.

– Przymknij się. Przecież ci zapłacimy. – LeAnne poklepała się po kieszonce górnej części pizamy. – Masz jakieś pieniądze, Marci?

– Ale to szczochy – nie poddawał się mężczyzna. – Same mówiłyście, że nie chcecie szczochów.

– A właściwie co to za szczochy? – zainteresowała się Marci.

LeAnne przyjrzała się butelce z bliska. Wciąż nie mogła odczytać etykiety, więc zdjęła okulary przeciwsłoneczne, zupełnie zapominając, w jakim celu je założyła. Mężczyzna odskoczył do tyłu, niewiele brakowało, a wpadłby do fontanny. LeAnne włożyła pieprzone okulary z powrotem na nos. Gdyby ten facet był młodszy i nie tak niedołączny, z pewnością by mu przyłała. Zamiast tego cofnęła się o krok.

– Zdaje się, że to jakiś likier – poinformowała Marci. – Napis jest chyba po niemiecku.

– Chrzanić to – odparła współlokatorka. W dłoni trzymała banknot dwudziestodolarowy. – Chodź no tu.

– Ja? – upewnił się mężczyzna.

– Do kurwy nędzy – zirytowała się Marci.

Mężczyzna podszedł do niej krokiem lunatyka, wzrok utkwiał w banknocie.

– Gdzie jest najbliższy monopolowy? – zapytała Marci.

Wskazał na drogę.

- Ile trzeba iść?
- Chodzi ci o czas czy o...
- Tak, o czas.

Wzruszył ramionami.

- Jakies pięć minut.

– Kup pół litra wódki. Nie otwieraj po drodze. Dostaniesz resztę. Oddamy ci też twoje szczochy. Umowa stoi? – Marci wręczyła mu dwudziestkę.

- Pewnie, stoi.

- No to ruszaj się.

Pomaszerował przed siebie, ciągnąc za sobą odór.

- Czujesz? – zapytała LeAnne.

- Co?

- On śmierdzi.

Marci pociągnęła nosem.

- Nic nie czuję. Zupełnie nic. Cholerny fugas pozbawił mnie też węchu.

- A niby w jaki sposób?

- Twierdzisz, że kłamię?

- Nie.

Siedziały na brzegu fontanny.

Czas płynął.

- Może przejechał go samochód – wysunęła przypuszczenie Marci.

- To pierwsza optymistyczna rzecz, jaką dzisiaj powiedziałaś.

Marci wybuchnęła śmiechem. LeAnne podała jej butelkę likieru. Marci starła rękawem pizamy zarazki, które z pewnością skolonizowały szyjkę butelki, upiła łyk i oddała trunek LeAnne.

- Jak to smakuje?

- Jak jabłka zapiekane z kruszonką, które robi moja ciotka.

- Dobrze gotuje?

- Świetnie.

LeAnne pociągnęła najpierw mały, a potem całkiem solidny łyk.

– O faktycznie, musi być świetną kucharką – powiedziała.

Czy to, co piła, smakowało jak zapiekane jabłka, gruszki czy cokolwiek innego? Równie dobrze mogło smakować jak rzepa. Bez różnicy. Najważniejsze, że dostała, czego potrzebowała.

– Chcesz jej to sama powiedzieć?

– Twojej ciotce? Przez telefon?

– Nie, osobiście. Aleś się przyssała do tej butelki.

LeAnne oddała jej likier.

– Osobiście?

– Mogłabyś przyjechać mnie odwiedzić. Kiedy już będą nas tutaj mieli dosyć i wypuszczą nas z tej nory.

– Ale gdzie miałabym przyjechać?

– Do mnie. Do mojego rodzinnego miasta. Byłaś kiedyś w stanie Waszyngton?

– Nie – LeAnne przejęła butelkę i uraczyła się kolejną porcją alkoholu. – Masz męża?

– Do tej pory uzbierało się dwóch. Ale teraz nie mam żadnego na stanie.

A ty?

– Nigdy nie wyszłam za mąż.

– Masz faceta?

– Teraz nie.

– Ale kiedyś musiałaś mieć. Całe tabuny.

– Dlaczego?

– Bo, tylko nie odgryź mi głowy za to, co powiem, wyglądasz jak ta aktorka, której nazwisko na pewno bym sobie przypomniała, gdyby mój umysł funkcjonował jak należy.

– Skończ z tymi bzdurami.

Przez chwilę Marci wydawała się porządnie rozeźlona.

– Znowu się przyssałaś – powiedziała w końcu.

Powoli osuszały butelkę. Na brzegu fontanny usiadł ptak i napił się brudnej wody ze zbiornika. LeAnne poczuła przyjemne zamroczenie. Nagle coś przeskoczyło w jej umyśle. Zupełnie jakby mózg chciał włączyć widzenie w prawym oku. Miała dziwne wrażenie, że jeśli tylko wyteży wzrok, zacznie widzieć. Tak zatraciła się w tych odczuciach, że dopiero po chwili wróciła do rzeczywistości.

– Jak myślisz, co jest gorsze? Nie mieć nogi czy nie mieć oka? – zagadnęła ją Marci.

LeAnne bardzo powoli odwróciła się w jej stronę. Miała ochotę wrzucić ją do fontanny. Ale wyraz twarzy Marci – trudny do rozszyfrowania, ale niewątpliwie przyjazny – kazał jej odpuścić, tak samo jak odpuściła staremu kloszardowi. Ale może w końcu będzie musiała na kimś się wyżyć?

– Co mówiłaś?

– Oko czy noga? Co jest gorsze?

LeAnne zastanawiała się przez chwilę.

– Nie wiem, ale można to sprawdzić.

– Jak?

– Wysokość renty będzie inna. Zapytam o to Machado, kiedy się z nim spotkam.

– Kto to jest Machado?

– Psychiatra. Nie wysłali cię do niego?

– Nie.

– Jak to możliwe, że mnie wysłali, a ciebie nie?

– Widocznie ja jestem zdrowa psychicznie, a ty szalona.

LeAnne roześmiała się.

– Gdzie konkretnie w stanie Waszyngton? – zapytała.

– Kompletne zadupie. Bellville. Takie małe miasteczko, w którym ciągle pada. Mój mąż numer jeden uwielbiał deszcz. Ze mną było tak samo.

– To znaczy ciebie też uwielbiał? Czy to ty też uwielbiałaś deszcz?

– Jedno i drugie. Ale spieprzyłam to. A numer dwa był dokładnie tym,

na co wyglądał: wielką pomyłką.

– Trudno mi go sobie wyobrazić na podstawie tak oszczędnego opisu.

– Szkoda na to czasu – powiedziała Marci. – Chciałabym cofnąć tamtą decyzję. Tyle tylko ci powiem.

– Mój trener w liceum mówił, że idioci wciąż powtarzają te same błędy, a bystrzy ludzie popełniają nowe.

– Tak? A co trenowałaś?

– Skok o tyczce.

– Byłaś w tym dobra?

– Niezła. A ty coś trenowałaś?

– Zapasy.

– Walczyłaś z chłopakami?

– A co, z babami miałam walczyć?

– No to niezłe z nas sportsmenki.

– Taa... Jupi-ja-chuj!

Zapadła cisza. Przerwał ją kolejny ptak, który zaćwierkał kilka razy i sfrunął na dół, przypuszczając atak na pobratymca i skutecznie egzekwując swoje prawa dostępu do wody.

– Masz dzieci? – zapytała LeAnne.

– Jedno. – Marci odwróciła się w jej stronę. – To zabawne. Właśnie o niej myślałam. Ma na imię Mia.

– Ładnie.

– To świetny dzieciak. Ale co z nią będzie, jeśli coś mi się stanie? O to najbardziej się martwię.

– Będziesz musiała zacząć martwić się o coś innego.

– Co?

– Przecież już ci się coś stało, do jasnej cholery. A mimo to wciąż trzymasz się na nogach.

LeAnne umilkła na dłuższą chwilę.

– Na nodze – poprawiła ją Marci.

– Mój błąd – przyznała LeAnne.

Marci roześmiała się.

– Zabawna jesteś, wiesz? A może trochę muzyki, co?

– Jasne – odpowiedziała LeAnne, spodziewając się, że Marci wyciągnie z kieszeni odtwarzacz.

Tymczasem Marci otworzyła usta i mocnym głosem, trafiając w każdą nutę, zaśpiewała od początku do końca piosenkę Rolling Stonesów *Rip This Joint*. Jej śpiew przyprawił LeAnne o gęsią skórkę.

## 6

– Co jest gorsze? – zapytała LeAnne, wkraczając do gabinetu doktora Machado. – Stracić oko czy stracić nogę?

Ale gabinet był pusty. Zerknęła na zegar. Dziewięta trzydzieści, co do minuty. Czyżby doktor Machado nie wiedział, że w wojsku ceni się punktualność? Wtedy dotarło do niej, że psychiatra może być cywilem. Było to całkiem prawdopodobne. Jakim cudem cywil mógłby jej pomóc? Powinna wyjść z tego gabinetu i nigdy tu nie wracać, ale na przekór samej sobie podeszła do biurka. Miała w sobie ogromne, nawarstwiające się przez lata pokłady przekory – w tych złożach cały czas tliła się iskra, która tylko czekała na dopływ tlenu.

LeAnne przyjrzała się biurku doktora Machado. Drewniany blat pokrywała szklana tafla, pod którą wsunięto kolejne zdjęcia psychiatry i jego lubiącej się w koszulkach polo rodziny. Na jednej z fotografii uwieczniono także krótkowłosego brązowego psa leżącego na stercie liści. LeAnne nie przepadała za psami. Kiedy była mała, pewnego razu zobaczyła psa, który zjadał swoje własne odchody. Ze stworzeniem, które posunęło się do czegoś takiego, musi być coś nie w porządku, prawda? Przez resztę życia nie zmieniła zdania w tej sprawie. Teraz zupełnie bez powodu przyglądała się psu o krótkiej brązowej sierści i starała się odgadnąć, jakie są jego charakter, usposobienie, osobowość. Nie doszła do żadnych wniosków. Może ten pies nie był na tyle skomplikowaną istotą, żeby mieć osobowość? Może żaden pies nie był? LeAnne nie była szczególnie zainteresowana tą kwestią. Jednak nie powstrzymało jej to – no dalej, przekorna dziewczyno! – przed podniesieniem szyby, wyciągnięciem zdjęcia i schowaniem go do tylnej kieszeni dzinsów. Wczoraj albo przedwczoraj w jej pokoju pojawiły się nowe, ładne ubrania w odpowiednim rozmiarze, wśród nich także te dzinsy.

Przez kilka chwil LeAnne czuła się równie nowa i ładna co one.

Wysunęła górną szufladę biurka. Najpierw dostrzegła napoczętą tabliczkę czekolady Hershey's. Odkąd zaczęła trenować gimnastykę, nie jadła czekolady (ani lodów, chipsów i ciastek). Teraz odwinęła sreberko, odłamała dwie kostki i wsadziła je sobie do ust. Potem zauważyła kalendarz doktora Machado. Przekartkowała go, otworzyła na dzisiejszej dacie i zobaczyła notatkę: „9.30 LeAnne Hogan”. Poczowała ulgę, że tym razem pamięć jej nie zawiodła. Była skupiona, zwarta i gotowa. Obok swojego nazwiska zauważyła dopisek psychiatry: „Nawiąz. do roz. z matką?”.

„Nawiąz. do roz. z matką?” – znak zapytania pojawił się tylko w jej myślach, na papierze go nie było. Co oznaczało „roz.”? A „nawiąz.”? Chodziło o czasownik „nawiązać” czy o rzeczownik „nawiązanie”? Czy na pewno istnieje takie słowo jak „nawiązanie”? Kiedyś znałaby odpowiedź na to pytanie i podałaby ją bez chwili wahania. Rzeczowniki, czasowniki, przymiotniki, przysłówki. Co jeszcze? Przyimki. Wiedziała, że to nie wszystkie części mowy, ale nie potrafiła przypomnieć sobie kolejnych. Właściwa odpowiedź nie potrafiła przedrzeć się przez gruzowiska jej umysłu. LeAnne odłamała kolejne dwie kostki czekolady i usiadła na krześle doktora Machado. Jak się przekonała, siedzisko ustawił dość wysoko. Czy Machado był niski? Chyba nie. Pociągnęła za dźwignię, obniżyła siedzisko o kilka centymetrów i obróciła się w stronę laptopa psychiatry.

Dostęp do komputera zabezpieczono hasłem, ale zrobił to cywil. LeAnne wystukała na klawiaturze najpierw „123456”, potem „hasło”, „Machado”, „DokMachado”, wreszcie „świrolog” – bez sukcesu. Miała ochotę wyrzucić laptop przez okno. Już wstała, żeby to zrobić, gdy uświadomiła sobie, że okno w gabinecie się nie otwiera. Może powinna cisnąć laptopem w szybę? Zaczęła rozważać wady i zalety tego rozwiązania – na razie nie potrafiła wskazać żadnych wad – kiedy właściwa odpowiedź pojawiła się w jej głowie. Wyjęła zdjęcie z kieszeni i odwróciła je. Rozpoznała pismo doktora Machado. „Bruno, poranek Święta Dziękczynienia”. Wstukała „Bruno”



w polu „hasło”.

– Ta-dam!

Bez trudu znalazła folder o nazwie „Pacjenci”. Uszeregowano ich alfabetycznie. Nazwisko Hogan znalazło się między Hilliard a Hopper. LeAnne otworzyła swój folder.

W środku znajdowały się trzy pliki: „Przebieg służby wojskowej”, „Notatki” i „Roz. z matką”. Kliknęła na „Roz. z matką”.

Na pasku na dole ekranu wyskoczyła nowa ikonka, po czym rozległ się dźwięk nawiązywania połączenia telefonicznego. Ktoś odebrał telefon i LeAnne usłyszała, jak jej matka mówi: „Halo?”.

LeAnne nie widziała matki od kilku lat – gdyby zastanowiła się nad tym dłużej, z pewnością potrafiłaby podać dokładną datę – i nie rozmawiała z nią do czasu rozmowy na Skype w ostatnie lub przedostatnie Święto Dziękczynienia, ale oczywiście od razu rozpoznała jej głos. Poczowała łzy pod powiekami. Co, do cholery, się z nią dzieje? Przecież to nie był powód do płaczu. Ale, proszę, oto po jej twarzy ciekły pieprzone łzy. Płynęły nie tylko z oka, ale też spod opaski, pomimo tego, że kanaliki łzowe w prawym oczodole zostały unicestwione. A może wcale nie zostały? Czy jakiś lekarz w Niemczech nie powiedział jej czegoś takiego? Nie pamiętała. Walnęła pięścią w biurko doktora Machado.

„Z tej strony doktor Machado z Wojskowego Centrum Medycznego imienia Waltera Reeda. Czy mogę rozmawiać z Donną Marsh?”

„Przy telefonie. Chodzi o LeAnne?”

„Tak. Według naszych akt to pani córka. Potwierdza to pani?”

„Czy potwierdzam, że to moja córka? Oczywiście. Czy ona tam jest?”

„Tak, przebywa w naszym szpitalu. Natomiast nie ma jej teraz w tym pokoju”.

„Dlaczego... Dlaczego chciał pan, żebym potwierdziła, że to moja córka?”

„To rutynowe pytanie”.

„Ona... Nie zaprzecza, że jest moją córką, prawda?”

„Ależ skąd. Dlaczego pani pyta?”

„Bez powodu. Nieważne. Wszystko z nią w porządku?”

„Obawiam się, że nie mogę omawiać z panią stanu zdrowia pacjentów bez ich pisemnej zgody, ale mogę pani powiedzieć, że fizycznie jest w dobrym stanie”.

„W dobrym stanie? Jak to możliwe? Przecież straciła oko”.

„Hmm. Czy mogę zapytać, skąd pani to wie?”

„Skąd to wiem? Twierdzi pan, że to nieprawda?”

„Nie, nie. Absolutnie nie. To prawda. Niestety. Zastanawiam się tylko, jak się pani dowiedziała”.

„Nie powiedziano panu, że widziałam się z nią w Landstuhl?”

„W Landstuhl?”

„To szpital wojskowy w Niemczech”.

„Wiem, ale...”

„Poleciałam tam od razu. To było w styczniu. Jeśli poczeka pan chwilę, podam panu dokładną datę”.

„To nie będzie konieczne”.

W tym momencie LeAnne poczuła, że zaczyna brakować jej powietrza. Zanim jakoś się pozbierała, przegapiła fragment rozmowy.

„Doktorze... Machado? Tak?” – odezwała się jej matka.

„Zgadza się”.

„Rozmawiał pan z LeAnne?”

„Tak”.

„Nie wspominała o mojej wizycie?”

„Nie”.

„W jej aktach nie ma o tym żadnej wzmianki?”

„Obawiam się, że nie. Ale proszę nie brać tego do siebie. To trudna sytuacja. LeAnne mogła się trochę pogubić”.

„Nie biorę tego do siebie. Po prostu niepokoję się o moją córkę”.

„Rozumiem. Czy mogłaby pani opowiedzieć mi coś więcej na temat wizyty w Landstuhl?”

„Dlaczego pan o to pyta?”

„Im więcej informacji zgromadzę, tym skuteczniej będę mógł pomóc”.

„Pomóc LeAnne?”

„Zgadza się. Na tym polega moja praca”.

Cisza.

„Lekarze z Landstuhl powiedzieli mi, że mogą zostać blizny”.

„Niestety mieli rację”.

„Jak źle to wygląda?”

„Blizna jest umiejscowiona peryferyjnie”.

„Peryferyjnie? Co to znaczy?”

„Mniej lub bardziej obwodowo”.

„Przepraszam, nie rozumiem”.

„To blizna wokół oka. Nad okiem, pod, po bokach, na skroni. Prawdę powiedziawszy, nie widziałem tej blizny – to znaczy nie w całości”.

„Nie widział pan blizny? Przepraszam, ale jaka jest właściwie pańska specjalizacja?”

„Nie widziałem jej, bo zasłania ją szeroka opaska. Niestety, chirurdzy plastyczni są zdania, że w tym przypadku możliwa jest tylko minimalna korekta blizny. Jeśli chodzi o moją specjalizację, to jestem psychiatrą. Dzwonię do pani jako psychiatra pani córki. Byłbym bardzo wdzięczny, gdyby opowiedziała mi pani coś więcej o swojej wizycie w Landstuhl, zanim przejdziemy do głównego tematu rozmowy”.

„Coś więcej? Ale co?”

„Wszystko, co przychodzi pani do głowy. W jakim była nastroju? O czym rozmawiałyście? Czy mówiła coś o swoich planach?”

„Nastrój? Plany? Lekarze walczyli o jej życie”.

„Więc nie było żadnej rozmowy o przyszłości?”

Nagle, gdzieś w tle, pojawił się inny głos: „Donna? Spóźnimy się”.

LeAnne nie słyszała go od wielu lat, przez ten czas wcale nie stał się miłszy dla ucha. Należał do Alexa Marsha – księgowego z przedmieść, męża numer dwa.

„Jeszcze chwilę. Przepraszam, doktorze, czy rozmawiał pan z LeAnne o jej przyszłości?”

„Dopiero zbliżam się do tego tematu, pani Marsh. Opłótkami”.

„Czy można służyć w wojsku z jednym okiem?”

„Nie wydaje mi się, żeby było to możliwe”.

„W takim razie jaka przyszłość ją czeka? Armia to jej życie”.

„Hm. Czy to nie jest trochę nietypowe?”

„Co jest nietypowego w tym, że armia stała się jej życiem? Chyba wielu ludzi myśli tak o swojej pracy?”

„Z pewnością”.

„Donna?” – Tym razem Alex nieco podniósł głos.

„To co pan miał na myśli? Pana zdaniem kobieta w armii to nietypowe zjawisko?”

„Nie chciałem... Zupełnie nie o to mi chodziło. Próbuję tylko...”

„Jest pan cywilem, prawda?”

„Nie rozumiem, jakie to ma znaczenie. Próbuję tylko pomóc pani córce. Sprawdzenie, jaki system wsparcia ma lub może mieć pacjent, to standardowa procedura. Z tego, co wiem, jej ojciec...”

„Proszę nie zawracać sobie głowy jej ojcem. Lepiej niech pan mi powie, co z tym odłamkiem”.

„Odłamkiem?”

„O tym też pan nie wie? W jej mózgu tkwi kawałek metalu. Wyciągnięcie go było zbyt ryzykowne. W waszym szpitalu miała przejść ponowne badania w tym kierunku”.

„Hmm”.

„Donna!”

„Muszę kończyć. Do widzenia”.

„Kiedy mógłbym ponownie do pani zadzwonić?”

Połączenie przerwano.

LeAnne oblała się potem. Jej dłonie zostawiły mokre ślady na szybie przykrywającej biurko doktora Machado. Co więcej, na szkle widać było gwiazdziste pęknięcie, którego przedtem nie zauważyła albo... albo którego tam wcześniej nie było. Nie miało to jednak żadnego znaczenia, nie w porównaniu z dwoma faktami. Po pierwsze nie pamiętała, że matka odwiedziła ją w Landstuhl; nie pamiętała niemal niczego ze swojego pobytu w tym szpitalu. Po drugie... LeAnne nie potrafiła sobie przypomnieć, co było po drugie. Wytężała pamięć, ale jej wysiłki sprawiły tylko, że rozboleło ją oko. Zamknęła je i w ciemności, która ją otoczyła, usłyszała głos swojego ojca: „Inteligencję masz po matce. Ale resztę po mnie. Niech Bóg ma cię w swojej opiece”. Usłyszała to od ojca, gdy był po paru głębszych.

Otworzyła oko i ponownie przyjrzała się rodzinie Machado, umundurowanej w koszulki polo. W „roz. z matką” poruszona została kwestia przyszłości. LeAnne odniosła wrażenie, że cała familia doktora Machado niecierpliwie wygląda swojej przyszłości. LeAnne wstała i wyszła z gabinetu. Zabrała ze sobą czekoladę – na dobry początek.

\* \* \*

– Najwyraźniej armia to moje życie – powiedziała, wchodząc do ich, jej i Marci, pokoju. Ale Marci tam nie było. Na jej łóżku leżała proteza. LeAnne usiadła obok. – A jak jest z tobą, Marci? Dla ciebie również armia jest całym życiem? – LeAnne odsunęła protezę i położyła się na łóżku. – Co twoim zdaniem oznacza wyrażenie „minimalna korekta”? – Zwinęła się w kłębek i zasnęła.

Jakiś czas później – w pokoju było zupełnie ciemno i zupełnie cicho, więc musiała to być noc – poczuła, jak Marci kładzie się obok niej. LeAnne leżała na boku, twarzą do ściany. Marci położyła się na plecach, ledwo dotykając ramieniem LeAnne. Po chwili obróciła się na bok i leżały wtulone

w siebie jak dwie łyżeczki. Dotyk ciała Marci był ciepły i przyjemny. Chwilę potem Marci położyła rękę na ramieniu LeAnne i odwróciła ją – niezbyt delikatnie – tak, że leżały twarzą w twarz.

– Przyniosłam ci czekoladę – powiedziała LeAnne.

– Tak się to teraz nazywa? – Marci pocałowała ją w usta.

LeAnne oddała pocałunek, wkładając w to całą energię, jaką dysponowała; nie żeby miała jej teraz jakoś szczególnie dużo.

Tej nocy przypomniała sobie, co było tą drugą rzeczą: odłamek w jej mózgu.

– Marci?

Brak odpowiedzi. Marci spała głębokim snem, który wydawał się emanować pewnego rodzaju siłą. LeAnne przytuliła się do niej. W ciągu tej nocy druga rzecz, o której miała pamiętać, ponownie wymknęła się z jej umysłu; pierwsza rzecz na przemian pojawiała się i znikła.

\* \* \*

– Z jakiego rodzaju obrazowaniem mamy do czynienia w tych wersach?  
– zapytała pani Spears, nauczycielka prowadząca fakultet z literatury angielskiej dla zaawansowanych. – „Czas zamknął mnie w śmierć zieloną, chociaż śpiewałem w kajdanach jak morze”<sup>\*</sup>. Kto zacznie?

Zgłosił się Haskel. Przyjęto go do Berkeley w pierwszej turze rekrutacji i nie musiał już robić wrażenia na nikim w liceum Fremont High; ale Haskel taki już był – po prostu nie mógł się powstrzymać.

– To personifikacja – oznajmił. – Czas został tu spersonifikowany.

– Jako kto? – zapytała pani Spears. – Co jest w tym wierszu korelatem obiektywnym?

– Jako śpiewak.

– Śpiewak?

Oj, nie, pomyślała LeAnne. Przecież to nie czas śpiewa, śpiewa ten, kogo czas zakuł w kajdany. Nie potrafiła zliczyć, w ilu zajęciach

uczestniczyła razem z Haskelem w ciągu ostatnich czterech lat. Czyżby w końcu zaliczył spadek formy? Pani Spears obróciła się w stronę rzędów ławek, szukając kogoś, kto wyprowadzi ich z tego interpretacyjnego impasu. Nie zdążyła nikogo wybrać, bo na parkingu dla gości, który znajdował się tuż pod oknem ich klasy, ktoś wcisnął klakson i nie przestawał trąbić.

– Dobry Boże – powiedziała pani Spears, podchodząc do okna, i wyjrzała na zewnątrz. – LeAnne? To chyba twój tata.

Niemal wszyscy nauczyciele z Fremont High znali z widzenia tatę LeAnne – w ciągu czterech lat nie opuścił żadnego zebrania rodzicielskiego. LeAnne podeszła do okna. Tata zaparkował tuż przy nim, poobijana maska jego pikapa zwrócona była w stronę szkoły, a z rury wydechowej wydobywał się gęsty dym. Od razu dostrzegł córkę i wyskoczył z szoferki, machając okazałą paczką. Furgonetka przejechała jeszcze mały kawałek i zatrzymała się delikatnie na krawężniku. Biegł w jej stronę z rozwianymi siwiejącymi włosami, szczerząc zęby w uśmiechu i krzycząc coś, czego LeAnne nie była w stanie usłyszeć. Po chwili spostrzegła, że to, co wzięła za paczkę, było tak naprawdę dużą kopertą. Miała tak ostry wzrok, że zdołała nawet rozpoznać umieszczony w lewym górnym rogu herb z orłem i hełmem – złotym hełmem Pallas Ateny. Została przyjęta.

Nie minęła nawet minuta, a tata wparował do klasy. Wyściskał LeAnne, po jego twarzy płynęły łzy. Coś takiego nigdy wcześniej nie wydarzyło się w tych murach, ale LeAnne była bardzo lubiana w szkole, poza tym był to ich ostatni semestr, więc wszyscy zaczęli klaskać.

– Nigdy w życiu nie byłem taki dumny! – tata LeAnne powtarzał to o wiele za głośno i o wiele za często, unosząc w górę swoje wielkie, pokryte bliznami pięści. Ni z tego, ni z owego uściskał też panią Spears. Nie była tym zachwycona.

\* \* \*

Ryan miał corvette w kolorach szkoły Fremont High – białą-niebieską. On

i LeAnne siedzieli teraz w środku. Była sobotnia noc, samochód stał zaparkowany przed domem jej ojca. Oczywiście to też jej dom, ale już wkrótce miało się to zmienić. Dawno opuścili ten, w którym mieszkali, zanim matka rozwiodła się z ojcem. Od tego czasu przeprowadzali się dwukrotnie. Pierwszy raz, kiedy tata dostał pracę jako kierowca ciężarówki, i drugi, kiedy ją stracił. Ich aktualny dom był mobilną konstrukcją, ale nie przyczepą, bo nie można go było holować, zwłaszcza po tym, jak tata wziął się za przeróbki i zrobił w salonie podwyższenie, na którym powstało coś w rodzaju pokoju rekreacyjnego, a z tyłu domu dobudował werandę. W tej chwili siedział nieruchomo w swoim pokoju rekreacyjnym, oświetlony błękitnym blaskiem bijącym z telewizora.

– Dziwne, nie? – powiedział Ryan.

LeAnne od razu domyśliła się, o co mu chodzi. Między innymi dlatego ich związek był tak udany. Myślał teraz o tych osobliwych kilku ostatnich tygodniach liceum; ich przyszłość została ustalona, przez co ów czas wydawał się jeszcze dziwniejszy.

– Brak presji? – zapytała.

– Zgadza się! – Wziął ją za rękę. – Nawet nie zdawałem sobie sprawy, że to jest właśnie to, co czuję: brak jakiegokolwiek presji. – Westchnął głęboko.

– Jeszcze raz – zażądała.

Westchnął ponownie, a ona razem z nim. Od świata oddzielała ich teraz cienka błona – nierealna, niematerialna, ale wyczuwalna. W takiej bańce mogła zmieścić się tylko dwójka zakochanych.

Trochę razem posiedzieli, trochę się całowali, trochę dotykali. Niewiele było tego dotykania. Nie mogło być inaczej, skoro miała przed oczami własnego ojca. To, że nie patrzył w ich kierunku, nie miało żadnego znaczenia. Zresztą, nawet gdyby to zrobił, to i tak nie mógłby ich zobaczyć – dom stał na uboczu, a noce tutaj były wyjątkowo ciemne. Przypomniało jej się, jak tata mówił, że za jakiś czas ten teren nie będzie już uboczem. Będą stawiać tu kolejne domy, a oni sprzedadzą wtedy działkę i zarobią na tym



kupę szmalu. Zauważyła, że ojciec podniósł butelkę do ust.

- Sprawdziłem odległość z Hanoveru do West Point. Zgadnij.
- Sześćset pięćdziesiąt kilometrów?
- Niewiele ponad czterysta. Na wschodzie wszystko jest bliżej siebie.
- Nieprawda.
- Prawda. Zobaczysz.
- Chciałabym, żebyśmy już tam byli.

Ryan podążył spojrzeniem za jej wzrokiem. Patrzyła na migoczącą w błękitnawej ciemności sylwetkę.

- Poradzi sobie.
- 

\* Dylan Thomas, *Wzgórze paproci*, [w:] tegoż, *Wiersze wybrane*, tłum. S. Barańczak, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1974.

# 7

Każdego lata LeAnne pracowała w Ukrytych Ścieżkach Kanionu, małym biurze turystycznym, organizującym wycieczki po pustyni. Prowadziła je Bernice, żona trenera Adelsona. Bernice pilotowała wycieczki, a LeAnne przyjmowała rezerwacje, prowadziła sklepik z pamiątkami, tankowała quady i pokazywała turystom dwa zwierzaki państwa Adelsonów: pekari o imieniu Bruce i Willisa, grzechotnika diamentowego. Bruce mieszkał w ocienionej zagrodzie, jadł wszystko, co znalazło się w zasięgu jego pyska, i groźnie jeżył się na widok człowieka. Tylko na LeAnne reagował inaczej, pozwalał jej się nawet pogłaskać. Willis mieszkał w drucianej, uniemożliwiającej ucieczkę klatce, skonstruowanej własnoręcznie przez trenera Adelsona. W środku klatki rósł ogromny, stary feroakaktus, który w porze kwitnienia bardzo długo pokrywały kwiaty w nietypowym, różowym kolorze. Kwiaty opadały z niego dopiero po czwartym lipca. Willis był trzecim Willisem z kolei. Dwa poprzednie uciekły. Aktualny mieszkaniec klatki był dużo większy i dużo bardziej aktywny niż jego poprzednicy. Pokazywał turystom zęby jadowe, więc, jak mówiła Bernice: „był wart każdego grosza”, chociaż tak naprawdę nic jej nie kosztował, bo LeAnne złapała go kiedyś w szopie, w której stały quady.

To były ostatnie wakacje LeAnne przed wstąpieniem do West Point. Pewnego dnia tata przyjechał do niej, gdy była sama w biurze. Reinstalowała właśnie jakieś oprogramowanie, które pan Adelson nieprawidłowo wgrał zeszłego wieczora. Biuro mieściło się w starym domu na ranczo, które Bernice kupiła w trakcie kryzysu na rynku nieruchomości. Prowadziła do niego pięciokilometrowa niewyasyfaltowana droga, wokół znajdowały się jedynie grunty należące do państwa. LeAnne usłyszała warkot silnika pikapa i wyszła na ganek – staroświecki, w westernowym stylu, przystrojony

myśliwskimi trofeami. Tata siedział na przednim siedzeniu i przerzucał jakieś papiery. Chmura pyłu, którą wzbili pikap, wciąż unosiła się w gorącym powietrzu i wyglądało na to, że nieprędko się rozproszy; dziwny, choć częsty na pustyni widok.

Ojciec LeAnne wysiadł z samochodu, ściskając papiery w dłoni. Zauważył ją.

– Cześć!

Kopnięciem zamknął drzwi samochodu, nie zauważając pustej puszki po piwie, która stoczyła się z siedzenia i upadła na ziemię.

– Cześć, tato. Co tu robisz?

– Gdzie napisano, że ojciec nie może odwiedzić swojej córki?

– W rezolucji ONZ.

– Nawet mi nie wspominaj o tych dupkach. – Rozejrzał się wokół. – Gdzie wszyscy?

– Nie wrócili jeszcze z wycieczki. O co chodzi, tato?

– Chcę przedyskutować kilka rzeczy. – Wszedł na ganek. Deski ugięły się pod jego ciężarem. Miał szerokie ramiona i okazałą klatkę piersiową. Przez długi czas udawało mu się zachować trójkątną sylwetkę, ale ostatnimi czasy środkowa część jego ciała bardzo się poszerzyła. Usiadł na fotelu bujanym i poklepał stojący obok podnózek. LeAnne usiadła. Jej tata przez chwilę kołysał się do przodu i do tyłu. – Nie ma to jak dobry bujak.

– Dlaczego sobie takiego nie kupisz?

– Za późno.

– Za późno na fotel bujany? Znajdziemy coś na garażowych wyprzedazach. Może w następny weekend?

Pokręcił głową.

– Nieee. Następny weekend to kiepski termin.

– To może w jeszcze następny?

– Przeminał już czas bujanych foteli. Czas leci... Po co w ogóle o tym mówić?

– O czym mówić?

Na przeciwległym końcu podwórka, w klatce Willisa, zauważyła pełzający ruch. W upalny dzień węże zazwyczaj leżą spokojnie, co pozwala im uniknąć odwodnienia, ale Willis miał własne pomysły na to, jak spędzać czas. Tata przestał się kołysać. Popatrzył na chmurę pyłu wciąż wiszącą w powietrzu.

– Za chwilę już cię nie będzie.

– Nie znikam. Po prostu wyjeżdżam do szkoły. To spora różnica.

Odwrócił się do niej i uśmiechnął. Tata miał taki piękny uśmiech. Niemal o tym zapomniała.

– Już nie wrócisz – powiedział.

Kąciki jego ust nie obniżyły się nawet o milimetr, ale wydawał się dziwnie zmieszany.

Ścisnęło ją w żołądku.

– Daj spokój, tato. Mam dwa tygodnie przerwy świątecznej. Sprawdziłam.

Nic nie powiedział. W żaden sposób nie okazał nawet, że usłyszał jej słowa. O co mu chodziło? LeAnne przypomniała sobie, że ojciec starał się o pracę na polu golfowym. Dowiedziała się, że grywał tam tata Ryana, jednak nie powiedziała o tym ojcu. Może odrzucili jego podanie? Ale dlaczego mieliby to zrobić? Tata nie lenił się w pracy i potrafił naprawić wszystko, co miało silnik. Zerknęła na papiery, które ze sobą przyniosł; trzymał je w jednej ze swoich wielkich dłoni. Czyżby klub golfowy przysłał mu stertę skomplikowanych formularzy do wypełnienia? Może chciał ją poprosić o pomoc, ale się wstydził?

– Tato? Chodzi o ten klub golfowy?

Uśmiech – czy towarzyszyło mu zmieszanie, czy też nie – natychmiast zniknął z twarzy ojca.

– Klub golfowy? Jaki, kurwa, klub golfowy?

– Desert Springs? Ten przy drodze do Cave Creek?

– Wystarczy tego paplania o golfie. Wiesz, czym jest golf? Oznaką naszej słabości, ot co. Myślisz, że muzułmanie grają w golfa? Myślisz, że w Afganistanie przymierzają się kijkiem do piłeczki?

LeAnne roześmiała się.

– To głupie, tato.

Przez moment wyglądał, jakby miał zaraz wybuchnąć. Ale po chwili pokręcił mocno głową, jakby poukładał sobie coś w środku, i też się roześmiał.

– Ten twój cholerny śmiech – powiedział. Wyciągnął rękę i poklepał ją po kolanie. – Zanim dostaniesz nominację oficerską, te lalusie pociągające za sznurki wyciągną nas z tego szamba. Jedno zmartwienie mniej.

– Z jakiego szamba?

– Z Afganistanu. W West Point będą uczyć cię o taktycznych odwrótach. Taktyczny odwrót to ładne określenie na bezładną ucieczkę. Właśnie w takim stanie jest dzisiaj nasz kraj.

– Nie myślisz tak naprawdę.

– Powiem więcej – dodał, podnosząc palec – nie musisz tego robić.

– Czego robić?

– Iść do West Point. Miałaś inne propozycje: z UCLA, Rice, Vanderbilt.

– Żadna z tych uczelni nie oferuje mi pełnego stypendium, tato. Poza tym chcę tam iść. Myślałam, że ty też tego chcesz.

Oczy taty trochę się zaszklily. Zmrużył je gniewnie.

– Nie zasługują na ciebie.

Podniosła się i cmoknęła go w policzek. Otarł oczy mankietem koszuli i zaczął przeglądać dokumenty.

– Cholerne papiery – powiedział. – Można by pomyśleć, że wystarczą dwa zdania, żeby spisać swoją ostatnią wolę, ale nie.

– Ostatnią wolę?

– W moim wieku to nieodpowiedzialne nie mieć testamentu.

– Przecież jesteś jeszcze młody.

– Ha, ha.

– Stosunkowo.

Pokręcił głową.

– Daruj sobie. Wszystko, co mam, zapisałem tobie. Jak sama dobrze wiesz, nie ma tego dużo, ale dzięki temu... – Wręczył jej kilka spiętych razem kartek papieru. – ...nie jestem też zupełnym nędzarzem.

LeAnne przekartkowała dokumenty.

– Ubezpieczenie?

– Tak. Ubezpieczenie na życie, które wykupiłem w dniu twoich urodzin. Zapłaciłem za nie pieniędzmi z ugody. To była całkiem okrągła sumka.

– Jakiej ugody? Nic o tym nie wiem.

– Chodziło o pożar.

– Pożar? Przecież to wydarzyło się na długo przed moim narodzinami.

– No i co z tego? Wciąż miałem pieniądze, przynajmniej część z nich. Wsadziłem je w to ubezpieczenie, a ty jesteś jedyną osobą upoważnioną do ich wypłaty. – Pochylił się i dźgnął palcem w jakiś paragraf umowy.

LeAnne oddała mu dokumenty.

– To bardzo miło z twojej strony, tato. Ale na razie to tylko teoretyczne rozważania.

– Strasznie lubisz te swoje wymyślne słówka, co?

Wzruszyła ramionami.

– Nie zapytasz nawet o kwotę polisy?

– Nie.

– Twarda z ciebie sztuka, wiesz? I tak ci powiem.

LeAnne zasłoniła uszy dłońmi. Zupełnie jakby wcale nie była twardzielką.

\* \* \*

Hodowanie Willisa wiązało się niestety z koniecznością dostarczania mu żywego pokarmu. Zajmowała się tym Bernice. W co trzecie popołudnie tuż

przed zamknięciem biura podrzucała mu małe gryzonie. LeAnne tylko jeden jedyny raz, pierwszego lata, kiedy podjęła tu pracę, obejrzała to przedstawienie. Pewnego popołudnia, niedługo po wizycie ojca w sprawie ubezpieczenia, LeAnne zamiatała ganek, a Bernice w gumowych rękawiczkach stała na składanej drabince i powoli opuszczała szczura do klatki węża. Nagle na teren rancza wjechał policyjny radiowóz i zaparkował obok klatki. Z samochodu wysiadło dwóch funkcjonariuszy, którzy zaczęli rozglądać się dookoła. Pojawienie się policjantów rozproszyło Bernice, która oderwała wzrok od zwiniętego w kłębek i snującego swoje gadzie plany Willisa.

– Bernice! – krzyknęła ostrzegawczo LeAnne.

Bernice odskoczyła, wypuszczając z ręki szczura. Głowa Willisa wystrzeliła w górę i znalazła się tam, gdzie jeszcze przed chwilą była jej dłoń; błysnęły zęby jadowe.

– Niezła próba, Willis – powiedziała Bernice, schodząc ze składanej drabinki i ściągając gumowe rękawiczki, jakby nic się nie stało. Podeszła do funkcjonariuszy, przyglądając utwardzony lakierem hełm, jaki tworzyły jej włosy.

– W czym mogę pomóc?

– To grzechotnik? – zapytał jeden z policjantów.

– Wszystko zgodnie z prawem – odpowiedziała Bernice. – Co mogę dla panów zrobić?

– Szukamy LeAnne Hogan – odpowiedział drugi policjant.

– O co chodzi?

LeAnne zeszła po schodkach z ganku.

– To ja jestem LeAnne.

Funkcjonariusze skierowali się w jej stronę.

– Jest pani córką Rexa Hogana zamieszkałego na Lost Hills Road pod numerem 2241?

– Tak.

– Może niech lepiej pani usiądzie.

– Co się stało? Proszę mówić.

Bernice stanęła u boku LeAnne.

– Niestety mamy dla pani bardzo złą wiadomość. Pani ojciec zginął dziś w wypadku samochodowym w Wickenburgu około godziny czternastej czterdzieści pięć.

– Nie. – LeAnne poczuła, że zupełnie opuszczają ją siły. – Nie, proszę, nie. – Rozżarzone popołudniowe słońce wyglądało, jakby roztopiło się i rozlało po całym niebie. – Nie.

Nie miała pojęcia, jak głośno mówi – ani nawet czy te słowa naprawdę wypływają z jej ust.

– To niestety prawda. – Oczy policjantów skrywał cień rzucany przez ronda ich kapeluszy. – Zmarł, zanim przywieziono go do Szpitala Świętego Józefa.

– Nie.

Roztopione niebo płonęło, ale LeAnne zamarzła cała w środku. Bernice chwyciła ją za ramię.

– Jak doszło do wypadku? – zapytała.

– Jego okoliczności są dość nieciekawe.

– Co to znaczy?

– W szoferce pojazdu denata można było wyczuć silny zapach alkoholu. Według świadków pojazd nagle skręcił i uderzył w filar mostu, tuż za południową granicą hrabstwa. Warunki na drodze były idealne.

LeAnne niemal się przewróciła. Bernice, chociaż sama była drobną kobietą, zdołała ją podtrzymać.

Następnego dnia przyszły wyniki badań krwi: 3,9 promila alkoholu. Według prawa dopuszczalne stężenie to 0,8 promila. Poczytała więcej na ten temat. Dowiedziała się, że takie stężenie alkoholu we krwi może być śmiertelne samo w sobie, nie trzeba już nawet wypadku samochodowego; może taki koniec byłby lepszy. Napisała dwa listy, uważając, żeby nie



popłamić ich łzami. Do West Point wysłała oświadczenie o rezygnacji ze studiów, a Ginie Torelli podziękowała za wszystko, co ta dla niej zrobiła. Dwa dni później pogrzebała swojego ojca, a następnie pojechała do najbliższego wojskowego biura rekrutacji i zaciągnęła się do armii.

\* \* \*

LeAnne obudziła się w łóżku Marci. Obok niej leżała tylko proteza, która uciskała ją w bok. Usiadła, spojrzała na ścienny zegar, żeby sprawdzić godzinę; po chwili zapomniała, co tam zobaczyła, więc sprawdziła jeszcze raz.

– Marci?! – zawołała, chociaż nie miało to najmniejszego sensu, bo pokój był pusty. – Marci?!

Cisza; szpitalna cisza pełna szeptów, dźwięków aparatury i odległego zawodzenia syren karetek. Wstała z zamiarem zrobienia sobie wycieczki na dół lub na górę – gdzieś tam mieściły się sale do rehabilitacji – i odnalezienia Marci. Ktoś zapukał do drzwi.

– Kto tam?

– Mogę wejść?

LeAnne uświadomiła sobie, że kiedy spała, cholerna opaska jak zwykle ześlizgnęła się z jej twarzy. Zaczęła przerzucać kolejne warstwy pościeli w poszukiwaniu zguby. Po chwili usłyszała odgłos twardych podeszew stukających o podłogę.

– Dzień dobry. Mam nadzieję, że cię nie obudziłem?

LeAnne odwróciła się bardzo powoli, nie tyle z oporem, co raczej pod przymusem. A potem po prostu stała, nie wiedząc, co zrobić. Gdyby rzeczy miały się inaczej, zaszłutowałyby, ponieważ odwiedził ją jej dowódca, major Ladarius Sands. Miał na sobie mundur, ale ona nie. I już nigdy go nie założy. Ręce trzymała opuszczone wzdłuż ciała. Major zdążył uważnie przyjrzeć się jej twarzy, jednak jego własna nie wyrażała żadnych emocji. Następnie zdjął czapkę, podszedł bliżej i uściskał LeAnne – mocno,

serdecznie, po bratersku.

– Dobrze cię widzieć – powiedział, klepiąc ją po plecach. – Zwłaszcza że najwyraźniej miewasz się dużo lepiej niż ostatnio.

– Ostatnio? – LeAnne zapatrzyła się przed siebie.

Do otwartych drzwi pokoju zbliżyła się pielęgniarzka; zajrzała do środka i odeszła.

– Ostatnim razem, kiedy cię widziałem. – Major znów poklepał ją po plecach.

LeAnne próbowała sobie przypomnieć, kiedy ostatnio go widziała. Chyba w kolejce do stołówki tuż przed ostatnią misją. Nie brał w niej udziału z powodu jakichś zawirowań w harmonogramie, których już nie pamiętała. Ale to nie o to chodziło. Wtedy, tamtej nocy, wciąż wyglądała jak dawna LeAnne, więc... więc chyba musiał ją widzieć później? Ale pamięć niczego jej nie podsuwała.

Major cofnął się, ale wciąż trzymał ją za ramiona.

– Wszyscy cię pozdrawiają. Tęsknią za tobą. Wszystkie chłopaki. I dziewczyny z CST. To kartka dla ciebie, podpisana przez wszystkich. – Sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i podał jej kopertę.

Wzięła ją, ale jej nie otworzyła.

– Mam coś jeszcze – dodał. – Jestem dumny i zaszczycony, że mogę ci to wręczyć.

Dał jej małe pudełko, wielkością przypominające pudełko na kolczyki. LeAnne nie wykonała żadnego ruchu, żeby je otworzyć.

– Szczerze mówiąc, nigdy nie czułem się bardziej dumny i zaszczycony.

LeAnne otworzyła pudełko. W środku znajdowała się wstęga w czerwone, białe i niebieskie pasy, na której wisiała Brązowa Gwiazda. Spojrzała na majora. W jego oczach duma mieszała się ze smutkiem. LeAnne nie potrafiła znieść myśli, że major jej współczuje. Miała ochotę oddać mu Brązową Gwiazdę, ale wtedy wyobraziła sobie nagle, jak mówi do Marci: „Niewiele brakowało, a bym ją mu oddała”. Chciała zobaczyć

reakcję Marci, więc nie oddała Brązowej Gwiazdy. Zamiast tego powiedziała jedynie:

– Dziękuję.

– Nie – zaprotestował major. – To ja dziękuję.

Pielęgniarka znów pojawiła się w drzwiach.

– Mogę wejść? Tylko na chwilę.

LeAnne wzruszyła ramionami. Pielęgniarka weszła do środka, przeszła szybko obok nich, wzięła protezę Marci i ruszyła z powrotem w kierunku drzwi.

– Przepraszam – powiedziała LeAnne – gdzie pani z tym idzie?

Pielęgniarka zatrzymała się i odwróciła.

– Trzeba to zanieść Marci? Mogę to zrobić, jeśli pani chce. Gdzie ona jest?

– Nikt pani nie powiedział?

– Czego nikt mi nie powiedział?

Pielęgniarka szybko zaczerpnęła haust powietrza.

– Marci miała zator płucny. Wszystko stało się tak szybko. Nic nie mogliśmy zrobić.

– O czym pani mówi?

## 8

– Tak trzymasz swoją dziewczynę? – zapytała LeAnne.

– Nie rozumiem, proszę pani – odpowiedział pryszczaty rekrut leżący u jej stóp.

– Jaki jest mój stopień, Dracut?

Znała go dopiero od pięciu minut. Teraz leżał na brzuchu, więc nie widziała naszywki z jego nazwiskiem, jednak już je zapamiętała. Zawsze błyskawicznie uczyła się nazwisk.

– Nie jestem pewien, proszę pani.

– Spójrz na moje ramię.

– Tak, proszę pani.

– Co widzisz?

– Paski, proszę pani.

– Ile?

– Trzy, proszę pani.

– Co to oznacza?

– Nie rozumiem, proszę pani.

Usłyszała zdławiony śmiech.

– Cruz, dwadzieścia.

Cruz zaczął robić pompki.

– Te pompki są żałosne, Cruz. Trzy punkty ujemne. Teraz jesteś mi winien dwadzieścia trzy pompki.

Cruz zrobił dwadzieścia trzy pompki, trochę mniej żałosne, ale tylko trochę. Za każdym razem jego miękki brzuch dotykał podłoża jako pierwszy.

– Dracut?

– Tak, proszę pani?

– Boże wszechmogący, Dracut, co oznaczają trzy paski?

– Sierżanta, proszę pani?

– Więc jak powinieneś się do mnie zwracać?

– Pani sierżant?

– Bardzo dobrze, Dracut. I bardzo wolno. Jakie szanse mają ślamazary w starciu z wrogiem?

Wyczuła poruszenie wśród leżących przed nią rekrutów.

– Niewielkie, proszę pa... pani sierżant.

– Gorzej, Dracut. Nie mają żadnej pieprzonej szansy. – Pozwoliła wybrzmieć tym słowom, milknąc na chwilę. – A wracając do twojej dziewczyny, tak ją trzymasz?

– Nie mam dziewczyny, pani sierżant.

– A gdybyś jakimś cudem miał, to czy tak byś ją trzymał? Wyciskając z niej życie?

– Nie, pani sierżant.

– Więc dlaczego trzymasz w taki sposób broń? Bądź dla niej miły, a ona będzie miła dla ciebie.

Dracut poluzował uścisk dłoni na rękojeści M16.

– Przygotuj się – rozkazała. – Zaczepnij powietrza. Wstrzymaj oddech. Naciśnij.

Dracut wystrzelił. Sylwetka sto metrów dalej nie została nawet draśnięta. Pocisk nie trafił ani we właściwy cel, czyli okrąg na środku, ani w obrzeża kartonu. Ktoś parsknął.

– To będzie dwadzieścia, Ferguson – powiedziała LeAnne, nie odwracając głowy.

– To nie ja, pani sierżant.

– Trzydzieści.

LeAnne odwróciła się w stronę Dracuta.

– Czy umiesz delikatnie wstrzymać oddech? Tak, żeby twoja twarz nie zrobiła się ohydnie fioletowa?

– Myślę, że tak, pani sierżant.

- Czy ktoś tutaj prosił cię o myślenie?
  - Nie, pani sierżant.
  - Więc nie myśl. Po prostu delikatnie wstrzymaj oddech.
  - Tak jest, pani sierżant. – Dracut wykonał polecenie.
  - I nie ciągnij za spust. „Naciśnij” nie znaczy „ciągnij”. Popatrz. Naciska się na przykład końcówkę długopisu, żeby wysunąć wkład. Używałeś kiedykolwiek długopisu?
  - Tak, pani sierżant.
  - Właśnie o taki ruch mi chodzi. Jeśli jeszcze raz zobaczę, że ciągniesz za spust, każę Fergusonowi odgryźć ci palec. – Zerknęła na Ferguson, który wciąż robił pompki; wszystkie beznadziejne. – Prawda, Ferguson?
  - Tak jest, pani sierżant.
  - Cierpisz na zaparcia, Ferguson?
  - Nie, pani sierżant.
  - Wydajesz z siebie takie dźwięki, jakbyś miał zaparcie. Ile pompek już zrobiłeś?
  - Dwadzieścia sześć, pani sierżant.
  - Za dwie ostatnie dostajesz punkty ujemne. Musisz je odrobić.
  - Tak jest, pani sierżant.
  - Dracut.
  - Tak, pani sierżant.
  - Przygotuj się. Zaczepnij powietrza. Wstrzymaj oddech. Naciśnij.
- Dracut wystrzelił. Tym razem trafił w obrzeża kartonowej sylwetki, w skraj lewej dłoni. Cała klasa sprawdziła celność strzałów Dracuta, przykładając do oczu lornetki.
- Niestety, to byłaby tylko powierzchowna rana – powiedziała LeAnne.
  - Ale może wdałaby się w nią infekcja.
  - Pani sierżant, jak pani może zobaczyć bez lornetki, w co trafił Dracut?
  - dobiegł ją głos z końca szeregu, jedyny kobiecy głos w grupie.
  - Wątpisz w moje umiejętności, Haynesworth? Dwadzieścia pięć

pompek.

– Przepraszam, pani sierżant.

LeAnne usłyszała obcy głos za swoimi plecami.

Odwróciła się i zobaczyła przed sobą dowódcę poligonu strzelniczego. Obok niego stała kobieta, która na naramiennikach miała srebrne orły. LeAnne nigdy nie spotkała osobiście kobiety o wyższej randze. Zasalutowała.

– Pani pułkownik Bright chce panią poznać, pani sierżant.

LeAnne skinęła głową i wymieniła uścisk dłoni z pułkownik Bright.

Dłoń pułkownik Bright wydawała się mieć dokładnie ten sam kształt i rozmiar co jej własna, a jej uścisk był całkiem mocny. LeAnne oddała uścisk z podobną siłą.

– Przepraszam, że przerywam zajęcia – powiedziała pułkownik Bright – które, jak widzę, są bardzo efektywne. – Rekruci leżeli na brzuchach, niepewni, z rozdziawionymi ustami. LeAnne modliła się do Boga, żeby żaden z nich nie postrzelił się, kiedy ona stoi odwrócona do nich plecami. – Jednak chciałabym zabrać pani trochę czasu – ciągnęła pułkownik.

– Zabezpieczyć broń – rozkazała. Usłyszawszy jedno czy dwa kliknięcia, przyklęknęła, żeby sprawdzić broń pierwszego chłopaka z brzegu. Kolba karabinu lśniła od potu rekruta. – Patrz, tak jest „tryb automatyczny”, a tak przełączasz na „zabezpieczony”.

Spocony, brudny palec wykonał właściwy ruch. Po chwili w całym szeregu rozległy się ciche kliknięcia.

\* \* \*

– Pani akta wyglądają imponująco.

– Dziękuję, pani pułkownik.

Spotkały się w Burger Kingu niedaleko bazy. Usiadły w tylnym rogu sali. LeAnne wciąż miała na sobie mundur z kamuflażem, a pułkownik – mundur galowy.

– Jak na, cytuję: „niebiorącego czynnego udziału w walce członka personelu wojskowego”, widziała pani mnóstwo walk. To określenie to oczywiście kiepski żart. Każdy, kto przebywa w strefie działań bojowych, chcąc nie chcąc, uczestniczy w walce. A skoro już o tym mówimy, byłabym wdzięczna, gdyby zechciała pani opowiedzieć mi coś więcej na temat tego zamachowca-samobójcy z południowego Heratu. Była tam pani z Piątą Dywizją Piechoty? Bob Keefer to mój dobry znajomy.

– Z tego, co wiem, te szczegóły wciąż są tajne – zaproponowała LeAnne.

Usta pani pułkownik lśniące od grubej warstwy intensywnie różowej szminki wykrzywiły się w podkówkę.

– To znaczy, że nic mi pani nie powie?

– Nie chciałabym znaleźć się w sytuacji, w której muszę odmówić wykonania bezpośredniego rozkazu, pani pułkownik.

Pułkownik Bright wybuchnęła śmiechem.

– Bob ostrzegął mnie przed panią. – Wyciągnęła oprawiony w skórę notatnik, przerzuciła dwie strony. – Uratowała pani życie pewnego plemiennego kacyka, bo zauważyła pani szczegóły, na które nikt inny nie zwrócił uwagi. Tak to z grubsza wyglądało? Wystarczy, że skinie pani głową.

LeAnne skinęła głową.

– Chciałabym poznać pani zdanie na temat afgańskich przywódców plemiennych.

– Dokonywanie takich ocen to nie moje zadanie.

– Po pierwsze nie jestem przekonana, czy obecny podział zadań się sprawdza – powiedziała pułkownik Bright, maczając frytkę w miseczce z keczupem, a potem wsadzając ją sobie do ust. – A po drugie, jeśli wszystko pójdzie po mojej myśli, to już wkrótce będzie pani musiała regularnie mierzyć się z takimi pytaniami.

LeAnne zastanowiła się nad kwestią miejscowych przywódców.

– Myślę, że biorą nasze opanowanie za przejaw słabości – rzekła.



– Też tak uważam. Co możemy z tym zrobić?

– Tam na miejscu?

– Tak. Być może od czasu do czasu powinniśmy wpaść w szal i odstrzelić kilku miejscowych, żeby pokazać, że z nami nie ma żartów.

LeAnne widziała już kilka razy coś takiego; zajścia, o których nikt nie chciał potem rozmawiać. Czy taki sposób postępowania przynosił pożądane efekty? Nie zauważyła.

– Lepiej pokazać im, że nigdy nie wpadamy w szal. Niezależnie od okoliczności – powiedziała.

– Co zrobić, żeby to do nich dotarło?

– Nie wiem.

– Proszę się zastanowić. Złe odpowiedzi nie będą karane. Zresztą może w ogóle nie ma dobrych odpowiedzi?

Być może nie ma dobrych odpowiedzi – to było coś, czego LeAnne zaczęła się obawiać już wcześniej, mając za sobą trzy tury wyjazdów i cały bagaż śmierdzących i utyłanych we krwi wspomnień, do których lepiej było nie wracać. Pułkownik czekała na odpowiedź. Dlaczego to pytanie w ogóle padło? Jaki był powód tego spotkania? LeAnne zastanawiała się, co odpowiedzieć.

– Pokażmy im, jacy naprawdę jesteśmy. Ale nie dajmy sobą pomiatać – powiedziała w końcu. Może lepiej było niczego nie mówić? LeAnne żywiła takie przekonanie, dopóki nie zobaczyła, jak pułkownik Bright otwiera swój oprawiony w skórę notes i wyjmuje długopis.

Tak jak mają to w zwyczaju niektórzy ludzie, pułkownik wymawiała na głos zapisywane słowa. „Pokażmy-im-jacy-naprawdę-jesteśmy-ale-nie-dajmy-sobą-pomiatać”. Zamknęła notes i upiła łyk kawy, spoglądając na LeAnne znad filiżanki.

– Proszę się nie martwić, nie przypiszę sobie tych słów.

– Ależ nie martwię się – powiedziała LeAnne. – I może pani wykorzystać moje słowa.

– Zamierzam to zrobić, ale z zachowaniem praw autorskich. – Pułkownik spojrzała na zamówionego przez LeAnne burgera. Nietkniętego. – Proszę jeść.

LeAnne odgryzła kawałek. Pułkownik przyglądała się jej w milczeniu. LeAnne przypomniała sobie, że jej matka, pod każdym względem inna od pułkownik Bright, zachowywała się tak samo.

– Jak rozumiem, nie zamierza pani podpisać kolejnego kontraktu.

– To prawda. – LeAnne zostało osiem tygodni służby, wszystkie miała spędzić tutaj, w Stanach, szkoląc rekrutów na poligonie.

– Znienawidziła pani wojsko?

– Nie, zupełnie nie.

– Ma pani jakieś pretensje?

– Nie.

– Jest pani znudzona?

– Nie.

– To o co chodzi?

LeAnne odłożyła burgera.

– Chciałabym spróbować czegoś nowego. Nie mogę się już doczekać, żeby zacząć to robić.

– Podzieli się pani tym pomysłem?

– Cóż, nie jest to nic niesamowicie odkrywczego. Chciałabym prowadzić militarne obozy letnie dla dziewczynek w wieku od dziesięciu do dwunastu lat. Spanie w namiotach, gotowanie pod gołym niebem, górskie wycieczki, wspinanie się po linach, budowanie różnych rzeczy, sztuki walki... właśnie o czymś takim myślę. – Spojrzała na twarz swojej rozmówczynie, spodziewając się jakiejś reakcji; przeliczyła się.

– Dla jakich dziewczynek?

– Dla wszystkich, które będą miały na to ochotę.

– Dla tych z biedniejszych rodzin też?

– Oczywiście.

- Z czego za to zapłacą?
- Będę jeszcze musiała nad tym pomyśleć.
- Ma pani pieniądze na rozruch interesu?
- Mam oszczędności. A także trochę pieniędzy ze spadku.

Pułkownik Bright straciła na moment żołnierską twardość spojrzenia. Przez chwilę nie były panią pułkownik i panią sierżant, ale dwiema kobietami zastanawiającymi się nad pewnym pomysłem. Pułkownik skinęła głową. Jej twarz znów przybrała surowy wyraz. Znów były w wojsku.

– Nienawidzę dostawać podkręconych piłek. A pani właśnie taką mi posłała – powiedziała. – Ale to cholernie dobry pomysł, a pani będzie właściwą osobą na właściwym miejscu. Nie mogę wspomóc pani finansowo, przynajmniej nie bezpośrednio. Przypuszczam, że każde bezpośrednio albo w ogóle jakiegokolwiek powiązanie z wojskiem byłoby niewłaściwe. Jednak mam kontakty, które mogą się pani przydać przy zbieraniu funduszy. Zamierzam je uruchomić, niezależnie od dalszego rozwoju sytuacji.

– Niezależnie od dalszego rozwoju sytuacji? Nie rozumiem.

– Niezależnie od odpowiedzi na propozycję, którą zaraz pani złożę. Czy zgodzi się pani, czy odmówi, ja i tak będę wspierać ideę tych obozów. Mam nadzieję, że to dla pani jasne?

- Tak, pani pułkownik.
- Ma pani już dla nich nazwę?
- Jeszcze nie zdecydowałam.
- Proszę uchylić rąbka tajemnicy.

LeAnne oblała się rumieńcem. Rzadko zdarzało jej się reagować w taki sposób; równie rzadko czuła przepełniającą ją teraz mieszankę nieśmiałości i dumy.

- Roadmaster – powiedziała.
- Roadmaster Camp czy Camp Roadmaster?
- Camp Roadmaster.
- Dobra nazwa. – Pułkownik potarła dłońmi o siebie, jakby chciała je

rozgrzać. – Wracając do meritum, słyszała pani kiedyś o CST?

– Nie, pani pułkownik.

– Nie dziwi mnie to. Jesteśmy zupełnie nową formacją. CST to skrót od Cultural Support Team. Siły specjalne w końcu uświadomiły sobie, że te ich nocne rajdy, całe to ściganie złoczyńców po afgańskich zadupiach, nie przynosi im tyle informacji wywiadowczych, ile by chcieli. Domyśla się pani, dlaczego tak jest?

– Bo afgańskie kobiety nie chcą z nimi rozmawiać.

Pułkownik Bright odchyliła się.

– Zastanawiała się już pani nad tym, prawda?

– Trochę.

– Więc pewnie uzna pani, że dołączenie do sił specjalnych znakomicie wyszkolonych, zdolnych do podjęcia walki oddziałów, które składałyby się z samych kobiet, to dobry pomysł?

– Tak, pani pułkownik.

– Oferuję pani roczny kontrakt. Dwa miesiące w Fort Brag, obejmujące rekrutację i wdrożenie oraz dziesięć miesięcy służby. Ktoś taki jak pani bez trudu przejdzie procedury selekcyjne. Cholera, pewnie szkoliła pani większość naszych trenerów. Obecnie to sami mężczyźni, co niewyobrażalnie mnie wkurza. Udało mi się panią zainteresować?

LeAnne skinęła głową.

– Podoba się pani ta koncepcja?

– Tak, pani pułkownik.

– Jakies pytania?

– Czy oddział „zdolny do podjęcia walki” oznacza oddział bojowy?

– Nie – pułkownik uśmiechnęła się do LeAnne konspiracyjnie, jakby planowały razem skok na bank. – Jeszcze nie, przynajmniej nie oficjalnie. Ale tylko ze względów politycznych. Oddziały CST będą w pełni uzbrojone. Tak samo jak oddziały złożone z mężczyzn. Coś jeszcze?

– Nie podoba mi się nazwa.

– Cultural Support Team? W tym wypadku również zdecydowały względy polityczne. Osobiście również jej nie znoszę... Ale musimy na to patrzeć z szerszej perspektywy.

Kierowca pułkownik Bright wysiadł z samochodu, podszedł do drzwi i zastukał w szybę. Pułkownik wstała i wyciągnęła dłoń.

– Proszę to spokojnie przemyśleć. Nie naciskam.

LeAnne nie czuła żadnej presji. Powiedziała „tak” nie pod wpływem nacisków; nie dlatego, że pułkownik Bright miała srebrne orły na epoletach; nie z powodu jej pochlebstw. Po prostu była praca do wykonania, a ona mogła ją wykonać.

Ponownie uściśniły sobie dłonie – dłonie tego samego rozmiaru, równie silne. Jednak tym razem dłoń pułkownik Bright wydawała się lekko wilgotna. Patrząc na odjeżdżający samochód, LeAnne wyobraziła sobie okładkę broszury reklamującej Camp Roadmaster: dziewczynka z warkoczykiem ubrana w szorty i T-shirt wspina się po linie na tle rozłożonego nieba. To wtedy uświadomiła sobie, że ma już dosyć armii. To nie tak, że przestała ją kochać. Wciąż ją kochała. Ale widziała już za dużo krwi i flaków – prawdziwej czerwonej krwi i prawdziwych parujących flaków. Była zmęczona. A teraz, po długim meczu, czekała ją jeszcze dogrywka w CST.

## **Wstępne badanie w kierunku zespołu stresu pourazowego**

### **Służba wojskowa**

#### **9. Odniesione obrażenia (opis):**

– Jeśli natychmiast się pani nie uspokoi, będziemy musieli podać pani środki usypiające – powiedziała pielęgniarka podniesionym tonem.

LeAnne już od jakiegoś czasu krzyczała z całych sił. Stała przed dyżurką pielęgniarek i zdierała sobie gardło.

– Coście jej zrobili? Coście jej, kurwa, zrobili? – wciąż od nowa powtarzała te dwa zdania, a jej mózg płonął. Wokół niej zebrała się grupka pielęgniarek, lekarzy i sanitariuszy.

Major Sands stał z boku z otwartymi ustami i Brązową Gwiazdą w dłoni.

– To ostatnie ostrzeżenie.

– Tylko spróbujcie. No, dalej. – LeAnne podniosła protezę Marci niczym broń, gotowa przyłożyć nią każdemu, kto zbliżyłby się choćby o krok. Nagle zdała sobie sprawę, że jej dłoń jest pusta, że nie trzyma w niej protezy. Wyczuła ruch po swojej prawej stronie. Obróciła się w tym kierunku i poczuła mocne ukłucie w ramię. Wszystkie twarze wokół niej rozmyły się w jeden niewyraźny kształt, przypominający odbicie w gabinecie luster.

\* \* \*

Obudziła się.

Otworzyła oko.

Przewróciła się na bok i próbowała określić swoje położenie. To

pierwsza rzecz, jaką trzeba zrobić w terenie. Nie była jednak w terenie, leżała w łóżku, w sali szpitala wojskowego imienia Waltera Reeda, którą dzieliła wcześniej z Marci. LeAnne zawsze miała kompas w głowie. Chciała też zainstalować kompas w głowie każdej uczestniczki Camp Roadmaster, o czym zamierzała napisać w broszurze reklamowej obozu. Tyle że teraz... teraz nie potrafiła wskazać, gdzie jest wschód. Czy miało to jakiegokolwiek znaczenie? Camp Roadmaster, broszura, dziewczynki – wszystko przepadło. Miała ochotę zawołać: „Hej, Marci, gdzie, do cholery, jest wschód?!”.

Nie było już Marci. Spojrzała na jej puste łóżko. Ale co to? Marci śpi w swojej ulubionej pozycji, na boku, odwrócona plecami do sali. Jak to możliwe? Przecież dopiero co powiedziano jej, że Marci nie żyje. Czy to był tylko zły sen? Czy cała ta głośna, nieprzyjemna scena nie wydarzyła się naprawdę? Co jeszcze było tylko sennym majakiem? Wszystko? Ta wielka, owłosiona dłoń wynurzająca się spomiędzy fałd burki także? Oczywiście, że nie. To byłoby zbyt piękne, a przekonała się już, że rzeczy piękne rzadko bywają prawdziwe. Wystarczyłoby jej, gdyby okazało się, że Marci żyje – nie prosiłaby o nic więcej.

– Marci?

Leżąc na łóżku kobieta odwróciła się. To nie była Marci. Miała czarną skórę – gładką i nieskazitelną – bardzo delikatne rysy i włosy zaplecione w cienkie zaczesane do tyłu warkoczyki. Wyglądała jak dziecko. LeAnne widziała jedynie jej głowę, resztę ciała skrywały warstwy pościeli.

– Proszę? – powiedziała cichym, wysokim głosem; wyglądała jak dziecko i głos też miała dziecięcy.

– Szukałam... Nieważne.

– To ty jesteś LeAnne?

– Tak.

– Doktor Machado prosił, żebyś zadzwoniła do niego, kiedy tylko się obudzisz.

– Niestety, jeszcze się nie obudziłam.

– Przepraszam?

– Nieważne. – Czarnoskóra kobieta dziwnie jej się przyglądała. – Cholera jasna.

LeAnne włożyła dłoń pod poduszkę, wyciągnęła stamtąd opaskę i założyła ją na głowę.

– Machado tu był?

Kobieta pokiwała głową.

– Znasz go?

Kobieta pokręciła głową.

– Miał na sobie koszulkę polo?

– Nie, biały kitel.

– Wspominał coś o skradzionej czekoladzie?

– Chciał tylko, żebyś się do niego odezwała.

– Wszyscy czasem czegoś chcemy, prawda?

Kobieta zadumała się nad tymi słowami, jakby miały jakieś ukryte przesłanie. A potem jej twarz wykrzywił ból. Ogromnym wysiłkiem woli – LeAnne wręcz czuła, ile samozaparcia to wymagało – kobieta zdołała powściągnąć ten grymas. LeAnne miała ochotę przyłożyć sobie pięścią w twarz. Zdecydowanie nie miała natomiast ochoty zobaczyć, co skrywa się pod tymi wszystkimi warstwami pościeli. Ani teraz, ani nigdy. Odrzuciła kołdrę i wstała z łóżka.

– Gdzie są moje klamoty?

– Może w szafie?

Szafa. LeAnne mieszkała w tym pokoju od... właściwie nie pamiętała od kiedy. Przez cały ten czas nie wpadła na to, żeby zajrzeć do szafy. Prawdę mówiąc, chyba nawet nie zauważyła, że ten mebel tu stoi. Żałosne.

– Co się stało z moim pieprzonym kompasem?

– Nie wiem – odpowiedziała jej współlokatorka. – Mój wyleciał w powietrze.

LeAnne spojrzała na nią i skinęła głową. Potem podeszła do szafy



i otworzyła drzwi.

– Moje rzeczy są po prawej – powiedziała kobieta.

LeAnne zerknęła na lewą stronę. Na wieszaku wisiały dwa mundury polowe i jeden galowy. Na dnie szafy leżała torba we wzór maskujący. Kucnęła, otworzyła ją i sprawdziła jego zawartość: džinsy, dres, dwa staniki, dwie pary majtek, skarpetki – wszystko nowe. Do tego buty za kostkę, kosmetyczka i portfel. Zajrzała do portfela: prawo jazdy, czerwony paszport służbowy, karta kredytowa, cztery banknoty dwudziestodolarowe, jeden dziesięciodolarowy i dwa pięciodolarowe.

Wystarczy, żeby ruszyć w drogę. LeAnne zdjęła piżamę, ubrała się i wyciągnęła buty z torby. Smród koziej skóry uderzył ją w nozdrza. Nie chciała już nosić tych butów, ale nie miała wyboru. Schyliła się, żeby je założyć, i wtedy dostrzegła parę jaskrawoczerwonych adidasów leżących w kącie szafy. Buty Marci? Tak. Przymierzyła. Pasowały jak ulał. Zarzuciła torbę na plecy, kopniakiem posłała swoje stare buty do szafy; mundury zostawiła na wieszaku. Zamknęła drzwi szafy, która stała się teraz maleńkim polem bitwy – uwięziła w niej swoje wspomnienia z Afganistanu.

Coś jeszcze? Podeszła do stolika na kółkach przy jej łóżku. Pudełko z protezami oka leżało na blacie, obok stał papierowy kubeczek z trzema pigułkami. Połknęła je.

– Trzeba sobie coś łyknąć na drogę.

Wrzuciła pudełko z protezami do torby.

– Wybierasz się gdzieś? – zapytała kobieta zajmująca łóżko Marci.

– Tak.

– Chcesz, żebym przekazała jakąś wiadomość od ciebie?

– Nie. Żadnych cholernych wiadomości.

Czyżby po tych słowach atmosfera w pokoju zgęstniała? Ładne pożegnanie. A przecież ta kobieta była jej towarzyszką broni. LeAnne podeszła do niej i bardzo delikatnie dotknęła czubka jej głowy. Kobieta spojrzała na nią przestraszona. Teraz był odpowiedni moment, żeby

powiedzieć coś optymistycznego, ale żadne słowa otuchy nie przychodziły jej do głowy. Wychodząc, LeAnne zauważyła, że coś leży na podłodze. Pochyliła się, żeby się temu przyjrzeć. Było to zdjęcie Brunona, małego brązowego psa doktora Machado, które jakimś sposobem wpadło jej w ręce. Zostawiła je na podłodze.

\* \* \*

LeAnne ruszyła korytarzem w stronę wind. To oznaczało, że będzie musiała przejść obok dyżurki pielęgniarek – ale co z tego? Kto miałby ją zatrzymać? Prawie dotarła do celu, kiedy drzwi windy otworzyły się i wysiadł z niej mężczyzna w mundurze. Chyba go już kiedyś widziała. Łagodna twarz, dwa srebrne paski na wyłogach, w ręce brązowa walizka z miedzianymi okuciami. Wszystko to wydawało jej się znajome, nie mogła sobie jednak przypomnieć nazwiska mężczyzny ani tego, w jakich okolicznościach się spotkali. LeAnne okręciła się wokół własnej osi i ruszyła szybko w drugą stronę korytarza do drzwi z napisem „schody”. Pchnęła je ramieniem i wyhamowała ich impet własnym ciałem, a potem zbiegła w dół, kilka razy niemal tracąc równowagę z powodu ograniczonego pola widzenia. W końcu dotarła do drzwi na parterze. Przeszła przez szeroki, zatłoczony hol, pchnęła obrotowe drzwi i wyszła na zewnątrz. Oślepiło ją słońce. Zaczęła gorączkowo szukać swoich ogromnych okularów przeciwsłonecznych; znalazła je na czubku własnej głowy i zsunęła na nos.

Przy krawężniku czekały dwie taksówki. LeAnne podeszła do tej stojącej bliżej i wrzuciła na tylne siedzenie swoją torbę.

Kierowca zerknął na nią we wstecznym lusterku.

– Dokąd jedziemy?

– Phoenix.

– Pod jaki numer?

– Co?

– Chodzi pani o Phoenix Drive? O tę ulicę po drugiej stronie sto

osiemdziesiątej siódmej międzystanowej, tak? Jaki numer budynku?

– Na dworzec autobusowy.

– Dworzec autobusowy? Chce pani wydostać się z miasta? Na Phoenix Drive nie ma dworca autobusowego. Mogę zabrać panią na dworzec w Silver Spring, jeśli chce pani wyjechać z miasta.

– W porządku.

Taksówka ruszyła. LeAnne zerknęła do tyłu i zobaczyła kapitana o łagodnej twarzy wybiegającego w pośpiechu z budynku szpitala. Rozejrzał się i zauważył taksówkę. LeAnne odwróciła głowę.

– Gazu. Już jestem spóźniona.

– Nie wolno mi przekraczać ograniczeń prędkości.

– Cienias.

Zapadła cisza. LeAnne czuła wzrok kapitana na swoich plecach. Taksówka wjechała na zatłoczoną ulicę, potem kilkakrotnie skręciła. LeAnne wzięła głęboki oddech. Przypomniała sobie. To kapitan Stallings z G-2. Pokazywał jej zdjęcia, spośród których zapamiętała dwa: jedno z Katie i drugie: Gulaba Yar-Muhammada, mężczyzny z głęboko osadzonymi oczami o badawczym spojrzeniu.

Kierowca taksówki, zgarbiony nad kierownicą, już się jej nie przyglądał.

\* \* \*

LeAnne usiadła przy oknie po lewej stronie autobusu. Było to idealne miejsce dla kogoś, kto patrzy na świat tylko lewym okiem. Jednak z zachodu nadciągnęła burzowa pogoda, przez którą nie zobaczyła zbyt wiele z kolejnych mijanych stanów. Ucięła sobie drzemkę, potem rozbolała ją głowa. Zjadła trochę czekolady, którą popiła czekoladowym mlekiem. Na każdym przystanku uzupełniała zapasy słodyczy. Cały czas miała na nosie okulary przeciwsłoneczne. Aż do postoju w Cookeville w Tennessee – a może to Kentucky? – nikt nie zajął siedzenia obok niej.

– Wolne?

LeAnne odwróciła się. Musiała obrócić się prawie o sto osiemdziesiąt stopni, żeby zadający pytanie mężczyzna znalazł się w jej polu widzenia. Miał na sobie czyste, wyprasowane ubranie, był gładko ogolony i uśmiechnięty. Krótkie włosy zmoczył mu deszcz. Wzruszyła ramionami. Usiadł. Autobus ruszył. Krople deszczu uderzały w dach z siłą pocisków i ześlizgiwały się po szybie w poziomych strugach. LeAnne czuła, jak mężczyzna wierci się na swoim siedzeniu, wyczuła też, że patrzy w dół, na podłogę, gdzie jej nogi, obute w czerwone adidas Marci, spoczywały oparte na wojskowej torbie.

– Służy pani w wojsku?

LeAnne skinęła głową, patrząc prosto przed siebie.

– Dziękuję za pani służbę.

Nie odpowiedziała. Autobus toczył się przed siebie. Krople deszczu na szybie przyspieszyły, a bębnienie nad ich głowami stawało się coraz głośniejsze. LeAnne próbowała zasnąć. Wiedziała, że stanowiłoby to w tym momencie najlepsze rozwiązanie, była jednak tak podminowana, że nie potrafiła zapaść w sen. Odwróciła się w stronę mężczyzny.

– A co pan może o tym wiedzieć?

– Co wiem o armii? – Mężczyzna zamrugał speszony. – Nic. Przepraszam, jeśli panią uraziłem. Ja tylko...

– Nie chcę tego słuchać – przerwała mu LeAnne.

Zanim odwróciła się z powrotem, zobaczyła otwartą Biblię leżącą na jego kolanach. Czyżby był jakimś misjonarzem? Pieprzyć wszystkie misje. Wkrótce zasnęła. Kiedy się obudziła, była noc, a na miejscu obok nikt nie siedział. Czuła się lepiej. Po części była to zasługa deszczu. Potrzebowała deszczu. Na następnym przystanku, kiedy już zaopatrzyła się w czekoladę i czekoladowe mleko, stanęła obok autobusu i wystawiła twarz na spadające z nieba krople. Zdjęła okulary, opaskę i rozkoszowała się ulewą.

– Hej, odjeżdżamy! – zawołał do niej kierowca przez otwarte drzwi. – Nie mam... – urwał, bo zobaczył ją wyraźniej w świetle reflektorów

przejeżdżających samochodów.

LeAnne założyła przemoczoną opaskę i ociekające wodą okulary i wsiadła do autobusu. Przemokła do suchej nitki. Dreszcze wstrząsały nią przez całą noc.

\* \* \*

Obudziła się we mgle spowijającej jej umysł i świat za oknem. Autobus, śmierdzący stłoczonymi w jednej klatce ssakami, zatrzymał się. Ale gdzie? Po pierwsze określić swoje położenie. Teraz było to niemożliwe. Autobus utknął w kokonie antracytowej mgły. LeAnne usłyszała syk otwieranych z przodu drzwi i kroki na wyściełanym gumową wykładziną przejściu między rzędami foteli.

– Czy to miejsce jest wolne?

Odwróciła się, żeby móc spojrzeć na kolejną osobę zadającą to pytanie i może od razu odburknąć coś ze zniecierpliwieniem. W przejściu stała kobieta; jej sylwetka wydawała się rozmyta w ciemnoszarym świetle.

– Przepraszam, jeśli panią obudziłam.

Coś było nie tak z tą kobietą. LeAnne zdjęła okulary i zobaczyła ją teraz wyraźniej. Nie miała już żadnych wątpliwości. Kobieta, która chciała usiąść obok niej, nosiła burkę. Całe jej ciało było zakryte, wąska szpara odsłaniała tylko oczy. LeAnne chwyciła szybko torbę i rzuciła się do ucieczki. Utorowała sobie drogę, odpychając kobietę na bok, czy może nawet na podłogę, i pobiegła w stronę drzwi wejściowych autobusu. Zamkniętych.

– Przepraszam – powiedział kierowca. – Koniec postoju.

– Proszę otworzyć drzwi.

– Mogę to zrobić, ale wtedy odjedziemy bez pani.

– Otwieraj te pierdolone drzwi!

Drzwi otworzyły się i LeAnne wyskoczyła, nie tracąc nawet czasu na korzystanie ze schodków. Autobus odjechał z gwałtownym szarpnięciem.

LeAnne określiła swoje położenie. Otaczała ją równina, nad którą

unosila się mgła. Po jednej stronie miała rząd dystrybutorów paliwa, po drugiej – niski kwadratowy budynek z neonem na dachu: „Spoko Loko. Łatwy montaż i demontaż”. Poprawiła torbę na ramieniu, zaczęła szukać swoich okularów przeciwsłonecznych, znowu znalazła je na swojej głowie, zsunęła na nos i wkroczyła do Spoko Loko.

W środku nie było nikogo poza potężnie zbudowanym Indianinem stojącym za ladą. LeAnne zgarnęła z półki kilka tabliczek czekolady Hershey’s i podeszła do niego. Miał dwa długie warkocze, czarne i lśniące. LeAnne od dawna nie widziała czegoś równie pięknego. Wręczyła mężczyźnie swoje zakupy. Zerknął na jej wojskową torbę.

– Z powrotem w domu, co?

LeAnne pomyślała, że to podchwytliwe pytanie, i się nie odezwała.

– Służyła pani za granicą?

– Tak, za granicą.

– W Iraku? Ja byłem w Iraku.

– Taa, w Iraku. W Iraku, w Afganistanie, w Niemczech i w Maryland.

– W Maryland?

– Bethesda jest w Maryland.

Zamyślił się na chwilę.

– Zgadza się. – Oddał jej czekoladę. – Na koszt firmy – powiedział.

Co to, do cholery, miało znaczyć? Spojrzała na niego przez lewą soczewkę swoich ogromnych ciemnych okularów.

– Tak? – upewniła się.

– Tak.

Teraz powinna chyba podziękować, ale żadne słowo nie mogło jej przejść przez gardło. Skinęła głową i wepchnęła tabliczki czekolady do kieszeni.

– Jest pani stąd?

– Stąd?

– Z Okemah.

– Nie słyszałam nigdy o Okemah.

Uśmiechnął się.

– To właśnie to miasto. Okemah w stanie Oklahoma. Widziałem, jak wysiada pani z autobusu. Nikt nie wysiada na tym przystanku, o ile tu nie mieszka.

– Jak tu jest? – zapytała LeAnne.

– Jak tu się żyje? – Wzruszył ramionami. – Różnym ludziom różnie.

Odwróciła się i spojrzała za okno. Mgła zaczęła się podnosić, odsłaniając supermarkety, puste parkingi i nieco dalej drogę I-40, po której w przeciwnych kierunkach sunęły strumienie światła przednich i tylnych reflektorów samochodów.

– Chciałabym kupić samochód – oznajmiła LeAnne.

– Jaki?

– Rolls-royce’a.

Roześmiał się.

– Dobrze, że nie straciła pani poczucia humoru. Ja, kiedy wróciłem... – wziął głęboki oddech i pokręcił głową.

– No jasne, przy mnie każdy zrywa boki ze śmiechu – rzuciła LeAnne.

Odsunął się i przekrzywił lekko głowę, jakby próbował odgadnąć, o co jej chodzi.

– Mówiła pani serio o tym samochodzie? Mój wujek prowadzi komis samochodowy.

– Nie kantuje?

– Wobec wojskowych jest uczciwy... w granicach rozsądku.

– Tę hondę sprzedam pani za trzy tysiące siedemset pięćdziesiąt dolarów  
– powiedział wujek.

– A jeśli zapłacę gotówką?

– Tyle samo. Trzy tysiące siedemset pięćdziesiąt dolarów.

LeAnne obeszła hondę. Jej ostatnim samochodem – sprzedanym przed wyjazdem do Afganistanu – było świetne mini w kolorze brytyjskiej zieleni wyścigowej z sześciostopniową ręczną skrzynią biegów i najmocniejszym silnikiem, jaki oferowano w tym modelu. Tamten maluszek niemal fruwał; mknęła nim przez ulice, jakby była postacią w jakiejś grze komputerowej. Ta honda w kolorze wypłowiałego beżu stała w kącie parkingu, jakby stanie było tym, co lubiła najbardziej i potrafiła najlepiej. Na jej korzyść przemawiał brak głębokich wgnieceń, zaledwie kilka rys tu i ówdzie. Co więcej, wszystkie opony pochodziły z tego samego kompletu i nie miały startego bieżnika.

– Jaki ma przebieg?

– Niecałe dwieście tysięcy kilometrów. – Wujek sprzedawcy nie był wysokim mężczyzną, mierzył połowę tego, co jego bratanek, ale miał takie same czarne, błyszczące włosy. – Bratanek powiedział mi, że była pani w Iraku.

– Kilka lat temu.

– On wrócił zupełnie inny.

LeAnne mruknęła coś pod nosem. Facet gapił się na nią. Ostatnio całkiem często zdarzało się, że ludzie gapili się na nią, próbując przejrzieć szkła jej okularów przeciwsłonecznych. Wiedziała, że to niemożliwe, soczewki były zbyt ciemne; mogli jedynie zobaczyć odbicia swoich ciekawskich gęb. Położyła się na chodniku i zajrzała pod samochód; nie



dostrzegła żadnych plam oleju. Kiedy wstała, poczuła ukłucie za prawym oczodołem. Skąd te przekłete bóle głowy? Wcześniej planowała, że nie da mu więcej niż trzy tysiące, ale teraz chciała to mieć jak najszybciej za sobą.

– Wypiszę panu czek.

– Mam tutaj bankomat. Za nasze śliczne zielone papierki spuszczę z ceny dwieście dolarów.

Wujaszek zaczynał działać jej na nerwy. Nie chciała się targować, chciała już stąd odjechać.

– Ale mój dzienny limit wypłat to... – Nie potrafiła sobie przypomnieć.

– Pięćset dolarów – strzeliła, ale brzmiało to całkiem prawdopodobnie.

– Proszę zadzwonić do banku.

Zadzwonić do banku? Poczowała, jak zaciskają się jej pięści. Ta rozmowa zmierzała w bardzo złym kierunku.

– Z reguły zwiększają limit wypłat. Może pani skorzystać z mojego telefonu.

LeAnne zorientowała się, że nie ma przy sobie telefonu. Gdzie on się podział? Zostawiła go w szpitalu wojskowym imienia Waltera Reeda czy w Landstuhl? A może na twardej, wysuszonej ziemi tamtej zapyziałej wioski? Jeśli faktycznie zgubiła go w Afganistanie, to na pewno został już sprzedany, odsprzedany, ponownie odsprzedany albo przerobiony na zapalnik bomby czy jakieś inne paskudne gówno.

– Tak tam właśnie jest. Jedno gówno zamienia się w drugie gówno.

– Eee, w pani banku? – zapytał wujek.

Powiedziała to na głos? Odwróciła się. Wzięła się w garść.

– Nieważne. Zadzwonię do banku.

Od czasów obozu szkoleniowego w Fort Jackson LeAnne miała rachunek w niewielkim lokalnym banku w Columbii, w Południowej Karolinie. Pracownik banku zgodził się na wypłatę trzech i pół tysiąca dolarów. Po tej operacji na jej koncie zostało jedenaście tysięcy i dziewięćdziesiąt dolarów. Wymieniła plik banknotów na kluczyki od

hondy i ruszyła w trasę.

\* \* \*

Plan był taki: jeździć tu i tam po całym kraju, aż wpadnie jej do głowy jakiś lepszy pomysł. W sumie czemu nie? Od zawsze uwielbiała jazdę samochodem; była jednym z tych dzieci, które można uspokoić, zabierając je na przejażdżkę. Pruła na zachód drogą I-40, jednak od razu pojawił się problem, dość oczywisty: dało się kierować samochodem, mając tylko jedno oko, ale nie było to łatwe. Przyjemność stała się wysiłkiem. Kiedyś na autostradach międzystanowych LeAnne wybierała wewnętrzny pas, na którym wyciągała jakieś sto trzydzieści kilometrów na godzinę. Teraz musiała zwolnić do stu dziesięciu – czasem jechała jeszcze wolniej – przez co inne samochody wciąż wyprzedzały ją z prawej strony, wynurzając się nagle z martwego kwadrantu jej pola widzenia. LeAnne zjechała na prawy pas, dołączając do starszków i niedzielnych kierowców. Dotarło do niej, że nie wzięła hondy na jazdę próbną, co przecież powinna była zrobić. Spojrzała we wsteczne lusterko i zobaczyła kogoś, kogo nie znała i nie chciała znać.

\* \* \*

Co chowają w sercach te kobiety? „Są takie same jak ty i ja – mówiła zawsze Katie – tylko żyją w innych warunkach”. W tym momencie czekały na rozpoczęcie ceremonii otwarcia Spółdzielni Tkackiej Towarzystwa Przyjaźni Afgańskich i Amerykańskich Kobiet i wyglądały na szczęśliwe. Było ich trzydzieści pięć – LeAnne przeliczyła je dwukrotnie – plus ona i Katie. Wszystkie stłoczyły się w nieukończonym jeszcze budynku z betonowych pustaków; obiekt miał powierzchnię ponad stu metrów kwadratowych, a jego budowę sfinansowała amerykańska ambasada w Kabulu. Afganki miały na głowach chusty, ale ich twarze pozostawały odkryte; sprawiały wrażenie pogodnych i odprężonych. Na ścianach wisiały

piękne dywany, na podłodze stały nowe krosna. Jako poczęstunek przygotowano baklawę i pistacjowe krówki. Podczas swojej służby w Afganistanie LeAnne rzadko była świadkiem spotkań o tak radosnej atmosferze. Nagle usłyszała warkot silników przed budynkiem i przesunęła się w stronę drzwi. Kobiety przysłoniły twarze, Katie okryła głowę szalem. LeAnne, ubrana w zwykły polowy mundur z kamuflażem, zaczęła po raz kolejny przeliczać uczestniczki wydarzenia.

Drzwi otworzyły się i do środka weszło trzech Afgańczyków. Na czoło grupy wysforował się lokalny kacyk ubrany w spodnie, haftowaną koszulę i niebieską marynarkę. Dwóch pozostałych mężczyzn nosiło tradycyjne stroje. Kacyk uniósł dłoń w geście pozdrowienia i zaczął przemawiać. Kobiety pokornie schyliły głowy i ustawiły się w równych rzędach, przez co LeAnne pomyliła się w swoich rachunkach.

– Przetłumaczyć ci, co mówi? – szepnęła Katie.

– Tak, to...

A co to takiego? Wysoka kobieta w drugim rzędzie nosiła buty za kostkę? Spod jej szaty wystawały kamasze podobne do butów LeAnne, tylko większe. Wszystkie inne kobiety, których stopy widziała, nosiły skórzane sandały lub tkane pantofle. I wszystkie miały drobne stopy.

– Na początku podziękował Allahowi za jego dobroć... – powiedziała Katie.

LeAnne przestała zwracać uwagę na słowa Katie. Odsunęła się od drzwi, przeszła obok nowych krosien i zbliżyła się do kobiety w kamaszach. Wysokiej kobiety, najwyższej w całej sali; w odróżnieniu od innych nosiła burkę, jej oczy skryte były za siatką. Miała wrażenie, że kobieta obróciła lekko głowę w jej stronę. Czy na pewno? LeAnne nie mogła spojrzeć jej w oczy.

– Hej, ty! – zawołała LeAnne.

Tak, ta kobieta bacznie ją obserwowała.

– Ręce. Pokaż mi swoje ręce.

Kobieta nie zareagowała. Naprężyła się chyba tylko, ale nawet to trudno było stwierdzić, bo całe jej ciało okrywała burka.

LeAnne wysunęła beretę z kabury.

– Ręce! Wyciągnij ręce tak, żebym mogła je zobaczyć! *Yad! Yad!* – Słowo *yad* oznaczało po arabsku „dłoń”; niestety nie potrafiła przypomnieć sobie, jak brzmiało to słowo w języku pasztuńskim.

Kobieta cofnęła się gwałtownie. Jej dłonie wciąż pozostawały niewidoczne. Wśród uczestniczek spotkania zapanowało niespokojne poruszenie – wyglądały jak kolonia przestraszonych pingwinów.

LeAnne podniosła broń i wycelowwała.

– Rozwalę cię! Ręce do góry! *Yad! Yad!*

Kacyk przerwał przemówienie. Po całej sali poniosły się przestraszone szepty, które stawały się coraz głośniejsze i za chwilę mogły zamienić się w krzyki.

– Ręce do góry!

Dłonie kobiety poruszyły się pod okryciem, ale LeAnne wciąż ich nie widziała. Te dłonie coś teraz robiły – poza zasięgiem jej wzroku. LeAnne wystrzeliła dwa razy. Kobieta przewróciła się i zastygła na ziemi. Jej burka powoli nasiąkała krwią po lewej stronie na wysokości klatki piersiowej... męskiej klatki piersiowej. Kobieta okazała się mężczyzną owiniętym pasem szahida, który wypełniony był prawie dwoma kilogramami C4.

Kacyk pozwolił LeAnne wybrać sobie jeden z dywanów wiszących na ścianach Spółdzielni Tkackiej Towarzystwa Przyjaźni Afgańskich i Amerykańskich Kobiet. Później, dzięki Katie, LeAnne dowiedziała się, że nie miał prawa nimi dysponować. Odesłała więc szeroką na dwa i długą na trzy metry tkaninę z brzegami ozdobionymi szczegółowo oddanymi purpurowymi kwiatami. Kobiety szybko straciły zapal do działalności w spółdzielni, którą zamknięto kilka miesięcy później. LeAnne nigdy nie dowiedziała się, co chowają w sercach.

W swojej wojskowej karierze LeAnne popełniła dwa poważne błędy. Pierwszy – co do którego miała teraz gwarancję, że nikt się o nim nigdy nie dowie – i drugi, o którym wiedzieli wszyscy. Żadnego z nich nie popełniła jako żółtodziób. Kiedy podróżowała przez Oklahomę, wciąż odtwarzała w głowie pewną wyobrażoną scenę; scenę, w której odmawia pułkownik Bright. Waliła pięścią w kierownicę, bezskutecznie próbując odpędzić od siebie te natrętne myśli. Chciała, żeby jej umysł zajął się czymś innym, ale ten jej nie słuchał. „Dziękuję za propozycję, pani pułkownik, ale muszę odmówić. Odsłużyłam swoje. Poza tym mam inne plany”. Torturowała się odtwarzaniem tej sceny przez wiele kilometrów, aż w końcu zauważyła, że jakaś starsza kobieta przygląda się jej z siedzenia pasażera jadącej obok osiemnastokątowej ciężarówce. LeAnne z impetem waliła pięścią w kierownicę, a staruszka nie mogła oderwać wzroku od tego obrazka. To babsko ją szpiegowało? Pokazała staruszce środkowy palec, a tamta zrewanżowała się tym samym. LeAnne przez chwilę czuła palący gniew i miała ochotę zajechać ciężarówce drogę, żeby pokazać tej starej babie – i każdemu, kto ośmieliłby się jej podskoczyć – z kim ma do czynienia.

Niedługo po tym poczuła, że jej oko się zmęczyło. Zatrzymała się, uzupełniła zapasy czekolady i mleka czekoladowego. Kupiła też kilka burgerów z bekonem, żeby dostarczyć organizmowi białka. Prawdopodobnie po raz pierwszy w życiu wymówiła słowa „burgery z bekonem”. Potem wsiadła do stojącego na parkingu samochodu, położyła zakupy na siedzeniu pasażera i zasnęła.

\* \* \*

Niewłaściwa zażyłość może zabić. W trakcie początkowego szkolenia ciągle im to powtarzano, ale była to jedna z tych prawd, o których intuicyjnie wiedziała. Nie miała nigdy chłopaka z wojska. Nigdy nie wysłała nikomu najmniejszego sygnału zainteresowania i nigdy na żaden taki sygnał nie odpowiedziała. Uważała na to. Aż do ostatniego kontraktu. Ale przecież

doszło do tego na przepustce. Czy w takim razie nadal była to niewłaściwa zażyłość? Być może próbowała oszukać samą siebie. Tymczasem kodeks stawiał sprawę jasno. Sprawdziła.

Po Ryanie LeAnne miała jeszcze trzech chłopaków. Pierwszy był instruktorem kajakarstwa górskiego i organizatorem spływów po Ocoee River. Związek nie przetrwał z powodu jej wyjazdu do Iraku. Drugi chłopak pochodził z Islamorady i był kapitanem czarterowej łodzi. Związek zakończył się podobnie jak poprzedni, tym razem powodem rozstania był jej wyjazd do Afganistanu. Trzeci był Jamie.

– Kapitanie Cray – powiedział major Sands – chciałbym, żeby poznał pan sierżant LeAnne Hogan, która prowadzi program szkoleniowy dla CST w prowincji Herat. To ona jest mózgiem całej ekipy.

Jamie był podobnego wzrostu co LeAnne, miał podobną karnację, a nawet podobną sylwetkę; oboje mieli szerokie ramiona, oczywiście Jamie, jak to mężczyzna, szersze. LeAnne zasalutowała Jamiemu.

– Panie kapitanie – powiedziała.

– Miło panią poznać. Słyszałem same dobre rzeczy o CST.

– Nie miałem na myśli tylko CST – zaznaczył major. – Sierżant Hogan jest naszym mózgiem, koniec kropka.

– Będę o tym pamiętał, panie majorze.

– I słusznie – podsumował major.

LeAnne dowiedziała się później, że Jamie ukończył tę samą klasę, do której uczęszczałaby, gdyby zdecydowała się wstąpić do West Point. Zachowała tę wiedzę dla siebie. Udało jej się także ukryć uczucia, jakie w niej wzbudził. On zrobił to samo. Nigdy w żaden zauważalny sposób nie dali po sobie poznać, co czują; nie wymienili żadnej niestosownej uwagi, nie wysłali żadnego werbalnego lub niewerbalnego sygnału. Nie w Afganistanie. Ale oboje wiedzieli.

\* \* \*

- Korek wystrzelił.
- Można tak to ująć – stwierdziła LeAnne.
- Miałem na myśli te wszystkie stłumione uczucia.
- A jakże.

Roześmiał się i zrzucił ją z siebie. Pozwoliła się zrzucić. Byli teraz w pokoju LeAnne, to była ich druga noc, ostatnia noc trzydniowej przepustki w Katarze, jej drugiej i ostatniej przepustki przed powrotem do domu i zakończeniem kontraktu. Nie mieszkali w tym samym hotelu. Oficerów zazwyczaj kwaterowano w Hiltonie, a podoficerów i szeregowych – w Ramadzie. Ani razu nie pokazali się publicznie jako para. Ale pierwszej nocy o drugiej nad ranem Jamie zapukał do jej drzwi. Po samym pukaniu odgadła, kto to, choć nigdy wcześniej nie słyszała, jak puka. Otworzyła i wszystko potoczyło się bardzo szybko, oprócz tych rzeczy, które lepiej smakują konsumowane niespiesznie. Wyszedł tuż przed świtem.

Druga noc była podobna do pierwszej, spotkali się późno, a rozstać musieli się wcześniej; cały świat, jak sami dobrze wiedzieli, ogromny i okrutny, skurczył się tylko do ich dwojga.

- Będę wykończony, kiedy wrócimy – poskarżył się Jamie.
- Ooo, jak mi przykro.

Pokręcił głową.

– Dlaczego jesteś taka bezduszna?

– Nie jestem bezduszna.

– Zgadza się. I właśnie to w tobie kocham. – To słowo padło między nimi po raz pierwszy. – Ale nie tylko to.

– Nie?

– Najpierw pokochałem twoje oczy. Tak piękne i jednocześnie tak spostrzegawcze. A potem zakochałem się w twoim tyłku.

– O, wymienienie tej części dodaje wiarygodności.

I w tę część dał jej klapsa. Oddała mu, chyba jeszcze mocniej, co, pomimo jego zmęczenia, skończyło się kolejnymi łóżkowymi ekscesami.

Jakiś czas później, o wiele za wcześnie, naciągnął spodnie i ruszył w kierunku drzwi. Nagle odwrócił się.

– I co teraz zrobimy?

– A co chciałbyś zrobić?

– Być z tobą.

– Wiesz, że to niemożliwe.

– Niemożliwe teraz, ale za trzy miesiące kończy ci się kontrakt.

– I co z tego? Tobie został rok. Ale przecież potem znowu chcesz się zaciągnąć?

– Taki miałem zamiar. Ale teraz chcę czegoś innego.

– Czego?

– Już ci mówiłem. Sześć liter. Zaczyna się na duże „l”, a kończy na „e”.

– Lassie?

– Dlaczego jesteś taka bezduszna?

– Będziemy dawać sobie klapsy za każdym razem, kiedy to powiesz?

Roześmiał się i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

– No dobra, wchodzę w to – oznajmiła LeAnne czterem ścianom swojego pokoju.

Dwie puste butelki po negra modelo, jego ulubionym piwie, stały przytulone do siebie na kawowym stoliku.



LeAnne obudziła się.

Otworzyła oko.

Leżała oparta bokiem o drzwi hondy. Na dnie pustego oczodołu czuła dziwny ucisk, jakby utkwiał tam jakiś przedmiot, na przykład metalowa zakrętka od słoika, i jakby jakiś siłacz próbował ją odkręcić. Jej tata był w tym świetny. Kapitulowała przed nim każda zakrętka i każda pokrywka. Potrafił też gołymi rękami rozłupać orzech kokosowy. I nie tylko.

Usiadła. Był środek nocy. Jedna lampa sodowa nie dawała rady rozproszyć ciemności spowijających parking. LeAnne zdjęła okulary i zobaczyła wszystko wyraźniej, ale był to dużo bardziej przygnębiający widok, niż się spodziewała: opuszczony parking, śmieci walające się po chodniku, niskie krzaki obwieszane podartymi torebkami foliowymi. Zauważyła też, że tapicerka hondy jest brudna i podarta. Tak samo dywaniki na podłodze. We wnętrzu samochodu unosił się nieprzyjemny zapach. Pozbierała opakowania po czekoladzie i burgerach oraz puste pojemniki po mleku czekoladowym i zniosła je do kosza na parkingu. Okazało się, że jest pełny, a nawet przepełniony; chybotliwa górką odpadków na jego szczycie wyglądała niczym krem na babeczce. Śmieci, które dorzuciła, nie zdołały utrzymać się na tej konstrukcji i rozsypały się wokół kubła. Wróciła do samochodu, w którym wciąż coś śmierdziało. Powąchała się pod pachami.

– Kurwa.

Ruszyła w trasę. Miała nadzieję, że po jednym dniu praktyki wróci do dawnej formy i znów będzie mogła pędzić po wewnętrznym pasie autostrady. Niestety, okazało się, że radzi sobie coraz gorzej. Teraz nawet emeryci i niedzielni kierowcy jechali dla niej zbyt szybko. Nie była to tylko wina jej oka, zmęczonego samotnym obserwowaniem drogi. Problem

stanowił też jej mózg, zbyt wolno przetwarzający docierające doń bodźce. I jeszcze ta metalowa pokrywka na dnie... jakby to nazwać? Lej? O właśnie, lej po bombie. Zaraz, o co jej chodziło? Zgubiła wątek. Ale potem przyszła jej do głowy myśl, która ją uspokoiła: jest po prostu przemęczona. Z jej mózgiem jest wszystko w porządku. To, że się tak intensywnie poci, to też nic dziwnego. To pewnie przez... przez coś innego. Może przez leki? Czy wciąż była na lekach? Tak, przecież pielęgniarki dwa razy dziennie przynosiły jej papierowy kubeczek wypełniony pigułkami; nie, ponieważ wszystko to zostało daleko za nią. Najlepiej rozprawić się z czymś od razu, jednym cięciem. Gdzie to usłyszała? Szczegóły rozmyły się w jej umyśle, ale pamiętała ogólne przesłanie, chodziło o uczucie wycieńczenia, coś dużo gorszego niż zwykle zmęczenie. LeAnne postanowiła, że nie będzie więcej spać w samochodzie. Każdego dnia najpóźniej o osiemnastej znajdzie sobie jakiś motel i prześpi się w łóżku. Miała plan. Dzięki temu od razu poczuła przypływ optymizmu. Zjechała z pasa ruchu dla niedołęgów, żeby wyprzedzić samochód prowadzony przez starszą kobietę z włosami zakręconymi w sztywne loki i z papierosem zwisającym w kąciku ust. Mijając ją, LeAnne odwróciła się i zawołała: „Dziękuję za pani służbę!”. Staruszka wlepiła wzrok w drogę przed sobą, więc jej nie zauważyła, a ponieważ w obu samochodach okna były zamknięte, nie mogła jej również usłyszeć. Nieważne, LeAnne cieszyła się, że wypowiedziała te słowa; nie było w nich ironii, płynęły z głębi jej serca.

Niedługo potem postanowiła opracować nowy plan: plan działania, co zrobi, kiedy już dotrze do domu. Miała na myśli Phoenix, chociaż nie mieszkała tam od wielu lat. Była właścicielką kawalerki w pobliżu Fort Bragg, którą wynajęła księgowej. Kiedy kończy się umowa najmu? Wkrótce, prawda? Zgrała to ze swoim powrotem, który wypadalby za... miesiąc? Dwa? Bezskutecznie próbowała uporządkować przeszłość i przyszłość w swoim umyśle. Pomyślała, że odpręży się, słuchając muzyki. Wcisnęła guzik. Z głośników nie wydobył się żaden dźwięk. Dźgała

przycisk raz po raz, coraz mocniej, aż cała podłoga usłana była kawałkami plastiku. Ale wkrótce wrócił jej dobry nastrój. Idąc za przykładem Marci, postanowiła sama zapewnić sobie oprawę muzyczną podróży. Zaśpiewała *That's When Your Heartaches Begin*, *Redneck Woman* i *Mamas Don't Let Your Babies Grow Up to Be Cowboys*. Oboje z Jamiem lubili country, była to jedna z tych wielu drobnych rzeczy, które ich łączyły.

\* \* \*

– Jak pani myśli, pani sierżant – zastanowił się kapral Crannack, który wcisnął się na tylne siedzenie humvee tuż obok LeAnne – dlaczego ci wszyscy ludzie żrą gówno? Z samego rachunku prawdopodobieństwa wynika, że przynajmniej kilku powinno jeść coś normalnego.

– O kim mówisz, Luke? – zapytała LeAnne.

Czuła na czole ciężar hełmu, ale upewniła się jeszcze, że noktowizor jest na swoim miejscu.

Kapral Crannack wskazał palcem grupkę mężczyzn na skraju drogi pod murem z suszonej cegły; tłoczyli się wokół ogniska rozpalonego w kubie na śmieci. Buchające w górę płomienie nadawały ich twarzom czerwony kolor. LeAnne uważnie obserwowała, czy któryś z nich nie wyciąga z kieszeni telefonu komórkowego; na szczęście żaden tego nie zrobił.

– Ci pierdoleni szmatogłowi, pani sierżant.

– Słownictwo, kapralu! – zawołał Jamie z przedniego siedzenia.

– Przepraszam, panie kapitanie. Ci pierdoleni obywatele.

Wszyscy – kierowca, LeAnne, Crannack i w końcu także Jamie – zaczęli się śmiać.

– Nie wszyscy żrą gówno – powiedziała LeAnne. – Niektórzy tak, niektórzy nie. Tak samo jak my.

– To proszę wymienić chociaż jednego, który tego nie robi – nie ustępował kapral Crannack.

– Jest ich mnóstwo. Na przykład Katie.

LeAnne widziała jej plecy w jadącym przed nim RSOV, pierwszym pojeździe z konwoju pięciu samochodów. Kobieta trzymała się nieruchomo, wyprostowana jak struna. W porównaniu z siedzącym obok porucznikiem Skollem wydawała się jeszcze niższa niż w rzeczywistości. W jasnym świetle księżycy w pełni wyglądała niczym kamienny posąg.

Było zdecydowanie zbyt jasno. Tak jasno, że noktowizory były właściwie bezużyteczne. Nagle na poboczu drogi LeAnne dostrzegła wrak spalonego sedana. Szybko zmieniła zdanie na temat przydatności noktowizorów i ponownie dotknęła ręką sprzętu na hełmie.

- Katie nie jest jedną z nich – zaproponował Crannack.
- Nie? – odpowiedziała LeAnne. – Modli się pięć razy dziennie.
- Nigdy tego nie widziałem.
- Kobiety nie modlą się w obecności mężczyzn.
- Żeby nie patrzyli na nie, jak wypinają tyłki? Ja i tak wolę Amerykanki.
- To nieodwzajemnione uczucie.

Kolejny wybuch śmiechu.

Wyjechali z miasta i mknęli przez zbyt jasną noc. Jamie wręczył im plany obszaru docelowego – otoczonego murem kompleksu pięciu budynków, położonego jakieś dwieście siedemdziesiąt metrów za opuszczoną stacją benzynową. LeAnne już trzy razy przeglądała te materiały. Zamknęła oczy i odtworzyła w myślach plan obiektu, potem sprawdziła, czy wszystko dobrze zapamiętała. Chwilę później przyłapała się na tym, że wpatruje się w kark Jamiego. Nie potrafiła się skupić. W Afganistanie przebywała tylko ciałem, duchem była zupełnie gdzie indziej; myślała o sobie, o Camp Roadmaster, o Jamie. To było zupełnie nie w jej stylu. Potrząsnęła głową, przywołując się do porządku.

- Kapitanie, czy możemy zobaczyć to zdjęcie raz jeszcze?
- Zdjęcie bandyty? Proszę bardzo, sierżancie.

Jamie podał jej zdjęcie, nie odwracając głowy. Uniosła je w stronę okna – pozbawionego szyby podczas dachowania i wciąż czekającego na naprawę

– żeby lepiej wykorzystać światło księżyca. Bandyta nosił dzinsy i skórzaną kurtkę, zbliżał się do stoiska na targowisku. Jego twarz zwrócona była w stronę obiektywu; wyglądało to tak, jakby gwałtownie obrócił głowę, bo coś wzmogło jego czujność. Ale mogła się mylić. Górną część twarzy skrywał cień rzucany przez blaszany dach stoiska; dolna, lepiej oświetlona połowa była dość pulchna, co nie zdarza się często u afgańskich mężczyzn.

– Nazywa się Wakil Razaq Salam – poinformował ich Jamie. – Skończył jakąś uczelnię techniczną w Pakistanie. Podróżuje po całym kraju, ucząc, jak samodzielnie skonstruować bombę.

– Wypierdolimy go kaktusem – obiecał kapral Crannack. – Jest jakaś szansa, że faktycznie go tam znajdziemy?

– Według naszych informacji wywiadowczych: tak.

– To znaczy według informacji porucznika Skolla?

LeAnne zerknęła na porucznika podróżującego w samochodzie przed nimi. Oczywiście siedział tyłem do niej, ale po sposobie, w jaki pochyłał głowę, domyśliła się, że właśnie coś podjada, prawdopodobnie cukierki Jolly Rancher. Część żołnierzy nosiła słodczyce w kieszeniach, żeby rozdawać je afgańskim dzieciom.

– Porucznik Skoll jest operatorem rozpoznania osobowego przydzielonym do naszej jednostki. Macie z tym jakiś problem, kapralu?

– Nie, panie kapitanie. Nie mieć problemów i nie robić problemów: to życiowe motto rodziny Crannacków.

– Podoba mi się to motto.

– Moja mama je wymyśliła.

– Musi być interesującą kobietą.

– O tak, panie kapitanie. Kiedyś miała nawet własny show komediowy.

– Poważnie?

– Występowała w klubach komediowych, głównie na Środkowym Zachodzie. Miała swój stały numer, skecz o wynalezieniu dildo. Chce pan posłuchać?

– Wszystko w swoim czasie.  
– To znaczy tak czy nie, panie kapitanie?  
– Wytlumaczcie mu to, sierżancie – poprosił Jamie.  
– Wysłuchamy skeczu po zakończeniu misji – powiedziała LeAnne.  
– Nocny Pociąg, zgadza się?  
– Zgadza się.  
– Fajna nazwa. Od razu mam przed oczami kurewsko ogromny pociąg towarowy, zapieprzający do piekła i z powrotem. – Grzmotnął prawą pięścią w lewą dłoń. – Bam!

LeAnne raz jeszcze przyjrzała się konstruktorowi bomb. Jego dzinsy miały wymyślnie postrzępione u dołu nogawki. Strzępki materiału tworzyły spadającą na wojskowe buty grzywkę. Podała zdjęcie kapralowi Crannackowi, opuściła noktowizor na oczy i skontrolowała drogę przed nimi. Zobaczyła nieczynną stację benzynową, przysadzisty ciemny sześcian osadzony w płaskim, nijakim krajobrazie. W noktowizyjnej zieleni wszystko wydawało się jeszcze bardziej posępne. Gdzieś w górze rozległ się warkot zbliżającego się ku nim helikoptera; po chwili usłyszała, jak nadlatuje kolejny. Wsparcie powietrzne przybyło zgodnie z planem.

– Bam! – zawołał kapral Crannack po raz kolejny.

Szyja Jamiego zeszywniała lekko, jakby przyszła mu do głowy jakaś nieprzyjemna lub niechciana myśl. LeAnne postanowiła zapytać go o to, gdy będą sami. Nie tutaj, ale w Katarze, w Niemczech lub nawet dopiero w domu. Kierowca humvee wyłączył reflektory. We wszystkich pojazdach z ich konwoju zgasły światła. Tylko kierowca transportowca afgańskiej armii się zagapił, ale po chwili naprawił swój błąd. No proszę, a więc jednak mogli działać razem, niczym dobrze zgrany zespół. Nie każdy z tubylców żarł gównem.

LeAnne poczuła przyływ optymizmu. Byli gotowi do akcji.

\* \* \*

– Proszę pani? Proszę pani? – Stuk, stuk, stuk. – Proszę pani, czy wszystko w porządku? – Stuk, stuk.

Otworzyła oko.

Otrząsnęła się z okropnych snów tylko po to, by obudzić się w równie nieprzyjnym świecie; w świecie, w którym nie było niczego poza bólem głowy i dziwnym uciskiem – efektem działań siłacza próbującego odkręcić pokrywkę, która utknęła na dnie jej oczodołu.

– Proszę pani? – pukanie w szybę. – Nic pani nie jest?

LeAnne nie widziała niczego poza oślepiającym blaskiem. Zaczęła szukać okularów przeciwsłonecznych, próbując jednocześnie zebrać do kupy wszystkie fakty. Fakt pierwszy: leży na przednim siedzeniu. Fakt drugi: okropnie śmierdzi. Wszystko inne, co sobie przypomniała, również nie napawało jej optymizmem. Zaciśnęła dłonie na okularach. Nasadziła je na nos, odkrywając równocześnie, że gdzieś zgubiła opaskę. Usiadła i obróciła się w kierunku okna po stronie kierowcy. Zobaczyła mężczyznę w mundurze. Otworzyła okno.

– W jakiej formacji pan służy? – zapytała.

– Słucham?

– Nie rozpoznaję...

– Czego?

Docierały do niej kolejne szczegóły. Honda stała na poboczu dwupasmowej asfaltowej drogi biegnącej przez płaski pustynny krajobraz. W zasięgu wzroku nie było innych samochodów oprócz czarnego radiowozu zaparkowanego przed maską jej samochodu. Napis na drzwiach radiowozu: „Policja stanu Nowy Meksyk”.

– Nieważne – odpowiedziała LeAnne. – Chodziło mi o mundur, ale to już bez znaczenia. Mam się zupełnie dobrze. Nic się nie stało.

– Piła pani?

– Nie.

– Jakież inne substancje?

– Kto by to zliczył. Ale już niczego nie biorę – poinformowała policjanta.

– Odstawiła pani?

– Wszystko zostało w szpitalu imienia Waltera Reeda. Powinnam była lepiej zorganizować swój wypis...

– Mówi pani o szpitalu wojskowym?

– Tak.

– Jest pani weteranką?

– Wracam do domu.

– Służyła pani za granicą?

– W Afganistanie. Też pustynia, ale inna niż ta. Pustynie także bywają lepsze i gorsze.

– Mówi pani, że wraca do domu. Gdzie jest pani dom?

Trudne pytanie. LeAnne chciała na nie odpowiedzieć, ale jej umysł zbłądził na manowce.

– Możliwe, że popełniłam błąd.

– Jaki błąd?

– Woląabym nie mówić.

Policjant pokiwał głową.

– Muszę panią poprosić o dokument tożsamości.

– A jeśli powiem, co to za błąd? Potencjalny błąd. Chodzi o Katie.

– Prawo jazdy i dowód rejestracyjny.

Pierwsza opcja: otworzyć bardzo szybko drzwi tak, żeby go odepchnąć, a nawet powalić, wyskoczyć z samochodu i zadać policjantowi cios w gardło, zanim ten zdoła wstać. Opcja numer dwa była znacznie mniej skomplikowana: cios w gardło zadany przez otwarte okno. Wahala się.

– Poproszę prawo jazdy i dowód rejestracyjny.

LeAnne, wciąż rozważając obie możliwości, znalazła w schowku na rękawiczki dokumenty, o które prosił policjant, i mu je wręczyła. Funkcjonariusz wrócił do radiowozu, żeby sprawdzić dane w systemie.



LeAnne przetrząsała dalej schowek w nadziei, że znajdzie tam swoją broń. Nie poszcęściło jej się. Gdzie w takim razie zostawiła pistolet? Zaczęła szperać w pamięci.

\* \* \*

– Jesteś snajperem – powiedziała Katie. – Albo snajperką. Jak jest poprawnie?

– Nie mam pojęcia – odpowiedziała LeAnne.

Wieczorem po ceremonii otwarcia Spółdzielni Tkackiej Towarzystwa Przyjaźni Afgańskich i Amerykańskich Kobiet znowu były w bazie i popijały napoje gazowane.

– Przez to moja praca będzie trudniejsza.

– O, jak to?

– Nie martw się. Nie będę musiała robić niczego, co wykracza poza mój zakres obowiązków.

– Katie, gdybym nawet była strzelcem wyborowym, którym, nawiasem mówiąc, wcale nie jestem, to co z tego? Niby w jaki sposób miałyby to utrudnić twoją pracę?

– Mam nadzieję, że cię nie zdenerwowałam?

– Nie. Ale stanowimy zespół, więc muszę wiedzieć, co masz na myśli.

Katie skinęła głową.

– Chodzi o to, jak odbierają was Afganki. Nie traktują kobiet z CST jak wrogów, nawet pomimo tego, że jesteście żołnierzami. Dlaczego? Bo dla nich jesteście przede wszystkim kobietami. To, co dzisiaj zrobiłaś, było z ich punktu widzenia męskie, zatem sytuacja się skomplikowała. Rozumiesz teraz?

– Następnym razem upiekę ciasteczka.

Katie roześmiała się.

– Chciałabym być Amerykanką.

– Tak?

– Czasami. – Katie nalała im obu kawy. Wsypała cukier do swojego papierowego kubka, zamieszała i obserwowała, jak ciecz wiruje wokół łyżeczki. – Zastanawia mnie jedna rzecz.

– Co takiego?

– Jak się domyśliłaś, że to był mężczyzna?

– To bardzo proste. Wszystkie kobiety nosiły sandały albo pantofle. On miał na nogach ogromne trepy.

– Trepy? – roześmiała się Katie. – To dla mnie nowe słowo. Brzmi trochę tak, jakby pochodziło z wiejskiej gwary. Jak się domyślam, oznacza wojskowe buty?

– Oznacza każde ciężkie buciory.

– Zapamiętam sobie to słówko – obiecała Katie.

## 12

Chrzęst ciężkich butów na żwirze na poboczu. LeAnne natychmiast się przebudziła i zaczęła gorączkowo szukać broni.

– W porządku, może pani jechać.

Co to było? Obróciła się w lewo. Policjant stał przy oknie hondy. Chciał jej coś podać. Minęła chwila, zanim przypomniała sobie wszystko i odebrała swoje prawo jazdy i dowód rejestracyjny.

– Ale proszę nie ucinać sobie drzemek na poboczu drogi. Nigdy nie wiadomo, co się może zdarzyć. To niebezpieczne – powiedział i poklepał dłonią w dach hondy.

W jej uszach zabrzmiało to jak odgłos wystrzałów, padających nie wiadomo skąd. Drgnęła i zrobiła unik, ale policjant tego nie zauważył. Odwrócił się i zmierzał już w kierunku radiowozu. Podciągnął kaburę, wsiadł do wozu i po prostu w nim siedział.

LeAnne odpaliła silnik i wjechała na drogę. Policjant jechał za nią przez jakieś półtora kilometra, potem skręcił w inną dwupasmówkę biegnącą przez pustynię. LeAnne jechała przed siebie, wypatrując jakichś znaków, które powiedziałby jej, gdzie się znajduje; nie natrafiła na żadne tablice. Zerknęła na nadgarstek i zorientowała się, że nie ma zegarka. Popatrzyła na deskę rozdzielczą: ósma trzydzieści pięć. Ta informacja oraz kierunek padania cieni pozwoliły jej na wyciągnięcie wniosku, że zmierza na wschód.

Znajdowała się w Nowym Meksyku i podróżowała na wschód – w złym kierunku. Zwolniła, być może nie tyle, ile powinna, i ostro skręciła o sto osiemdziesiąt stopni. Tyłem samochodu zarzuciło, na szczęście niezbyt mocno. Poradziła sobie z tym bez problemu. Kiedy miała dziesięć czy jedenaście lat, tata nauczył ją, jak delikatnie wyprowadzić auto z poślizgu. Sztuka polegała na tym, żeby nie walczyć z samochodem, ale go uspokoić.

– Dzięki, tato! – zawołała. Po przejechaniu jakichś trzydziestu czy czterdziestu kilometrów powiedziała (a może tylko pomyślała?): – „Śpiewałem w kajdanach jak morze”.

Sprawdziła godzinę na desce rozdzielczej. Ósma trzydzieści pięć. Która była, kiedy sprawdzała wcześniej? Ósma pięć? Ósma piętnaście? Jedno albo drugie. Zapamiętała aktualną godzinę i pędziła przed siebie, dopóki nie poczuła zmęczenia. Potem zjechała na pobocze i zapadła w sen. Siłacz zamieszkujący jej czaszkę poluzował nieco uścisk. Błogie uczucie. Poczowała przyjemny delikatny powiew. Nawet we śnie czuła, że oddycha łagodnym zachodnim powietrzem. Do czasu.

\* \* \*

Wiatr wiejący od wioski niósł zapach odchodów. Siły koalicyjne błyskawicznie otoczyły teren z trzech stron: Afgańczycy od północy, jednostka powietrznodesantowa od południa, a reszta żołnierzy sił specjalnych, między innymi LeAnne, od zachodu, odcinając dostęp do traktu prowadzącego do nieczynnej stacji benzynowej, jedynej drogi ucieczki. Psy nie szczekały, ponieważ ich tu nie było. Nie było również żadnych wartowników. Mieszkańcy albo uważali, że nie mają wrogów – co było mało prawdopodobne, albo byli głupi – równie mało prawdopodobne, albo chodziło o coś jeszcze innego. LeAnne zdążyła się już przekonać, że w Afganistanie często chodziło o coś innego. Wkrótce od południowej strony dobiegły ją jakieś okrzyki i hałasy. Po chwili na horyzoncie ukazała się grupa ludzi. Sylwetki w dopasowanych mundurach eskortowały sylwetki w luźnych ubraniach. Światło księżyca odbijało się co pewien czas w czyichś oczach i rozświetlało wydobywające się z ust obłoczki pary, które szybko rozpraszają się w nocnym powietrzu.

Wszystkie kobiety i dzieci zgromadzono w jednym domu z surowej cegły. Wnętrze pomalowane było białą farbą, na podłodze leżał tkany dywan w kolorze ciemnej czerwieni, a pod trzema ścianami stały pokryte dywanami

ławy. Jedyne źródło światła stanowiła kopcząca lampa naftowa zawieszona na wbitym w sufit haku. LeAnne stała w drzwiach, w opuszczonej dłoni trzymała broń. Obok niej stała nieuzbrojona Katie.

– Ile ich tu macie, sierżancie? – zawołał stojący na zewnątrz kapral Crannack.

Prawidłowa odpowiedź brzmiała: zbyt wiele, jak na tak małą przestrzeń.

– Dziesięć kobiet, trójka dzieci, jedno niemowlę! – odkrzyknęła LeAnne.

– Powinno być jedenaście kobiet.

– Jest dziesięć. Sprawdź to i wróć tutaj.

– Już się robi.

LeAnne nie czekała na powrót Crannacka. Mogłaby się obawiać, gdyby kobiet było zbyt dużo, nie było jednak nic niepokojącego w tym, że jednej brakowało. Zrobiła krok naprzód i zdjęła hełm; żaden żołnierz nie zrobiłby czegoś takiego w tej sytuacji, ale ona służyła w CST i ten gest miał kluczowe znaczenie dla osiągnięcia celów jednostki. Potrząsnęła głową, rozpuściła włosy i się uśmiechnęła.

– Jestem amerykańskim żołnierzem – powiedziała. – Jestem tutaj, żeby chronić was i wasze dzieci. Katie, przetłumacz.

Katie przysunęła się i przełożyła jej słowa na pasztuński.

Kobiety odsłoniły twarze, wszystkie oprócz dwóch na końcu sali.

Broń LeAnne niemal samoczynnie uniosła się kilka centymetrów do góry.

– Katie? Co się dzieje?

Katie wycelowała swój palec w dwie kobiety, które nie zdjęły zasłon. Odezwała się do nich ostrym, poirytowanym, nieco apodyktycznym tonem. Kobieta po lewej pochyliła głowę i powiedziała coś niskim przyciszonym głosem.

– Mówi, że mają na twarzy okropne blizny i nie chcą pokazywać ich obcym.

– Nie ma mowy. Muszę zobaczyć ich twarze.

Katie przemówiła ponownie. Tym razem głośniej i posiłkując się gwałtownymi gestami. Kobieta po lewej powoli opuściła zasłonę. LeAnne zerknęła i szybko odwróciła wzrok, nie mogła patrzeć dłużej. Twarz kobiety była potwornie zdeformowana po oparzeniu kwasem; blizny pokrywały każdy jej skrawek z wyjątkiem jednego ciemnego oka. Tam, gdzie powinno znajdować się drugie, ziała dziura przypominająca krater. Druga zasłonięta kobieta zaczęła zawodzić dziwnym, przejmująco smutnym falsetem – jej głos był jednocześnie przerażony i przerażający. Obie miały na sobie długie burki, które jednak nie zasłaniały zupełnie stóp. LeAnne podeszła bliżej i sprawdziła ich obuwie. Żadna z nich nie nosiła wojskowych butów, obie miały na stopach tkane pantofle.

– Nieważne – powiedziała LeAnne.

– Co nieważne?

– Nie musi ściągać zasłony. – LeAnne podniosła głos, choć nie miała żadnego powodu, żeby złościć się na Katie.

Katie powiedziała coś do kobiety, a ta pochyliła głowę. Kobieta z poparzoną twarzą powiedziała coś szeptem.

– Czy może założyć z powrotem zasłonę? – zapytała Katie.

LeAnne skinęła głową. W budynku było zimno, poniżej dziesięciu stopni, ale pociła się w swoim mundurze. Przyjrzała się twarzom kobiet – młodych i starych. Najmłodsza z nich, około dwudziestoletnia, miała powieki pomalowane delikatnym zielonym cieniem. Jeśli ktoś wiedział tu coś o Wakilu Razaqu Salamie, to była to ona. Oznaczało to, że należy podzielić kobiety na mniejsze grupki.

– Powiedz im, że mam cukierki dla dzieci.

Jedno z dzieci znało już słowo „cukierki”. Krzepki jedenasto- lub dwunastoletni chłopczyk ruszył ku LeAnne, zanim jeszcze Katie otworzyła usta. Najstarsza kobieta wyciągnęła rękę i chwyciła go za ramię, krzycząc na niego, ale dzieciak strząsnął z siebie jej rękę.

– To babcia?

- O nie, to na pewno mama.
- Powinam mu coś dać czy nie?
- Dzieci uwielbiają wasze jolly ranchersy.
- Ale jego matce to się chyba nie spodoba?
- Phi – Katie prychnęła lekceważąco.

Chłopcu ciekło z nosa, jak wszystkim pozostałym dzieciom. Miał na sobie postrzępione spodnie i workowatą bluzę z napisem „Hollywood High School” i z dużą kieszenią z przodu, w której trzymał obie ręce. We wszystkich budynkach w tej wiosce było zimno, pewnie dlatego dzieci miały katar. LeAnne zawiesiła M4 na ramieniu lufą do dołu i zaczęła szukać w kieszeniach cukierków. Chłopiec zrobił krok do przodu i zatrzymał się tuż przed nią.

– Proszę, to dla ciebie – powiedziała LeAnne. – Trzy jolly ranchersy i jeden tootsie roll. – Wyciągnęła dłoń z cukierkami, ale chłopiec nie zrobił żadnego ruchu, żeby je wziąć. Nie patrzył jej w oczy; miał nieobecne spojrzenie i mamrotał coś pod nosem. Czyżby coś było z nim nie tak?

– Co on mówi, Katie?

Brak odpowiedzi.

– Katie?

LeAnne zerknęła w bok. Nie zobaczyła Katie. Wyjrzała przez otwarte drzwi. Jakieś dwadzieścia metrów dalej dostrzegła biegnących w jej kierunku żołnierzy; Jamie na czele grupy – od razu rozpoznała go po sposobie, w jaki się poruszał – a tuż za nim kapral Crannack.

– Sierzancie! – zawołał Jamie. – Wszystko w porządku?

– Tak, panie kapitanie.

– Zwijamy się.

– Tak jest.

Odwracając się w kierunku sali, zauważyła Katie, która przykucnęła pod ścianą na zewnątrz budynku.

– Katie? Co się stało?

– Zaraz będę.

Obróciła się. Wciąż trzymała w ręce cukierki, a chłopiec nadal stał tuż przed nią.

– Proszę. Weź je. – Chłopiec nawet nie drgnął. LeAnne rozejrzała się po sali. Kobiety znieruchomiały, nie odzywały się ani słowem, ich uwaga była skupiona niczym u widzów jakiegoś niezwykle wciągającego przedstawienia. Nagle plecami chłopca wstrząsnął dreszcz; zaczął szlochać.

LeAnne pochyliła się.

– Hej, kolego. Co się dzieje?

Spojrzał na nią załzawionymi oczami. Wyciągnęła rękę, żeby poklepać go po głowie, jakoś pocieszyć, ale kiedy to zrobiła, pod ścianą na przeciwległym końcu sali, gdzie stały te dwie załężnione kobiety, rozległ się wściekły wrzask. Chłopiec cofnął się i wyciągnął ręce z kieszeni. Nie były puste. Chłopiec trzymał w nich rewolwer z krótką lufą. To broń niewielkich rozmiarów, ale w dłoniach chłopca wyglądała na dużą.

Chłopiec uniósł lufę rewolweru i wymierzył ją w twarz LeAnne. Niemal w tej samej chwili LeAnne uderzyła wierzchem dłoni w rewolwer. Broń wypaliła i wirując, przeleciała przez salę. Jedna z kobiet krzyknęła. Chłopiec upadł na LeAnne, ściągając jej z ramienia M4, które utknęło pod jego bezwładnym ciałem.

– Sierzancie?! – zawołał Jamie; teraz był dużo bliżej, być może tuż za drzwiami.

LeAnne wyprostowała się, szarpiąc za pasek swojej broni, próbując ją wydobyć spod ciała chłopca. Wszystkie kobiety padły na ziemię – wszystkie oprócz tej załężnionej, tej, która nie odsłoniła swojej twarzy. Spomiędzy fałd jej burki wynurzyła się dłoń; duża, owłosiona męska dłoń trzymająca granat odłamkowy M67, standardowe wyposażenie żołnierzy amerykańskiej armii. Kciuk przytrzymał łyżkę, zawleczone była już wyciągnięta.

– Sierzancie?!

– Na ziemię, Jamie! Na ziemię!



Mężczyzna w burce cisnął granatem, który przeleciał tuż obok głowy LeAnne – poczuła nawet niewielki podmuch – i wyleciał przez otwarte drzwi. Sekundę później nastąpiła eksplozja. Na zewnątrz rozległy się jęki i krzyki, a zebrane w sali kobiety zaczęły dziko wrzeszczeć. LeAnne udało się w końcu wyszarpnąć karabinek spod ciała chłopca. Obróciła się na pięcie. Mężczyzna w burce szykował się do kolejnego rzutu, granat był już odbezpieczony. Nagle wypuścił go z dłoni, trafiony w sam środek czoła pociskiem wystrzelonym przez LeAnne. Przedostatnim obrazem, jaki zapamiętała LeAnne, była mała czerwona kropka kilka centymetrów nad nasadą nosa mężczyzny. Ostatni obraz to postrzępiony rąbek nogawki jego spodni, który zobaczyła, kiedy runął na ziemię. Na nic więcej nie starczyło już czasu. W przypadku granatu M67 opóźnienie detonacji wynosiło tylko cztery sekundy.

\* \* \*

LeAnne jechała krętą, pustą dwupasmówką. Po jednej stronie miała porośnięte bylicą wzgórze, po drugiej – skalistą równinę. Minęła znak „Witamy w Arizonie”. Zahamowała, cofnęła samochód o kilka metrów, po czym wysiadła i przyjrzała się z bliska tablicy. Bardzo starej, wyblakłej od słońca i poznaczonej ziarnkami piasku niesionymi przez wiatr. Po lewej stronie tablicy rosła wysoka sosna, po prawej znajdował się olbrzymi kaktus, a pośrodku, w oddali, widać było wzgórze o płaskim szczycie. W środku trójkąta, jaki tworzyła litera A, znajdowała się dziura po pocisku. LeAnne wpatrywała się w tablicę tak długo i tak intensywnie, że miała w końcu wrażenie, jakby sama stała się jej częścią, jakby wkroczyła do Arizony z dawnych czasów, niczym dziecko zanurzające się w czytanej baśni. Poczula zawroty głowy, zatoczyła się do tyłu i omal nie zemdląca. Zgięła się wpół i wzięła kilka głębokich wdechów. Poczula się lepiej, nawet pomimo tego, że dotarł do niej nieprzyjemny zapach własnego ciała. Dobrze było wrócić do domu.

Ruszyła w dalszą drogę i po pewnym czasie dotarła do małego miasteczka. Zdecydowanie poprawił jej się nastrój. Kiedy ostatnio tego doświadczyła? Gdy była z Marci? Dobre samopoczucie wciąż jej nie opuszczało. LeAnne uświadomiła sobie, że jest głodna. Kiedy ostatni raz coś jadła? Nie znalazła w zasobach pamięci żadnych danych na ten temat. Zdjęła okulary i zerknęła w lusterko. Jej kości policzkowe były teraz bardziej widoczne, ale wcale nie wyglądała dzięki temu lepiej. Nie lubiła swojej twarzy.

Minęła zamknięty sklepik z indiańskimi pamiątkami, puste pole kempingowe, a wreszcie szkołę – pojedynczy, niski budynek z cegieł, przed którym stała przenośna tablica z napisem „Do boju, Czerwone Bawoły”. Na tyłach szkoły znajdowało się pozbawione trawy boisko do bejsbolu, a kawałek dalej – owalna bieżnia. Na jej środku ustawiono stojaki z poprzeczką oraz zeskok. Dwie dziewczyny stały na końcu toru do rozbiegu; jedna się rozciągała, druga wykonywała nieznaczne ruchy tyczką. LeAnne zatrzymała samochód.

Na żuźlowej bieżni nie wyrysowano odpowiednich linii, pomiędzy ciemnych grudek wyrastały żdźbła trawy. Dziewczyna z tyczką wzięła rozbieg. Poprzeczka zawieszona była na wysokości dwóch i pół metra. LeAnne nie musiała tego sprawdzać, wystarczyło jej jedno spojrzenie. Dziewczyna, trochę przy kości, biegła wolno i ledwie zdążyła wybić się w odpowiednim momencie, ale perfekcyjnie włożyła tyczkę do skrzynki. Tyczka, zbyt miękka jak dla niej, nie ugięła się pod optymalnym kątem, co więcej, dziewczyna nie trzymała jej poprawnie i ustawiła drugą nogę w nieodpowiedniej pozycji. Poszybowała, obróciła się o sto osiemdziesiąt stopni i przeleciała nad poprzeczką, ocierając się o nią klatką piersiową. Poprzeczka zadygotała, ale nie spadła. LeAnne klasnęła cicho w dłonie.

\* \* \*

– Nic z tego nie będzie – oznajmiła Katie.

– Co masz na myśli? – zapytała LeAnne, rozstawiając sprzęt, który w końcu przybył na miejsce po wielu tygodniach wymieniania e-maili, wypełniania papierów i pokonywania różnego rodzaju biurokratycznych przeszkód.

Katie stała z rękami założonymi na piersiach, nie ruszyła nawet palcem, żeby jej pomóc. Uważała pracę fizyczną za coś poniżej jej godności, jakby była jakąś arystokratką – tak zresztą postrzegała ją LeAnne.

– Nie jesteśmy gotowi.

– Jezu Chryste – syknęła LeAnne, ciągnąc materac do zeskoku na właściwe miejsce. – Dlaczego nie?

– Wolałabym, żebyś nie wymawiała imienia Jezusa w ten sposób. Kpisz z własnej religii.

– Nie jestem religijną osobą – wyjaśniła LeAnne.

– Ja też nie, ale to niczego nie zmienia.

– Nie jesteś religijna? Modlisz się pięć razy dziennie.

– I to niby sprawia, że jestem religijna?

LeAnne spojrzała na nią. Katie założyła krótki, dopasowany, zamszowy płaszcz, a głowę owinęła jedwabnym szkarłatnym szalem, z pewnością kosztownym i sprawiającym wrażenie kupionego w paryskim butik. Za nią znajdowała się mała szkoła o przybrudzonych koślawych ścianach, w oddali piętrzyły się nagie zbocza gór także w kolorze przybrudzonego beżu. Szkarłat jedwabiu odznaczał się na tym tle niczym flaga ostrzegawcza.

– Cóż – mruknęła LeAnne – chyba tak, prawda?

– Jak możesz pytać o coś takiego? – oburzyła się Katie. – Ale tam masz dowód. Nie jesteśmy gotowi.

– Nie rozumiem.

– Żeby się w taki sposób... bawić... – Katie wskazała na sprzęt: dwa stojaki, poprzeczkę, maty, skrzynię, tyczkę. – ...trzeba przejść długą drogę.

– Dlaczego robisz z igły widły? To tylko skok o tycze.

– A do tego bejsbol, koszykówka, piłka nożna, przynajmniej dwa rodzaje

hokeja, lacrossticks – wyliczała Katie na palcach; jej dłonie obleczone były w skórzane rękawiczki.

– Lacrosse – poprawiła ją LeAnne.

– I kto wie, co jeszcze? Narty, narty wodne, snowboard, surfing; ta lista nie ma końca.

– Do czego zmierzasz?

– Do czego zmierzam? Mówimy o dziewczynkach. O afgańskich dziewczynkach.

Właśnie wtedy drzwi budynku szkoły otworzyły się i na zewnątrz wyszło sześć dziewcząt. Wyglądały na dwanaście lub trzynaście lat, ubrane były podobnie: nosiły luźne ciemne suknie i białe szaliki na głowach. Zbliżyły się nieśmiało do zaimprovizowanego przez LeAnne stanowiska do skoku o tyczce.

LeAnne odwróciła się do nich i uśmiechnęła.

– Cześć, dzieciaki.

Dziewczynki badawczo przyglądały się jej mundurowi, broni, a także jej skręconym w dredy włosom. Dredy były dziełem jednego ze strzelców z kompanii kapitana Craya; facet znał się na rzeczy, bo zanim zaciągnął się do wojska, pracował jako fryzjer.

Katie powiedziała coś gniewnie po pasztuńsku.

– Dzień dobry – przywitały się dziewczynki.

Każda z nich wymawiała te słowa nieco inaczej.

Katie znowu coś do nich warknęła.

– Dzień dobry, pani sierżant Hogan.

– Katie? A może mogłyby się do mnie zwracać po prostu LeAnne?

Katie wydeła z politowaniem usta.

– Proszę bardzo – powiedziała i przekazała dziewczynkom jej prośbę.

– LeAnne! – zawołały. Powtórzyły to kilka razy, a potem zaczęły chichotać.

– A jak brzmią wasze imiona? – zapytała LeAnne.

Zanim Katie zdążyła przetłumaczyć to zdanie, jedna dziewczynka już się odezwała.

– Wrashmin – przedstawiła się.

– Miło cię poznać, Wrashmin.

To ośmieliło koleżanki Wrashmin. LeAnne zapamiętywała kolejne twarze i imiona: Laila, Durkhani, Hila, Muska, Laila.

– Dwie Laile? – powiedziała LeAnne.

Dziewczynki roześmiały się.

– Dwie Laile – potwierdziły. – Dwie. – Podniosły prawe dłonie z dwoma wyprostowanymi palcami. Ku jej zaskoczeniu wzruszył ją widok ich palców, wciąż dziecięcych, niezniszczonych pracą.

– To imię bardzo podobne do LeAnne – zauważyła. – Laila, LeAnne.

Dziewczynki zastanowiły się nad tym, co usłyszały. Katie zerknęła na zegarek.

– Przerwa trwa dwadzieścia minut, za chwilę się skończy. Może powinnaś przejść do rzeczy?

LeAnne podniosła tyczkę – elastyczną, krótką, o długości zaledwie trzech metrów i trzydziestu centymetrów i przeszła na początek wytyczonego w myślach toru rozbiegu.

– W porządku, dzieciaki. Oto na czym to polega. – Pobiegnęła w zwolnionym tempie w kierunku poprzeczki, licząc kroki. – Teraz wkładamy tyczkę do skrzynki w taki sposób, ręce wysoko, odrywamy nogę, która została z tyłu, unosimy biodra w górę, wznosimy się coraz wyżej i przelatujemy nad poprzeczką – odwróciła się do dziewczynek. – Zrozumiałyście? Wiem, że to skomplikowane. Pamiętajcie, że tyczka to wasza przyjaciółka. Słuchajcie, co chce wam powiedzieć, i pozwólcie jej działać.

– Mam im to powiedzieć? – zapytała Katie. – Tyczka to wasza przyjaciółka?

– A dlaczego nie?

– To brzmi tak infantylnie.

– Wow, skąd znasz to słowo?

– Jestem tłumaczką. – Katie zalała dziewczynki potokiem wymowy, w którym pobrzmiwał ton zniecierpliwienia.

LeAnne była niemal pewna, że Katie użyła słowa „infantylnie”. Kiedy Katie umilkła, wyższa Laila zadała pytanie.

– Chce wiedzieć, czy pokażesz nam, jak to się robi.

– Strasznie dawno nie skakałam – przyznała się LeAnne.

Ostatni raz – dziesięć lat temu.

– A czy to nie jest jak z jazdą na rowerze?

– Nie.

– Nawiasem mówiąc, nigdy nie jeździłam na rowerze.

– Cóż, będziemy musiały to nadrobić – powiedziała LeAnne. Opuściła poprzeczkę na dwa metry i siedemdziesiąt centymetrów (śmieszna wysokość, ale nie skakała od dziesięciu lat, a poza tym miała na sobie ciężkie wojskowe buty), a potem ustawiła się w odpowiedniej odległości od stojaków. Wzięła głęboki oddech i wspięła się na palce. – Pamiętajcie, zawsze biegnijcie wyprostowane – napomniała swoje obserwatorki. Puściła się pędem przed siebie, w ciężkich buciorach, z idiotycznie krótką tyczką, i oderwała się od ziemi. Poszybowała tak wysoko nad poprzeczką, że aż samą ją to zadziwiło.

– O mój Boże – wyrwało się Katie.

Dziewczynki zaczęły klaskać.

– Już dobrze, wystarczy tych oklasków – powiedziała LeAnne. – Ale same widzicie, jaka to frajda.

Opuściła poprzeczkę na wysokość jednego metra i dwudziestu centymetrów, wręczyła tyczkę wyższej Laili, zaprowadziła ją na pozycję startową, pokazała, jak chwycić tyczkę. Kiedy Laila w zwolnionym tempie biegła w kierunku poprzeczki, była cały czas za nią, podtrzymując tyczkę z tyłu.

– Gotowa? – Dziewczynka skinęła głową z lekkim wahaniem. – Zobaczmy, co potrafisz.

Laila wróciła na pozycję startową. Zaczepnęła powietrza, wspięła się na palce, uniosła tyczkę – to wykonała perfekcyjnie. Potem zaczęła biec i nastąpiła seria błędów.

LeAnne spodziewała się, że skok będzie zupełnie nieudany, ale jakimś cudem tyczka trafiła dokładnie w to miejsce skrzynki, gdzie powinna się znaleźć, ugięła się i wyniosła Lailę w górę. Dziewczynka przeleciała nad poprzeczką. W swojej obszernej czarnej sukni i z powiewającym szalikiem na głowie bardziej przypominała wyskakującą nad powierzchnię wody rybę albo delfina niż istotę ludzką.

Dziewczynki zaczęły wiwatować, LeAnne także do nich dołączyła. To była jedna z najszczęśliwszych chwil w jej życiu. Odwróciła się do Katie.

– Mówiłaś coś o długiej drodze, którą trzeba przejść? – zapytała prowokacyjnie.

Katie jej nie słuchała. Wpatrywała się w dach budynku stojącego za szkolnym murem, po drugiej stronie ulicy. Zmarszczyła brwi, jej twarz spochmurniała. Na dachu stał mężczyzna ubrany w tradycyjny strój. Przyglądał im się. Z takiej odległości jego twarz była niewyraźną plamą. LeAnne mogła dostrzec tylko duże, odstające uszy.

– Katie? Coś nie tak?

Katie pokręciła głową i spojrzała na zegarek.

– Przerwa się skończyła.

LeAnne otworzyła...

Oko.

Dwoje dziewcząt gdzieś zniknęło, bieżnia opustoszała.

Wysoko nad ziemią szybował jastrząb niesiony prądem powietrznym. Ten widok, sama nie wiedziała dlaczego, przypomniał jej o Jamiem. Nagle usłyszała jego głos tak wyraźnie, jakby siedział obok niej, ale poza jej polem widzenia.

„Korek wystrzelił”.

– Można tak to ująć – powiedziała głośno. Czekwała na odpowiedź Jamiego, jednak cisza się przedłużała. Czyżby szukał odpowiednich słów? – Nie martw się. Po prostu coś powiedz. To mi wystarczy.

Ale Jamie milczał. To było takie dziwne: dostać od losu te dwie noce w Katarze, wstęp do przyszłości, która miała nigdy nie nadejść, dwie noce życia... NA MAXA, to z pewnością. Przypomniała sobie tatuaż na ramieniu Marci. Wystrzelony w powietrze korek od szampana – mała radosna eksplozja.

– Eksplozje mogą być bardzo różne, Jamie.

Jastrząb wznosił się coraz wyżej spiralnym lotem, aż w końcu stał się tylko czarną kropką na niebieskim tle. LeAnne przekręciła kluczyk w stacyjce.

\* \* \*

W następnym mieście zatrzymała się przy aptece i kupiła duże opakowanie ibuprofenu. Na dobry początek połknęła cztery tabletki bez popijania. Po drugiej stronie ulicy zauważyła bar „Pod Czerwonym Kogutem”. Nad



wejściem wisiał wyrzeźbiony w drewnie wkurzony kogut z czerwonym grzebieniem na głowie. Kiedy ostatni raz piła alkohol? Z Marci. Zerknęła w dół na swoje czerwone adidas. Przyszło jej na myśl, że nie jest godna ich nosić, że zawodzi Marci.

– Pieprz się, Marci – powiedziała sama do siebie, cicho, choć wydawało jej się, że starsza pani w loczkach, wysiadająca ze swojego samochodu kilkanaście metrów dalej, i tak usłyszała te słowa.

LeAnne posłała jej długie spojrzenie i wścibska raszpla odwróciła się. Gdyby była z nią teraz Marci, z pewnością rzuciłaby jakąś złośliwą i zabawną uwagę, dzięki której wszystko wróciłoby na właściwe tory. Wkroczyłyby do Czerwonego Koguta i wypily po dwa głębsze. Czerwone buty i czerwony kogut – wszędzie czaiły się wskazówki i ukryte wiadomości. Trzeba tylko było zwrócić na nie uwagę. Nie znała Marci zbyt długo, ale zdążyła dobrze ją poznać. Były towarzyszkami. Nie tyle towarzyszkami broni, ile raczej towarzyszkami niedoli. Czerwień była wskazówką, a wiadomością, którą otrzymała, wspomnienie ich zażyłości. LeAnne przecięła ulicę i weszła do baru.

Wewnątrz panował półmrok. Po lewej znajdował się długi kontuar, po prawej stało kilka stolików. Za ozdoby służyły drewniane koła wozów oraz rogi bawołów. Jeden ze środkowych stołków barowych zajmował mężczyzna w stetsonie, a przy stoliku siedziała para staruszków. LeAnne wybrała stołek przy końcu blatu, dzięki czemu miała wejście po lewej stronie i nikt nie mógł jej zejść od prawej – komfortowa sytuacja, dająca jej przewagę. Podszedł do niej barman. Był mężczyzną w średnim wieku; jego twarz okalały rozwichrzone bokobrody i to głównie one rzucały się w oczy, chociaż jego facjata była tak nijaka, że mogłoby ją przyćmić cokolwiek.

- Hej – przywitał się krótko. – Co podać?
- Piwo. Piwo i szota. I jeszcze lód. W szklance.
- Jakie piwo?
- Negra modelo.

– Raz negra modelo, szot, lód, szklanka. Już się robi.

Zaczął się krzątać. LeAnne zobaczyła swoją twarz w lustrze za barem.

Wielkie ciemne okulary, skołtunione włosy, brudna smuga na podbródku. Cruella de Mon w swój gorszy dzień.

– Proszę – powiedział barman, stawiając przed nią zamówienie. – Mogę zrobić dla ciebie coś jeszcze?

„Odczep się. Przestań być dupkiem”.

– Serwetka – zaordynowała LeAnne.

Położył serwetkę na blacie i odszedł. LeAnne owinęła nią kilka kostek lodu i przyłożyła je do głowy, w miejsce, gdzie tam, w głębi, działa się coś bardzo dziwnego; metalowy przedmiot bardzo powoli kruszył się na małe kawałki. Wychyliła szota. W głąb jej gardła spłynęła kula ognia, poczuła, że senność odchodzi. Ból głowy także zaczął ustępować, popiła piwem dwa lub trzy ibuprofeny, żeby całkowicie go przepędzić. Negra modelo – piwo, o którym nigdy nie słyszała przed wizytą w Katarze, i które od tamtej pory stało się jej ulubionym.

– Powtórka – zażądała.

Barman, pogrążony w konwersacji z facetem w kapeluszu siedzącym kilka stołków dalej, odwrócił się w jej stronę.

– Następna kolejka?

– Bingo.

Podał jej kolejnego szota i kolejną butelkę piwa.

– Jeszcze lodu?

– Świetny pomysł.

Przyniósł szklankę wypełnioną kostkami lodu.

– Płatność na końcu?

– Tak jest.

– W takim razie poproszę twoją kartę kredytową.

Wręczyła mu swoją wojskową kartę mastercard.

– Służysz w wojsku?

– Wymustrowałam się.

Roześmiał się. Bokobrody zmieniły kształt.

– To znaczy, że jesteś na przepustce, tak? Trzeba było mówić od razu. Mamy dziesięć procent zniżki dla żołnierzy na służbie. Nabiję ci rabat na poprzednie zamówienie. – Wsadził kartę do czytnika, a potem zwrócił ją jej, kładąc obok mały złożony ręcznik.

W tym czasie LeAnne zdążyła rozprawić się z drugim szotem i płynnie przejść do negra modelo *numero dos*. Ból głowy był już niemal niezauważalny. Cokolwiek działo się na dnie krateru – odkręcanie pokrywki słoika, kruszenie kawałka metalu albo jeszcze coś innego – nie odczuwała tego teraz tak mocno. Nagle do LeAnne dotarły dwa fakty.

Po pierwsze zrozumiała, że barman położył na blacie ręcznik po to, by mogła osuszyć zmoczone topiącym się lodem włosy. Po drugie... tą drugą rzeczą było coś, co umknęło jej kiedyś, kiedy jeszcze przebywała w szpitalu wojskowym. Teraz miała to w garści. Chodziło o... Okazało się, że... Znowu zapomniała. „Niech to szlag”. Będzie piła, aż jej umysł przejdzie na autopilota, wtedy wszystko samo jej się przypomni. Wystarczy jeszcze jedna kolejka albo dwie. Doskonały plan!

Rozłożyła ręcznik i osuszyła włosy. Przetrzepała go swobodnie i z pewnością siebie charakterystyczną dla ładnych dziewczyn. Oczywiście wiedziała, jaką aktorkę przypomina innym ludziom. Słyszała to, odkąd była nastolatką, ale sama nigdy nie wypowiedziała na głos tego nazwiska. Dopija piwo i znowu przyjrzała się sobie w lustrze. Jej twarz była pochmurna i zasepiona, w ogóle nie odzwierciedlała jej nastroju.

Zdjęła okulary. Hej! Nie było wcale tak źle. Z tą opaską przypominała dystyngowanego pirata. Ale może taki wygląd zarezerwowany był wyłącznie dla mężczyzn? Blizny pokrywające prawą stronę twarzy nie wydawały jej się już tak brzydkie – raczej interesujące. Zasługa przyćmionego światła? W końcu siedziała w najciemniejszym kącie Pod Czerwonym Kogutem.

Schowała okulary do kieszeni. Poklepała drewniany blat wysłużony niczym domowy stół.

– Jeszcze raz to samo.

\* \* \*

## **Wstępne badanie w kierunku zespołu stresu pourazowego**

### **Stan psychiczny**

#### **4. Myśli samobójcze, myśli o zabiciu innych osób, wyobrażenia, cele, plany:**

Jej odbicie w lustrze wiszącym za kontuarem baru Pod Czerwonym Kogutem w jakimś mieście w południowej Arizonie, którego nazwy nie zapamiętała, zaczynało coraz bardziej przypominać dawną LeAnne.

W pewnej chwili otworzyły się drzwi frontowe i do baru wszedł kolejny klient. LeAnne nie zaszczyciła go spojrzeniem. Dobrze się czuła w swoim własnym towarzystwie, siedząc przy samym końcu kontuaru, powoli osuszając butelkę negra modelo – za szoty już podziękowała, co za dużo, to niezdrowo – i systematycznie uszczuplając zawartość miseczki z przekąskami, na którą składały się orzeszki, słone paluszki i ażurowe poduszeczki o trudnym do zidentyfikowania smaku. To od nich zaczęła. Potem wzięła się za orzeszki, paluszki zostawiając sobie na sam koniec. Kiedy w miseczce były już niemal wyłącznie paluszki, barman dosypał jej wszystkich trzech wymieszanych składników. Może nawet zrobił to po raz kolejny! Nie wściekła się – trzeba by być niespełna rozumu, żeby wściekać się o coś takiego – i zabrała się za poduszeczki.

LeAnne nie musiała nawet podnosić głowy znad swojej miseczki – i bez tego wiedziała, że nowo przybyły klient usiadł gdzieś między nią a facetem w kapeluszu. Szybko orientowała się w sytuacji – o tej zdolności wspomniano w każdej ocenie jej służby. Dopóki obcy nie próbował się do

niej zbliżyć, wszystko było w porządku. Sączyła piwo i podjadała przekąski – była dzisiaj dosyć głodna. Kiedy ostatni raz jadła prawdziwy posiłek? Nie pamiętała.

Nagle poczuła czyjeś spojrzenie na swojej twarzy, na lewym profilu.

– A cóż to, do licha, jest?

Głos należał do mężczyzny.

LeAnne bardzo powoli obróciła się w jego kierunku o jakieś piętnaście stopni, nie więcej. Sądząc z brzmienia jego głosu, spodziewała się zobaczyć faceta w wieku mocno średnim, pozującego na kowboja z prairii. Okazał się mieszcuchem: gładko ogolonym, krótko ostrzyżonym, mniej więcej w wieku LeAnne. Miał na sobie koszulę z kołnierzykiem przypinanym na guziki, dżinsy i wsuwane buty. LeAnne przypomniała sobie o smudze na podbródku, więc wytarła ją wierzchem dłoni.

– To? – zapytała, podnosząc poduszczkę.

– Nie mam pojęcia, co to takiego. A jestem z branży.

– Z branży producentów przekąsek?

– Trochę szerzej. Zajmuję się zaopatrywaniem lokali gastronomicznych.

– Brzmi... normalnie.

Mężczyzna uśmiechnął się zagadkowo, ale przyjaźnie. Widać było, że ma życzliwy stosunek do ludzi i bez trudu radzi sobie z nawiązywaniem znajomości.

– Normalnie? Co masz na myśli? – zapytał.

– Cudownie normalnie.

– To zależy od punktu widzenia. Z moich obserwacji wynika, że nie ma niczego normalnego w tej branży. Normalna jest tylko porażka, która prędzej czy później, ale zawsze przychodzi. Zazwyczaj prędzej.

– To dlaczego w tym siedzisz? – Znow była dawną, szorstką w obejściu LeAnne. Czy strzelenie kolejnej lufy to dobry pomysł? Dlaczego nie? W końcu od dziecka była świetnym strzelcem. Nieomal roześmiała się w głos.

– Ja nie prowadzę restauracji, ja je zaopatruję – wyjaśnił życzliwie usposobiony mężczyzna.

Ładujący naczynia do zmywarki barman parsknął śmiechem, aż uniosły się brzegi papierowej serwetki leżącej na konturze.

– Im więcej porażek, tym więcej nowych biznesów, a każde nowe przedsięwzięcie to czysta karta i świeża wizja – ciągnął zaopatrzeniowiec.

– Załapałam za pierwszym razem – powiedziała LeAnne, dawna szorstka LeAnne, która przejęła też trochę zgryźliwości od Marci.

A to dopiero! Mogła być lepsza niż była! I jeszcze dołączyć do tego rys Marci!

Uśmiech na twarzy jej rozmówcy przygasł nieco. Facet upił łyk piwa.

– A ty?

– Co ja?

– Czym się zajmujesz, jeśli to nie jest zbyt wścibskie pytanie. Tak przy okazji, mam na imię Kevin. – Przesiadł się o dwa stołki bliżej i wyciągnął do niej rękę.

LeAnne została postawiona przed trudnym wyborem. Mogła albo uścisnąć jego dłoń – prawą, jakżeby inaczej – przez co musiałaby obrócić się do niego całą twarzą i odsłonić to, czego nie chciała odsłaniać, albo zignorować jego gest, co byłoby po prostu niegrzeczne. Mogła też najpierw założyć okulary, a potem wyciągnąć prawicę, ale to byłoby z kolei dziwaczne. Odwróciła się i uścisnęła jego dłoń – małą, jak na dłoń mężczyzny, i chłodną.

– LeAnne – powiedziała.

– Miło cię poznać, LeAnne. – Jego wzrok natrafił wprost na opaskę i poszarpane mięso wokół oczodołu, którego opaska, mimo swoich kreskówkowych rozmiarów, nie była w stanie przykryć. Nie zatrzymał się jednak na tym widoku. Być może panujący w barze Pod Czerwonym Kogutem półmrok wystarczająco skutecznie ukrywał rozmiar szkód. – Czego się napijesz?

– Dzięki, nic mi nie trzeba.

Zerknął na stojącą przed nią butelkę.

– Negra modelo dla LeAnne! – zawołał do barmana. Wychylił resztki ze szklanki i zamaszystym gestem odstawił ją na blat. – Dla mnie jeszcze raz to samo.

Dostali swój alkohol. Kevin wyciągnął szklankę w stronę LeAnne, która stuknęła w nią lekko swoją butelką. Poczowała jego zapach, przyjemny, lekko cytrusowy. Musiała przyznać, że nie tylko ładnie pachniał, ale był także całkiem przystojny i miły w obejściu. Nagle w jej głowie pojawiła się przykra myśl: ona sama prawdopodobnie nie pachnie zbyt ładnie. Mówiąc szczerze, nie mogła pachnieć ładnie. Kiedy ostatnio brała prysznic?

– Wracając do rozmowy – zagaił Kevin – miałaś mi właśnie powiedzieć, albo nie, czym się zajmujesz.

Cholernie dobre pytanie. LeAnne pociągnęła solidny łyk z butelki. Niestety, alkohol na nią nie działał, a już z pewnością nie działał na to, co kłębiło się w ciemnych rozpadlinach jej psychiki.

– Jestem teraz między jednym a drugim etapem życia.

– Spoko – skomentował Kevin. Po chwili ruchem głowy wskazał na jej opaskę. – Kiedy byłem dzieciakiem, też musiałem nosić coś takiego.

– O czym ty mówisz?

Barman, który stał teraz za kranami z piwem i wprowadzał zamówienia na tablecie, nagle zeszywniał.

LeAnne nie miała pojęcia dlaczego.

– No, o tej opasce – Kevin uniósł szklankę w kierunku jej twarzy. – Miałem leniwe oko, opaskę nosiłem na tym sprawnym, żeby...

– Słucham? Uważasz, że mam leniwe oko?

Cofnął głowę, jakby uchylał się przed ciosem. A LeAnne faktycznie miała ochotę wyprowadzić cios.

– Nie, nie. Mówiłem, że to ja miałem leniwe oko, a nie, że...

– Przestań pierdolić o leniwych oczach. – LeAnne zerwała się na nogi.

– Spokojnie! – Kevin uniósł ręce w obronnym geście.

LeAnne nie była w nastroju do tego, by przyglądać się beczynnemu, jak ktoś wymachuje jej łapami przed nosem – i nie miało znaczenia, że ten ktoś wcale rękami nie wymachuje, a tylko wyciąga je ku niej pojednawczo.

– Nie ma powodu, żeby... – Kevin próbował ją mitygować, ale LeAnne szybkim ruchem odepchnęła na bok jego wciąż wyciągnięte ręce.

– Tylko mi nie rozkazuj.

– Ja ci rozkazuję? Nic podobnego. Jezu, ja tylko...

– I nie pieprz mi więcej o leniwych oczach. – LeAnne zrobiła krok w jego stronę, zerwała opaskę i nachyliła się nad nim. – Czy tak twoim zdaniem wygląda leniwe oko?

– O mój Boże – jęknął Kevin i odsunął się gwałtownie.

Jego nozdrza drżały, skrzywił się lekko, z pewnością wyczuwając jej odór.

LeAnne pchnęła go w klatkę piersiową obiema dłońmi, nawet niezbyt mocno, ale ponieważ już wcześniej się odchylił, zatoczył się na stołek i runął z łoskotem na podłogę.

– Hej! – zawołał barman. – Co ty sobie, do cholery, wyobrażasz?

– Cofnij się, kurwa – warknęła LeAnne.

Barman nie posłuchał jej rady. Zamiast tego wyciągnął spod kontuaru kij bejsbolowy. LeAnne chwyciła butelkę negra modelo za szyjkę, roztrzaskała dolną część o krawędź blatu i zaczęła nią wymachiwać w powietrzu. Barman cofnął się i opuścił kij.

– Idź się leczyć – powiedział.

LeAnne wypuściła z ręki potrząskaną butelkę i wymaszerowała z baru. Gdyby tylko miała broń! Wystrzelałaby całe miasto. Była już przy swojej hondzie, kiedy dotarło do niej, że wystrzelanie całego miasta było rzeczą, na którą mieli ochotę wszyscy Wakilowie Razaqowie Salamowie tego świata. Zgięła się wół i zwymiotowała.



Nieco później tego samego dnia LeAnne zameldowała się w motelu usytuowanym nieopodal starego górniczego miasteczka, niecały kilometr za ostatnią jaskrawopomarańczową hałdą. W motelu nie było nikogo oprócz starszej pani w recepcji, która z niechęcią oderwała wzrok od ekranu telewizora. LeAnne dostała zniżkę dla wojskowych – zapewne na podstawie karty kredytowej, bo starsza pani o nic jej nie zapytała – i klucze do najlepszego pokoju z kominkiem kiva.

Najpierw wzięła prysznic, długi i gorący. Umyła włosy i porządnie wyszorowała ciało, raz, drugi i trzeci. Potem wrzuciła wszystkie swoje ubrania do brodzika kabiny, uprała je i wykręciła. To, co się zmieściło, powiesiła na drążku zasłonki prysznicowej, a resztę – dzinsy, bluzę z kapturem i dwa T-shirty – rozłożyła na podłodze. Teraz mogła rozpaść w kominku. Usiadła przed paleniskiem opatulona kocem. Na zewnątrz jęczał i zawodził zimny, porywisty wiatr. Dobrze być samemu ze sobą i mieć tyle czasu na poukładanie własnych myśli. Pierwsza z nich brzmiała: okropnie jest być samemu ze sobą.

Druga myśl: Jamie. Czego chciał? „Już ci mówiłem. Sześć liter, zaczyna się na duże »l«, a kończy na »e«”. Czy ktoś powiedział jej kiedyś coś piękniejszego? A czym ona się odwzajemniła? LeAnne wpatrywała się w pełgające płomienie. Czyżby się z niej naigrywały? Czyżby ich taniec był pełen wrogości i pogardy? Z jakiego powodu? Nietrudno było odpowiedzieć na to pytanie: zawiodła Jamiego, to przez nią stracił życie, przez jej głupotę, niekompetencję, zbyt wysokie mniemanie o sobie lub jakąś inną paskudną cechę. Oto jaką otrzymał nagrodę za swoją miłość: śmierć. Czy zasługiwała, żeby żyć? Płomienie miały odpowiedź także na to pytanie; wytańczyły jej wielkie: „Nie”.

Po raz pierwszy w życiu LeAnne zaczęła zastanawiać się nad sposobem, w jaki mogłaby rozstać się ze światem. Wybierając śmierć przez powieszenie lub podcięcie nadgarstków w wannie pełnej gorącej wody, obnażyłaby się psychicznie. A tego nie chciała. Z kolei przedawkowanie

leków wydawało jej się tchórzliwym rozwiązaniem. Być może powinna rozpędzić się do stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę na pustej drodze i wjechać prosto w jakiś głąz? Co za tragedia, powiedzieliby, zasnęła za kierownicą. Nikogo nie przyprawiłaby o mdłości, w nikim nie wywołałaby poczucia winy, jej przyjaciele i rodzina nie mieliby tylu powodów do bolesnych rozmyślań. Oto jej plan A – efekt bólu ociosanego namysłem.

LeAnne opracowała też plany B, C, D i kolejne, ale żaden z nich nie był lepszy od planu A. Sto pięćdziesiąt kilometrów na godzinę i głąz – nazwijmy to rodzinną tradycją. Płomienie powoli przygasały. Nadal płąsały w złowrogim tańcu, ale coraz bardziej karłowaciały. LeAnne szczelnie owinięta kocem leżała na podłodze najlepszego pokoju w motelu usytuowanym niecały kilometr za ostatnią hałdą jaskrawopomarańczowych kamieni. Ostatecznie zawsze trzeba stawić czoła faktom.

\* \* \*

Następnego ranka zajrzała do recepcji, żeby oddać klucze. Nikogo nie było za kontuarem, ale na jego blacie stał telefon stacjonarny. LeAnne próbowała sobie przypomnieć, gdzie i kiedy po raz ostatni widziała swoją komórkę. Dawno temu. W Afganistanie? Bardzo możliwe. Tylko co z tego? Do kogo miałaby teraz zadzwonić? Czy gdzieś tam był ktoś, z kim mogłaby porozmawiać? Podniosła słuchawkę, wybrała numer do szpitala wojskowego imienia Waltera Reeda i wewnętrzny do gabinetu doktora Machado.

– „Dzień dobry, tu doktor Machado. Przepraszam, ale nie mogę teraz rozmawiać. Proszę zostawić wiadomość po sygnale”.

Piiiip.

– Panie doktorze? Hm, jeśli pan tam jest, chciałabym... chciałabym...

To było jedno z tych kiepskich połączeń, kiedy słyszy się echo własnego głosu. LeAnne usłyszała pogłos swoich słów, niezbyt wyraźnie, ale na tyle dobrze, żeby dojść do wniosku, że brzmi żałośnie. Była żałosna, bezsilna i bezużyteczna, budziła w innych litość. Teraz na dodatek została żebraczką,

która nawet nie wie, o co właściwie żebrze. A przecież nie tak dawno – ledwie kilka tygodni temu – przewodziła innym.

Nie powiedziała nic więcej. Odłożyła słuchawkę, zostawiła klucze na blacie i wyszła. A potem ruszyła. Po chwili prędkościomierz pokazywał dwieście trzydzieści kilometrów na godzinę.

Żadnych dużych głazów po drodze. Co za przypadek! Jechać przez pustynię i nie natknąć się na żaden głaz, żadną topolę amerykańską. LeAnne roześmiała się, najpierw tylko w duchu, potem na głos.

Pędziła przed siebie drogą numer siedemdziesiąt dziewięć prowadzącą do doliny West Valley.

– Cholera, nie mogę nawet... – zaczęła, ale usłyszała nad głową przerażający warkot śmigła obracającego się z dużą prędkością.

Skręciła kierownicę i wcisnęła hamulec. Samochodem zarzuciło kilka razy, zanim zatrzymał się jakieś dwadzieścia czy trzydzieści metrów od drogi. Rzuciła się na podłogę i objęła rękami głowę. Leżała z twarzą przyciśniętą do brudnej gumowej maty; po chwili z jej ust zaczęły wydobywać się dźwięki podobne do cichego skomlenia. Helikopter, zanim się oddalił, okrążył hondę – tak jej się przynajmniej wydawało. LeAnne podniosła się i wysiadła z samochodu. Helikopter leciał na wysokości tysiąca metrów w kierunku północnym, znajdował się teraz jakieś półtora kilometra od niej, wystarczająco blisko, żeby mogła rozpoznać model. Był to hughes MH-6, poznała po jego charakterystycznym jajowatym i nieco pulchnym kształcie.

– To nasi – powiedziała.

Ale kogo innego mogłaby się spodziewać w przestrzeni powietrznej Stanów Zjednoczonych? Nie było powodu do strachu. Jej umysł się uspokoił, ale ciało jeszcze przez chwilę trzęsło się i pociło. Zauważyła, że się posikała. Stała na poboczu drogi z rękami opartymi na biodrach. Obok niej pojawiła się jadąca osiemnastokółowa ciężarówka, której kierowca obrzucił ją spojrzeniem i wcisnął klakson. Potworny dźwięk nie przstraszył jej, jedynie rozwścieczył. Machnęła pięścią w kierunku kierowcy i krzyknęła

coś do niego, ale ciągle ohydne trąbienie zagłuszyło jej głos.

Umyła się w łazience stacji benzynowej położonej na południowym krańcu miasteczka Florence. Zmieniła też dzinsy na te uprane zeszłej nocy. Po co je prała, skoro miała zginąć, zanim ponownie je założy? I czy ktoś, kto zaczyna zawodzić, słysząc przelatujący helikopter, ma w sobie dość siły, by popełnić samobójstwo? Czyżby była tchórzem? A może bardziej niż umrzeć chciała żyć?

Ktoś zapukał do drzwi.

– Zaraz wychodzę! – zawołała LeAnne.

– Proszę się pospieszyć!

\* \* \*

– Jak było? Doszłaś? – zapytał Ryan. – Staralem się nie spieszyć.

Tak, doszła. Bez wątpienia. LeAnne wpatrywała się w sufit swojej sypialni znajdującej się po słonecznej stronie baraku – baraku, który należał teraz tylko do niej – i wpadła jej do głowy dziwna myśl: czy seks to praca, która wymaga okresowej oceny? Przewróciła się na bok i spojrzała na Ryana dzielącego z nią poduszkę: wyglądał na odrobinę zaniepokojonego.

Uśmiechnęła się. A właściwe pozwoliła mięśniom twarzy wrócić do domyślnych ustawień. Uśmiech był i, jak miała nadzieję, będzie już zawsze jej najczęstszym wyrazem twarzy.

– Tak? – powiedział niepewnie.

Skinęła nieznacznie głową.

– Och, to dobrze. Super. – Roześmiał się. Po jego oczach poznała, że zaraz powie coś żartobliwego. – Dobra robota – rzucił.

Tak! Seks to praca! LeAnne też się roześmiała. Śmiała się tak bardzo, że niemal miała łzy w oczach.

– Hej, to nie było aż tak zabawne.

Pukiel włosów zasłonił mu oko, odgarnęła go.

– A tobie jak było? – zapytała LeAnne.

Czerwieniący się chłopak to rzadki widok, ale policzki Ryana zaróżowiły się nieznacznie.

– Dobrze – odpowiedział. – Ale to chyba oczywiste, prawda? Przynajmniej w wypadku facetów.

– Wiem. Wiem. Chodziło mi bardziej o... kurczę, sama nie wiem o co. – Pstryknęła go między oczy, bardzo delikatnie.

Ryan cofnął głowę o kilka centymetrów. Niedawno odbyła się stypa jej ojca. Kiedy? Nie pamiętała dokładnie. Ostatnie dni zostały przyćmione przez ból, wspomnienia i prośby do losu, które nie mogły zostać wysłuchane. W łodówce wciąż leżało kilka faszerowanych jaj.

LeAnne miała bardzo niewiele doświadczeń seksualnych. To był jej czwarty raz z Ryanem – pierwszy udany, jeśli można tak to ująć. Dlaczego zrobili to właśnie teraz? Nie za wcześnie? Czy to był dobry czas, tak zaraz po śmierci ojca? Czy istniały jakieś niepisane zasady, którymi należało się kierować? Zaczęła się zastanawiać, co sądziłby o tym jej tata, ale natychmiast porzuciła te rozważania.

Czwarty raz z Ryanem i piąty raz w ogóle, jeżeli liczyć też epizod po zawodach lekkoatletycznych rok wcześniej, kiedy przespała się z gwiazdorem bieżni z przeciwnej drużyny, który, chociaż był specjalistą od długich dystansów, w łóżku okazał się sprinterem. Zapadło jej w pamięć, jak dziwne, inne od poprzednich, były kolejne tygodnie. Zaraz po tym incydencie miała wrażenie, że on nie chce jej więcej widzieć, zresztą w pełni odwzajemniała to uczucie. W następnym tygodniu zajęła czwarte miejsce w zawodach; po raz pierwszy w swojej licealnej sportowej karierze znalazła się poza podium. Tydzień po tamtym epizodzie, podczas sobotniego treningu na stadionie, przyglądała się chłopakom trenującym na owalnej bieżni bieg na dziesięć kilometrów. Zauważyła, że zawodnik biegnący na czele stawki to jej były – jakby go nazwać? – na pewno nie kochanek. Raczej chłopak na jedną noc. Nie spuszczała z oka swojego ekschłopaka na jedną noc. Robił kolejne okrążenia, był tuż przed linią mety, już miał zerwać taśmę, kiedy

nagle na nią spojrzął. W tej samej chwili potknął się i został wyprzedzony przez kolejnego zawodnika. Zwycięstwo przeszło mu koło nosa. Trener Adelson często tak komentował wyniki swoich podopiecznych: „Zwycięstwo przeszło ci koło nosa”. Obserwując finisz tamtego biegu na dziesięć kilometrów, LeAnne poczuła dziwne podniecenie, nie było to jakieś wyjątkowo intensywne doznanie, ale nie ulegało wątpliwości, że coś poczuła. Niecałą minutę później skoczyła cztery metry i półtora centymetra. Dobra passa wróciła.

– Pytasz, czy to zadziało się na innym... poziomie? O to ci chodzi?

Skinęła głową, tym razem energiczniej.

Ryan milczał. Zamknął oczy. Trzymał je zamknięte dłużej, niż wymagałoby tego zwykłe mrugnięcie. Uniósł powieki. Wyciągnął rękę w jej kierunku, objął ją za szyję i przyciągnął do siebie. Potraktowała to jako „tak”, więc kiedy następnego dnia wspomniał coś o tym, jak bardzo nie może się doczekać września i początku ich studenckiego życia, znalazła w sobie wreszcie dość odwagi, by powiedzieć mu, że zmieniła plany.

– Co takiego? Więc gdzie będziesz studiować? Sprawdzając, czy propozycje z innych uczelni są nadal aktualne? Nie jest za późno? – dopytywał.

Kiedy zastanawiała się, jak ująć to, co chciała mu powiedzieć, dostrzegł coś w jej oczach i wyczuł nadchodzące złe wieści.

– Chyba nie wybierasz się na UCLA? – zapytał.

Ta uczelnia była najbardziej oddalona od Dartmouth.

LeAnne pokręciła głową.

– Zaciągnęłam się.

– Zaciągnęłaś się? Gdzie?

– Do wojska.

– No jasne, West Point to wojskowa uczelnia.

– Nie chodzi mi o West Point. Zaciągnęłam się do regularnego wojska.

– To coś w rodzaju drogi na skróty? Będziesz od razu oficerem?

– Nie możesz zaciągnąć się do wojska jako oficer, Ry.  
– Ale... to znaczy, że będziesz zwykłym... szeregowcem?  
– Dokładnie tak. Będę zwykłym szeregowcem drugiej klasy. O ile przejdę wstępne szkolenie. Zaczynam dziewiętnastego września. Mam się zameldować w Fort Jackson.

Ryan zjechał na pobocze drogi i zatrzymał samochód.

– Co, do diabła? Nie idziesz na studia? To jakiś żart, prawda? Zamierzasz wyrzucić swoje życie do śmietnika?

To nie był żart. LeAnne skrzyżowała ręce na piersiach.

– Jezu, co jest z tobą nie tak? – Przesuwał niespokojnie wzrokiem po otoczeniu, jakby próbował znaleźć odpowiedź na to pytanie. W końcu podniósł dłonie w obronnym geście. – Okej, przepraszam. Moja wina. Rozumiem, że jesteś wytrącona z równowagi. Zresztą, to nawet nie jest odpowiednie słowo, nie oddaje tych wszystkich okropnych rzeczy, które się ostatnio wydarzyły. Ale czy powinnaś podejmować taką decyzję właśnie teraz? Gdy jesteś tak bardzo zestresowana i nie myślisz jasno?

– Człowiek powinien myśleć jasno zwłaszcza wtedy, gdy jest zestresowany.

– Co? Kto ci to powiedział? Ten dupek Adelson? Nabrałaś się na te jego sekciarskie brednie?

– To nie on.

– Więc kto?

– Nikt. Potrafię formułować własne poglądy.

– Tak? No to ten jest do dupy.

LeAnne złapała za klamkę.

– Poczekaj – Ryan nerwowo oblizywał wargi. Jego usta miały piękny kształt. Uwielbiała je całować. W tym momencie chciała cofnąć się o krok lub dwa, ustąpić, zmienić zdanie, postąpić zgodnie z jego wolą. – Chyba wiem, o co tu chodzi, LeAnne. Ale nie możesz naprawić tego, co się stało. Nikt nie może. Poza tym to nie jest twoje zadanie.



– Wiem. Robię to dla siebie. Chcę ruszyć do przodu.

– Co to niby znaczy?

– Chcę robić to, czego pragnę. Chcę wstąpić do wojska.

– Do kurwy nędzy, przecież West Point to jest wojsko. Zdobędziesz tam dobry dyplom. Kiedy skończysz studia, armia przyjmie cię z otwartymi rękami.

– Tak. Ale ja jestem gotowa już teraz.

Spojrzał na nią przeciągle. Wyglądał, jakby opadał z sił, jak cofająca się fala.

– Nie możesz naprawić życia kogoś, kto już nie żyje – powiedział i wjechał z powrotem na drogę.

\* \* \*

– Odebrałam bardzo niepokojący telefon od Melanie Fraser – powiedziała matka LeAnne.

– To matka Ryana?

– Tak.

– Znasz ją?

– Nie znam. A raczej nie znałam do tej pory.

Podszedł do nich kelner. Siedziały przy stoliku w miłej restauracji w Scottsdale; niemal dwie godziny zajęło LeAnne dotarcie tu z drugiego końca West Valley.

– Dzień dobry, pani Marsh – powiedział kelner. – Czy podać pani to, co zwykle?

– Dziękuję ci, Jason. Chciałbym, żebyś poznał moją córkę, moją starszą córkę, LeAnne.

– Cześć – powiedział Jason, wręczając LeAnne menu.

– Cześć.

– Wiem, że lubisz krewetki – wtrąciła matka LeAnne. – Mają tutaj doskonale krewetki na ostro.

– Niestety, dziś ich nie serwujemy – poinformował Jason.

LeAnne zupełnie się tym nie zmartwiła. Rok wcześniej zatrula się krewetkami na klasowej wycieczce do Nogales – ich nauczyciel historii chciał, żeby na własne oczy zobaczyli słynny żelazny płot – i od tamtej pory straciła na nie apetyt. Zamówiła kanapkę z boczkiem, sałatą i pomidorem. Jason skierował się do kuchni. Matka pochyliła się w jej kierunku.

– Podoba ci się to miejsce? Alex jest współwłaścicielem.

– To znaczy, że ty też jesteś współwłaścicielką?

Matka spojrzała na nią.

– W pewnym sensie.

Po rozwodzie zmarszczki wokół jej oczu pogłębiły się, tak samo jak bruzda między brwiami, ale jej ogólna prezencja – fryzura, ubrania, biżuteria – tylko się poprawiła. LeAnne nie miała jednak pojęcia, co dzieje się w głowie matki. Zaskoczył ją jej płacz na pogrzebie ojca. Wtedy myślała, że matka płacze, bo Alex nie chciał przyjść z nią na pogrzeb. Teraz nie była już tego taka pewna.

W tej chwili jej matka była daleka od łez.

– Mniejsza o to – powiedziała. – Chciałam z tobą porozmawiać o tych niepokojących wieściach. Proszę, powiedz mi, że to nieprawda.

„Co w tym niepokojącego?” – pierwsza reakcja, jaka przyszła jej do głowy. Kolejna: „Mam dziewiętnaście lat i to jest wyłącznie moja decyzja”. Postanowiła jednak wytłumaczyć się w inny sposób.

– Wiem, że to trochę niespodziewane. Ale jestem bardzo szczęśliwa, że podjęłam tę decyzję. Jestem gotowa ruszyć do przodu ze swoim życiem.

– O czym ty mówisz? Zacząć studia w West Point to znaczy ruszyć do przodu. – Matka stuknęła szkarłatnym paznokciem w brzeg wypełnionej wodą szklanki. – Nie możesz odpokutować cudzych win.

– Wiem.

– A nawet gdybyś mogła, to nie jest twoje zadanie.

– To też wiem.

- Więc o co chodzi? Jaki jest prawdziwy powód?
- Chcę... być bliżej świata. Chcę zrobić coś dla świata.
- Co to w ogóle znaczy?
- Chcę być tam, gdzie dzieją się ważne rzeczy. A nie w szkole.
- Skąd wiesz, że jesteś gotowa?

LeAnne odchyliła się na krześle. Odruchowo chciała skrzyżować ramiona na piersiach. Czyżby stało się to już jej nawykiem? Opuściła dłonie na kolana. Tego pytania nie można było pominąć milczeniem ani zbyć jakimś frazesem. Zasługiwało na szczerą odpowiedź. „Inteligencję masz po matce. Ale resztę po mnie. Niech Bóg ma cię w swojej opiece”.

– Dobrze pytanie, mamó. Może wcale nie jestem. To będzie dla mnie wielkie wyzwanie. Ale nigdy się tego nie dowiem, jeśli nie spróbuję.

– Nie brzmi to zbyt przekonująco. Wielu ludzi mówi, że kocha wyzwania, ale z mojego doświadczenia wynika, że najczęściej są to tylko puste słowa.

– Ci ludzie niewiele mnie obchodzą.

– Oczywiście. Jesteś uparta jak osioł, dokładnie tak samo jak... – Matka nie dokończyła. LeAnne skrzyżowała ramiona na piersiach, w przeciwieństwie do matki nie zdołała się powstrzymać. – A to? Ciągłe to robisz. Doprowadza mnie to do szału.

– To nie znaczy, że ja...

Jej matka podniosła głos:

– Chcesz wiedzieć, co myślę? Z pewnością nie. Nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości, bo, oczywiście, nie skonsultowałam ze mną swojej decyzji. Ale i tak ci powiem. To wszystko ma podłoże psychologiczne. – Uniosła dłoń. – I nie mówię o jakichś durnych mrzonkach, żeby zadośćuczynić pożalowania godnym... żeby zadośćuczynić temu, co zrobił twój ojciec. Mówię o sobie.

– O sobie?

– Tak. Robisz to, żeby się na mnie odegrać.

– Co takiego? To jakiś idiotyzm!

Twarz matki poczerwieniała. Jej głos zmienił się tak, że brzmiała jak jakaś rozzłoszczona postać z kreskówki.

– Alex dokładnie przewidział twoją reakcję.

– Aaach, więc Alex miał coś do powiedzenia także na ten temat?

– Dlaczego traktujesz go z taką wyższością? Alex to człowiek sukcesu w przeciwieństwie do... nieważne. A wiesz, co jest źródłem jego sukcesu? On rozumie, co nakręca innych ludzi.

– Cóż, na pewno nie wie, co nakręca mnie – powiedziała LeAnne. – I nawet w najmniejszym stopniu nie obchodzi mnie, co sobie myśli. – Twarz matki poczerwieniała jeszcze bardziej. Do LeAnne dotarło, że kontynuowanie tej rozmowy nie ma sensu. Wstała. – Chciałam ci jeszcze tylko powiedzieć, że nie mam za co odgrywać się na tobie. Dzięki za lunch.

– Zaczekaj.

LeAnne nie posłuchała. Wyszła z restauracji, wsiadła do samochodu i wróciła do swojego baraku po drugiej stronie West Valley. Podróż trwała dość długo, ale dopiero w połowie drogi LeAnne przestała trząść się ze zdenerwowania.

Zanim Ryan wyjechał na obóz przygotowawczy dla studentów pierwszego roku, jeszcze kilka razy poszli ze sobą do łóżka. Jednak żadna z tych miłosnych sesji nie umywała się nawet do ich czwartego razu. LeAnne oprawiła w ramkę zdjęcie, które Bernice zrobiła kiedyś na pustyni, i podarowała je Ryanowi jako prezent „na nową drogę życia”. Fotografia przedstawiała dwuramienny kaktus saguaro na tle skalistego grzbietu góry. Bernice napisała na odwrocie fotki: „O jednego za dużo”. LeAnne omal nie dopisała pod spodem „Dla Rya – z miłością”, kiedy jednak wyobraziła sobie jakąś dziewczynę z Dartmouth sprawdzającą, co jest na odwrocie tego zabawnego zdjęcia, zdecydowała się na „Dla Rya – z najlepszymi życzeniami”.

Pożegnalny list od Ryana przyszedł do niej w pierwszym tygodniu

szkolenia. Była jedyną kobietą w grupie; instruktor uczący ich walki wręcz nie wierzył, że wojsko to odpowiednie miejsce dla kobiet, choć fałszywie deklarował zupełnie inne poglądy. Tej nocy LeAnne płakała cicho w poduszkę, po części dlatego, że straciła to, co łączyło ją z Ryanem, poza tym po samym doborze słów w liście domyśliła się, że Ryan ma już kogoś na oku – ale również dlatego, że była samotna. Następnego ranka instruktor wybrał ją do udziału w pokazie walki z użyciem „okrągłaków” – broni treningowej *pugil sticks*. Kiedy LeAnne była dzieckiem, po domu wały się dwie sztuki czegoś takiego. Wyglupiając się razem z tatą, nauczyła się, jak ich używać. Tata pokazał jej na przykład taką sztuczkę: „Robisz dwie szybkie zmyłki lewym końcem. Pierwsza wygląda na zmyłkę, druga na prawdziwy cios, ale nim nie jest. A potem błyskawicznie walisz z prawej”.

Instruktor nie zwracał sobie głowy noszeniem kasku. Zamarkowała dwa ciosy od lewej i przyłożyła mu z prawej. Prosto w podbródek. Na tyle mocno, że jego oczy zaszyły mgłą. Na tyle mocno, żeby dać mu impuls do przemyślenia pewnych kwestii na nowo. W tamtym momencie LeAnne zobaczyła jak na dłoni różnicę między szkołą a prawdziwym życiem. Upewniła się, że jest na właściwej ścieżce.

Aby dotrzeć na Lost Hills Road, LeAnne musiała przejechać przez rozległą metropolię Phoenix, a następnie przez ciągnące się w nieskończoność podmiejskie osiedla. Kiedy wreszcie dotarła do celu podróży, połyskujące srebrzyście słońce chyliło się już ku linii horyzontu, a niebo z błękitnego zrobiło się szaroniebieskie. Lost Hills Road nie zmieniła się ani o jotę. Całą okolicę przeznaczono pod zabudowę i podzielono na parcele, na których jednak nigdy niczego nie wybudowano – wszystkie okoliczne działki były tak samo puste jak wtedy, gdy LeAnne mieszkała tam ze swoim ojcem. Było niemal pewne, że pozostaną puste, przynajmniej do czasu, aż na rynku nieruchomości napęcznieje nowa bańka spekulacyjna. Tak czy inaczej, tata LeAnne kupił tu przed laty prawie pół hektara ziemi. Działka ta, położona przy Lost Hills Road 2241, należała teraz do niej.

LeAnne minęła miejsce, w którym siedziała kiedyś z Ryanem w jego corvette i rozmawiała o tym, ile kilometrów dzieli West Point od Hanoveru w stanie New Hampshire. Po chwili wjechała na podjazd prowadzący na posesję. Podjazd był tak naprawdę zwykłym klepiskiem, które obecnie trudno było odróżnić od otaczających go połąci pustyni. LeAnne zaparkowała samochód tam, gdzie niegdyś stał barak, w którym mieszkała z ojcem. Barak zawsze wydawał jej się zbyt wielki, by nadawał się do transportu, a już na pewno nie po tym, jak tata dobudował do niego werandę. Ale kiedy jakiś czas temu sprzedała go firmie zajmującej się handlem przyczepami mieszkalnymi, okazało się, że jej pracownicy przetransportowali tę monumentalną konstrukcję bez większych problemów. Pieniądze za barak wpłynęły na konto, które LeAnne otworzyła w lokalnym banku nieopodal Fort Jackson.

Fort Jackson nigdy nie stało się dla niej prawdziwym domem, podobnie

jak jej mieszkanie w okolicy Fort Bragg, które wynajęła drobnej, energicznej księgowej i jej równie drobnemu i energicznemu chłopakowi. Dom LeAnne był tutaj, na Lost Hills Road 2241, na osiedlu, które miało dopiero powstać. Wsiadła z samochodu i przez pewien czas po prostu stała. Okulary przeciwsłoneczne nie zdołały ochronić jej oka przed wzmagającym się wiatrem. Podrażnione mocnymi podmuchami powietrza oko zaszło łzami, które sprawiały, że wszystko, na co patrzyła, przypominało miraż. Podobało jej się to. Wokół panowała cisza i spokój. To także jej się podobało.

Noc spędziła w samochodzie, a rano pojechała do sklepu ze sprzętem turystycznym w Surprise i kupiła namiot, śpiwór, składane krzeselko, przenośną toaletę, prysznic turystyczny oraz komplet narzędzi. Wrzuciła zakupy do bagażnika i zajęła miejsce za kierownicą. Po chwili jednak wysiadła, wróciła do sklepu i kupiła szpadel z długim styliskiem. Ponownie wsiadła do samochodu – tylko po to, by chwilę później jeszcze raz powędrować do sklepu. Tym razem kupiła zegarek.

– Czy to już wszystko? – zapytał sprzedawca; możliwe, że chciał sobie z niej zakpić.

LeAnne mogła zareagować na dwa sposoby. Wybrała ten bardziej pokojowy.

– Mam za dużo na głowie, żeby pamiętać o każdej faramuszcze – odpowiedziała.

– Fara... czym?

LeAnne wróciła na Lost Hills Road, odszukała wystającą z ziemi pokrywę zaworu wody i podważywszy ją śrubokrętem, podłączyła do zaworu rurkę prysznica. Potem rozstawiła namiot i o czternastej zero zero wszystko było gotowe. Odkręciła na próbę kurek prysznica – woda była zimna, ale LeAnne zdarzało się już kąpać w znacznie zimniejszej. Wzięła prysznic pod bezkresnym zachodnim niebem, po czym ubrała się, połknęła kilka tabletek ibuprofenu – cztery, może pięć – i wsiadła do samochodu. Przejrzała się w lusterku, poprawiła opaskę na oku oraz przeciwsłoneczne

okulary i wyruszyła na poszukiwanie pracy.

\* \* \*

Poszukiwanie pracy to za dużo powiedziane. Zanim LeAnne zaciągnęła się do wojska, miała tylko jedną stałą pracę i świetnie sobie w niej radziła – teraz musiała tylko poinformować swoich byłych pracodawców, że wróciła i że jest gotowa ponownie objąć swoją dawną posadę. O piętnastej czterdzieści trzy – dobrze było znowu mieć zegarek; LeAnne zanotowała w pamięci, by przy najbliższej okazji kupić także kompas, najlepiej taki, który można przymocować do kierownicy – wjechała na parking biura turystycznego Ukryte Ścieżki Kanionu.

Zauważyła, że szyld został niedawno odmalowany, podobnie jak ściany budynku, w którym mieściło się biuro – niegdyś białe, a obecnie żółto-czerwone. Z dziedzińca zniknęła zagroda, w której rezydował pekari Bruce, a także drucziana klatka grzechotnika Willisa. Poza tym wszystko wyglądało po staremu. LeAnne przejrzała się we wstecznym lusterku i poprawiła okulary, które ciągle przekrzywiały się na prawą stronę, a potem pomaszerowała w kierunku budynku, mijając po drodze wielki, kwitnący ferokaktus. Nachyliła się, by powąchać jego różowe kwiaty, ale nic nie poczuła. Weszła do biura.

Za kontuarem stała wysoka, mocno zbudowana dziewczyna o opalonej twarzy i włosach w kolorze popielatego blondu związanych w koński ogon. Mogła mieć piętnaście, może szesnaście lat. Zajęta była żuciem gumy i składaniem broszur reklamowych.

– Cześć – powiedziała LeAnne. W tej samej chwili zdała sobie sprawę, że nie domknęła drzwi wejściowych. Zawróciła i naprawiła to niedopatrzenie. – Cześć – przywitała się raz jeszcze.

Dziewczyna przyglądała się jej uważnie.

– Mogę w czymś pomóc?

– Tak – odparła LeAnne, ale urwała, rozkojarzona głosem dziewczyny,



który brzmiał starzej, niż powinien brzmieć głos nastolatki. – Przepraszam, ile ty właściwie masz lat?

– Ile mam lat? Dwadzieścia dwa. Czemu pani pyta?

– Bez powodu. – Jak to możliwe, że wyglądała tak młodo? – Po prostu sprawiaasz wrażenie sporo młodszej, to wszystko.

– Hm. W czym mogę pani pomóc? – Dziewczyna, a właściwie kobieta, odsunęła stos broszurek na bok, jakby dla pewności, że będą bezpieczne.

– Chciałabym zobaczyć się z Bernice – powiedziała LeAnne. – Zastałam ją?

– Kim jest Bernice?

– Pani Adelson. Bernice Adelson. Właścicielka tego biura.

Kobieta za kontuarem głośno strzeliła z gumy do żucia.

– Nie ma tu nikogo o tym imieniu.

– Słucham?

– Żadna Bernice tu nie pracuje. A właścicielem jest pan Nasrallah.

Drzwi otworzyły się i do biura wszedł mężczyzna ubrany w kapelusz z opadającym rondem, bojówki i koszulę w stylu safari.

– Uszy mnie pieką – oznajmił z uśmiechem.

– Co proszę? – Kobieta za kontuarem nie rozumiała, o co mu chodziło.

Ale LeAnne zrozumiała od razu.

– To pan nazywa się Nasrallah? – upewniła się.

– Zgadza się. Czym mogę służyć?

Wyglądał na jednego z tych zawsze uśmiechniętych, przyjaznych ludzi o łagodnym spojrzeniu. Ale LeAnne przejrzała go na wylot.

– Nasrallah? Co to za nazwisko?

Jego uśmiech przybladł, ale tylko trochę. Jego oczy w dalszym ciągu patrzyły na nią łagodnie, choć chyba dostrzegła w nich czujny błysk.

– Amerykańskie.

Mądrała. LeAnne umiała radzić sobie z mądralami. Mogłaby go zapytać, czy wie, jak to jest być Amerykaninem z dziada pradziada, ale przecież nie

taki był cel jej wizyty, prawda? Nie. Przyjechała tu po to, żeby... żeby...

– Ona szuka jakiejś Bernice – wtrąciła kobieta. – Bernice Adelson.

– Mogę spytać dlaczego? – zainteresował się Nasrallah.

– Nie pańska sprawa – warknęła LeAnne. – Poza tym Ukryte Ścieżki Kanionu są własnością Bernice i nie próbujcie mi wmówić, że jest inaczej. Wiem, bo tu pracowałam.

– Ach – westchnął Nasrallah. – Prawda jest taka, że to biuro należy obecnie do mnie. Kupiłem je od Bernice sześć lat temu. To przemiła osoba.

– Bernice nie jest już właścicielką?

– Obawiam się, że nie. Chciała z nią pani porozmawiać w jakiejś konkretnej sprawie?

– Tak. – LeAnne odzyskała rezon. – W sprawie pracy.

– W sprawie pracy tutaj?

– A niby gdzie?

Zapadła cisza. LeAnne nie miała pojęcia, dlaczego tych dwoje nagle zamilkło. Czyżby nie dowierzali, że zna się na tej robocie?

– Potrafię zająć się wszystkim – zapewniła. – Mogę oprowadzać wycieczki, prowadzić sklepik i stronę internetową, reperować quady. Co tylko chcecie.

– Rzecz w tym – odezwał się pan Nasrallah – że pozbyłem się już quadów. Nie są szczególnie ekologiczne. Wszystkie wycieczki odbywają się teraz pieszo. Nasi klienci bardzo to sobie chwalą.

– To prawda, może pani sprawdzić na Yelpie – dodała kobieta zza kontuaru.

LeAnne odwróciła się w jej stronę. Czowała... nie potrafiła tego dokładnie opisać. Przypomniała sobie, co Marci powiedziała kiedyś o Iraku: „piekło niby jest pod ziemią, ale czasem wyskakuje na powierzchnię”. Te słowa dobrze oddawały jej uczucia. To, co działo się w jej głowie, było właśnie takim Irakiem. Przyszło jej na myśl, że nosi ten Irak w sobie; że piekło, które wyskoczyło na powierzchnię, musiało się w niej zagnieździć niczym płód

w macicy. Ta myśl odebrała jej nagle wszystkie siły. LeAnne osunęła się na podłogę biura i usiadła nieruchomo, otoczywszy kolana ramionami.

– O Boże, czy dobrze się pani czuje? – zapytał zaniepokojony Nasrallah, a kobieta ruszyła ku niej z butelką wody w ręce.

Oboje pochylili się z troską nad LeAnne. Po minucie lub dwóch doszła do siebie, choć tak naprawdę wcale nie była sobą – nie była tamtą dawną, prawdziwą LeAnne, tylko nową, okaleczoną, nędzną wersją samej siebie. Zignorowała wyciągnięte ku niej ręce i samodzielnie dźwignęła się z podłogi.

– Nic mi nie jest – oświadczyła. – Żadnych pytań.

Przez moment wszyscy troje stali obok siebie zakłopotani. LeAnne nie była pewna, z czego wynikało zmieszanie pozostałej dwójki; ona sama usilnie zastanawiała się nad tym, jak nakłonić Nasrallaha, by zgodził się ją zatrudnić.

– Ehm, domyślam się, że łączyły panią z Bernice dobre relacje? – przerwał milczenie Nasrallah.

– Tak. I z panem Adelsonem również. Był moim trenerem, kiedy chodziłam do liceum.

– Ach, mąż Bernice! Nietuzinkowy człowiek – stwierdził Nasrallah.

Niemal w tej samej chwili otworzyły się drzwi, przez które wkroczyła grupka spoconych i najwyraźniej zadowolonych turystów. LeAnne naliczyła ich siedmioro. Nasrallah pomachał im, po czym odwrócił się do LeAnne, mówiąc:

– To miło, że zechciała nas pani odwiedzić.

LeAnne gorączkowo próbowała wymyślić sposób na to, by skierować rozmowę na właściwie tory albo przynajmniej znaleźć jakiś pretekst, by przedłużyć to spotkanie, ale nic nie przyszło jej do głowy. Ruszyła do wyjścia, przeciskając się przez gromadkę turystów niczym ryba płynąca pod prąd; kiedy znalazła się na zewnątrz, skierowała się do zaparkowanej na dziedzińcu hondy. Wsiadła do środka i zatrasnęła drzwi – i dopiero wtedy

zaświtał jej pewien pomysł. Postanowiła przeprowadzić próbę.

– Czy chodzi o tę opaskę, panie Nasrallah? Mam nadzieję, że pana nie wystraszyła. – Przez chwilę siedziała i wsłuchiwała się w rozbrzmiewające w jej głowie echo wypowiedzianych słów. Potem dodała: – Prawdę mówiąc, panie Nasrallah, sama czasem panikuję na jej widok. Patrzę na tę cholerną opaskę i robię w gacie ze strachu. – Czy tak lepiej? A może gorzej? Czy powinna tam wrócić i przynajmniej spróbować? Długo rozważała ostatnie pytanie, aż nagle wrzasnęła na całe gardło: – Daj mi tę pieprzoną pracę!

\* \* \*

LeAnne jechała przed siebie, starając się o niczym nie myśleć. Miała ochotę zaśpiewać kilka kawałków country, tak jak robiła to Marci, ale nie była w stanie wykrzesać z siebie dość energii. Kiedyś jej się to nie zdarzało. Do tego nagle ogarnęło ją pragnienie; nie było to zwykłe uczucie suchości w ustach – jej organizm rozpaczliwie domagał się wody. Tutejsze pustynne powietrze, które zawsze uwielbiała, od jakiegoś czasu przestało jej służyć; przypominało jej powietrze z innej pustyni, bardzo daleko stąd. Tamta pustynia leżała na drugim końcu świata, ale LeAnne miała wrażenie, że oddycha jej powietrzem każdego przekłętego dnia. Przejeżdżając przez elegancką ulicę jednego z miasteczek w West Valley, dostrzegła kawiarnię z ogródkiem, w której z pewnością można było kupić butelkowaną wodę. Zatrzymała samochód na jednym z ukośnych miejsc parkingowych, po czym wysiadła i...

Nie zauważyła małego psa na smyczy uwiązanego do stojaka na rowery, który znajdował się w prawym dolnym rogu jej pola widzenia. Jakżeby inaczej – nieszczęsny prawy dolny róg – ciągle się z tym zmagala do momentu, gdy wreszcie zdobyła się na odwagę... Stop! Nie wyprzedzajmy biegu wydarzeń. W tamtej chwili potknęła się o smycz, straciła równowagę i z impetem runęła na chodnik.

Padając, wydała głośny, gardłowy okrzyk. Tuż po nim rozległ się stukot

koziołkujących po betonie okularów przeciwsłonecznych i wściekły jazgot psa. LeAnne przetoczyła się na plecy. Skupiła się na dwóch rzeczach – po pierwsze jak najszybciej odszukać okulary; po drugie jak najmocniej kopnąć skowyczącego psa. Kiedy w końcu udało jej się wstać, zobaczyła przed sobą mężczyznę, który podał jej okulary.

– Proszę pani...

LeAnne wyrwała mu okulary z ręki i błyskawicznym ruchem umieściła je na nosie. Miała nadzieję, że zdążyła zrobić to na tyle szybko, by mężczyzna nie dostrzegł wszystkich szpecących ją blizn.

– Kiedy to się, kurwa, wreszcie skończy?

– Ehm, przepraszam – wybąkał dobry samarytanin. Był nieco wyższy od niej, dobrze ubrany, zadbany i możliwe, że całkiem przystojny. – Nie chciałem... – Mężczyzna urwał, a jego brwi uniosły się do góry. – LeAnne?

Cofnęła się o krok, by móc dokładniej przyjrzeć się jego twarzy. Miał piękne usta.

– To ja – powiedział mężczyzna. – Ryan. Ryan Fraser.

Zanim dotarły do niej te słowa, z ogródka kawiarni wybiegł mały chłopiec, który chwycił na ręce skowyczącego psa.

– Tatusiu! Tatusiu! Ona nadepnęła na Lou!

– Och, Calebie, jestem pewien, że to był wypadek. Poza tym ta pani to moja przyjaciółka. Tak się cieszę, że cię widzę, LeAnne. To Caleb, mój syn. Caleb, przywitaj się z panią Hogan. A może wyszłaś za mąż i zmieniłaś nazwisko? Musisz mi wszystko opowiedzieć.

Ryan uśmiechnął się do niej promiennie. Caleb tymczasem zadarł głowę i nie odrywał wzroku od LeAnne, głaszcząc jednocześnie Lou, który nie przestawał jazgotać. Krótko mówiąc, przypominało to dom wariatów – dom wariatów, którego ściany napierały na LeAnne ze wszystkich stron.

LeAnne utkwiała spojrzenie w gapiącym się na nią chłopcu. Nie przyszło jej do głowy, że Caleb i tak nie widzi jej oczu, ukrytych za ciemnymi szklami okularów przeciwsłonecznych.

– Nie nadepnęłam na twojego głupiego psa.

Caleb osłupiał. LeAnne dostrzegła zdumienie malujące się na jego niewinnej, dziecięcej twarzyczce. „Życie jest brutalne i z nikim się nie cacka, mały”.

Ryan zaśmiał się speszony, tak jak ktoś, kto właśnie usłyszał spalony dowcip. LeAnne poczuła jego dłoń na ramieniu; pokierował ją delikatnie w stronę kawiarnianego ogródka.

– Nikomu nic się nie stało – powiedział. – Chodź, LeAnne. Poznasz resztę mojej rodziny.

Znalazła się przy stoliku w rogu ogródka. Na blacie nakrytym białym obrusem spoczywały ciężkie srebrne platery, elegancka porcelana i wazonik ze świeżymi kwiatami.

– Słuchajcie wszyscy, przedstawiam wam LeAnne Hogan. LeAnne, poznaj moją żonę Danę. A to moje pozostałe dzieciaki... – Ryan wymienił imiona chłopca i dziewczynki, jednak LeAnne nie zwróciła na nie uwagi. Gównu ją to obchodziło. Myślała tylko o tym, jacy ci ludzie są piękni, szczęśliwi i bogaci. Ich życie musiało przypominać cudowny sen; LeAnne przyszło nagle na myśl, że ten sen ziścił się dzięki harówce tych, dla których życie było koszmarem.

Dana uśmiechnęła się; był to niewymuszony, szczery uśmiech – taki, który od razu budzi sympatię.

– Bardzo miło mi cię poznać, LeAnne. Choć muszę przyznać, że zawsze trochę ci zazdrościłam.

– Zazdrościłaś? – LeAnne spojrzała na siedzącą przy stoliku kobietę. Czyżby była to jedna z jej dawnych sportowych rywalek? Twarz Dany nie wydawała się znajoma.

– Tego, że byłaś pierwszą miłością Rya. No, ale jestem skłonna ci to wybaczyć! Może się do nas przysiądziesz? – Dana podsunęła LeAnne wolne krzesło.

– Świetny pomysł – podchwycił Ry. – Napijesz się czegoś? A może

masz ochotę na jakiś deser? Mają tu świetne sorbety, nasze dzieciaki je uwielbiają.

LeAnne stała obok pustego krzesła. Na stole w srebrnych miseczkach pyszniły się zielone, pomarańczowe i białe gałki sorbetu. LeAnne dostrzegła też koszyk pełen brownie i kruchych ciasteczek. W powietrzu unosił się mocny, smakowity zapach, a LeAnne nie pamiętała już, kiedy ostatnio coś jadła – nie potrafiła sobie jednak wyobrazić, że siedzi przy tym stole. Nie potrafiła sobie nawet wyobrazić, że przy nim stoi, choć przecież właśnie to robiła.

Ryan zachęcająco poklepał wolne krzesło.

– No więc, co teraz porabiasz? Wróciłaś tu na stałe? Zdaje się, że nasze mamy spotkały się przypadkiem kilka lat temu, ale nie pamiętam zbyt wielu szczegółów.

LeAnne uznała, że skoro już znalazła się w tym domu wariatów, to powinna powiedzieć coś zabawnego.

– Ja też nie – wypaliła.

Ryan roześmiał się, a Dana mu zawtórowała.

A gdyby tak wykorzystać ograny w filmach motyw i ni z tego, ni z owego opuścić to roześmiane towarzystwo? Może da się przejść przez życie, wzorując się na oklepanych chwytach z filmowych scenariuszy. Powinna zrobić sobie listę takich klisz i przyczepić ją do deski rozdzielczej w samochodzie. Na początek sięgnęła do koszyka i wzięła z niego pełną garść brownie i kruchych ciasteczek, a potem odwróciła się i odeszła od stolika.

– LeAnne?

Towarzystwo przy stoliku nie przestawało się śmiać, jednak w miarę jak malało prawdopodobieństwo, że zachowanie LeAnne to jakaś forma żartu, w ich śmiechu coraz wyraźniej pobrzmiwała nuta niepewności. LeAnne słyszała ten śmiech nawet wtedy, gdy wsiadała do samochodu i odjeżdżała, jedną ręką trzymając kierownicę, a drugą wpychając sobie słodycze do ust.

Ciasteczka okazały się tak suche, że LeAnne od razu wypluła je z obrzydzeniem.

\* \* \*

Kiedy dotarła z powrotem na Lost Hills Road 2241, zauważyła na swojej posesji nieproszonego gościa. A właściwie nie tyle samego gościa, co jego samochód: małego, czarnego sedana z naklejonym na tylną szybę kodem paskowym. Po takich nalepkach można było rozpoznać samochody z wypożyczalni – dowiedziała się tego od swojego byłego chłopaka, kapitana łodzi czarterowej w Islamoradzie, prawdziwej skarbnicy tego rodzaju przydatnych ciekawostek. Zabawny był z niego gość; LeAnne przypomniawszy sobie teraz, jak błagał – „Błagam cię, kochanie” – by odeszła z wojska i wyszła za niego za męża.

Stłumiła w zarodku myśl o tym, „co by było gdyby”. Zaparkowała obok czarnego sedana i wysiadła z samochodu. W tym samym momencie uchyliła się poła namiotu, z którego wynurzył się mężczyzna o łagodnej twarzy, ubrany w granatowy mundur z podwójnymi srebrnymi belkami na wyłogach.

– Co, do cholery, robi pan w moim domu? – zapytała.

– Dzień dobry, LeAnne – przywitał się mężczyzna. – Chciałem tylko sprawdzić, czy nie ma pani w środku. Proszę się nie gniewać.

Facet przesunął się w prawo, przez co LeAnne trudniej go było obserwować. Kapitan amerykańskiej armii, który znał jej imię i wiedział, gdzie należy jej szukać. W dodatku chyba go już gdzieś wcześniej widziała.

– Jak się pani miewa? – zapytał. – Wygląda na to, że trochę pani schudła.

Próbowała przyjrzeć mu się uważnie, ale jej osamotnione lewe oko nie radziło sobie zbyt dobrze.

– Nazywam się Stallings, z G-2 – przedstawił się. – Poznaliśmy się w szpitalu imienia Waltera Reeda. Oczywiście, ma pani prawo tego nie pamiętać. To całkiem zrozumiałe, biorąc pod uwagę ura... leki, które pani



zażywała.

– Pamiętam – oświadczyła; fragmenty wspomnień w samą porę ułożyły się w całość. – Po co pan przyjechał? I jak pan mnie tu znalazł?

– Zanudziłbym panią, gdybym odpowiedział na drugie pytanie. Po prostu, rutynowa robota – stwierdził, a LeAnne uświadomiła sobie, że G-2 to wywiad wojskowy.

– Co do powodów mojej wizyty – ciągnął Stallings – to mam dwa. A właściwie trzy, bo pierwszym była chęć sprawdzenia, jak sobie pani radzi. No właśnie, jak sobie pani radzi?

– Dobrze.

– Miło mi to słyszeć. Doktor Machado zaniepokoił się, kiedy bezskutecznie próbował do pani oddzwonić. Prosił, żeby przekazać, że czeka na pani telefon. Chętnie z panią porozmawia, o czym tylko pani zechce.

LeAnne zbyła to machnięciem ręki. Nie miała ochoty rozmawiać z doktorem Machado na żaden temat ani teraz, ani nigdy.

– Doktora Machado niepokoi coś jeszcze i to właśnie jest drugi powód mojej wizyty. Wszyscy w szpitalu martwią się, że nie zabrała pani ze sobą swoich tabletek.

– Niech pan im poradzi, żeby poszukali sobie innych zmartwień.

Stallings skinął głową.

– Przywiozłem pani trochę leków, zalecenia odnośnie do ich dawkowania i numery telefonów do lokalnego biura urzędu do spraw kombatantów w Phoenix. Plus kilka innych rzeczy, które zostawiła pani w szpitalu. Wszystko jest w namiocie.

LeAnne wzruszyła ramionami.

– A skoro już o namiocie mowa... Muszę powiedzieć, że nieźle się pani tutaj urządziła. Zastanawiam się tylko, jak długo zamierza pani tu zostać.

– Co to pana obchodzi? Czyżbym nadal była w czynnej służbie?

– Formalnie rzecz biorąc, chyba tak. Do czasu rozwiązania kontraktu. Jest jeszcze trzeci powód, dla którego tu przyjechałem. Chciałbym móc się

z panią skontaktować, gdyby zaszła taka potrzeba. Domyślam się, że nie posiada pani obecnie telefonu.

– I co w związku z tym?

– W związku z tym – odparł, wyciągając z kieszeni czerwony telefon komórkowy – może zechciałaby pani korzystać z tego. Obiecuję, że będę dzwonił tylko w ważnych sprawach.

LeAnne nie ruszyła się z miejsca, by sięgnąć po trzymany przez Stallingsa czerwony telefon. Kryjący się za jej pustym oczodołem siłacz ocknął się nagle i najwyraźniej postanowił nadrobić stracony czas, bo zaczął ze zdwojoną energią wykonywać swoją przeklętą pracę. LeAnne pomyślała o lekach, które czekały na nią w namiocie.

– Kiedy mówię o ważnych sprawach, mam na myśli nie tylko te ważne dla mnie, dla G-2 albo dla wojska – powiedział Stallings. – Chodzi mi o sprawy, które są ważne także dla pani.

– Nic z tego nie rozumiem.

– W takim razie proszę pozwolić mi zaprosić panią na kolację. Proszę wybrać jakieś miejsce. Zjemy coś i przy okazji spróbuję pani wszystko wyjaśnić.

LeAnne spróbowała wyobrazić sobie, że je kolację w restauracji w towarzystwie tego albo jakiegoś innego mężczyzny, ale nie była w stanie. Czy aby na pewno? Tak naprawdę jej myśli uparcie dryfowały ku Islamoradzie. Ale przecież kapitan czarterowej łodzi mógł się już ożenić. A nawet jeśli nie był żonaty, to co ona mogłaby mu zaoferować – co mogła zaoferować jakimukolwiek mężczyźnie?

– Nie jestem głodna – powiedziała.

– W porządku – odparł Stallings. – Może innym razem. Ale zanim pojedę, chciałbym jeszcze zadać kilka pytań na temat pani tłumaczki.

– Katie?

LeAnne nie miałyby nic przeciwko temu, by znaleźć się teraz w jej towarzystwie. Katie zawsze potrafiła ją rozbawić swoimi ironicznymi

komentarzami, które wygłaszała nienaganną angielszczyzną zza zakrywającej jej twarz zasłony, podczas gdy przygłupi faceci zajęci byli psuciem wszystkiego, co tylko dało się zepsuć. „Och, niewątpliwie, szanowny panie”.

Stallings uśmiechnął się. Kiedy się uśmiechał, łagodne rysy jego twarzy na moment tężały.

– Przypomniało się pani coś zabawnego? – zapytał.

Co, u diabła? Czyżby ten koleś potrafił czytać w myślach?

– Katie – odpowiedziała. – Katie potrafi być zabawna.

– Doprawdy? W jaki sposób?

– Trudno to wyjaśnić – odparła LeAnne.

– Proszę spróbować.

Stallings zaczynał działać jej na nerwy. Był od niej nieco wyższy, jednak nie więcej niż o centymetr lub dwa; miał też wąskie ramiona i dość wątlą klatkę piersiową, przynajmniej w porównaniu z większością mężczyzn, jakich znała.

– Proszę – dodał. – Pomogłaby mi pani wypełnić moje obowiązki.

– Pańskim obowiązkiem jest ustalić, w jaki sposób zabawna jest Katie?

– Ta praca może się czasem wydawać dziwna.

Czy kiedy to mówił, jego głos lekko zadrżał? Może ten granatowy mundur ciążył osobie, która go nosiła? LeAnne sama nigdy tego nie doświadczyła, ale podczas swojej wojskowej kariery widywała sporo takich przypadków.

– Nie wiem, czy inne afgańskie kobiety są takie jak Katie – powiedziała LeAnne. – Prawdę mówiąc, wątpię. Katie potrafiła świetnie naśladować brytyjski akcent, a do tego miała typowo brytyjskie, drwiące poczucie humoru.

– Z czego drwiła? – zapytał Stallings.

– Z tego całego gówna.

– Na przykład? – dociekał oficer.

- Z tego, jacy są mężczyźni – odparła.
- Afgańscy mężczyźni?
- Tak.
- Sądzi pani, że nie darzyła ich szacunkiem?
- Ja to wiem.
- Może robiła to na pokaz? – zapytał Stallings.
- Że co? Do czego pan zmierza?
- Być może Katie zależało na tym, by pani uwierzyła, że ich nie szanuje
- odpowiedział.
- Dlaczego miałyby jej na tym zależeć? Zresztą to nie w jej stylu.
- Co jest nie w jej stylu?
- Takie kombinacje. Katie to prostolinijna dziewczyna.
- Szydzenie z ludzi w języku, którego nie rozumieją, ma niewiele wspólnego z prostolinijnością – zauważył Stallings.

Zerwał się zachodni wiatr, który zaczął targać płótnem namiotu. Wyglądało to zupełnie tak, jakby... jakby w namiocie ktoś się ruszał. LeAnne jednego była absolutnie pewna: temu mężczyźnie nie można było ufać. Ruszyła naprzód – niemal otarła się o Stallingsa, który stracił równowagę i ku satysfakcji LeAnne wyraźnie się zachwiał – po czym wparowała do namiotu, gotowa rzucić się na ukrywającego się tam intruza; chciała go dorwać i dać mu wycisk... NA MAXA.

Ale w namiocie nie było żywej duszy. Wszystko wyglądało dokładnie tak jak wcześniej – z wyjątkiem torby na zakupy, leżącej obok plecaka LeAnne. Podniosła ją i zajrzała do środka. Torba zawierała buteleczki z tabletkami, jedną czy dwie koperty, a także małe etui. Otworzyła obciążone skórą wieczko i zobaczyła swoją Brązową Gwiazdę. Zupełnie o niej zapomniała.

– To pani leki i kilka drobiazgów, których nie zabrała pani ze szpitala – usłyszała głos Stallingsa dobiegający z za poły namiotu. – Pomyślałem, że może zechce pani je zatrzymać.

LeAnne wyszła na zewnątrz. Niewiele brakowało, a wpadłaby na stojącego tuż przy wejściu do namiotu Stallingsa. Nie cofnęła się jednak.

– Czego właściwie pan ode mnie chce?

Oficer ujął jej prawą rękę w swoje dłonie; zrobił to powoli i ostrożnie, jakby LeAnne była dzikim zwierzęciem. Spodobała jej się ta myśl; postanowiła to sobie zapamiętać.

– Nie chce pani zrozumieć, co naprawdę się wtedy wydarzyło?

– Nie ma tu nic do rozumienia – odpowiedziała i cofnęła rękę. – Spieprzyłam to.

Stallings pokręcił głową.

– Nie miałbym nic przeciwko temu, żeby tak właśnie było. Sprawa byłaby jasna i można by ją zamknąć. Sęk w tym, że fakty, które udało mi się ustalić, wskazują, że nie można obarczyć pani winą za to, co się stało.

– I dlatego uznał pan, że winna jest Katie?

– Nie mogę wykluczyć takiej możliwości. Zastanawiam się, czy pani mogłaby to zrobić?

– Niby w jaki sposób?

– Proszę wyjaśnić mi, gdzie pani była, kiedy eksplodował granat. Podczas każdej misji tłumacz powinien przez cały czas znajdować się u pani boku. Tego wymagają przepisy.

– Chce pan, żebym spróbowała to sobie przypomnieć?

Potwierdził nieznacznym ruchem głowy.

Wróciła myślami do tamtej nocy; wygrzebała z pamięci ciemne i krwawe strzępy wspomnień i szybko je odrzuciła.

– Nic z tego – oświadczyła. – Niczego nie pamiętam.

Stallings przyglądał się jej przez chwilę. Czy jego wzrok wyrażał niedowierzanie? A może coś zupełnie przeciwnego? Tak czy owak, LeAnne miała to w dupie. Powinien już sobie pojechać. Oczywiście zanim odjedzie, wręczy jej swoją wizytówkę albo wykona jakiś inny profesjonalny gest – wszystko po to, by nie wymknęła mu się z rąk.

Ale Stallings nie wyciągnął wizytówki.

– Nie będę się już pani naprzykrzał – powiedział i pomaszerował w kierunku swojego małego, czarnego sedana.

LeAnne weszła do namiotu i położyła się. Usłyszała dźwięk otwieranych, a następnie zatraskiwanych drzwi samochodu. Po chwili drzwi ponownie otworzono i zamknięto, jednak tym razem dźwięk był inny, jakby cichszy – może były to drzwi innego samochodu? LeAnne zdawała sobie sprawę, że te rozważania nie mają sensu, ale mniejsza o to; rzecz w tym, że jej słuch był teraz wyczulony jak nigdy wcześniej. Niestety, to jedyna pozytywna zmiana, jaka zaszła w jej życiu; lista zmian na gorsze była o wiele dłuższa. Rozległ się dźwięk uruchamianego silnika i Stallings odjechał. Podmuchy wiatru uderzały w namiot, który poruszał się niczym żywa istota. Z ciemnych i krwawych skrawków wspomnień LeAnne wyłonił się obraz postrzępionych nogawek dzinsów i stóp obutych w tkane pantofle. LeAnne zaczęła drżeć; nie potrafiła nad tym zapanować. W końcu przypominała sobie o lekarstwach w torbie na zakupy. Wsunęła rękę do torby i po omacku wyszukała buteleczki z medykamentami. Połknęła garść pigułek z różnych opakowań.

Nazajutrz rano LeAnne przez kilka pierwszych minut po przebudzeniu nie czuła właściwie nic. Potem jej samopoczucie zaczęło się stopniowo pogarszać: najpierw poczuła się nie najlepiej, następnie całkiem kiepsko, a w końcu jeszcze gorzej niż wcześniej – to znaczy gorzej niż przed zażyciem tych wszystkich tabletek, którymi nafaszerowała się poprzedniego dnia. Uchyliła płachtę namiotu i wpuściła do środka trochę światła – nieznośny blask zdążył ją oślepić, zanim założyła opaskę i okulary przeciwsłoneczne – a potem zaczęła przetrząsać swoje rzeczy, dopóki nie znalazła wszystkich buteleczek z lekarstwami.

Samobójstwo cały czas stanowiło realną opcję, ale LeAnne nigdy nie popełniłaby go w taki sposób, szpikując się lekami. Była przecież wojowniczką – nawet jeśli mogła tak o sobie myśleć wyłącznie w czasie przeszłym – i nikt nie mógł jej tego odebrać.

Powędrowała na porośnięty pasem jeżyn najdalszy kraniec posesji. Cisnęła daleko przed siebie otwarte buteleczki; tabletki wysypały się i poszybowały w powietrzu niczym chmara maleńkich, jasnych pocisków. Po powrocie postanowiła wziąć prysznic. Zadarła głowę i piła zimną wodę, a potem pozwoliła, by zimny strumień biczował jej ciało. Poczuła, że krew w jej żyłach zaczyna szybciej krążyć. Pomyślała, że każdy wojownik potrzebuje broni. Przypomniała sobie Małego Obrońcę. Co się z nim stało?

LeAnne kończyła się ubierać w namiocie, kiedy usłyszała odgłos zbliżającego się samochodu.

– Stallings, ty dupku – mruknęła i wyszła na zewnątrz, zapinając pasek od spodni; chociaż zapięła go na ostatnią dziurkę, pasek i tak wydawał się zbyt luźny.

To nie był Stallings. Za kierownicą nowiutkiego range rovera siedziała

kobieta. Samochód wjechał na podjazd, ostrożnie wyminął niewielki wybój, po czym zatrzymał się obok należącej do LeAnne hondy. Wsiadła z niego kobieta w średnim wieku, ubrana w kremowe spodnie i żółtą bluzkę; jej szyję zdobił sznur grubych pereł. Miała staranny makijaż i krótkie jasne blond włosy – takie chłopięce fryzury mogą być bardzo kobiece, pod warunkiem że noszą je właściwe kobiety. Ta, która wysiadła z range rovera, z pewnością się do nich zaliczała. Musiała zbliżyć się o kilka kroków, by LeAnne rozpoznała w niej swoją matkę.

Kiedy matka podeszła jeszcze bliżej, LeAnne zauważyła, że jej twarz była niezwykle gładka, wolna od jakichkolwiek skaz czy zmarszczek. Nie dostrzegła nawet żadnych... jak nazywają się te drobne zagłębienia na skórze w okolicy oka? Kurze łapki, o właśnie. Jakim cudem udało się jej pozbyć kurzych łapek? LeAnne miała przed sobą idealny przykład zjawiska, o którym często się słyszy, lecz rzadko się je widuje: pięknie starzejącą się kobietę. Coś było jednak nie w porządku. LeAnne poznała to po oczach matki i po zmieniającym się wyrazie jej twarzy, na której odmalowały się nagle szok, przerażenie i ból. W tej samej chwili LeAnne zdała sobie sprawę, że nie założyła opaski ani okularów.

– Och, kochanie – powiedziała jej matka i zrobiła parę szybszych kroków. Nagle natrafiła obcasem na jakąś nierówność, zachwiała się i niewiele brakowało, by upadła i upuściła trzymaną w ręce plastikową torbę. Odzyskawszy równowagę, ruszyła ponownie ku LeAnne. Rozłożyła powoli ramiona, tak jakby zamierzała wziąć córkę w objęcia. Co to niby ma być, pomyślała LeAnne. Zauważyła, że matka wpatruje się w prawą stronę jej twarzy, pokierszowaną i obnażoną. Nie wiedziała, jak się zachować, więc po prostu stała i czekała. Matka podeszła i objęła ją, a LeAnne poczuła, jak plastikowa torba objaja się lekko o jej plecy. Matka mocno ją przytuliła. – Moja kochana dziewczynka.

LeAnne pozwoliła się obejmować, ale sama trzymała ręce sztywno wzdłuż ciała. Jej ramiona zrobiły się wilgotne od łez matki.



– Jesteś taka chudziutka, LeAnne. O wiele, o wiele za chuda.

– Nieprawda.

– Och, ależ tak – upierała się matka. – Taka chudziutka, dokładnie tak, jak powiedział twój kolega.

– Jaki kolega?

– Ten miły oficer... Zdaje się, że nazywa się Stallings. Powiedział, że przypominasz zjawę. Kiedy widziałyśmy się w Niemczech, nie byłaś tak strasznie wychudzona.

LeAnne przypominała sobie o „roz. z matką” i zaczęła szukać w zakamarkach pamięci jakichś szczegółów.

– Byłaś w Landstuhl?

Matka pokiwała głową.

– Nie martw się. Uprzedzono mnie, że możesz mieć... problemy z pamięcią.

Problemy z pamięcią. Co do tego nie było wątpliwości. Czy ostatnio nie próbowała sobie czegoś przypomnieć? Ależ tak, chodziło o sprawę numer dwa. Tylko co to niby miało znaczyć? LeAnne poczuła woń rozgrzanego metalu. Nie była w stanie określić, skąd dochodził ten zapach.

– Czujesz coś? – spytała matkę.

– To pewnie to. – Matka wyjęła pudełko z plastikowej torby i podsunęła je LeAnne. – Prosiłaś o nie w Niemczech.

LeAnne nie otworzyła pudełka. Wyobraziła sobie, że podnosi wieczko i w tej samej chwili następuje eksplozja. Może i była to porąbana myśl, ale co z tego? Porąbane rzeczy się zdarzają i to całkiem często. Wieczko uniosła w końcu jej matka. Pudełko nie wybuchło. Okazało się, że skrywało przysmak sprzed lat: starannie ułożone piernikowe ludziki z jasnozielonymi oczami. LeAnne się rozpląkała. Nie był to histeryczny szloch ani nagły potok łez; płakała wolno i tak jakby miała nigdy nie skończyć. Obie z matką padły sobie w ramiona, a piernikowe ludziki wysypały się z pudełka i roztrzaskały na kawałki na twardej pustynnej ziemi. Mijały kolejne minuty,

a matka i córka wciąż trwały związane w uścisku.

\* \* \*

Siedziały w namiocie: LeAnne na śpiworze, a jej matka na składanym krzeselku. LeAnne założyła swoją opaskę, ale okulary trzymała na kolanach. W namiocie ciemne szkła za bardzo ograniczały widoczność, a poza tym co miałyby pod nimi ukrywać? Jej matka i tak zobaczyła już wszystko, co było do zobaczenia.

– Pan Stallings uważa, że powinnaś wrócić do szpitala.  
– Żeby mógł śledzić każdy mój ruch?  
– Dlaczego miałyby to robić? Nawiasem mówiąc, zdążyłam kupić bilet na samolot na przyszły wtorek.

– Na jaki samolot?  
– Chciałam odwiedzić cię w szpitalu.  
– Przykro mi, że pokrzyżowałam ci plany.  
– Nie to miałam na myśli. Chodziło mi o to...  
– Nieważne – ucięła LeAnne. – Nie wrócę tam.  
– Odniosłam wrażenie, że twoje leczenie nie dobiegło jeszcze końca. Pan Stallings powiedział...

– Nie chcę więcej o nim słyszeć.  
– Jak sobie życzysz. Właściwie tak będzie o wiele lepiej.  
– Wszędzie jest lepiej niż w szpitalu.  
– Mówię o tym, co będzie dalej.  
– To znaczy?  
– Zamieszkaś ze mną, to przecież oczywiste. Ze mną i z Alexem. Przedyskutowaliśmy to, wszystko jest ustalone. Wszystkie dzieciaki, to znaczy pozostałe dzieciaki, wyprowadziły się już na swoje, będziesz mogła wybrać sobie sypialnię.

Wybrać sobie sypialnię? Dobrze. Niech będzie to sypialnia Marci.

– Co cię tak rozbawiło?

– Nic – odpowiedziała LeAnne.

Jej matka rozejrzała się po namiocie.

– Wybacz, że znowu wspominam o panu Stallingsie...

– Kapitanie Stallingsie, na litość boską.

– Przepraszam, o kapitanie Stallingsie. No więc kapitan Stallings powiedział, że otrzymałaś... protezę okulistyczną. Zdaje się, że użył takiego właśnie określenia.

– No i?

– Czy mogłabym ją zobaczyć?

– Dlaczego chcesz ją zobaczyć?

– Bo jestem twoją mamą. Mamy robią takie rzeczy.

– Coś w stylu przymierzania sukienek na studniówkę?

Matka wstała, zbliżyła się do LeAnne i ucałowała ją w czubek głowy.

– Tak, coś w tym stylu.

Zapadło długie milczenie. Matka pochyliła się nad nią. LeAnne poczuła wspaniały, niesamowity zapach; tak muszą pachnieć kwiaty na ślubach sławnych ludzi.

– Plastikowe pudełko w plecaku – powiedziała LeAnne.

Matka wsunęła rękę do plecaka, po czym wydobyła z niego plastikowe etui. LeAnne obróciła się, by mieć lepszy widok na matkę, która właśnie otwierała pudełko.

– Ojej – westchnęła matka LeAnne. – Nie wiedziałam, że masz ich kilka do wyboru.

Przysunęła pudełko do światła wpadającego przez uchylone połę namiotu. LeAnne przypomniała sobie powiedzonko: „Nie wiadomo, czy się śmiać, czy płakać”. Tak właśnie się czuła, gdy patrzyła na minę, z jaką jej matka lustrowała zawartość pudełka – wyglądała jak klientka luksusowego butiku.

– Środkowe będzie chyba najlepsze, nie uważasz?

Podeszła do LeAnne, by mogły wspólnie przyjrzeć się zawartości

pudełka: trzem sztucznym gałkom ocznym, z których każda umieszczona była w osobnej, wyściełanej aksamitem przegródce. Matka wyciągnęła dłoń – jej nienagannie pomalowane paznokcie miały barwę kości słoniowej – i wskazała środkową przegródkę.

– Ktoś mógłby powiedzieć, że twoje oczy są błękitne, ale to nie dość dokładny opis. Masz oczy koloru zimowego nieba nad Arizoną. A mówiąc jeszcze dokładniej, zimowego nieba o poranku.

– Oko – poprawiła ją LeAnne.

– Słucham?

– Powiedziałaś „oczy”. Ja mam tylko jedno oko.

– Przepraszam, kochanie. Nie chciałam cię urazić. Po prostu okropnie się denerwuję.

– Denerwujesz się?

– Oczywiście – odparła matka, nie podnosząc wzroku. Na aksamitną wyściółkę pudełka skapnęła łza. – O Boże.

– Podaj mi instrukcję – powiedziała LeAnne. – Ale nadal uważam, że to bez sensu.

– Nie chciałabyś wyglądać jak najlepiej?

– Och mamo, na litość boską, przestań pieprzyć!

Matka spojrzała na LeAnne.

– W takim razie zrób to, żeby się nad tobą nie użalano. Daj sobie szansę. „Inteligencję masz po matce”.

– Uważałaś, że tata był głupi? – spytała nagle LeAnne.

– Co za pytanie!

– Czy to dlatego się rozstaliście? To był główny powód?

– Twój tata z pewnością nie był głupi – powiedziała matka.

– W porównaniu do Alexa?

Matka wzdrygnęła się ledwie dostrzegalnie.

– Dlaczego w ogóle o to pytasz? Ludzie mogą być inteligentni na różne sposoby, wiesz o tym doskonale.

– Więc na czym polegała inteligencja taty?

Matka LeAnne roześmiała się.

– Właśnie na tym. Potrafił zbić człowieka z pantałyku, tak samo jak ty.

– Dobra, poddaję się.

Matka ponownie się zaśmiała. Tym razem niewiele brakowało, by LeAnne jej zawtórowała. W namiocie było zbyt ciemno, więc wyszły na zewnątrz. Położyły plastikowe pudełko na masce range rovera i razem przejrzały instrukcję.

– Wszystko jasne? – spytała po chwili matka LeAnne.

– Tak. – LeAnne sięgnęła po oko leżące w środkowej przegródce.

– Hola, nie tak prędko! – zawołała jej matka.

Z kieszeni spodni wyciągnęła cienką paczkę nawilżanych chusteczek. Obie starannie wytarły ręce. LeAnne wyjęła oko z atlasowej przegródki, po czym z pomocą matki umieściła oko w pustym oczodole. Matka cofnęła się o krok.

– Jak się z tym czujesz?

– Nie jestem pewna. Trochę dziwnie.

– Przyzwyczaisz się – orzekła matka, po czym przechyliła lekko głowę.

– Mogę powiedzieć jedno: wyglądasz świetnie. Naprawdę trudno dostrzec, że masz protezę.

Matka otworzyła drzwi samochodu, wyszperała z torebki lusterko i podała je córce. LeAnne spojrzała na nową siebie.

– I jak?

LeAnne spróbowała obiektywnie spojrzeć na nową siebie. Poczowała, jak siłacz budzi się po całkiem długiej, jak na niego, drzemce.

– Sama nie wiem.

– To pierwszy krok, LeAnne. – W głosie matki zabrzmiało ledwie słyszalne zniecierpliwienie. – A teraz spakujmy twoje rzeczy i w drogę.

– Dokąd?

– Dokąd? Do domu. Mojego i Alexa. A teraz także twojego. Możesz tam

mieszkać tak długo, jak będziesz potrzebowała.

„Chciała” zabrzmiałoby lepiej, pomyślała LeAnne. Kto oceni, jak długo będzie tego potrzebowała, i oznajmi, że czas już minął? Postanowiła jednak nie poruszać tej kwestii.

– Jesteś pewna, że on nie ma nic przeciwko temu? – spytała.

– Alex?

– Tak, Alex.

– O to się nie martw – uspokoiła ją matka. – Alex uważa to za swój patriotyczny obowiązek.

Wiatr przybrał na sile i omal nie porwał plastikowego pudełka leżącego na masce range rovera. Matka LeAnne przytrzymała je w ostatniej chwili.

– Zrobimy inaczej – powiedziała LeAnne. Jej głos zabrzmiał pewnie, przynajmniej tak jej się zdawało. – Spakowanie tego wszystkiego zajmie mi chwilę. Prysznic, namiot i tak dalej. Przyjadę do was, jak tylko się z tym uporam.

– Przeprowadziliśmy się. Nie będziesz wiedziała, jak do nas trafić.

– Możesz mi wytłumaczyć.

Matka zapisała wskazówki na kartce. Dojazd nie wydawał się zbyt skomplikowany.

– Zapisałam ci też mój numer, na wszelki wypadek.

– Nie mam telefonu.

– Będziemy musiały się tym zająć. Zobaczymy się na kolacji?

Matka pocałowała LeAnne w policzek, po czym wsiadła do samochodu, ostrożnie zawróciła na trzy i odjechała. Zostawiła lusterko, a także ten niesamowity zapach, który unosił się w powietrzu jeszcze przez dłuższą chwilę, dopóki nie rozwiął go w końcu wiatr.

– Nie jestem głodna – powiedziała LeAnne.

Zamknęła oko – to prawdziwe – żeby sprawdzić, czy nowa proteza nie ma przypadkiem jakichś cudownych właściwości. Świat zniknął w tej samej chwili, w której zamknęła lewą powiekę. Jej proteza była wyłącznie na

pokaz, w przeciwieństwie do protezy Marci, która była naprawdę użyteczna. Nowe oko było tylko innym rodzajem opaski. Poklepała się po kieszeniach w poszukiwaniu tej, której używała do tej pory. Na próżno. Opaskę zabrała matka.

\* \* \*

Wiatr przybrał na sile. LeAnne stała na swoim kawałku ziemi i przyglądała się swojemu... jak to nazwać? Obozowisku? O, właśnie. Lubiała swoje małe obozowisko. Jak długo jeszcze będzie mogła tu mieszkać? Zważywszy na to, że w okolicy krążyła jej matka, odpowiedź brzmiała: niezbyt długo. Wprowadzić się do domu matki i codziennie natykać się na spełniającego swój patriotyczny obowiązek Alexa? Nie ma mowy. A zatem co robić? Mogłaby wsiąść do samochodu, wcisnąć gaz do dechy i odnaleźć spokój gdzieś indziej. Żadne inne rozwiązanie nie przychodziło jej do głowy. Ponownie przejrzała się w lusterku. Sztuczne oko nie wyglądało wcale tak źle, czego nie dało się powiedzieć o bliznach. Jeszcze gorsze było to, czego nie mogła zobaczyć w lusterku – pokiereszowane wnętrze. LeAnne opadła na kolana. Podmuchy wiatru były już tak silne, że wzbily w powietrze pustynny pył; niebo przybrało jaskrawą barwę.

LeAnne nigdy się nie modliła. Po co miałyby to robić? Jaki sens ma prośenie o pomoc istoty, która równie dobrze mogła w ogóle nie istnieć? A nawet jeśli istniała, to dlaczego Pan lub Pani Istota nie raczyła interweniować, zanim sprawy przybierały na tyle zły obrót, że pojawiała się potrzeba wznoszenia rozpaczliwych modłów? LeAnne nie czuła się na tyle mądra, by choćby próbować znaleźć odpowiedź na te pytania. Dostrzegła na ziemi kawałki pokruszonych piernikowych ludzików. Uświadomiwszy sobie, że jednak jest głodna, zjadła to, co udało jej się zebrać z ziemi – rączki, nóżki i jedną czy dwie główki z jasnozielonymi oczami. Zdziwiło ją, że pierniczki były takie suche. Inaczej zapamiętała ich konsystencję.

LeAnne zajęta była wydłubywaniem jasnozielonego oka z piernikowej

główki, gdy nagle rozległ się głośny łopot – podmuch wiatru poderwał do góry namiot i wyrwał kołki przytwierdzające go do ziemi. Skotłowany namiot toczył się i podskakiwał niczym pchana wiatrem kula stepowej roślinności. Ten widok wytrącił LeAnne z ponurych rozmyślań i zmusił do działania. Najlepiej radziła sobie w ruchu – powinna była sobie to uświadomić już dawno temu.

Dogoniła namiot, pochwyciła go i wepchnęła do samochodu. Potem rzuciła się w pogoń za resztą dobytku: plecakiem, śpiworem, ubraniami, Brązową Gwiazdą i luźnymi kartkami papieru. Przemierzała działkę przy Lost Hills Road 2241 w tę i we w tę, uganiając się za rozrzuconymi przez wiatr przedmiotami. Kiedy już załadowała do samochodu wszystkie zebrane z ziemi rzeczy, wsiadła do środka, zdyszana i zasapana; serce waliło jej jak młotem, a po czole spływały obficie krople potu. Co się z nią działo? Musiało minąć kilka chwil, zanim zdała sobie sprawę, że po raz pierwszy w życiu zawiódł ją własny organizm.

Zabrała się za przeglądanie papierów. Najwyraźniej wypadły z szarej koperty przywiezionej przez kapitana Stallingsa wraz z innymi rzeczami, które zostawiła w szpitalu imienia Waltera Reeda. Wyglądała kolejno każdą kartkę i wkładała ją z powrotem do koperty. Ostatnią z nich okazał się wydruk zatytułowany: „Co powinieneś wiedzieć o swojej protezie nogi Xion-3”. Wydruk zawierał instrukcje i diagramy. Na jego odwrocie schludnym, dzieciennym pismem napisano:

1. Wzmocnić zginacze bioder.
2. Życie toczy się dalej, do kurwy nędzy!
3. Zaprosić LeAnne po powrocie do „domu”.

LeAnne raz po raz przebiegała wzrokiem po trzech punktach – szukała ukrytych w słowach znaczeń, drugiego dna. I znalazła. Proteza Marci okazała się jeszcze bardziej użyteczna, niż myślała. Czy to jej „modły” poskutkowały? Być może należało po prostu upaść na kolana, a całe to



mamrotanie nie miało żadnego znaczenia. O cokolwiek się modliła, odpowiedzią była Marci.

„Kompletne zadupie. Bellville. Małe miasteczko, w którym ciągle pada”. LeAnne mijają wzgórza, sady, owce i krowy. Zaczęło mżyć, gdy minęła znak głoszący: „Bellville – 16 km, Kanada – 35 km”. Czy Marci wspominała coś o tym, że miasteczko leży tuż przy granicy z Kanadą? Nie miała najmniejszej ochoty znaleźć się w żadnym obcym kraju, nawet jeśli byłby to kraj bardzo podobny – jak słyszała – do jej własnego.

Zatrzymała się na stacji benzynowej przy skrzyżowaniu w jakiejś zabitej dechami dziurze. Zanim wysiadła, żeby napełnić bak, zerknęła we wsteczne lusterko. W taki pochmurny dzień sztuczne oko wyglądało najgorzej. Inna rzecz, że czuła się kiepsko, więc tak czy inaczej trudno byłoby doszukać się blasku w jej oczach. Zatem nie było nic nieautentycznego w jej twarzy – twarzy kogoś, kto został pokonany. Iluż takich ludzi można spotkać codziennie na ulicy...

– Ale – powiedziała LeAnne, wysiadając z samochodu – nigdy wcześniej nie miałam tak wystających kości policzkowych.

Starsza kobieta stojąca przy dystrybutorze paliwa naprzeciwno usłyszała ją i spojrzała przez ramię. Choć kobieta nie nosiła eleganckich ubrań ani makijażu i w niczym nie przypominała jej matki, LeAnne uświadomiła sobie, że nie dała matce znać, iż nie przyjdzie na kolację i nie wprowadzi się do niej. Kiedy to w ogóle było? Wczoraj? Przedwczoraj?

– Kurwa mać.

– Uważaj na słownictwo, młoda damo – upomniała ją kobieta, przyglądając się uważnie prawej stronie jej twarzy.

– A pani to niby kto? Królowa tego zadupia?

– Co proszę?

LeAnne postanowiła, że zachowa się dojrzałe i zrezygnuje z dalszej

wymiany zdań. Weszła do budynku stacji, mijając po drodze wychodzącego zeń mężczyznę, który niósł pod pachą skrzynkę piwa, a w ręce trzymał taśmę izolacyjną. Zwróciła na niego uwagę, bo miał podobną sylwetkę jak jej ojciec w czasach młodości, chociaż był od niego dużo wyższy. Poza tym w niczym go nie przypominał. Tata miał wyraziste rysy, a twarz tego faceta była okrągła, niemal dziecięca; kosmyk kruczoczarnych włosów opadał mu na czoło. Nie patrzył na nią, a ona spojrzała na niego tylko dlatego, że mijają ją po jej lewej stronie.

Przy ladzie LeAnne kupiła telefon na kartę i po krótkim namyśle – butelkę wódki. Wsiadła do samochodu, odjechała od dystrybutorów, zaparkowała samochód za stacją i odszukała karteczkę z numerem telefonu i wskazówkami dojazdu zapisanymi przez jej matkę.

– Halo?

– Mama?

– Myślałam, że nie masz telefonu.

– Teraz mam. Chyba nawaliłam... – LeAnne szukała właściwych słów. Spojrzała na kompas przytwierdzony do kierownicy, który kupiła gdzieś po drodze, jego igła wycelowana była prosto w nią. – Jaki dzień dzisiaj mamy?

– Co?

– Dzisiaj. Jaki jest dzisiaj dzień?

– Wtorek.

– Dzięki. Dobrze wiedzieć. Mamo?

– Tak?

– Po prostu nie mogłam.

– Bo powiedziałam, że Alex uważa to za swój patriotyczny obowiązek?

To dlatego, prawda?

– I co z tego?

– I co z tego? To był żart. Jesteś przewrażliwiona.

– Czyli to moja wina.

– Do diaska, LeAnne, nie powiedziałam tego.

– Samo się powiedziało.

– Co to niby ma znaczyć? Musisz znaleźć jakiś sposób, żeby ruszyć do przodu.

– Jestem przewrażliwiona? Idź do diabła.

– Udam, że tego nie słyszałam. I przejdę do udzielenia ci kilku porad, jak traktować ludzi z szacunkiem.

– Pieprzyć to.

– To też zignoruję. Mogłaś mi chociaż dać znać, że nie przyjedziesz. Nie przyszło ci do głowy, że będę się martwić? Gdzie w Oregonie teraz jesteś?

– W Oregonie?

– Przecież byłaś tam wczoraj?

– O czym ty mówisz? Wyświetla ci się informacja, że dzwonię z Oregonu?

– Hmm, tak. To znaczy nie. Nic mi się nie wyświetla.

– Co?

– Nic. Połączenie jest kiepskie.

– Wczoraj byłam w Oregonie. – A może było to przedwczoraj albo jeszcze wcześniej? Ale na pewno nie dzisiaj. – Co tu się, do cholery dzieje?

– Nic się nie dzieje. I byłabym bardzo wdzięczna, gdybyś nie zwracała się do mnie w ten sposób.

– Ech, ty i królowa zadupia.

– Nie rozumiem.

LeAnne nie odpowiedziała. Usłyszała, jak matka bierze głęboki wdech.

– Wróć, proszę. Jeśli nie chcesz z nami mieszkać, możemy to załatwić jakoś inaczej.

– Sama muszę to załatwić.

Zapadła długa cisza.

– Jak wolisz – powiedziała w końcu matka.

LeAnne wyjechała z parkingu stacji benzynowej i skierowała się w stronę Bellville. Igła kompasu odwróciła się od niej o sto osiemdziesiąt

stopni. Tego właśnie chciała – zniknąć z wszystkich celowników. Na pustym odcinku drogi opuściła szybę i cisnęła telefon do rowu.

\* \* \*

Pokonała długi, kręty podjazd i znalazła się na szczycie wzgórza, z którego po raz pierwszy zobaczyła Bellville. Miasteczko leżało w dolinie, dwie rzeki spotykały się w niej pod kątem czterdziestu pięciu stopni; wody jednej były mętnozare, wody drugiej, dużo węższej, jasnoniebieskie. Tam, gdzie szarość połykała błękit, stał most łączący podzielone rzeką miasteczko. Wzgórza na wschód od rzeki kontrastowały z równinami i polami uprawnymi na zachodzie. LeAnne dostrzegła też dwie kościelne wieże, otwartą przestrzeń z bieżnią i boiskami do bejsbolu i futbolu, które, jak przypuszczała, należały do miejscowej szkoły, oraz fabrykę z wysokim, wyższym od kościelnych wież kominem z wydobywającymi się zeń kłębamii gęstego dymu. Dym natychmiast mieszał się z mgłą zalegającą nad miasteczkiem. Rozpadało się na dobre. Ściana deszczu, niczym plansza, przesłoniła całe miasteczko. Dotarła do celu. Może to wystarczy? Pomyślała, że właściwie mogłaby zawrócić. Ale co potem? Zdjęła nogę z hamulca i zjechała w stronę miasteczka. Wycieraczki pracowały z pełną mocą, ich gwałtowny ruch przyprawił ją o dreszcz – kolejne dziwne odczucie doskonale pasujące do kolekcji dziwnych myśli w jej głowie.

Wjechała na prosty odcinek drogi i skręciła w East Main Street, główną ulicę Bellville. Miejska zabudowa skończyła się po dwóch czy trzech przecznicach; teraz LeAnne mijala skromne wolnostojące domy. Ta dzielnica też nie była zbyt rozległa, po chwili jej oczom ukazała się tablica głosząca: „Kanada – 25 km”. LeAnne zwolniła, dzięki czemu zauważyła położony z dala od drogi budynek otoczony drzewami całymi w pąkach. „Motel Cienisty Zagajnik, pokoje i domki kempingowe, darmowe wi-fi, telewizory z płaskim ekranem, rozsądne ceny”. Deszcz nie był już taki rześisty. Wjechała na parking przed motelem i zatrzymała się.

– Pokój będzie kosztował czterdzieści dziewięć dolarów i dziewięćdziesiąt pięć centów – powiedziała stojąca za kontuarem niska, pulchna recepcjonistka w czapeczce bejsbolowej z napisem Bellville High School. Patrzyła na twarz LeAnne, ale w żaden sposób nie zareagowała na to, co zobaczyła.

– W porządku – powiedziała LeAnne i wręczyła jej swoją kartę kredytową.

Kobieta spojrzała na kartę.

– Jest pani żołnierzem? Dla żołnierzy mamy zniżkę. Może pani dostać domek w cenie pokoju.

– W porządku – powtórzyła LeAnne, chociaż zapomniała już, ile miał kosztować pokój.

– Jak długo pani u nas zostanie?

– Dwa. – LeAnne rzuciła pierwszą liczbę, jaka przyszła jej do głowy.

– Dwa dni?

– Tak.

– Domek numer sześć – kobieta wręczyła jej klucze. – Mam na imię Dot. Gdyby czegoś pani potrzebowała, proszę dać mi znać. Do domku dojdzie pani tamtą ścieżką. Proszę włączyć lodówkę do gniazdka, jeśli zamierza pani z niej korzystać.

LeAnne opuściła budynek motelu i weszła na wyłożoną białym tłuczonym kamieniem ścieżkę pomiędzy drzewami. Minęła kilka drewnianych domków, z których żaden nie wyglądał na zamieszkanym, i znalazła ten z numerem sześć. Od pozostałych różnił się tylko tym, że był zwrócony tyłem do stawu. Malowniczy staw miał niecałe ćwierć hektara powierzchni. Przy przeciwległym brzegu nieruchomo zastygła para kaczek. Oba brzegi porośnięte były iglastymi drzewami. LeAnne pomyślała, że to chyba jedno z najspokojniejszych miejsc, jakie zdarzyło jej się odwiedzić. Pomyślała też, że utonięcie to dobry sposób na rozstanie się z życiem: żadnej

przemocy, żadnego bałaganu, ot, nieszczęśliwy wypadek. Otworzyła drzwi domku numer sześć i weszła do środka.

Unoszący się w domku zapach lasu i wilgoci nie przeszkadzał jej. Całkiem znośne wydały się też sosnowe ściany, pokryta linoleum podłoga, na której leżało kilka szmacianych dywaników z wizerunkami łosi, wilków i niedźwiedzi, mała łazienka z kabiną prysznicową i stertą magazynów łowieckich oraz wędkarskich na spłuczce, biurko przypominające starą szkolną ławkę z wgłębieniem na kałamarz i szufladą, do której wrzucono latarkę, a także przykryte kraciatą narzutą podwójne łóżko z drewnianym zagłówkiem zdobionym rzeźbieniem – rybą wyskakującą z wody. LeAnne zdjęła czerwone adidas Marci i położyła się na wznak. Czerwone buty wróciły do domu. To dobrze. Misja zakończona.

Zamknęła oko. A właściwie oczy. Jej prawa powieka ocalała i wciąż pamiętała, co powinna robić. Czy w Niemczech odbyła się jakaś rozmowa na ten temat? Czy ktoś wspominał coś o wkładach z tytanu? Nie potrafiła sobie przypomnieć nic więcej. Dotknęła twarzy. Tak, jej prawa powieka była zamknięta, gotowa do snu. Jedna z kaczek rezydujących przy pobliskim stawie zakwakała. Nie było to jednak nieprzyjemne kreskówkowe kwakanie, ale dźwięk dużo delikatniejszy, przyjemny, kojący.

LeAnne zasnęła. Najpierw spała twardo, potem sen stał się płytki. Śniła, że razem z ojcem budują karmnik dla ptaków, a potem przybijają go do drzewa. Nagle okazało się, że to Wakil Razaq Salam wbija gwoździe w klatkę piersiową jej taty. Potem patrzyła na kolejne okropne sceny: krzyki, wrzaski, rozbryzgi krwi, odgłosy strażaków, szczekanie psa. W tym momencie się obudziła.

Była cała mokra od potu, ciasno owinięta kraciatą narzutą, która uniemożliwiała jakikolwiek ruch. Jej serce biło niczym nastawiona na maksymalną szybkość maszyna perkusyjna. Jeszcze nigdy tak się nie bała. Pies zaszczekał – cicho, ale blisko. Istniał naprawdę? Co jeszcze było prawdziwe? Koszmarne zwidy wciąż kłębiły się gdzieś w zakamarkach jej

umysłu; może próbowały ściągnąć ją z powrotem w otchłań snu, a może chciały tylko dać jej znać, że nadal tam są, że będą cierpliwie na nią czekać.

Wstała, zdjęła mokre ubrania i poszła do łazienki. Wzięła długi prysznic, najpierw zimny, potem gorący, wreszcie letni. Jej puls i oddech uspokoiły się. Mroczne myśli odeszły.

W ścianie obok słuchawki prysznic na wysokości głowy znajdowało się małe okienko podzielone na cztery części. LeAnne starła parę z jednej szybki i wyjrzała na zewnątrz. Miała stąd dobry widok na staw. Kaczki zniknęły, ale na pobliskim brzegu, może dziewięć metrów od domku, chociaż teraz nie mogła już być tego pewna, bo nie potrafiła szacować odległości tak dobrze jak kiedyś, wałęsał się jakiś pies. Duży, czarny, z ogromnym kwadratowym łbem i małutkimi uszami; kroczył dumnie niczym lew.

Nie był to słodki piesek w typie psa Ryana – jak on się wabił? Lou? – chociaż jej zdaniem Lou mógł się wydawać słodki tylko ludziom, którzy lubili psy, ale... Pogubiła się we własnych rozmyślaniach. Teraz zaczęła się zastanawiać, jak wabił się pies doktora Machado. Pamiętała, że miał krótką, brązową sierść, ale nie potrafiła przypomnieć sobie jego imienia. Ostatnio w jej życiu ciągle pojawiały się jakieś psy. Czy to nie było trochę dziwne? Jak mogła być czegokolwiek pewna na sto procent? Zanotowała w pamięci, żeby jak najszybciej zaopatrzyć się w broń.

LeAnne znów przetała szybkę. Duży pies wciąż tam był, stał teraz w wodzie tuż przy brzegu i grzebał w ziemi. Spod jego łap wystrzeliwały w powietrze wielkie grudy błota i z pluskiem wpadały do wody. Czego szukał? Kiedyś, wędrując górskim szlakiem w prowincji Kunduz, znalazła leżącą obok ścieżki ludzką kość udową.

Nagle psisko znieruchomiało z jedną łapą uniesioną do góry, po czym opuściło głowę, sięgając pyskiem ku brzegowi. Ogromny łeb na moment zniknął. Po chwili pies wygramolił się ze stawu – właściwie nie tyle wygramolił się, co wyskoczył – i otrzepał się, rozsiewając wokół siebie



kropelki wody, które w świetle późnego popołudnia wydawały się miedziane. Trzymał coś w pysku. LeAnne przybliżyła twarz do okna, jej lewe oko niemal dotykało szyby. To coś było duże, owalne, w kolorze kremowej bieli. Kacze jajo! Ten skubaniec spłoszył kaczych rodziców swoim szczekaniem, a teraz miał zamiar...

LeAnne zapukała mocno w szybę. Pies usłyszał pukanie i od razu na nią spojrzął; ponownie zastygł z jedną łapą w powietrzu. LeAnne wyskoczyła spod prysznicza i wybiegła na zewnątrz.

– Nie! Zostaw! Zostaw to, do cholery!

Pies obrócił swoją wielką głowę w jej stronę. Jednym szybkim ruchem rozgryzł jajo i połknął je; resztkę żółtka ściekała mu po brodzie. LeAnne schyliła się, chwyciła kamień i rzuciła w jego kierunku. Chybiła, chociaż zaledwie o kilka centymetrów, kamień przeleciał nad jego głową i wpadł do stawu. Pies natychmiast obrócił się i wskoczył do wody. Z niesamowitą prędkością płynął w stronę rozchodzących się po wodzie kręgów. Zanurkował; zniknął z jej pola widzenia. LeAnne, naga i mokra, wciąż stała przed wejściem do domku numer sześć.

Chwilę później pies wypłynął na powierzchnię; LeAnne zobaczyła, że trzyma w pysku kamień. Kiedy dopłynął już do brzegu, ruszył ku niej pełnym galopem. Jego szybkość i siła przerażały ją. Wydawał jej się dziwnym, obcym stworzeniem. Cofnęła się do wnętrza domku i zatrzasnęła drzwi.

Stojąc na progu, słyszała, jak pies dyszy zaledwie pół metra od niej. Coś uderzyło głucho o wycieraczkę – wypuścił kamień z pyska. I znów dyszał. Po chwili rozległ się cichy odgłos psich łap uderzających o ziemię. Poszedł sobie. A LeAnne postanowiła sięgnąć po butelkę wódki.

Zanim się zorientowała, znów ugrzęzła w bagnie złych snów. Mogła stamtąd uciec, jedynie budząc się; jakaś część jej umysłu wiedziała o tym, ale nie była to ta, która podejmowała teraz decyzje. Miotła się, słysząc krzyki umierających, patrząc, jak ludzie, których znała, rozrywani są na kawałki. Była cała we krwi, miała wilgotne od krwi ubrania i sklezione krwią włosy. W końcu uderzyła łokciem w zagłówek i przebudziła się – mokra, ale nie od krwi, a od potu. Zwiesiła się nad krawędzią łóżka i zwymiotowała na podłogę. Próbując się podźwignąć, oparła się o łóżko i natrafiła dłonią na drugą kałużę wymiocin – wilgotna plama na narzucie musiała powstać już jakiś czas temu, ale wciąż cuchnęła wódką.

To nie mogło tak dłużej wyglądać.

Otworzyła drzwi i wyszła na zewnątrz. Noc była ciemna i bezksiężycowa. To dobrze. LeAnne nie lubiła, gdy podczas misji towarzyszył im księżyc. Równie dobrze mogłaby im towarzyszyć orkiestra dęta. Ktoś tak kiedyś powiedział. Dawno temu. Wsłuchiwała się w noc, ale nie usłyszała żadnego dźwięku, muzyki, odgłosów silnika, nawet szumu wiatru. Staw przyciągnął jej uwagę, wyglądał, jakby świecił, jakby emanowało z niego perłowe, przyćmione światło. Dotarła do brzegu i weszła po kolana do wody.

Ten staw idealnie nadawał się do tego, co zamierzała zrobić. O tej porze roku woda powinna być zimna, ale LeAnne w ogóle nie odczuwała niskiej temperatury. Czuła tylko, że stoi w wodzie. To przynosiło jej ulgę. Była tak bardzo spragniona, a teraz miała więcej wody niż potrzebowała. Dla postronnego obserwatora męstwo, którego tyle razy była świadkiem, mogło wydawać się czymś niezwykłym. Jednak z punktu widzenia kogoś, kto decydował się na akt odwagi, chodziło tylko o podjęcie decyzji i jej

realizację pomimo przeciwności. A potem o niewracanie do tego już nigdy więcej. LeAnne podjęła decyzję. Odrzuciła wszelkie inne myśli i zrobiła kolejny krok, dusząc w sobie wolę życia.

Niemyślenie nie oznacza braku świadomości. Była świadoma tego, że woda jest mokra, że podeszwy jej stóp dotykają dna, że gęste, pełne żwiru błoto przeciska się między palcami jej stóp, że skądś emanuje perłowe światło. Dno szybko uciekło jej spod stóp, zaczęła płynąć. Po chwili obróciła się na plecy i po prostu dryfowała na powierzchni. Na niebie nie było księżycy, widziała jednak gwiazdy. Nie świeciły zbyt jasno, być może gdzieś wyżej unosiła się mgła, której nie mogła teraz dostrzec. Dla tych gwiazd już była martwa. Była martwa. Kropka. Gwiazdy miały rację. Przewróciła się na brzuch i przepłynęła parę metrów. Była przeciętną pływaczką, nigdy nie pracowała nad techniką, ale zawsze lubiła uczucie poruszania się w wodzie – ruch w każdej postaci sprawiał jej przyjemność. Nagle przestała płynąć i położyła się na wodzie twarzą do dołu. W tej nocnej eskapadzie nie chodziło przecież o przyjemność. Siłacz dokręcający nakrętkę czy kruszący w rękach metal w końcu poluzował uścisk i dał jej nieco wytchnienia.

Jak to zrobić? Trzeba złożyć się w pół i zanurkować jak kaczka – biedne stworzenia, widziały, co się dzieje z ich przyszłym potomstwem, ale nic nie mogły zrobić! – szybko dobić dna, chwycić się jakiejś skały, pieńka albo po prostu wsadzić dłonie głęboko w piasek i wytrzymać... to wszystko. Misja zakończona, sprawa zamknięta. LeAnne przecięła nieruchomą powierzchnię stawu i płynęła w dół, w stronę perłowego światła. Wyrugowała ze swojego umysłu każdą myśl niezwiązaną z tym ostatnim zadaniem – konkretną, fizyczną robotą; znaleźć kotwicę, złapać ją i nie puścić.

Pomimo perłowego światła im głębiej się zanurzała, tym głębsza otaczała ją ciemność. Kiedy dotknęła ręką dna – piaszczystego i zarośniętego jakimś zielskiem – nie widziała już niczego wokół siebie. Woda na dnie była dużo cieplejsza niż przy powierzchni. To musiał być dobry znak zwiastujący, co czeka ją po drugiej stronie, o ile w ogóle istniała

jakaś druga strona. Wszystko zaczęło się układać po jej myśli. LeAnne zbadła dłonią dno i niemal natychmiast znalazła coś grubego, plecionego, pokrytego szlamem. Lina? Zgadza się. Przesuwając dłońmi wzdłuż zwojów, natrafiła na metalowy pierścień, do którego przywiązana była lina. Z kolei pierścień przyczepiony był do dużej, ciężkiej metalowej bryły o trójkątnym kształcie. Kotwica? Tak, na dnie stawu leżała kotwica. Prawdziwe zrządzenie losu. Zupełnie jakby ktoś zaplanował to już dawno temu, a teraz ona pojawiła się na miejscu, żeby zrealizować tamten plan. „Dlaczego zjawiasz się dopiero teraz?” LeAnne położyła się na dnie. Chwyliła mocno kotwicę i przygotowała się do wypuszczenia powietrza z płuc. Po tym powinna odruchowo zachłysnąć się wodą, co doprowadzi... do tego, do czego doprowadzi. Właśnie tak. Zrobi to na własnych warunkach. W ostatnich minutach życia pomyślała, że tata też wybrał śmierć na własnych warunkach. Szła w jego ślady. We wszystkim. Do końca. Dopiero teraz w pełni zrozumiała swoje życie. To było prawdziwe błogosławieństwo. Ogarnął ją spokój.

Na trzy – umówiła się sama ze sobą. Zaczęła odliczanie w myślach: raz, dwa...

Odliczanie zostało przerwane. Nagle znikąd – a właściwie gdzieś z góry – pojawiło się przy niej coś żywego, co chwyciło ją mocno za prawą rękę tuż poniżej łokcia. To, co zacisnęło się na jej ręce, było ostre, twarde. Szybki, skrętny ruch zmusił LeAnne do rozwarcia palców, tak jakby jej własny chwyt pozbawiony był jakiegokolwiek siły. Potężna żywa istota gwałtownym szarpnięciem oderwała LeAnne od kotwicy i od dna stawu, po czym pociągnęła ją ku górze.

LeAnne poczuła na sobie kopnięcia silnych, włochatych nóg; grube, tępe pazury drapały jej skórę. Krzyknęła i to właśnie ten krzyk, a nie ostatni wydech, doprowadził do pożądanego rezultatu – zachłysnięcia się wodą ze stawu. Ale niemal w tym samym momencie LeAnne wynurzyła się na powierzchnię i jej płuca znów mogły napełnić się powietrzem. Dyszała,

dławiła się i kasłała, odkrztuszając wodę, ale oddychała. Potężne stworzenie nie wypuściło jej ręki i holowało ją w kierunku brzegu, na którym stał jej domek. Słabe światło gwiazd wystarczyło, by dostrzegła wielki kwadratowy łeb, prujący wodę stawu. Tamten pies.

Pies doholował LeAnne na płyciznę, po czym wyciągnął ją na brzeg. W końcu ją puścił i otrzepał się, rozbryzgując wszędzie wodę. Właśnie wtedy, leżąc na trawie i łapczywie wciągając powietrze, LeAnne zdała sobie sprawę, że to nie „on”, a „ona”. Suka podeszła bliżej i stanęła obok LeAnne. Zwiesiła niżej łeb i szturchnęła LeAnne swoim ciepłym, mokrym nosem. Trudno o bardziej dosadny komunikat. „Wstawaj”.

LeAnne była zbyt słaba, żeby wstać. Czy w ogóle miała na to ochotę? To, na co naprawdę miała ochotę i co prawie udało jej się osiągnąć, zanim do sprawy wtrącił się ten pies, to...

– O co ci, do cholery, chodzi? – powiedziała LeAnne, po raz pierwszy w życiu zwracając się do psa. – Kiedy wreszcie dasz mi spokój?

Spiorunowała zwierzę wzrokiem. Pies odwzajemnił spojrzenie, ale w przeciwieństwie do wyrazu oczu LeAnne, jego wzrok nie był rozzłoszczony, a jedynie czujny.

– Idź sobie, na litość boską.

Suka ani drgnęła. Zaczęła za to wydawać z siebie serię niskich, basowych szczeknięć. Szczeknięcie, pauza, szczeknięcie, pauza, szczeknięcie. Oznaczało to mniej więcej to samo, co wcześniejsze szturchnięcie nosem. „Wstawaj, do cholery”.

LeAnne przewróciła się na plecy, a po chwili usiadła. Było zimno, zaczęła dygotać. Przez niemal całe swoje życie potrafiła przyjąć wyprostowaną postawę jednym szybkim ruchem, a teraz nie była w stanie się podnieść. Psisko przysunęło się bliżej, zupełnie jakby zrozumiało, na czym polega jej problem – choć oczywiście było to niemożliwe. LeAnne oparła rękę na szyi zwierzęcia i przenosząc na nią częściowo ciężar swojego ciała, chwiejnie stanęła. Niepewnym krokiem, zataczając się parę razy po

drodze, wróciła do domku numer sześć. Drzwi były otwarte. Przekroczyła próg i zamierzała zatrzaskać psu drzwi przed nosem, ale pies był już w środku. LeAnne nic nie mogła na to poradzić. Jej wola była słaba, a zapał do narzucania jej innym – jeszcze słabszy. Zamknęła drzwi i weszła do łóżka, starając się nie dotykać wilgotnej plamy wymiocin; naciągnęła na siebie pościel i leżała, trzęsąc się z zimna.

Usłyszała jakiś łoskot. Minęło sporo czasu, zanim uświadomiła sobie, co było jego przyczyną. Kamień, którym rzuciła w psa, leżał teraz na podłodze. Podczas ich pierwszego spotkania pies przyniósł go pod jej drzwi, ale najwidoczniej to go nie usatysfakcjonowało. Teraz kamień, tak jak trzeba, był wewnątrz. Ten pies nie uznawał półśrodków.

\* \* \*

LeAnne otworzyła oczy.

Poprzednia noc wróciła do niej w urywkach wspomnień. Nie wiedziała, czy może im zaufać, nie wiedziała, w co wierzyć, dopóki nie odwróciła się i nie zobaczyła psa leżącego przy drzwiach, przytulonego do nich plecami. Miał zamknięte oczy, jego masywna klatka piersiowa unosiła się i opadała. Nie wymyśliła sobie tego wszystkiego, co oznaczało, że to był pierwszy dzień jej... jej życia po życiu, jeśli założyć, że wczorajszego wieczoru znalazła się przez chwilę po drugiej stronie.

Przez okna sączyło się do środka delikatne, szare światło. Na dworze padał deszcz, ale niezbyt rzęsy. LeAnne uważnie przyjrzała się śpiącemu psu, a właściwie suce. Miała krótką sierść, zupełnie czarną, bez chociażby kilku włosków w innym kolorze, masywną sylwetkę z szeroką klatką piersiową i długim grzbietem, gruby, krótki ogon – mimo wszystko trochę zbyt długi, by można było nazwać go szczątkowym – szeroko rozstawione oczy i małe, okrągłe uszy. To zwierzę nie miało w sobie żadnej delikatności, nawet kiedy spało. LeAnne zerknęła na jego szyję: nie dostrzegła obroży.

LeAnne przerzuciła nogi nad krawędzią łóżka – ze swojego pobytu

w szpitalu pamiętała, że Marci też tak kiedyś zrobiła, tyle że w wypadku Marci tylko jedna noga dotknęła podłogi – i wstała. Pies obudził się i natychmiast zerwał się na nogi.

– Co? – powiedziała LeAnne. – Czego chcesz?

Między nimi na pokrytej linoleum podłodze leżał kamień. Suka podeszła do niego, opuściła głowę i popchnęła go w kierunku LeAnne.

– Chcesz aportować? Mam ci rzucić kamień?

Pies po prostu stał przed nią, nie dając jej żadnych wskazówek. Chwila, czy to nie ogon jest przewodnikiem po psich nastrojach i zachowaniach? Ogon sterczał poziomo, zupełnie nieruchomy.

– Chcesz wyjść na dwór? O to ci chodzi?

Krótki, gruby ogon nadal się nie poruszał. LeAnne powoli i przesadnie wyraźnie powtórzyła kilka razy słowa „na dwór”. Psy potrafią przecież rozpoznawać niektóre wyrazy. Być może ten pies znał wyrażenie „na dwór”? Nie doczekała się żadnej reakcji. Pies wpatrywał się w LeAnne, LeAnne wpatrywała się w psa. Jego oczy były równie nieodgadnione co czarne, lśniące bryłki węgla. LeAnne nigdy wcześniej nie patrzyła tak długo w psie oczy. Teraz miała okazję to nadrobić. Niczego nie wyczytała z tego spojrzenia, ale niewątpliwie coś działo się w tej wielkiej kwadratowej głowie.

LeAnne przeszła obok psa, podeszła do drzwi i otworzyła je.

– Chodź.

Pies usiadł.

– „Chodź” znaczy dla ciebie „siad”?

Brak reakcji. LeAnne weszła do łazienki, zamknęła drzwi, wzięła gorący prysznic i poczuła się nieco bardziej... żywa. W lustrze sprawdziła, jak wygląda jej sztuczne oko. Pod względem koloru było niemal idealnie dobrane, ale niczego nie wyrażało, było martwe. Ale przecież można na to spojrzeć inaczej. Być może jej sztuczne oko było równie nieodgadnione co oczy psa? Czy można było znaleźć jakieś plusy tej sytuacji? Przeczesała

dłońmi włosy zmęczona myśleniem; wysiłek umysłowy wciąż sprawiał jej trudności.

A jednak towarzyszyło jej nowe, dziwne odczucie umiejscowione w głowie, a właściwie nie tyle odczucie, co brak wcześniejszego odczucia. Ból, który nie opuszczał jej od tygodni czy nawet miesięcy – nie była pewna jak długo – i do którego przyzwyczaiła się tak, że traktowała go jak część samej siebie, zmniejszył się. Ten ból był tylko bólem w tle, nie był tak nieznośny jak tortury fundowane jej wcześniej przez siłacza; siłacz zasnął. LeAnne przyglądała się sobie w lustrze. Zauważyła wystające obojczyki i żebra. Na ręce, w miejscu, w którym chwycił ją pies, miała siniaki, ale skóra nie została przerwana. Blizny na twarzy zmieniły kolor, były bardziej srebrnawe niż czerwone, być może dzięki miękkiemu, szaremu światłu.

Otworzyła drzwi do łazienki. Pies czekał na progu, a teraz przecisnął się obok niej i włożył głowę do sedesu. Usłyszała odgłosy chłeptania. Choć chłeptanie to słowo, które nie oddaje dobrze tego gorączkowego wysysania każdej kropli wody znajdującej się w muszli klozetowej. Zaspokoiwszy pragnienie, pies odwrócił się w stronę LeAnne – zauważyła, że jego pysk ocieka wodą – i znowu wydał z siebie jedno z tych swoich niskich szczeknięć.

– Pora wracać do domu? – powiedziała LeAnne. – O to ci chodzi?

Ubrała się, ponownie otworzyła drzwi wejściowe i zrobiła krok na zewnątrz, ale pies ją ubiegł. Prześliznął się obok niej, ledwie jej dotykając. LeAnne nie mogła w żaden sposób zareagować, ponieważ obiegł ją z prawej strony.

– W porządku. Wychodzimy. Gdzie jest dom? Biegnij do domu.

Pies usiadł.

– Czego chcesz? Mam ci pięknie podziękować czy co?

Zero reakcji.

– Co ja robię? – powiedziała LeAnne, a w myślach dokończyła: „Gadam do psa? Ale sobie znalazłam partnera do pogawędki”. – Idź sobie! Sio stąd!



– krzyknęła.

Zrobiła kilka odganiających gestów. Pies ani myślał się ruszyć.

LeAnne odwróciła się i weszła na ścieżkę wysypaną pokruszonym białym kamieniem, wiodącą do biura. Pies natychmiast pojawił się u jej boku – z prawej strony. LeAnne musiała się obrócić, żeby go zobaczyć. Postanowiła zignorować namolne stworzenie. Padał lekki deszczyk; przyjemnie było czuć drobne krople na twarzy.

Podeszła – a właściwie podeszły, bo czarna suka wciąż była przyklejona do jej boku – do budynku biura. Odwróciła się do psa.

– Zostań. Albo usiądź. A właściwie jedno i drugie. Usiądź i zostań. Nie ruszaj się stąd, dobrze?

Pies nie posłuchał. Chciał stać, więc stał, i nic nie było w stanie odwieść go od powziętej decyzji. LeAnne otworzyła drzwi biura i poczuła, jak pies przeciska się obok niej. Wszedł pierwszy.

Niska kobieta – Dot? Dolly? – podniosła wzrok znad biurka i uśmiechnęła się szeroko, najwyraźniej szczerze zaskoczona.

– Nie wiedziałam, że ma pani psa. Cześć, ślicznotko! Jak się wabi?

– Nie mam psa – odpowiedziała LeAnne. – Nigdy nie miałam. To przybłąda. Właśnie ją znalazłam. Nie ma zawieszki ani obroży.

– Proszę, proszę. – Kobieta otworzyła szufladę i wstała. – Mam dla ciebie coś, co ci się spodoba, ślicznotko. – Wyjęła sucharki dla psów z szuflady i podeszła bliżej. – Masz w sobie coś z rottweilera, wiesz? I coś z owczarka belgijskiego. I jeszcze kilka ras naraz. Usiądziesz, jeśli mamusia Dot pięknie cię poprosi?

Pies nie usiadł, co wcale nie zaskoczyło LeAnne. Dot wyglądała na nieco zdziwioną, ale nie straciła zapału. Znała się na psach, to było widać. Podniosła sucharek i pomachała nim w powietrzu.

– O, to cię zainteresowało? Siad.

Pies, zamiast usiąść, zaczął warczeć i cofnął się nieco, wpadając przy tym na nogi LeAnne.

– Ojej – powiedziała Dot, cofając się o krok. – Nie chciałyśmy tego, prawda?

Suka znowu zawarczała, a sierść na jej grzbiecie zjeżyła się.

Dot odwróciła się do LeAnne i zmarszczyła brwi. Bardziej niż dobrotliwą babcię przypominała teraz surową ciotkę.

– O co jej chodzi?

– Nie mam zielonego pojęcia. Nic nie wiem o psach, za to pani chyba się na nich zna.

Zmarszczki na czole Dot pogłębiły się; po raz pierwszy przyjrzała się uważniej tej części twarzy LeAnne, która pokryta była bliznami.

– Tak się składa, że niemal przez całe życie zawsze miałam jakiegoś psa. Zresztą wciąż oplakuję moją biedną Dottalite – powiedziała i ruchem głowy wskazała oprawione w ramkę zdjęcie wiszące na ścianie. Uwieczniono na

nim psa wielkości Lou, ale o bardziej puszystej sierści.

– Przykro mi – powiedziała LeAnne. – Kiedy...

– Kiedy przeszła na drugą stronę tęczowego mostu? Sześć lat temu. To był czerwiec. Drugi czerwca.

Usłyszawszy to, LeAnne zadała sobie pytanie, czy wszystkich miłośników psów cechuje pewien rodzaj szaleństwa. Ponieważ bezimienny pies zaczął na nią napierać, zrewanżowała się tym samym, starając się go odepchnąć. Nie poskutkowało. Po raz pierwszy w trakcie ich znajomości, która, jak przypuszczała, wkrótce się zakończy, pies zaczął machać ogonem.

– Nie rozpoznaje jej pani, prawda?

– Nigdy jej nie widziałam.

– Więc co powinniśmy zrobić?

– Z czym?

– Z psem. Po prostu ją puścić? Może pobiegnie do domu, gdziekolwiek jest jej dom.

– Może. Ale równie dobrze ktoś mógł przywieźć ją tutaj z Seattle i wypchnąć z samochodu. Ciągłe się to zdarza.

– To może zadzwonimy na policję?

– Zawiozą ją po prostu do schroniska.

– Gdzie to jest?

Dot wskazała na drogę prowadzącą w kierunku granicy z Kanadą.

– Trzy kilometry w tym kierunku.

– Sama ją tam zawiozę.

– To już pani decyzja – powiedziała Dot. – Proszę tylko wziąć pod uwagę, że to jedno z tych schronisk, w których nie trzyma się zwierząt przez zbyt długi czas.

– To znaczy?

– Jeśli ktoś nie zabierze jej stamtąd przed upływem określonego czasu, zostanie uśpiona.

– Ile to czasu?

– Tydzień, o ile dobrze pamiętam.

– Chryste – powiedziała LeAnne.

Nie chciała myśleć o tym problemie ani o tym psie. Najchętniej myślałaby, cóż... o sobie, jeśli już w ogóle musiała o czymś myśleć. Spojrzała na to cholerne zwierzę, które, gdyby było człowiekiem, uważałoby pewnie, że LeAnne wiele mu zawdzięcza z racji jego zaangażowania w ratowanie jej życia, a które tak naprawdę wszystko spieprzyło. Niełatwo było jej podjąć decyzję o samobójstwie i miała wątpliwości, czy będzie potrafiła zrobić to raz jeszcze. Na pewno nieprędko.

– Może jej się poszczęści? – rzuciła LeAnne z nadzieją.

– W schronisku? – zapytała Dot.

– Tak.

– Takiemu psu? – Dot pokręciła głową. – W schronisku wzięcie mają słodkie szczeniaczki. A to, co tu pani ma, to nie jest słodki szceniaczek.

– Ale ja tu niczego nie mam. Ona nie jest moja. A może pani by ją wzięła?

– Ja?

– Sama pani powiedziała, że zawsze miała jakiegoś psa.

– Ale mówiłam pani przecież, że wciąż oplakuję moją Dottalitę.

– Nie wiem, co to ma do rzeczy.

– Bo nie jest pani prawdziwą miłośniczką psów.

– To z pewnością – przyznała LeAnne.

Być może podniosła głos. Tak czy inaczej, Dot cofnęła się o krok. „Wystarczą nasze słodkie głosiki – mój i tego cholernego psa – żeby Dot zaraz wyszła przez ścianę”.

– Każdy miłośnik psów wie, że to ogromny błąd brać nowego psa, dopóki nie pożegnało się do końca poprzedniego.

– A kiedy to się stanie? Sześć lat żałoby to całkiem długo.

– Sześć lat minie dopiero w czerwcu. Dokładnie drugiego czerwca. Poza tym, bez obrazy, ale od kiedy to można dyktować innym, jak długo mają

prawo czuć to, co czują? – Dot zauważyła chyba zmieniony wyraz twarzy LeAnne, bo zaraz dodała: – Nie mówiłam konkretnie o pani, mówiłam ogólnie.

A więc nikt nie ma prawa wyznaczać nikomu granic jego uczuć? To wszystko było zbyt skomplikowane dla LeAnne, szczególnie tego poranka, a może nawet przez całe jej życie, jeszcze zanim wszystko poprzestawiało się w jej głowie. Wiedziała tylko, że nie chce kłócić się z tą kobietą, nie miała teraz najmniejszej ochoty na żadne kłótnie. Chociaż to akurat mogło się zmienić.

– W porządku, nie musi pani nic robić – powiedziała LeAnne. – Zawiozę ją do schroniska, może być pani tego pewna.

– Decyzja należy do pani.

– Już to pani mówiła. Powiedziałam przecież wyraźnie, że tak właśnie zrobię.

Dot posłała LeAnne długie spojrzenie. Wyraz jej twarzy zmienił się stopniowo. Nie przypominała już surowej ciotki – LeAnne znowu miała przed sobą dobrotliwą babcię.

– Dziękuję za pani służbę.

– Że co?

– Za pani służbę, w wojsku.

– Załapałam. Nie rozumiem tylko, dlaczego mówi to pani akurat teraz?

– Po prostu cieszę się, że tacy twardzi ludzie jak pani bronią naszego kraju, to wszystko.

LeAnne poczuła, że się czerwieni; odwróciła się, żeby to ukryć.

– Chodź – powiedziała do psa zniecierpliwionym i ostrym głosem.

Sama zdawała sobie sprawę, jak niemile to zabrzmiało. Ale dlaczego nie, do cholery? Dlaczego niby nie powinna być zniecierpliwiona i niemiła? Psu to chyba nie przeszkadzało, od razu ruszył za nią i jednym skokiem po raz kolejny pokonał ją przy drzwiach, prześlizgując się po prawej stronie między nią a framugą.

– Co jest z tobą nie tak, do cholery?

Kiedy wracały ścieżką do domku, pies napał na nią na tyle mocno, że trudno było to zinterpretować inaczej niż jako atak.

– Wiesz chociaż dokąd trafisz? Do rzeźni!

I nagle przypomniała sobie lekcję angielskiego z panią Spears. „Czas zamknął mnie w śmierć zieloną, chociaż śpiewałem w kajdanach jak morze”. Poczuła mdłości. Zwymiotowałyby, gdyby tylko miała czym wymiotować.

\* \* \*

LeAnne otworzyła tylne drzwi hondy i już miała powiedzieć: „Wskakuj”, ale pies sam wskoczył na tylne siedzenie i niezgrabnie usiadł, zwracając czujny pysk w kierunku przedniej szyby.

– Masz ochotę na przejażdżkę? A może po prostu lubisz samochody? O co ci chodzi?

LeAnne wyjechała z parkingu Cienistego Zagajnika i skręciła w prawo na autostradę. Przejechała może kilkadziesiąt metrów, kiedy pies bez ostrzeżenia przeskoczył na fotel pasażera, po czym szybko usiadł i zaczął obserwować drogę. Ten nagły ruch przestraszył LeAnne, mało brakowało, a przyłożyłaby psu łokciem lub nawet pięścią, ale coś ją powstrzymało.

– Nigdy więcej tego nie rób – powiedziała, co było głupie i niepotrzebne; pierwszy i ostatni raz jechały razem samochodem.

Pięć minut później były na miejscu. „Can-Am – opieka nad zwierzętami” – głosiła tablica przed budynkiem wielkości garażu na dwa samochody, z którego całymi płatami odłaziła farba. Płaski dach przedłużono z jednej strony tak, żeby osłaniał też przylegające do budynku klatki. LeAnne wysiadła z samochodu. W klatce przed nią w pewnej odległości od siebie leżały dwa psy. Spojrzały na nią, ale nie zaszczekały ani nie wstały.

LeAnne otworzyła drzwi po stronie pasażera.

– Idziemy.

Pies siedział nieporuszony i gapił się prosto przed siebie.

– Koniec przejażdżki. Jesteśmy na miejscu.

Żadnej reakcji. LeAnne zapukała w dach samochodu.

– Rusz się.

Pies wciąż nie reagował na jej namowy. Drzwi do budynku schroniska otworzyły się, przenikliwy pisk zawiasów wzmógł wciąż towarzyszący LeAnne ból głowy. Sprawcą hałasu był brodaty mężczyzna w poplamionym kitlu, który właśnie zapalił papierosa.

Rzucił na ziemię zapalną i zauważył LeAnne.

– Pomóc pani? – zapytał.

LeAnne od pewnego czasu nie przepadała za brodatymi mężczyznami.

– Mam tu przybłądę.

Mężczyzna zaciągnął się głęboko papierosem i powoli wypuścił dym przez nozdrza. Zerknął na psa przez przednią szybę samochodu.

– Proszę go przyprowadzić.

– To ona – uświadomiła go LeAnne, a potem rzuciła do psa: – Na zewnątrz. Już – powiedziała to rozkazującym tonem, tym samym, który potrafił napędzić stracha rekrutom. Ale pies nadal nie zwracał na nią uwagi.

– Uparta, co? – powiedział mężczyzna, podchodząc bliżej.

Jego zarost nie dość, że dawno nie widział nożyczek, to jeszcze był upstrzony plamami nikotyny.

– Nie wiem, być może – odpowiedziała LeAnne. – Nic nie wiem o tym psie, w ogóle się na nich nie znam. – Facet spojrział na nią spod zmrużonych powiek, tak jakby nie dowierzał jej słowom, więc LeAnne szybko dodała: – Znalazłam ją wczoraj, nie miała obroży ani zawieszki z adresem.

Nagle mężczyzna powiedział:

– Jasny gwint! Co się pani stało?

– Co?

Mężczyzna wskazał na nią swoim zarośniętym podbródkiem.

– Pani twarz. Wypadek samochodowy?

Ten mężczyzna, ta uwaga, ta broda – wszystko to sprawiło, że w LeAnne zaczęło narastać wzburzenie, które mogła rozładować jedynie drastycznymi metodami. Ruszyła w jego stronę – był podobnego wzrostu co ona, miał wprawdzie szersze ramiona, ale także duże brzuszysko i bez wątpienia był kompletnie bez formy. Skupiła się na jego odsłoniętej szyi z dużym, wystającym jabłkiem Adama, wystarczająco dużym, by z łatwością mogła w nie trafić i zmiażdżyć jednym ciosem; zacisnęła pięści i...

Pies wstał i niespiesznie opuścił samochód. Podszedł do LeAnne i stanął po jej prawej stronie przodem do mężczyzny. Z jakiegoś powodu powstrzymało to LeAnne przed zrobieniem tego, co zamierzała jeszcze chwilę wcześniej. Jej wzburzenie nagle opadło.

– Nie pański pieprzony interes, co mi się stało.

LeAnne знаła wielu twardych mężczyzn, tak wielu, że zapomniała, że nie wszyscy faceci są twardzielami. W rzeczywistości większość mężczyzn była taka jak ten brodac, który wyglądał teraz na trochę przestraszonego i podniósł ręce w obronnym geście. Popiół z papierosa opadł na jego wypukłą klatkę piersiową.

– Spokojnie! Przepraszam, nie chciałem pani obrazić.

LeAnne roześmiała mu się w twarz. Słyszając jej śmiech – albo inny dźwięk, a może powód był jeszcze inny – suka zaczęła warczeć.

LeAnne odwróciła się do niej.

– Zamknij się.

Pies umilkł.

Mężczyzna zdążył już cofnąć się o krok lub dwa.

– Proszę posłuchać. Będę z panią szczerzy. Nikt nie przygarnie pani psa.

– Ona nie jest moja. Ile razy mam powtarzać...

– Przepraszam. Nikt nie przygarnie takiego psa. Możemy trzymać ją tu przez pięć dni, ale...

– Pięć? Słyszałam, że przez siedem.

– W porządku, przez siedem, jeśli robi to jakąkolwiek różnicę.



– W okolicy jest chyba sporo farm i gospodarstw, co? Mogłaby pilnować domu, stada owiec, tego typu rzeczy.

Mężczyzna pokręcił głową.

– Do czegoś takiego potrzeba wyszkolonego psa. Ona z pewnością nie przeszła żadnego szkolenia i już go nie przejdzie. Nie jest już przecież szczeniakiem. Co gorsza, jest też trochę zwichrowana, ktoś musiał ją źle traktować.

– O czym pan mówi?

Znowu wykorzystał swój podbródek jako wskaźnik.

– Niech pani spojrzy na jej ogon.

LeAnne spojrzała na ogon. Był gruby i krótki – zauważyła to już wcześniej – ale zbyt krótki, żeby nazwać go szczątkowym. W tym momencie pies go podniósł, co wcześniej mu się nie zdarzało.

– Co z jej ogonem?

– To nie jest naturalny ogon.

– Został przycięty?

– Niektórzy ludzie przycinają psom ogony z powodów, hmm, estetycznych. Ale to nie jest ten przypadek.

– Nie rozumiem.

„Spróbuj tylko jeszcze raz wskazać coś tym swoim cholernym podbródkiem”.

Oczywiście, znowu to zrobił.

– Przycięty ogon byłby dużo krótszy. Wygląda na to, że ktoś się wkurzył i chwycił za siekierę. Widzi pani, jak nierówny jest brzeg ogona? Chirurgiczne cięcie byłoby znacznie czystsze. – Facet zerknął na twarz LeAnne i pospiesznie odwrócił wzrok.

– Ktoś odciął jej ogon siekierą?

– Albo czymś podobnym. To się czasem zdarza i to nie tylko tutaj, na wsi.

Suka przestała warczeć i po prostu stała. Wyglądała, jakby była

w transie.

– A może ją po prostu puścimy? – zaproponowała LeAnne.

– Jak to niby miałyby wyglądać?

LeAnne wzruszyła ramionami.

– Ja odjadę. Pan wejdzie z powrotem do środka.

– Nic z tego – powiedział mężczyzna. – Mówię, oczywiście, za siebie. Płacą mi za tę robotę. Za to, żebym wykonywał ją rzetelnie. A pani niech robi, co uważa za stosowne.

– Pies zostanie tutaj – zdecydowała LeAnne.

– Kumam – powiedział. Rzucił papierosa na ziemię, rozdeptał go obcasem i zatarł ręce. – Najpierw to, co najważniejsze. Zobaczmy, czy ma chipa, ale stawiam dolary przeciwko orzechom, że nie. – Z kieszeni kitla wyjął urządzenie wielkości pilota do telewizora i zbliżył się do psa. Pies zeszywniał, napiął mięśnie karku i wyszczerzył zęby. Jego siekacze wydały się LeAnne zadziwiająco długie.

– To prawdopodobnie reakcja na dźwięki wydawane przez skaner, których my nie słyszymy – powiedział brodac, postępując o krok do przodu. – Nie zrobię ci nic złego, koleżanko.

Pies zawarczał.

– Może będzie spokojniejsza, jeśli pani to zrobi – zaproponował mężczyzna.

– Czemu ja?

– Nie zaszkodzi, jeśli pani spróbuje.

– No, na pewno nie zaszkodzi to panu.

– He, he – zaśmiał się mężczyzna, po czym podał LeAnne skaner. – Niech pani przesunie tym nad jej grzbietem.

LeAnne zbliżyła się do psa ze skanerem w dłoni. Pies przestał warczeć i szczerzyć zęby. LeAnne przesunęła urządzeniem tam i z powrotem.

– Nic z tego. Tak jak myślałem. Wejdźmy do środka, trzeba zamknąć ją do klatki, wypełnić papiery. Pójdzie za panią.

LeAnne i mężczyzna ruszyli w stronę drzwi schroniska. Pies pozostał na swoim miejscu.

– Hej! – zawołała LeAnne. – Chodź tutaj.

Pies usiadł.

– Proszę poczekać – powiedział mężczyzna.

Wszedł do środka i wyszedł stamtąd z długim metalowym prętem, który z jednej strony miał gałkę, a z drugiej – druciane kółko. Przedmiot wydawał jej się dziwny, dopóki nie uświadomiła sobie, że kółko to tak naprawdę pętla. Mężczyzna zbliżył się do psa niby przypadkiem, jakby szedł w zupełnie inne miejsce, po czym obrócił się zaskakująco szybko i wysunął drąg, zarzucając psu pętlę na szyję. Pies szarpnął się, ale mężczyzna przekręcił gałkę i pętla zacisnęła się.

W przypominających lśniące bryłki węgla oczach psa pojawiła się nienawiść – to pierwsza emocja, jaką LeAnne zdołała w nich wyczytać. Suka obróciła się. Próbowwała uciekać, próbowała zaatakować mężczyznę, próbowała się uwolnić i niemal jej się to udało. Ciągnęła za sobą swojego agresora przez kilkanaście metrów. Mężczyzna potknął się, stracił równowagę i upadł na jedno kolano, ale nie wypuścił pręta. Klęcząc na ziemi, szarpał metalowym drągiem z całych sił, jego brodatą twarz wykrzywił wściekły grymas; wcale nie wyglądał jak profesjonalista rzetelnie wykonujący swoje obowiązki. Pies wydał z siebie dźwięk, jakiego LeAnne jeszcze w życiu nie słyszała – to było wycie o sile ryku. Mężczyzna przechylił mocno pręt, przez co drut wbił się mocniej w szyję psa, dławiąc wydawane przez niego dźwięki; wycie zamieniło się w żałosne skamlenie.

LeAnne pamiętała tylko, że chwyciła mężczyznę za ramiona i potrząsnęła nim gwałtownie; jego głowa odskoczyła do tyłu.

– Przestań! Przestań! – wrzeszczała bez opamiętania.

„Czy to twój pies?” – napisano dużymi literami w górnej części ulotki wydrukowanej przez Dot. Poniżej znajdowało się zdjęcie psa, a jeszcze niżej Dot dopisała odręcznie: „Duża, czarna suka, mieszaniec, bez zawieszki adresowej. Znaleziona we wschodniej części Bellville. Proszę dzwonić pod numer...” – zanim Dot wpisała swój numer telefonu, wywiązała się krótka dyskusja.

– Dlaczego nie poda pani własnego numeru? – zapytała.

– Nie mam telefonu – odpowiedziała LeAnne.

– Jak to możliwe?

– Po prostu nie mam.

– Wydawało mi się, że słyszałam kilka minut temu, jak coś dzwoni w pani samochodzie.

LeAnne zerknęła przez okno w recepcji Cienistego Zagajnika na zaparkowaną przed nim hondę. Pies siedział na miejscu obok kierowcy, patrząc prosto przed siebie. Przez chwilę LeAnne nie potrafiła sobie przypomnieć, co zrobiła z telefonem na kartę, ale potem wrócił do niej obraz komórki lecącej łukiem w stronę przydrożnego rowu.

– To niemożliwe.

– W porządeczku – powiedziała Dot. – Wpiszemy tu mój numer, ale to pani zajmie się całą resztą.

– Dobrze, wszystko załatwię – zadeklarowała LeAnne.

Wzięła ulotki, wsiadła do samochodu i przez chwilę siedziała bez ruchu, czując zawroty głowy. Pies chyba jej nie zauważył, wciąż czujnym wzrokiem patrzył przed siebie.

– Rzuciłam tym kamieniem w ciebie, ty głupi kundlu. To nie była zabawa w aportowanie.

## **Wstępne badanie w kierunku zespołu stresu pourazowego:**

### **Ocena przystosowania psychospołecznego po wystąpieniu z wojska**

#### **5. Rodzaj i jakość relacji społecznych**

LeAnne wyjechała z parkingu pod Cienistym Zagajnikiem. Jeździła po uliczkach Bellville i przyczepiała ulotki do słupów telefonicznych, do tablicy przed supermarketem, gdzie wolne miejsce było tylko obok plakatu ze zdjęciem zaginionego dziecka, a także do tablicy przed posterunkiem policji, gdzie zobaczyła kolejny plakat informujący o zaginięciu dziecka. Chodziło o to samo dziecko? LeAnne nie przyjrzała się zdjęciu na pierwszym plakacie. Plakat na policyjnej tablicy przedstawiał uśmiechniętą ośmio-, a może dziewięcioletkę z warkoczykami, która szczerzyła w szczerbatym uśmiechu zarówno mleczne, jak i stałe zęby.

Wróciła do samochodu.

Pies nie spojrzał na nią, tylko szeroko otworzył pysk. Ziewnięcie? Psy ziewają? A może to jakiś sygnał, który zostałyby natychmiast rozpoznany przez miłośnika psów?

– Jesteś głodna?

Pies zamknął pysk i wciąż gapił się przed siebie. LeAnne wróciła do supermarketu. Kupiła kilka rodzajów psiej karmy, miskę, obrożę, smycz i trochę jedzenia dla siebie. Po powrocie do domku numer sześć zjadła kanapkę z wędliną, a potem, kiedy uświadomiła sobie, jak bardzo jest głodna, jeszcze jedną; pies spałaszował miskę suchej karmy, miskę mokrej karmy i sucharka w kształcie kości.

– Chyba już ci wystarczy, co?

Pies dokładnie wylizał miskę, a potem powędrował do łazienki

i wychłęptał chyba całą wodę z sedesu.

– Przypomnij mi, żebym ci kupiła miskę na wodę – powiedziała LeAnne. Położyła się na łóżku. – Słodki Jezu, gdyby tylko ktoś mnie teraz usłyszał. Postradałam rozum.

Zasnęła w ciągu kilku sekund. Obudziła się gwałtownie, przypominając sobie, w jakim stanie zostawiła łóżko. Przekonała się jednak, że pokryta plamami wymiocin pościel została zastąpiona świeżym kompletem – najwidoczniej Dot zajęła się tym pod jej nieobecność. LeAnne ponownie zasnęła.

\* \* \*

W radiu leciała jakaś niemiecka piosenka. LeAnne wiedziała, że śpiewają po niemiecku, bo rozpoznała słowo *liebe*. Miłość.

Kolejne słowa były dla niej zupełnie niezrozumiałe. Znowu usłyszała *liebe* i znowu popłynął strumień niezrozumiałych dźwięków. Czekając na kolejne *liebe*, nie miała zupełnie nic do roboty, gapiła się więc na stojący w kącie kosz na śmieci, z którego wysypywały się zakrwawione bandaże. A może ręczniki? Krew wyciekła też od spodu, rozlewając się po białych i czarnych kafelkach. Wolałyby patrzeć na coś innego, ale miała wrażenie, że nie może ruszyć głową, jakby jakaś część jej osobowości polubiła ten widok i postanowiła narzucić jej swoje zdanie.

W tym czasie jakiś mężczyzna zadawał jej irytujące pytania.

– Jakiego bólu pani doświadcza?

– Co takiego?

Powtórzył pytanie raz jeszcze, wyraźniej wymawiając słowa:

– Jakiego bólu pani doświadcza?

– Niech pan mi to powie.

– Obawiam się, że nie mogę tego zrobić. Pamięta pani, jak rozmawialiśmy o skali bólu?

– Nie.

– Zero to jak dzień spędzony na plaży, całkowity brak bólu. Dziesięć to najgorszy ból, jaki można sobie wyobrazić, ból nie do zniesienia.

– Jak ukrzyżowanie.

– Hm, coś w tym rodzaju. Czy tak właśnie się pani czuje?

– Nie.

– Więc w skali od jeden do dziesięć, jak oceniłaby pani swój ból?

– To wartość ujemna.

– Ujemna?

– Tak.

– Czyli mniej niż brak bólu?

– Aha.

– Nie jestem pewien, czy...

Do gabinetu weszła kobieta.

– Doktorze, na korytarzu czeka ktoś, kto chciałby się spotkać z pacjentką. Czy może wejść?

– Kto to?

– Jej matka.

– Słyszała pani? Przyjechała pani matka. Może zapewnimy pani...

– Oszalał pan? Do jasnej cholery, nie pozwólcie jej oglądać mnie w takim stanie! Oszalał pan? Oszalał pan?

\* \* \*

LeAnne przewróciła się na bok. Miała wrażenie, że głowa zaraz pęknie jej na pół. Na łóżku obok niej leżał pies. Czarne jak węgiel oczy były otwarte i uważnie ją obserwowały. LeAnne uspokoiła się trochę i po prostu leżała. A pies leżał obok niej.

– Czuję się tak cholernie... – nie potrafiła znaleźć właściwych słów. Pies wciąż się w nią wpatrywał. – Przynieś mi szklanek wody i ibuprofen. – Pies, rzecz jasna, nie zareagował. – Gdybyś potrafiła robić takie sztuczki, mogłabym zmienić zdanie. – LeAnne przewróciła się na plecy i zamknęła

oko. Powieka osłaniająca protezę również opadła.

Nie mogła powiedzieć o sobie, że jest ślepa. Ani nawet półślepa, skoro jej jedyne oko widziało doskonale. Czyli nie było wcale tak źle. Do cholery, powinna wziąć się w garść. Jamie, na przykład, miał się dużo gorzej. Był martwy.

– Lepiej uważaj – powiedziała. – Ty też możesz przeze mnie zginąć.  
Gdzieś na zewnątrz wciąż dzwonił telefon.

\* \* \*

To było takie miłe uczucie. Dotykało ją coś wilgotnego, ciepłego i przyjemnie szorstkiego. Jakby przecierała skórę gorącym ręcznikiem, jaki można czasem dostać w chińskich restauracjach lub na pokładzie samolotu podczas długiego lotu. Tyle tylko, że to, co ją dotykało, nie było gorące. Przebudziła się gwałtownie. Pies lizał ją po twarzy. Po bliznach.

Rozdziawił paszczę. Być może znowu ziewał. Jeśli tak, tym razem było to ziewnięcie pełne satysfakcji. Potem psisko obróciło się wokół własnej osi i umościło się wygodniej.

– Spróbuj zrobić to jeszcze raz, a zobaczysz... – LeAnne miała ochotę chwycić za siekiere. – O Boże.

W jej głowie pojawiały się myśli, które nie były jej myślami. To chyba było najgorsze z tego wszystkiego. Poszła do łazienki z zamiarem umycia wylizanej przez psa twarzy, ale zapomniała o tym, kiedy spojrzała w lustro. Co się stało z jej ciałem? Było tak chude, tak kościste. Cała jej siła gdzieś zniknęła. Wciąż ponosiła kolejne straty. A przecież nie mogła przegrupować szeregów, dopóki nie powstrzyma dalszych strat. Wakil Razaq Salam nadal ją niszczył. Był martwy, ale wygrywał. A ona przegrywała.

Czy rzeczywiście teraz przegrywała? Może całe jej życie było przegraną, a ona nie zdawała sobie z tego nawet sprawy? Porażka zawsze była dla niej czymś nieakceptowalnym. Jedyne wyjątek stanowiły sytuacje, gdy podjęło się walkę i dało się z siebie wszystko. LeAnne założyła dzinsy, T-shirt



i czerwone adidas Marci.

– Idziemy na spacer – powiedziała. Pies zeskoczył z łóżka i potruchtał do drzwi. – Rozumiesz słowo „spacer”, co? – Pies stanął na tylnych nogach i dotknął łapą gałki w drzwiach. – Nie ma mowy. Musisz chodzić na smyczy.

Suka nie zareagowała na jej słowa. Wciąż trzymała łapę na gałce. LeAnne poszła do kuchni, wzięła obrozę i smycz leżące na blacie i wróciła do drzwi wejściowych.

– Bez numerów, koleżanko.

Suka ześlizgnęła się łapami po drzwiach, pobiegła w głąb pokoju i usiadła przed LeAnne.

– Najpierw obroza – powiedziała LeAnne, zdrapując naklejkę z ceną.

Nałożyła obrozę na psią szyję – silną i masywną – i zapięła klamerkę. Sprawdzała właśnie, czy obroza nie jest zapięta zbyt ciasno, gdy pies pochylił się i znowu polizał ją po twarzy. Znowu po prawej stronie, przez co nie mogła zauważyć jego zamiarów i w porę zareagować.

– Kurwa mać! – LeAnne z całej siły chlasnęła psa dłonią po głowie. – Co ci mówiłam?

Poczuła nagły wyrzut adrenaliny, jej ciało przygotowało się na atak. Ale nic takiego się nie wydarzyło. Pies wciąż siedział przed LeAnne. Jego czarne jak węgiel oczy niczego nie wyrażały, a przynajmniej LeAnne niczego z nich nie wyczytała.

– Okej – powiedziała LeAnne niższym niż zwykle głosem; jakby miała zaciśnięte gardło. – Możemy iść. – Przypięła smycz do obrozy i otworzyła drzwi.

Pies wyślizgnął się pierwszy. LeAnne przyszło do głowy, że wolałaby, by ją zaatakował. Albo przynajmniej zaszczekał lub zawarczał.

\* \* \*

Wysypana białymi kamykami ścieżka przechodziła w polną drogę biegnącą

obok stawu i prowadzącą do lasu. Pies nie szedł przy nodze LeAnne, wysforował się daleko do przodu, maksymalnie napinając smycz. LeAnne wiedziała, że istnieje komenda dyscyplinująca psa w takiej sytuacji, ale nie potrafiła jej sobie przypomnieć i nawet jej na tym szczególnie nie zależało. Jakie to miało znaczenie? „Po prostu nie liź mojej cholernej twarzy”.

Ścieżka wspięła się łagodnie do góry, a potem biegła już prosto po równym terenie, z obu stron okolona kwitnącymi drzewami owocowymi. Zaczęło padać. Krople deszczu na skórze – to było przyjemne uczucie. LeAnne puściła smycz.

– Zobaczmy, na co nas stać.

Zaczęła biec. Była dobrą biegaczką. „Jeśli chcesz skakać o tyczce, musisz być szybka”. Tak powiedziała tym afgańskim dziewczynkom. A może tylko to sobie pomyślała. Pamiętała, że było ich sześć. Widziała wyraźnie każdą twarz, ale nie potrafiła przypomnieć sobie ich imion. Postanowiła wybiegać swoją frustrację i zwiększyć nieco tempo. Okazało się, że nie potrafi przyspieszyć. Dyszała i sapała od samego początku, a teraz jeszcze dopadła ją kolka. Początkowo nie wiedziała nawet, co jej jest, bo czuła coś takiego po raz pierwszy w życiu. Pies gdzieś się zgubił. Zerknęła za siebie. Siedział tam, gdzie go zostawiła.

– Chodź tutaj, na miłość boską! Co jest z tobą nie tak?

Pies obrócił się w przeciwnym kierunku i pobiegł przed siebie, ciągnąc smycz po ziemi.

– W porządku! Jak sobie chcesz!

LeAnne opuściła głowę i kontynuowała bieg. Do cholery, była przecież dobrą biegaczką. Kiedyś w godzinę i czterdzieści dwie minuty przebiegła żołnierski półmaraton w Fort Benning. Co się z nią teraz działo? Kłucie w boku było coraz mocniejsze, nie mogła złapać tchu, jej nogi były słabe, a w pewnym momencie w ogóle odmówiły jej posłuszeństwa. Nie miała siły, żeby zrobić kolejny krok. Nie miała nawet siły, żeby spróbować. Co za wstyd. Padła na ziemię i zaczęła robić pompki, żeby pokazać swoim

przeklętym giczołom, co potrafią jej ramiona. Dalej, zrobisz dwadzieścia pięć pompek! Zrobisz nawet trzydzieści! Ta była tak żalosna, że za karę zrobisz dwie dodatkowe! Dalej!

Zrobiła trzy pompki. Właściwie ostatnia nie zasługiwała na to miano. LeAnne zamarła. Leżała na polnej drodze twarzą do ziemi. Padało coraz mocniej i mokry podkoszulek przylgnał do jej kościstych pleców. Przegrywała, nie było co do tego żadnych wątpliwości. Wciąż przegrywała wojnę w Afganistanie. Może przez przypadek będzie przechodził tędy jakiś polityk i ją uratuje?

Poczuła na twarzy coś ciepłego, mokrego i szorstkiego. Suka wróciła ze swojej wycieczki, bezszelestnie do niej podeszła i znowu lizała ją po bliznach na twarzy. Tym razem LeAnne jej nie powstrzymała.

\* \* \*

LeAnne wstała. Krople deszczu wciąż cicho uderzały o ziemię. Pies przez chwilę stał nieruchomo, a potem złapał zębami za leżącą na ziemi, przyczepioną do jego obroży smycz i podszedł do LeAnne. Wymachiwał smyczą, kołysząc głową do przodu i do tyłu. Wydawał LeAnne rozkazy. Nie można było tego zinterpretować w żaden inny sposób.

– Miałam kiedyś instruktora musztry bardzo podobnego do ciebie – powiedziała LeAnne. Chwyciła smycz i ruszyły naprzód, mając przed oczami długi, prosty odcinek drogi. – Ale nie był nawet w połowie tak ładny jak ty.

Psu bardzo szybko znudził się spacer przy nodze. Dał kilka dużych susów do przodu, smycz się naprężyła. LeAnne znowu zaczęła biec. Pies jej pomagał, ciągnąc ją za sobą, ale po jakichś kilkuset metrach – za pierwszym razem nie przebiegła nawet tyle – zdała sobie sprawę, że ten nagły przypływ sił miał także inne przyczyny. Pies dzielił się z nią swoją energią, a smycz pełniła funkcję kabla przesyłowego. Jak to możliwe? Czyżby życie rządziło się jakimiś magicznymi regułami, o których nie miała pojęcia? Wiedziała

tylko, że siła psa została przekierowana do jej nóg. Nie potrafiła biec tak jak kiedyś, postronnemu obserwatorowi jej wysiłki mogłyby się wydawać dosyć żałosne, ale z pewnością radziła sobie lepiej niż za pierwszym podejściem. Niemal udało jej się dotrzeć do końca prostego odcinka drogi, zanim w końcu musiała się zatrzymać. Pies nie zauważył, że opadła z sił, i pobiegł dalej, wyrywając jej smycz z rąk.

LeAnne zgięła się wpół i oparła dłonie na kolanach, próbując złapać oddech. Deszcz padał coraz mocniej, zlepiając jej włosy w strąki, przepłukując oczy. Oczy: to zabawne, że używała liczby mnogiej. Ale deszcz rzeczywiście przepłukiwał jej oczy, sprawiał, że miały się lepiej – zarówno lewe, jak i prawe. Wyprostowała się i rozejrzała dookoła w poszukiwaniu psa. Zauważyła, że biegnie w kierunku cmentarza graniczącego z sadem.

– Hej! Wracaj tutaj!

Pies, oddalony od niej o jakieś sto metrów, natychmiast się zatrzymał i obrócił w kierunku LeAnne.

– Wracaj.

Pies stał nieruchomo i obserwował ją.

– Nie mam pojęcia, o co ci chodzi.

LeAnne zeszła ze ścieżki i wkroczyła między groby. Cmentarz był nieogrodzony; trudno było określić, gdzie się zaczyna, a gdzie kończy. Pies pobiegł przed siebie, beztrąsko nieposłuszny. LeAnne mijiała kolejne nagrobki, na początku stare i zniszczone, później nowsze. Była to istna mieszanina kształtów i rozmiarów – pionowe, poziome, większość zaniedbana, choć tu i ówdzie leżał bukiet wyschłych kwiatów. Kilka rzędów dalej zauważyła nowy, nieduży nagrobek z białego kamienia, przed którym leżały świeże kwiaty. Podeszła bliżej. Zobaczyła czerwone, białe i różowe kwiaty owinięte w celofan. Bukiet oparto o wetkniętą w ziemię tuż obok nagrobka okrągłą tabliczkę wykonaną z brązu, w której centrum znajdowała się amerykańska gwiazda i na której obrzeżach napisano: „Weteranka wojny

w Iraku”. Po drugiej stronie grobu stał niewysoki, mniej więcej sześćdziesięciocentymetrowy drzewiec ze zwisającą smętnie, mokrą od deszczu amerykańską flagą.

Przeczytała, co wykuto w kamieniu. Kapral Marci Cummings. Poniżej daty narodzin i śmierci, róża i jeszcze napis: „Córka. Matka. Patriotka. Oddała życie w służbie ojczyzny”.

Nagle obok niej pojawił się pies, powęszył wokoło i zaczął kopać w mokrej trawie jakieś pół metra od grobu Marci.

– Nie rób tego – powiedziała LeAnne, niezbyt głośno.

Pies natychmiast przestał, jedną łapę wciąż trzymał w powietrzu.

– Więcej cię nie uderzę. Obiecuję.

# 21

Po powrocie do domku numer sześć LeAnne przeszukała kuchenne szafki i znalazła miskę do robota kuchennego, którą postanowiła wykorzystać jako miskę na wodę dla psa. Postawiła napełnione naczynie przed psem, który zignorował to tak ostentacyjnie, że LeAnne zaczęła się zastanawiać, czy w ogóle zauważył miskę i czy potrafi wywęszyć wodę. Powinien to przecież robić instynktownie, prawda?

– Woda. Świeża i smaczna. Pij.

Pies odwrócił się i wyszedł z kuchni. LeAnne słyszała, jak pazury stukają o podłogę sypialni i korytarza. Po chwili z łazienki dobiegły ją odgłosy pełnego zapachu siorbania. Trwało to dość długo, a entuzjazm psa dla wody z muszli klozetowej zdawał się rosnąć z każdą chwilą.

LeAnne wyszła z domku, sprawdziła, czy dobrze zamknęła drzwi, i przespacerowała się do recepcji. W środku zastała Dot stojącą przy koszu na pranie i składającą ręczniki.

– Dziękuję za... za zmianę pościeli.

– Nie ma za co. – Dot powiedziała to rzeczowym tonem, pozbawionym nut przygany czy ciekawości. – Mogę pani w czymś pomóc?

– Tak – odpowiedziała LeAnne, ale zapomniała, o co chciała poprosić. Zapadła niezręczna cisza. Dot wciąż składała ręczniki. LeAnne powąchała płyn do zmiękczenia tkanin. – Chciałabym kupić kwiaty.

– Może pani sama zebrać kwiaty. Teraz po drugiej stronie stawu kwitną jaskry.

– Myślałam o różach – odpowiedziała LeAnne, już w pełni skupiona na rozmowie.

– O różach – powtórzyła Dot takim tonem, jakby był to osobliwy koncept wymagający namysłu. – Jeśli chce pani kupić róże, proszę zajrzeć

do supermarketu – stwierdziła po chwili. Złożyła kolejny ręcznik i włożyła go do koszyka. Jej dłonie, żylaste i pokryte plamami wątrobowymi, wyglądały na starsze niż reszta jej ciała. – Planuje pani zostać tutaj dłużej? Nie ma problemu, jeśli tak. Po prostu jeden z klientów chciał wynająć domek numer sześć na weekend.

– Jaki dzień dzisiaj mamy?

Przez krótką chwilę spojrzenie Dot zatrzymało się na poranionej stronie twarzy LeAnne.

– Czwartek.

– Więc myślę, że to zależy.

– Od czego?

– Od czego? – LeAnne podniosła głos, ale po raz pierwszy od dłuższego czasu zauważyła to, opanowała się i dodała już o ton ciszej: – Od psa. Były jakieś telefony w tej sprawie?

– Pyta pani, czy ktoś zgłosił się po tę biedną psinę? Nie, nikt.

– W takim razie jeszcze tu zostanę. No chyba że wymyśli pani jakieś rozwiązanie.

– Niby jakie?

– Może zna pani kogoś, kto chciałby psa.

Dot pokręciła głową.

LeAnne odwróciła się, żeby wyjść, ale nagle zastygła.

– Czy to jest jedno z tych miasteczek, w których wszyscy się znają?

– Raczej nie. Zbyt wielu mieszkańców. Być może faktycznie znalazłby się ktoś, kto przygarnąłby psa, ale na pewno nie w kręgu moich znajomych.

– Zna pani może Cummingsów?

– Nie. To ich pies?

– Nie o to chodzi. A słyszała pani o Marci Cummings? Porucznik Marci Cummings?

– Nie.

– Pochodziła właśnie stąd – dodała LeAnne.

– To pani przyjaciółka?

– Tak. Ale już nie żyje.

Dot przerwała składanie ręczników.

– Zmarła niedawno?

– Tak.

– Niech pani zaczeka. – Dot podeszła do biurka, pogrzebała w koszu na papiery i wyciągnęła stamtąd zmiętą gazetę: rozdawane za darmo lokalne pisemko, wypełnione głównie kuponami rabatowymi. Przerzucając kolejne strony, wróciła do LeAnne. – To „Bellville Bell”, wydanie z zeszłego tygodnia.

LeAnne wzięła do ręki gazetę. Na dole jednej ze stron zobaczyła niewyraźne zdjęcie Marci w mundurze i czarnym berecie; jej twarz miała surowy i poważny wyraz. Pod zdjęciem znajdował się artykuł. Przeczytała go razem z Dot, która wspierała się na palce i zaglądała jej przez ramię.

Żegnamy Marci Cummings, porucznik amerykańskiej armii i mieszkankę Bellville. Ceremonia pogrzebowa odbędzie się dzisiaj o godzinie 11 w Domu Pogrzebowym McCutcheona. Porucznik Cummings, lat 31, zmarła w Szpitalu Wojskowym imienia Waltera Reeda w Bethesdzie z powodu ran odniesionych w Iraku. Ukończyła Liceum Ogólnokształcące w Bellville, była pierwszą kobietą, która dołączyła do szkolnej drużyny zapaśniczej. Zdobyła dla swojej szkoły wiele medali. Porucznik Cummings pozostawiła po sobie nieutuloną w żalu matkę Coreen oraz córkę Mię, obie zamieszkałe w Bellville.

– Przypominam sobie teraz, że słyszałam kiedyś o dziewczynie, która dołączyła do drużyny zapaśniczej. Swego czasu było o tym głośno.

– Nic dziwnego.

– Znam pastora udzielającego posługi w Domu Pogrzebowym McCutcheona. Gdyby chciała pani na przykład odszukać mamę Marci, może się pani do niego zwrócić.



Odszukać mamę Marci? Czy taki był cel tej wyprawy?

1. Wzmocnić zginacze bioder.
2. Życie toczy się dalej, do kurwy nędzy!
3. Zaprosić LeAnne po powrocie do „domu”.

Tak. Czas odszukać matkę Marci.

Najpierw jednak musiała wrócić do domku numer sześć i sprawdzić, jak radzi sobie pies. Opieka nad zwierzakiem przypominała służbę. Suka czekała na nią tuż za drzwiami z miską na karmę w pysku.

– Na miłość boską, przecież dopiero co jadłaś.

Pies przytknął miskę do biodra LeAnne.

– Dobra, rozumiem.

LeAnne nasypała suchej karmy do miski. Delikatny dźwięk ziarenek karmy uderzających o metalowe dno sprawił, że zgłodniała; w jakiś pokrętny sposób ten przypadkowy bodziec przypomniał jej o własnych potrzebach.

Posiłek zjadły razem. LeAnne przy kuchennym stole pochłaniała kanapkę z szynką i serem; siedzący na prawo od niej pies zanurzył łeb w misce i nie interesowało go nic poza jej zawartością.

– Dlaczego zawsze wybierasz tę stronę?

W odpowiedzi usłyszała jedynie mlaskanie.

LeAnne wstała i przeciągnęła się. Miała ogromną ochotę wejść do sypialni i położyć się do łóżka. Co się z nią działo? Wcześniej mogła maszerować z ciężkim plecakiem przez trzydzieści kilometrów w zrujnowanym kraju i nazajutrz czuć się, jakby spędziła dzień za biurkiem. „Weź się w garść! Wymagaj więcej od tej głupiej, leniwej kreatury, którą się stałaś”!

Wyszła na zewnątrz. Niemal doszła do samochodu, wciąż słysząc dobiegające zza ścian odgłosy wylizywania miski, kiedy wewnątrz domku

rozległ się jakiś łomot. Zawróciła. Kolejny łomot. Tym razem coś grzmotnęło o drzwi. Otworzyła je. Pies właśnie szykował się, żeby ponowić szturm na drzwi.

– Wsiadaj do pieprzonego samochodu.

Pies spacerowym krokiem opuścił domek, potruchtał do drzwi od strony pasażera i po prostu tam stał – spokojnie i cierpliwie.

– I tak dobrze wiem, co tam przed chwilą wyprawiałaś.

\* \* \*

LeAnne kierowała się mapką, którą narysowała dla niej Dot: z powrotem do miasta, przejechać przez most na płaskowyż i znaleźć osiedle jednopiętrowych domów na niedużych działkach. Tego typu osiedla LeAnne widywała w pobliżu baz wojskowych, gdzie ludzie często ledwo wiązali koniec z końcem. Wjechała na Apple Street, skręciła w lewo i zatrzymała się przed domem numer 136 – niewielkim budynkiem w kształcie litery L, którego krótszą część przeznaczono na garaż. Przed domem rosła wierzba; na grubej, poziomej gałęzi jakieś cztery i pół metra nad ziemią zawieszono huśtawkę. Na podjeździe stał policyjny radiowóz, na którego drzwiach widniał napis „Biuro szeryfa”. Pies zaczął głośno dyszeć. LeAnne zaparkowała po drugiej stronie ulicy, pochyliła się i opuściła o kilka centymetrów szybę w oknie psa. Na miłość boską, nie w oknie psa. W jej oknie. To był jej samochód.

– Nie przyzwyczajaj się.

Wychodzące na podjazd drzwi domu o numerze 136 przy Apple Street otworzyły się. LeAnne zobaczyła policjanta w mundurze, który szybko skierował się w stronę swojego radiowozu. Pies zaczął wściekle ujadać i próbował wytknąć łeb na zewnątrz przez uchylone okno.

– Uspokój się!

Policjant zerknął w ich stronę, po czym wsiadł do samochodu i odjechał. Pies czekał, dopóki radiowóz nie zniknął za zakrętem. Wtedy głośne

szczeknięcia zastąpiło ciche powarkiwanie.

– Zostajesz w samochodzie. Bądź cicho. I zachowuj się.

LeAnne wysiadła z samochodu, przeszła przez ulicę i zapukała do drzwi. Obejrzała się za siebie. Pies wsunął w szczelinę niemal cały pysk, a także oko i ucho; szyba była umazana psią śliną.

– Co ci, do cholery...

Za drzwiami domu rozległy się kroki. Po chwili drzwi się otworzyły i stanęła w nich starsza, niewysoka kobieta, która wyglądała jak mniej atrakcyjna wersja Marci. Miała takie same zmysłowe usta i takie same orzechowe oczy, chociaż jej spojrzenie nie było tak inteligentne jak spojrzenie Marci. Kobieta wyglądała na spiętą i zmartwioną.

– Dzień dobry – przywitała się LeAnne. – Ja...

Brwi kobiety uniosły się.

– LeAnne, prawda?

LeAnne cofnęła się o krok.

– Tak, skąd...

– Nie pamiętasz mnie? Jestem mamą Marci.

– Tak, ale...

– Poznałyśmy się, kiedy przyjechałam odwiedzić Marci w szpitalu wojskowym.

LeAnne pokręciła głową. Nie zaprzeczała słowom mamy Marci, była po prostu zdezorientowana. Wciąż tak wiele jej umykało. Było gorzej, niż myślała.

– To pewnie przez leki – ciągnęła matka Marci. – Bardzo miło z twojej strony, że chciałaś wziąć udział w pogrzebie, ale, niestety, spóźniłaś się. – Kobieta nagle zakryła usta obiema dłońmi. – A może... może ty nie wiesz, że ona...

– Wiem – przerwała jej LeAnne.

Matka Marci ujęła dłoń LeAnne w swoje dłonie.

– Tak czy inaczej, dziękuję ci, że przyjechałaś. Dobrze wiedzieć, że

miewasz się już dużo lepiej – powiedziała i przyjrzała się LeAnne. – Czy... czy udało się uratować twoje oko? Musiałam czegoś nie zrozumieć.

– To sztuczne oko.

– Które? – spytała mama Marci, jednak LeAnne zauważyła, że jej wzrok utkwiony jest w protezie. – Tak trudno je odróżnić.

– Nieważne – ucięła LeAnne. – Chciałam tylko powiedzieć, że przykro mi z powodu Marci.

– Dziękuję. Dziękuję ci. Mam na imię Coreen, tego pewnie też nie pamiętasz. Zresztą, co ja mówię, na pewno nie pamiętasz, skoro nie pamiętasz, że byłam w szpitalu. Z moją głową nie jest ostatnio najlepiej. Ale, proszę, wejdź do środka. – Wciągnęła LeAnne do wnętrza domu i zamknęła za nią drzwi.

Gdzieś zaszczekał pies; szczekanie dobiegało jednak z daleka, więc to nie mógł być jej pies. „Jej pies?” Chryste. Wykluczone, nie była właścicielką żadnego psa. LeAnne zajęła miejsce na siedzisku ustawionym przy oknie w małej oszklonej werandzie na tyłach domu.

– Często tu przesiadujemy – powiedziała Coreen, napełniając dwie szklanki mrożoną herbatą z puszki. – To było ulubione miejsce Marci, zazwyczaj jest tu mnóstwo światła.

Teraz jednak pokój był mroczny i zacieniony. Padał deszcz. Na niedużym trawniku, który nie do końca zasługiwał na tę nazwę, bo błota było na nim więcej niż trawy, tworzyły się niewielkie kałuże. Podniszczony płot ogradzał podwórko z trzech stron. O drewniane sztachety oparto rower, z którego kierownicy zwieszały się kolorowe wstążeczki.

– Przepraszam, jeśli zabrzmiało to głupio – powiedziała Coreen, przysuwając sobie podnózek. – Ale wydarzyło się tyle rzeczy, jedna po drugiej... Chcę się upewnić, czy czegoś nie pomieszałam. Poznałaś Marci dopiero w szpitalu, prawda?

– Prawda.

– A więc nie byłaś z nią wtedy, gdy wybuchł ten okropny fogas?

– Fugas – poprawiła ją LeAnne. – Nie, nie było mnie tam.

Coreen podniosła szklanę i upiła z niej łyk.

– Jakim trzeba być człowiekiem, żeby robić takie rzeczy? To wszystko jest takie okropne, ale najbardziej porażająca jest... bezmyślność. Czy żadnemu z nich nie przyszło do głowy, że na coś takiego mogłoby nadeprnąć dziecko?

Bezmyślność to dobre określenie. Tamci nie zawracali sobie głowy rozmyślaniami. Albo wręcz przeciwnie – może coś do tego stopnia zaprzętało ich myśli, że nie dbali o nic innego, o żadną z tych rzeczy, które są ważne dla normalnych ludzi.

– Nie umiem odpowiedzieć na te pytania – rzekła LeAnne.

Nieoczekiwanie przypomniała sobie imiona sześciu dziewczynek, które uczyła skakać o tyczce: Wrashmin, Durkhani, Hila, Muska i dwie Laile. A potem przyszła jej do głowy potworna myśl, jaka może zagościć w umyśle tylko dwóch typów ludzi: tych, którzy takie potworności planują, i tych, którzy próbują uniemożliwić realizację takich planów – „plany” oznaczały w tym wypadku podłożenie fugasa pod zeskok na stanowisku do skoku wzwyż.

– To było głupie pytanie, przepraszam. A Marci tylko by się na mnie zirytowała za takie gadanie. Powiedziałyby: „Znałam ryzyko, mamuś”. Była dumna, że służy w wojsku. Ale mnie niełatwo było się z tym pogodzić. Nie chodziło o wątpliwości w rodzaju: „po co kobieta w wojsku”. Bałam się o nią, bo służyła tam, gdzie toczyły się walki.

LeAnne starała się słuchać, co mówi do niej matka Marci, ale jej umysł skupił się na obrazie mężczyzny z odstającymi uszami obserwującego lekcję skoku o tyczce z dachu pobliskiego budynku. Rozejrzała się po pokoju, jej wzrok zatrzymał się na zdjęciu wiszącym na ścianie za Coreen. Zobaczyła Marci sprzed dziesięciu lub dwunastu lat, w sukni ślubnej bez ramiączek. Suknia ta, jak na suknię ślubną, była śmiało wykrojona, ale jedynie dodawało jej to uroku. Pan młody spoglądał na Marci z uwielbieniem – nie

ma na to lepszego słowa. Wydawał się jeszcze młodszy niż Marci, był szczupły, podobnego co ona wzrostu, o niezbyt ładnej twarzy, jednak im dłużej się na nią patrzyło, tym atrakcyjniejsza się wydawała.

– To Harvey – powiedziała Coreen, obracając się. – Jej pierwszy mąż.

„Mój mąż numer jeden uwielbiał deszcz. Ze mną było tak samo”.

– Wspominała o nim.

– Marci była miłością jego życia. Ostatnio bardzo mi pomógł.

– To znaczy?

– Mam na myśli wszystkie sprawy związane z pogrzebem. Całą tę papierkową robotę. Sprowadzenie... jej biednego ciała z powrotem do domu. – Coreen wyciągnęła chusteczkę schowaną w rękawie i osuszyła nią oczy. – Czy Marci mówiła ci, że nigdy się ponownie nie ożenił?

LeAnne pokręciła głową.

– Nie mówiła zbyt wiele o swojej przeszłości.

– Tak, to w jej stylu – przyznała Coreen. – Ale opowiadała mi o tobie. Same dobre rzeczy.

– Doprawdy? Kiedy to było?

– Kiedy odwiedziłam ją w szpitalu. Byłam tam tylko przez dwa dni. Miałam wtedy tyle spraw na głowie, a ostatecznie okazało się, że to dopiero początek prawdziwych problemów... Tak czy inaczej, lekarze powiedzieli wtedy, a nawet obiecali!, że stan zdrowia Marci wkrótce się poprawi i lada moment będzie mogła leczyć się ambulatoryjnie. O ile pamiętam, ty też tam byłaś, gdy odbywało się to konsylium. – Coreen zerknęła na LeAnne. To, co wyczytała z jej twarzy: zakłopotanie, rozdrażnienie, a może gniew, sprawiło, że szybko odwróciła wzrok. – Ale możliwe, że wtedy akurat spałaś. To bez znaczenia. Chodzi mi o to, że nie było mnie przy niej, kiedy najbardziej mnie potrzebowała. Byłam wtedy tutaj, a przecież tutaj nie mogłam nic dla niej zrobić. – Coreen splótła ciasno dłonie i opuściła głowę, zupełnie jakby chciała zajmować jak najmniejszą przestrzeń.

LeAnne wstała, zbliżyła się do Coreen. Przez moment zastanawiała się,

czy nie dotknąć jej ramienia.

– Tam również nie mogłaby jej pani pomóc. Przecież to wydarzyło się w szpitalu.

– Przepraszam – powiedziała Coreen. – Przejechałaś taki kawał drogi... – Podniosła oczy i zdziwiło ją, a może nawet nieco przestraszyło, że LeAnne stoi tak blisko niej. – Marci powiedziała mi, że jesteś bohaterką.

– Daleko mi do tego. Cholernie daleko – odparła LeAnne, cofając się o krok. – Dziękuję, że zechciała pani ze mną porozmawiać. – Zrobiła kolejny do tyłu. – Nie będę już zabierać więcej czasu.

Coreen znowu otarła oczy chusteczką.

– Och, proszę, nie idź jeszcze. Przystanę robić z siebie żenujące widowisko, przysięgam.

– Nie robi pani z siebie żenującego widowiska.

– Miło jest zobaczyć kogoś, kto znał Marci. – Na ustach Coreen pojawił się drżący smutny uśmiech, który szybko zniknął. – Dzieliłyście razem pokój. Opowiedz mi, o czym rozmawiałyście. Proszę, zostań jeszcze trochę.

LeAnne ponownie zajęła miejsce przy oknie.

– Właściwie o niczym konkretnym. Głównie żartowałyśmy.

– Naprawdę? Żartowałyście? Cudownie to usłyszeć. Marci miała poczucie humoru ostre jak brzytwa.

– O, tak, z pewnością – wzrok LeAnne znów powędrował na ślubne zdjęcie. – Dlaczego się rozstali?

– Marci i Harvey? – Coreen pokręciła głową. – Marci... podjęła złą decyzję. Była taka młoda. W tym wieku to zazwyczaj kobiety są dojrzsze od swoich rówieśników, z Marci było inaczej. Czy... czy mówiła ci, czego w życiu żałuje? Pytam tylko dlatego, że w rozmowie ze mną zawsze zakładała tę swoją maskę stoika.

„Spieprzyłam to”.

– Czy czegoś żałowała? Nie wiem. Mnie też wydawała się dość powściągliwa. Może po prostu taka była?

– Na zewnątrz tak. Z biegiem lat pewnie coraz bardziej stawała się taka również w środku. Zwłaszcza odkąd zaciągnęła się do wojska. Ale w głębi duszy zawsze była bardzo uczuciową osobą.

– To prawda – przytaknęła LeAnne.

– To właśnie przez to wpakowała się w kłopoty.

– Jakie kłopoty?

– Biedna Marci straciła głowę dla jednego z tych facetów w typie macho.

– To był jej drugi mąż?

– Opowiadała ci o nim?

„Numer dwa był dokładnie tym, na co wyglądał – wielką pomyłką”.

– Niewiele. Tylko o nim wspomniała.

– To był krótki związek, jednak na tyle długi, że... – Zabrzączał telefon. Coreen błyskawicznie wyciągnęła komórkę z kieszeni spódnicy i przyłożyła ją do ucha, trzymając obiema rękami.

– Tak? – Jej twarz zasępiła się. – Był u mnie szeryf. Ale nie miał żadnych nowych wiadomości... Dziękuję. – Rozłączyła się, włożyła telefon z powrotem do kieszeni i spojrzała na LeAnne.

– Ile można znieść naraz?

– O czym mówisz?

– Dzwonił Harvey. Od świtu przeczesuje okolicę razem z grupą poszukiwawczą. A przecież nawet nie jest jej ojcem.

– Ktoś zaginął?

– Mia.

– Kto to jest Mia?

– Nie słyszałaś o Mii?

– Niby gdzie miałabym o niej usłyszeć? – LeAnne podniosła głos.

Ale może już słyszała to imię? Czy przypadkiem nie od Marci? Ale w jakich okolicznościach? Próbowała odszukać tę informację w swojej pamięci, ale jedyne, co sobie przypominała, to smak pocałunku Marci.

– Mia to córka Marci – wyjaśniła Coreen. – Zaginęła w noc po



pogrzebie. Oczywiście, że nie mogłaś o tym wiedzieć, wszystko miesza mi się teraz w głowie, nawet nie...

– Córka Marci? – LeAnne czuła, jak strzępki informacji wirują w jej umyśle i samoistnie wypływają na powierzchnię jej świadomości.

Coreen wskazała palcem zdjęcie na ścianie. Wisiało bardziej na prawo niż reszta, więc LeAnne go nie zauważyła. Uwieczniono na nim Marci i mniej więcej ośmioletnią dziewczynkę; obie stały przy huśtawce zawieszanej na gałęzi wierzby, która rosła na podwórku Coreen. Obie śmiały się do rozpuku. Dziewczynka uczesana była w dwa warkoczyki, ale na tym zdjęciu miała więcej mleczaków niż na plakacie informującym o jej zaginięciu.

– Nie wiem nawet, od czego zacząć – powiedziała Coreen. – Tyle się wydarzyło. Tyle ważnych rzeczy. Jak to wszystko uporządkować?

Upiła łyk mrożonej herbaty.

LeAnne poczuła, że prawa strona jej twarzy robi się gorąca. Przyłożyła do niej dłoń, która w zetknięciu z policzkiem wydała jej się lodowata, tak jakby te dwie części ciała należały do dwóch różnych osób.

– Może zacznę od rozprawy o opiekę nad Mią – powiedziała Coreen, pociągając kolejny łyk ze szklanki. – To była ważna rzecz, bez dwóch zdań.

– Ojcem dziewczynki jest drugi mąż? – zapytała LeAnne.

Coreen skinęła głową.

– Mia miała cztery lata, kiedy się rozwiedli, ale ich małżeństwo skończyło na długo przed tym, zwłaszcza dla Marci. Sąd przyznał jej pełną opiekę nad córką. Nic dziwnego, biorąc po uwagę, że w rodzinie dochodziło do aktów przemocy.

– Znęcał się nad Marci czy nad Mią?

– Nad Marci. Jeżeli chodzi o Mię... nie chciałabym użyć słowa „kochał”, bo nie sądzę, żeby był zdolny do miłości... ale nigdy by jej nie skrzywdził.

– Mówi pani o fizycznym znęcaniu się?

– Niestety tak. To zdarzyło się trzy razy. Za pierwszym razem Marci była tak zaszokowana, że w ogóle nie zareagowała. Za drugim razem dała mu ostrzeżenie. Trzeci raz zdarzył się, kiedy pojechali do chatki myśliwskiej należącej do jego rodziny, w takich miejscach mężczyźni zawsze za dużo piją. I odeszła. Dlaczego kręcisz głową?

Kręciła głową? Musiała zrobić to odruchowo, bo w ogóle nie zdawała sobie z tego sprawy. Momentalnie przestała i zaczęła się zastanawiać, co

wywołało w niej ten odruch.

– Bo... Bo nie potrafię sobie wyobrazić, że Marci pozwoliłaby się komukolwiek maltretować. Choćby nawet jeden raz.

– Marci nie była wtedy taka twarda. To się wydarzyło, zanim wstąpiła do armii. Zresztą nie chodziło tylko o to. Może nie powinnam mówić tak o własnej córce, ale... Ujmę to tak: była w nim zakochana po uszy. I nie dodam nic więcej.

– Chyba nie rozumiem.

– Po prostu zwariowała na jego punkcie. Ta fascynacja, hmm... miała też silne podłoże erotyczne. No i proszę, jednak to powiedziałam. Trudno w to uwierzyć, ale jeszcze zanim zostawiła Harveya, wytatuowała sobie na plecach imię nowego kochanka.

– Jak miał na imię?

– Proszę?

– Jakie imię wytatuowała sobie na plecach?

– Max. Nazywał się Max Skelly, ale na jej plecach wylądowało tylko jego imię. To była taka gra słów, ale nie wydawała mi się zabawna. Nawet trochę mnie to zaniepokoiło, bo Marci zawsze twierdziła, że nigdy w życiu nie zrobi sobie tatuażu.

– Na Maxa – powiedziała LeAnne.

– Widziałaś ten tatuaż?

– Tak.

– Marci mówiła ci o tym coś więcej?

„To nie było zabawne nawet za pierwszym razem”.

– Nie. W każdym razie nie wprost. Dlaczego go nie usunęła?

– Bo to sporo kosztuje.

– Musiało chodzić o coś więcej.

Coreen skinęła głową.

– Poruszyłam kiedyś ten temat, bardzo ostrożnie. Powiedziała mi, że nie będzie fotoszopować swojego życia. Do tej pory nie jestem pewna, o co jej

właściwie chodziło.

LeAnne nigdy nie podziwiała Marci bardziej niż w tym momencie. Spojrzała w dół na swoje stopy obute w czerwone adidas.

– Skąd u niej pomysł, żeby wstąpić do armii?

– Tak, to kolejna ważna rzecz – powiedziała Coreen. – Marci nie mogła znaleźć żadnej przyzwoicie płatnej pracy, więc zaciągnęła się do wojska, kiedy Mia podrosła już na tyle, żeby pójść do przedszkola. Zajmowałam się małą w trakcie szkolenia Marci i jeszcze kilka razy potem, ale kiedy Marci mieszkała w bazie, Mia była razem z nią. Aż w końcu Marci wyjechała do Iraku. Wtedy Mia znowu zamieszkała ze mną.

– Kto zajął się Mią, kiedy pojechałaś odwiedzić Marci w szpitalu? A może... może wzięłaś ją ze sobą? – Zadając to pytanie, LeAnne chciała dowiedzieć się, czy widziała już Mię. Czy twarz dziecka na plakacie wydawała jej się znajoma? Znowu poblądziła w gruzowisku swojego umysłu.

– To jedno z pierwszych pytań, jakie zadał mi szeryf. A wyglądało to tak, że moja siostra przyjechała z Boise tutaj i została z Mią. Mia wiedziała tylko tyle, że jej mama została ranna, odzyskuje siły w szpitalu i niedługo wróci do domu. Nie wchodziłam z nią jednak w szczegóły, nie powiedziałam... jakich dokładnie obrażeń doznała jej mama.

– Bo chciałaś najpierw porozmawiać o tym z Marci?

Coreen spojrzała na LeAnne.

– W wojsku jesteś oficerem?

– Nie służę już w wojsku.

– Ale kiedy służyłaś, to byłaś oficerem?

– Nie.

– Nie chciałam cię urazić. Pomyślałam po prostu, że jesteś bardzo bystra.

– Jest wielu bystrych żołnierzy, którzy nie są oficerami. Na przykład Marci.

– Och, Marci była bystra, to prawda, ale w inny sposób niż ty.

LeAnne nie miała ochoty rozwijać tego wątku. Oceniając ludzi, dużo większe znaczenie przypisywała innym cechom niż inteligencja.

– Co powiedziała Marci, kiedy z nią rozmawiałaś?

– Na temat jej nieszczęsnej nogi?

LeAnne skinęła tylko lekko głową. Czuła, że gdyby wymówiła te dwa słowa – „nieszczęsna noga” – coś by w niej pękło, głos by się jej załamał, wybuchłaby płaczem i zrobiłaby z siebie pożałowania godne widowisko.

– Niestety, w ogóle nie poruszyliśmy tego tematu. Rzecz w tym, że moja wizyta nie była zbyt udana. Co bym nie powiedziała, wszystko było źle. Każde moje słowo złościło ją i pogarszało sytuację. Dlaczego nie potrafiłam lepiej sobie z tym poradzić? A teraz jeszcze to zniknięcie Mii... Moja wnuczka zniknęła, kiedy była pod moją opieką.

LeAnne poczuła, że burza targających nią uczuć cichnie.

– Zniknęła? – powtórzyła.

– To wydarzyło się w noc po pogrzebie. Położyłam ją spać i byłam przy niej, dopóki nie zasnęła. Nie chciałam, żeby była sama. To biedne dziecko miewało koszmary, nawet kiedy nie działo się nic złego. Rano zobaczyłam, że jej nie ma. Okno w pokoju było otwarte. Co ze mnie za matka i babcia, skoro z niczym nie potrafię sobie poradzić?

Na to pytanie LeAnne nie potrafiła odpowiedzieć. Być może Coreen faktycznie mogła poradzić sobie lepiej z tą trudną sytuacją. A być może nie byłaby w stanie niczego zmienić. To wszystko było zbyt skomplikowane. Ale Coreen powiedziała coś ważnego; LeAnne postanowiła skupić się na tym, zanim jej to umknie.

– Miała koszmary?

Coreen, wciąż na skraju łez, wzięła się jakoś w garść i przytaknęła.

– Nie każdej nocy. Poza tym za dnia była zazwyczaj pogodnym dzieckiem. Ale miała też bardzo bogatą wyobraźnię, a jej matka była daleko. Daleko i w niebezpiecznym miejscu... – Coreen urwała i zamilkła.

– Jakie to były koszmary?

– Rano nigdy ich nie pamiętała. Ale czasem słyszałam, jak... – Po twarzy Coreen popłynęły łzy. – ...jak woła przez sen: „Mamusi, mamusi!”.

Coreen pochyliła głowę i załkała przejmująco, wydając z siebie dźwięki przypominające krakanie. LeAnne nie była w stanie tego znieść, ale nie podeszła do Coreen i nie poklepała jej po ramieniu. Próbowwała zrobić to już wcześniej, z marnym skutkiem. Jak, do cholery, powinna się teraz zachować? Nie zdążyła nic wymyślić, bo usłyszała, że coś drapie w okno za jej plecami. Obróciła się i zobaczyła psa wpatrującego się w nią z obłędem w oczach – o ile psy mogą mieć w oczach obłęd.

Zerwała się na równe nogi.

– Zaraz wracam.

Coreen chyba nawet jej nie usłyszała. LeAnne pobiegła do frontowych drzwi i z rozmachem je otworzyła. Jakimś cudem pies już tam był i czekał na nią. Gdy tylko drzwi się otworzyły, skoczył na LeAnne niczym mały psiak domagający się, by wziąć go na rękę.

LeAnne niemal się to udało. Przez chwilę trzymała ogromne cielsko w swoich ramionach, ale zachwiała się i rozluźniła uścisk – nie była tak silna jak kiedyś, poza tym pies był mokry i śliski. Spadając, przebierał łapami w powietrzu; wyglądało to trochę tak, jakby biegł na spotkanie podłodzi. Gdy wylądował, pokłusował w głąb domu.

LeAnne oparła się o futrynę, odzyskała równowagę i ruszyła w pościg za psem. Przebiegła przez salon, po czym znalazła się na korytarzu prowadzącym na przeszkloną werandę. Zamiast głośnego szlochu z werandy dobiegały ją teraz odgłosy pociągania nosem i cichego popłakiwania. Pies wpadł w pierwsze otwarte drzwi, jakie napotkał na korytarzu. LeAnne wbiegła tam za nim i zatrzasnęła za sobą drzwi.

To był dziecięcy pokój: na ścianach wisiały obrazki z bohaterami bajek, w kącie stał domek dla lalek, a na półce zobaczyła kilka pucharów z zawodów piłkarskich. LeAnne oparła się plecami o drzwi, a pies

myszkował po całym pomieszczeniu, wymachując energicznie swoim krótkim ogonem.

– Co ty, do cholery, wyprawiasz?

Pies nie zwracał na nią uwagi.

– Chcesz wrócić do schroniska? Naprawdę? Przemyśl to sobie.

Pies wskoczył na łóżko i wygrzebał coś spod poduszki.

– Zostaw to.

Pies trzymał w zębach maskotkę – pluszowego pieska.

– Powiedziałam, że masz to zostawić.

Pies pokręcił energicznie łbem. LeAnne podeszła bliżej i spróbowała wyrwać mu zabawkę. Gdy się odwrócił, chwyciła go za obrozę. Nie spodobało mu się to. Zaczął warczeć.

– Zawarczysz na mnie jeszcze raz i masz przechłapane.

Pies i człowiek wymienili pełne złości spojrzenia. Pies przestał warczeć.

– A teraz oddaj mi zabawkę.

LeAnne chwyciła za pluszaka, białego pieska z okrągłymi czarnymi oczami. Pies zacisnął szczęki i nie puszczał. Jedno czarne oczko oderwało się i spadło na podłogę. LeAnne wyprowadziła psa z pokoju, ciągnąc go za obrozę. Nie opierał się, szedł chętnie przez cały korytarz, ale przy drzwiach wejściowych zaczął stawiać opór, by koniecznie zająć miejsce po prawej stronie LeAnne – na co ona nie zamierzała mu pozwolić.

– Cześć – powiedział nagle ktoś, kto stał poza polem widzenia LeAnne.

Obróciła się błyskawicznie i zobaczyła mężczyznę w żółtym płaszczu przeciwdeszczowym. Niestety, odwracając się, poluźniła uścisk dłoni na obroży. Pies natychmiast skorzystał z okazji i rzucił się do ucieczki. Biegł tak szybko, że zabawka trzepotała w jego pysku.

– Jasna cholera! – LeAnne spojrzała na mężczyznę.

Mężczyzna wyglądał na zaskoczonego, choć nie mogła być tego pewna, bo naciągnięty kaptur rzucał cień na jego twarz.

– Przepraszam – powiedział. – Nie chciałem cię przestraszyć.

– Przestraszyć mnie? – Kim jest ten dupek? – Przestraszyć mnie? – Pies próbował właśnie sforsować żywopłot kilka domów dalej, po drugiej stronie ulicy. LeAnne podniosła głos: – Wracaj tu! Wracaj natychmiast!

Pies zdołał w końcu przebić się przez żywopłot, przy okazji ogałając go ze sporej części listowia.

– Wow! – powiedział mężczyzna w płaszczu przeciwdeszczowym. On także podniósł nieco głos, całkiem przyjemny dla ucha baryton. – To... – urwał i zerknął na LeAnne. – Jak on się wabi?

– To nie on, tylko ona. I nie ma imienia.

– Nie ma imienia?

– O co ci chodzi?

– O nic. Myślę, że łatwiej byłoby ją przywołać, gdyby miała imię, to wszystko – stwierdził, po czym zawołał podniesionym głosem: – Hej, piesku! Wracaj tutaj.

Pies nie posłuchał. Mężczyzna włożył do ust kciuk i palec wskazujący i zagwizdał. LeAnne nigdy w życiu nie słyszała tak przeraźliwie głośnego gwizdu. Rozłupał jej głowę na pół niczym tasak. Miała ochotę zabić tego faceta; już odwracała się w jego kierunku, żeby... właściwie to nie była pewna, co zamierzała zrobić, kiedy nagle pies pojawił się u wylotu ulicy. Stał z głową przechyloną na bok – w ten sposób chciał im chyba dać do zrozumienia, że ma mnóstwo wątpliwości – i przyglądał im się badawczo.

– Hej, wracaj tu! – zawołał mężczyzna niezbyt głośno, ale to w zupełności wystarczyło.

Pies ruszył ku nim biegiem, rozwijając zadziwiającą prędkość. Zanim się zatrzymał, wpadł w lekki poślizg na mokrym chodniku. Potem usiadł u stóp mężczyzny; w pysku wciąż trzymał pluszową zabawkę.

– Kto jest grzeczną dziewczynką? – Mężczyzna przykucnął i zaczął głaskać psa po wielkiej, kwadratowej głowie.

Kaptur opadł mu na plecy i LeAnne mogła wreszcie przyjrzeć się jego twarzy. W pierwszej chwili nie wydała jej się zbyt atrakcyjna, ale kiedy



przyjrzała się uważniej, doszła do wniosku, że tylko jego nos jest brzydki. Po krótkim namyśle uznała, że nawet ten nos nie jest wcale taki najgorszy. Jeśli ślubne zdjęcie Marci można było uznać za wiarygodny materiał porównawczy, to mężczyzna zdecydowanie wyprzystojniał z wiekiem. Tak, to z pewnością był Harvey.

– A może Goody? – powiedział do psa Harvey. – Chciałabyś nazywać się Goody?

– Na litość boską – westchnęła LeAnne.

Harvey podniósł głowę i spojrzał na LeAnne.

– Prawdziwa z niej ślicznotka, co? Masz ją od niedawna? – Zauważył blizny na jej twarzy i coś zamigotało w jego oczach, ale prawie natychmiast zgasło.

– Bo co?

Uśmiechnął się. Miał małe, ale równe i białe zęby.

– Bo nie nadałaś jej jeszcze imienia. – Wstał i wyciągnął do niej dłoń. – Nazywam się Harvey Wald.

– LeAnne Hogan. – Uścisnęła jego rękę, po czym dodała: – Wiem, kim jesteś.

– Tak?

– Pierwszym mężem Marci.

Ominął ją wzrokiem i spojrzał na dom Coreen.

– Znałaś ją?

LeAnne skinęła głową.

LeAnne wiedziała, że kusi go, by ponownie spojrzeć na jej twarz; czuła niemal, jak toczy wewnętrzną walkę z tą pokusą.

– Z wojska?

– Tak.

– To taka straszna historia. Nawet nie wiem, co powiedzieć.

LeAnne też nie wiedziała, więc oboje przez chwilę milczeli. Deszcz zacinał coraz mocniej.

– Tak naprawdę to nawet nie wiem, co właściwie stało się z Marci – ciągnął Harvey. – To znaczy nie znam szczegółów. Coreen jest teraz trochę zdezorientowana, trudno się zresztą temu dziwić. Właśnie się do niej wybierałem, może się przyłączysz?

– Dopiero co z nią rozmawiałam.

– Rozumiem – powiedział Harvey. – Coreen jest w kiepskim stanie. A teraz, na domiar złego, zwałił się jej na głowę jeszcze jeden problem.

– Masz na myśli zniknięcie Mii? W ogóle nie rozumiem, o co tutaj chodzi.

– Tak, to naprawdę dziwne – przyznał Harvey, naciągając na głowę kaptur. – Może schowalibyśmy się gdzieś przed deszczem?

– Myślałam, że lubisz deszcz.

– Kto ci to powiedział?

LeAnne wzruszyła ramionami.

– Marci?

Znowu wzruszyła ramionami.

– Masz podobny styl konwersacji co ona – powiedział żartobliwym tonem Harvey.

– Możemy usiąść w moim samochodzie – zaproponowała LeAnne.

\* \* \*

LeAnne i Harvey zajęli miejsca z przodu, a pies wyciągnął się z tyłu; położył obok siebie zabawkę, po czym natychmiast zasnął. Krople deszczu uderzały w maskę i odbijały się od niej. Szyby w oknach pokryły się parą.

– Prowadziła ciężarówkę po autostradzie do bagdadzkiego lotniska i najechała na minę – opowiadała LeAnne. – W tamtym czasie nasi nie radzili sobie z odpowiednim zabezpieczeniem drogi. Teraz podobno jest już lepiej.

– Wiedziałem o minie – powiedział Harvey. – Ale przecież Marci przeżyła.

– Cóż, niedawno odbył się jej pogrzeb...

– To znaczy... wróciła przecież do domu, a przynajmniej do kraju.

Lekarze popełnili jakiś błąd?

– Nie wiem. Jedyne, co pamiętam...

Nie potrafiła sobie przypomnieć okoliczności śmierci Marci ani tego, jak się o niej dowiedziała. Myśl o pocałunku wypierała z jej głowy wszystkie inne wspomnienia dotyczące Marci.

Zapadła długa cisza. LeAnne czuła na sobie spojrzenie Harveya. On siedział na miejscu dla pasażera, ona za kierownicą.

– Byłaś tam? W tym szpitalu wojskowym?

– To tam się poznałyśmy. Nie mówiłam ci tego?

Znowu cisza, którą po chwili przerwał Harvey.

– Najżałośniejsza rzecz, jaką można zrobić, to powiedzieć: och, wystarczyło postąpić tak czy inaczej, a wszystko byłoby z nią w porządku. Obwiniać się, a jednocześnie podchodzić do całej sprawy tak, jakby wszystko kręciło się wokół ciebie. Oczywiście nie mam na myśli ciebie konkretnie, mówię ogólnie.

– Mówisz o sobie.

Harvey skinął głową. Zaczął delikatnie stukać palcami w deskę rozdzielczą. Uwagę LeAnne przykuł kontrast między starym, porysowanym plastikiem a jego skórą na dłoniach – zdrową, o ładnym kolorycie.

– Czyli, o ile dobrze rozumiem, poznałaś Marci dopiero w szpitalu?

– Zgadza się.

– Przejechałaś taki kawał drogi.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Nic, po prostu głośno myślę.

– Służyłaś w wojsku?

– Nie.

– Więc nie wiesz, jak szybko poznaje się ludzi na wojnie.

– Pobyt w szpitalu to też wojna?

– Chryste – sarknęła LeAnne. – To chyba oczywiste?

– Powinno być – zgodził się Harvey. – Nic nie wiem o wojnie.

– I niech tak zostanie – powiedziała LeAnne. – Czym się zajmujesz?

– Jestem nauczycielem. Stąd znam Mię. Mia była... chciałem powiedzieć: jest... uczennicą klasy, w której uczę.

Harvey zaczął po kolei opisywać wszystkie ważne wydarzenia – to, jak Marci zaciągnęła się do wojska, jak ona i Mia przeprowadziły się do Fort Lewis, jak Marci dostała przydział na wyjazd do Afganistanu, jak Mia wróciła do Coreen – ale LeAnne nie potrafiła skupić się na jego słowach. Zamiast zbierać w całość porzucane kawałki historii życia Marci, próbowała skupić się na tym, co było absolutnie kluczowe tu i teraz.

– O czym myślisz? – zapytał Harvey.

Z jakiegoś powodu odpowiedziała mu na to pytanie.

– Próbuję skupić się na tym, co jest absolutnie kluczowe tu i teraz.

– Czyli na znalezieniu Mii i sprowadzeniu jej do domu całej i zdrowej, prawda?

– Między innymi.

– Tylko między innymi?

– A może wyłącznie. Może mi się poszczęści i reszta jakoś sama się ułoży.

– Nie rozumiem.

Prawda była taka, że sama siebie nie rozumiała. Przez chwilę nie wiedziała, kim jest i dlaczego jest tu, gdzie jest. Nie miała żadnego oparcia, dryfowała. Czuła się, jakby jej życie było fragmentem przedstawienia iluzjonisty. Pyk, i nie ma. Pyk – jak odgłos cichutkiej eksplozji – trudno o trafniejsze porównanie.

I nagle – pyk! – z jej umysłu zniknęło wspomnienie pocałunku i powrócił do niej obraz Marci siedzącej na fontannie przy drzewkach wiśni. Powróciły do niej wszystkie szczegóły, łącznie ze smakiem jabłkowego likieru. „Co z nią będzie, jeśli coś mi się stanie? O to najbardziej się

martwię”.

Wszystko wskoczyło na swoje miejsce, zyskało sens. LeAnne zrozumiała, że nie ma czegoś takiego jak przypadek; że życie rządzi się swoimi własnymi magicznymi regułami.

– Niemal słyszę, jak obracają się te wszystkie trybiki w twojej głowie – powiedział Harvey.

LeAnne nie powiedziała mu, co zaprzętało jej myśli. A było to niezachwiane przeświadczenie, że odnalezienie Mii jest jedynym, co się teraz liczy. Nie była niczego równie pewna, odkąd... odkąd wszystko się spieszyło. A może jeszcze wcześniej. Bo na przykład czy mogła być pewna Katie i jej intencji? Jednak teraz nie chciała myśleć ani o Katie, ani o wątpliwościach, które Stallings próbował zasiać w jej umyśle, ani o tych sześciu dziewczynkach, ani o fugasach pod materacami do zeskoku. Przecież i tak nic nie mogła zrobić.

– Mogę cię o coś zapytać? – zagadnął Harvey. – To oczywiście nie mój interes i możesz po prostu powiedzieć, żebym spadał.

LeAnne odwróciła się w jego stronę, żeby móc go zobaczyć. Czy wszystko, co ważne, już zawsze będzie się rozgrywać poza jej polem widzenia? Czy będzie się z tym zmagać do końca życia? Bez względu na to, ile go jeszcze zostało?

– „Bez względu na to, ile mi go jeszcze zostało?” – powiedział zaskoczony Harvey. – Nie rozumiem.

Co jest, do cholery? Czyżby znowu bezwiednie myślała na głos?

– Nieważne. Zapomnij. Ja... – urwała i wciągnęła nosem powietrze. – Co tu tak śmierdzi?

Kiedy indziej ten zapach mógłby odciągnąć jej uwagę od tego, co naprawdę ważne, ale na szczęście tym razem dobrze zapamiętała, co jest jej celem – odnalezienie Mii. Wiedziała, że to na tym musi się skoncentrować, choć nie było to łatwe zadanie. Głowa nie przestawała jej boleć od chwili, gdy Harvey gwizdnął na psa; zaparowane szyby w samochodzie sprawiały, że czuła się uwięziona, a teraz na dodatek jej nozdrza atakował ten okropny zapach.

– To zapach mokrego psa. Zdaje się, że nie jesteś miłośniczką psów – skwitował Harvey.

– To o to chciałeś mnie zapytać? O psa?

– Nie. To znaczy, o psa też, o ile wciąż będę mógł ci zadać moje pytanie numer jeden.

LeAnne obróciła się jeszcze bardziej, żeby móc dobrze mu się przyjrzeć. Pomyślała, że jego nos na swój dziwny sposób jest idealny.

Uśmiechnął się.

– Przerazasz mnie trochę, kiedy tak mi się przyglądasz. Zupełnie jakbyś miała rentgen w oczach.

– Ha – mruknęła LeAnne i odwróciła wzrok. – Pies jest przybłądą. Jakoś tak wyszło, że to ja się nim teraz zajmuję. Nikt się po niego nie zgłosił, a w schronisku miałyby bardzo małe szanse na adopcję. Nie potrzebujesz przypadkiem psa, Harvey?

– To nie jest dobry moment. Dostałem ofertę pracy w innym stanie i zastanawiam się, czy jej nie przyjąć. Zaczynałbym we wrześniu.

– Gdzie?

– W Kalifornii, a dokładniej mówiąc w Anderson Valley. Byłaś tam kiedyś?

– Nie.

– Raj na ziemi.

LeAnne próbowała przetrzeć zaparowane szyby wierzchem dłoni, ale udało jej się zrobić tylko kilka smug, przez które widać było zniekształcony świat na zewnątrz.

– Marci, opowiadając mi kiedyś o Iraku, powiedziała, że piekło niby jest pod ziemią, ale czasem wyskakuje na powierzchnię.

– Chodziło jej o fugasy?

LeAnne skinęła głową. Zapadła cisza. Kiedy spojrzała na niego ponownie, zobaczyła łzy na jego policzku. Było go jej żal, ale jeszcze bardziej było jej żal Marci.

– Wróćmy do twojego pytania.

Harvey otarł oczy rękawem płaszcza przeciwdeszczowego, przez co jego twarz stała się jeszcze bardziej mokra.

– To nie moja sprawa... – nie dokończył zdania, bo w jego kieszeni zabrzęczał telefon. Wyjął aparat, zerknął na ekran i natychmiast zapomniał o swoim pytaniu. – Chyba coś mają. – Pospiesznie zapiął kurtkę i sięgnął do klamki w drzwiach.

– Gdzie się wybierasz?

Harvey wskazał podbródkiem pikapa zaparkowanego po drugiej stronie ulicy. LeAnne jakoś go przeoczyła, chociaż stał na wprost domu Coreen.

– Do mojego samochodu.

– Mogę cię podrzucić gdzie trzeba.

\* \* \*

– To moja szkoła – powiedział Harvey po tym, jak wyjechali z Apple Street i kierując się na wschód, w stronę rzeki, minęli kilka przecznic. – Widzisz ten mały gaj? Wybudowali go ochotnicy za swoje własne pieniądze – odchrząknął. – Ja go zaprojektowałem.

– Naprawdę? – Grzecznie byliby zwolnić i przyjrzeć się dziełu Harveya, ale LeAnne przyszło to do głowy dopiero spory kawałek dalej.

– Co prawda nie od zera. Przerobiłem projekt, który znalazłem w internecie.

LeAnne niemal się uśmiechnęła. Zwróciła uwagę na brzmienie jego głosu. Harvey jednocześnie podkpiwał z samego siebie i był dumny z tego, co stworzył. Nigdy wcześniej nie słyszała, żeby ktoś w taki sposób opowiadał o swoich dokonaniach.

– Mia się tu bawiła? – zapytała.

– Tak. Mia to bardzo wysportowana dziewczynka. Gra w drużynie futbolowej ośmiolatków na bramce, biega jak sarna. Robiła fikołki do tyłu na najwyższym drążku, dopóki dyrektor szkoły tego nie zabronił.



– Ma to w genach.

– I to po obojgu rodzicach. – Rozmowa chyba przestała sprawiać Harveyowi przyjemność, jego głos nie był już radosny i ożywiony.

– Max... Jak on ma na nazwisko?

– Skelly.

– Też był sportowcem?

– Dawno temu. – Harvey zerknął na LeAnne. – Max jest dziesięć czy dwanaście lat starszy.

– Starszy od kogo?

– Ode mnie i od Marci. Ma dziesięć lub dwanaście lat więcej niż... miała Marci. Byliśmy zaledwie dwudziestolatkami, kiedy się pobraliśmy. Trochę to absurdalne, patrząc z dzisiejszej perspektywy.

– Dlaczego?

– Zdecydowaliśmy się na ten ślub bardzo wcześnie, nie uważasz?

– To zależy.

– Od czego?

– Od tego, kiedy umrzesz – odparowała LeAnne.

Sama nie wiedziała, co sądzić o Harveyu. Niewiele wiedział o życiu, ale i tak w jakiś sposób go lubiła.

– Nigdy o tym nie myślałem w ten sposób. Pewnie myślisz, że jestem głupi.

– Czemu tak mówisz?

– No, może raczej naiwny, zwłaszcza w porównaniu z tobą.

– Co masz na myśli?

– Właśnie tego dotyczyło pytanie, które miałem ci zadać. Widać, że wiele przeszłaś.

– Widać? – zapytała.

Dojechali do znaku STOP. LeAnne obróciła się twarzą do Harveya, który sprawiał wrażenie przestraszonego. I bardzo dobrze.

– Jak bardzo widać?

– Źle to ująłem – powiedział. – Nie chodziło mi o...

LeAnne powoli podniosła rękę do prawego oka, a potem, jeszcze wolniej, postukała w nie paznokciem trzy razy. Puk. Puk. Puk.

– Tak bardzo? – powiedziała.

Już nie powiedziałyby, że go lubi. Sympatię zaczęła zastępować niechęć. Ale właśnie wtedy Harvey ją zaskoczył: nie wzdrygnął się, nie wyglądał na zszokowanego, nie skrzywił się ze wstrętem. Jakie słowo najlepiej opisywałoby wyraz jego twarzy? Powaga? Tak, zachował powagę. Patrzył na nią poważnym, szczerym wzrokiem.

– Jak mogę ci pomóc? – zapytał.

– Nie potrzebuję pomocy.

– Więc nie będę się z nią narzucał – oznajmił Harvey.

To miał być jakiś żart? Tak czy inaczej LeAnne znowu niemal się uśmiechnęła. Ktoś za nimi wcisnął klakson, ale zatrąbił krótko i delikatnie. Widocznie w małych miasteczkach ludzie byli grzeczniejsi. Deszcz przestał padać. LeAnne czuła się już spokojniejsza.

\* \* \*

Wjechali na most prowadzący do położonej po drugiej stronie rzeki pagórkowatej część miasteczka. LeAnne dostrzegła płynące z prądem kaczki. Zerknęła w tylne lusterko. Pies już nie spał, usiadł i czujnym jak zwykle wzrokiem patrzył na rzekę.

Harvey odwrócił się do tyłu i cicho, tak jakby nie chciał przeszkadzać siedzącej za kierownicą LeAnne, powiedział:

– Hej, ślicznotko, na co tak warczysz?

– Ma bzika na punkcie kaczek – wyjaśniła LeAnne.

Harvey spojrział na rzekę.

– Myślisz, że je stąd widzi? Nie wiedziałem, że psy mają tak dobry wzrok.

– Widzi je. I może czuje też ich zapach. Bóg jeden wie, co jeszcze

potrafi. Żyje w zupełnie innym świecie niż my. – LeAnne uświadomiła to sobie dopiero teraz, kiedy wypowiedziała to zdanie.

– Może jednak jesteś miłośniczką psów.

– Na pewno nie – stwierdziła kategorycznie LeAnne.

Jadąc, kierowała się wskazówkami Harveya – przecięli Main Street i znaleźli się w najładniejszej z odwiedzonych dotychczas przez LeAnne części miasta. Nie była to jednak żadna luksusowa dzielnica; miejsce to przypominało okolicę, w której mieszkała Coreen, tyle tylko, że domy były tu większe, a wzdłuż ulic rosły rzędy drzew. LeAnne od dłuższej chwili starała się uporządkować w głowie wszystko, co powiedzieli jej Coreen i Harvey, ale w końcu skapitulowała.

– Coreen twierdzi, że Mia miała nocne koszmary.

– Pierwsze slysze – powiedział Harvey.

– I że ma bogatą wyobraźnię.

– To na pewno. Co dwa tygodnie moi uczniowie piszą wypracowanie, nie mniej niż jedną stronę i nie więcej niż trzy. Jej są zawsze najlepsze.

– O czym pisze?

– Głównie o duchach.

LeAnne zatrzymała się na czerwonym świetle, rozmyślając o duchach i Mii.

Po jakimś czasie Harvey powiedział:

– Zielone.

Ruszyła.

– A co z prawem do opieki nad Mią? Nie pamiętam już, co mi o tym mówiłeś.

– Prawo do opieki nad Mią? – zdziwił się Harvey. – Nie przypominam sobie, żebyśmy o tym rozmawiali. Ale to ciekawe, że o tym wspominasz.

– Dlaczego?

Czy nie rozmawiała z kimś niedawno na ten temat? Może z Coreen? Nie była pewna. Jak mogła uporządkować coś, czego nie pamiętała?

– Po pierwsze Marci od razu przyznano pełne prawa do opieki nad dzieckiem, zaraz po rozwodzie.

– Max się z tym pogodził?

– Nie wiem. Ale nie walczył przed sądem o prawo do opieki. Marci tego dopilnowała. Co więcej, Max nie miał nawet ustalonego prawa do odwiedzin. W tej kwestii wszystko zależało od niej. Rzadko się na nie zgadzała i zawsze była obecna w trakcie jego wizyt. Po tym jak zaciągnęła się do wojska, to i tak nie miało znaczenia, bo wyjechała stąd razem z Mią. Myślę, że Max nie widział Mii przez jakieś dwa lata albo więcej.

– Nie rozumiem.

– Czego?

– Co to niby ma znaczyć, że „Marci tego dopilnowała”?

– Żeby to zrozumieć, musisz wiedzieć o czymś, co wydarzyło się, kiedy jeszcze byli małżeństwem. Ja sam jeszcze do niedawna nie miałem o tym pojęcia, ale...

– Mówisz o maltretowaniu?

– Coreen ci powiedziała?

– Tak. – Tego akurat LeAnne była pewna. Maltretowanie. I to nie jeden raz, ale trzy razy. Poczuła, jak wzbiera w niej złość.

– Ja też dowiedziałem się o tym od Coreen. Marci udało się nagrać ostatni incydent na telefon, poza tym zaraz po pobiciu zrobiła zdjęcia swojej twarzy. To były wystarczające dowody, żeby wniesć oskarżenie, ale Marci nie chciała stać się tematem plotek. Zamiast tego wykorzystwała zebrane dowody podczas rozwodu i zabrała Mię z życia Maxa. – Harvey pokręcił głową. – Ech, Marci, jedyna w swoim rodzaju.

Dojechali do małej nieczynnej stacji kolejowej. Tam, gdzie kiedyś były tory, biegła teraz wybetonowana ścieżka rowerowa.

– Chyba już jej wybaczyłeś, prawda?

– To że mnie zdradzała? Tak, lata temu. Oczywiście wtedy nie przyjąłem tego tak spokojnie. Teoretyczne dyskusje o zdradzie, w których

racjonalizujemy ją na tysiące sposobów, to nie to samo co doświadczenie tego na własnej skórze. Musisz na przykład zmierzyć się z tym, kim jest osoba, z którą zdradzał cię twój partner. To, kim ta osoba jest, mówi całkiem sporo o tobie. – Wskazał palcem, gdzie powinna zaparkować. – Zatrzymaj się tutaj, obok samochodu szeryfa.

LeAnne zaparkowała obok policyjnego radiowozu, dokładnie naprzeciwko jednego z zabitych deskami okien stacji kolejowej. Do sklejki przybito plakat informujący o zaginięciu dziecka. Patrzyła na to samo zdjęcie co wcześniej, ale dopiero teraz dostrzegła podobieństwo łączące Marci i uczesaną w dwa warkoczyki dziewczynkę. Otworzyła drzwi, zamierzając zapytać Harveya, co mówił o nim samym fakt, że Marci wybrała akurat Maxa. A może czegoś nie zrozumiała? Nagle, zanim się zorientowała, pies przeskoczył nad jej siedzeniem i wybiegł z samochodu.

– Stój! – krzyknęła LeAnne. – Wracaj tu natychmiast, sukinsynu!

Pies ani się nie zatrzymał, ani nie wrócił. Wbiegł na ścieżkę rowerową i zniknął za zakrętem.

– Sukinsyn to chyba niezbyt trafne określenie – powiedział Harvey.

Włożył do ust kciuk oraz palec wskazujący i wziął głęboki wdech. LeAnne podniosła dłoń, żeby go powstrzymać.

– Ostatnim razem to zadziałało – zauważył Harvey.

– Proszę, nie.

\* \* \*

LeAnne chwyciła smycz i wbiegła na ścieżkę rowerową. Harvey pobiegł za nią. Ścieżka z jednej strony graniczyła z przydomowymi ogródkami, z których część wyglądała jak wiejskie podwórka – przechadzały się po nich kury, a także jedna czy dwie kozy. Po drugiej stronie ścieżki zбочe porośłe gąszczem krzaków wysokości człowieka schodziło w dół aż do bagna, nad którym wisiały pasma mgły.

– Kto ma teraz prawo do opieki nad Mią? – zapytała LeAnne.

– Coreen. Wszystko zostało załatwione u prawnika, jeszcze zanim Marci wyjechała na misję.

– Czy ona nie jest trochę za stara na przyjęcie takiego zobowiązania?

– Przecież nie miała wyboru. – Harvey kopnął leżący na ścieżce kamień w stronę krzaków. – Szkoda, że pociągi już tu nie jeżdżą.

Pokonali zakręt, za którym wcześniej zniknął pies. Zobaczyli przed sobą wysoką, chudą sosnę rosnącą po zakrzaczonej stronie ścieżki. Stało pod nią trzech mężczyzn, u ich stóp siedział pies. Nawet z tej odległości LeAnne widziała, że nie jest to jej pies. „Jej pies?” Użyła w myślach tego skrótowego określenia jedynie dla wygody. Zwierzę – podobnej wielkości, ale o jaśniejszej sierści i z normalnym ogonem – nosiło neoprenową kamizelkę. Po samym sposobie siedzenia można było poznać, że to wyszkolony, posłuszny i grzeczny czworonóg. Dwaj mężczyźni noszący kurtki przeciwdeszczowe z napisem „Biuro szeryfa” na plecach byli wysocy, ale trzeci z nich, ubrany w nieoznakowaną kurtkę, był prawdziwym olbrzymem.

– Chryste – powiedział Harvey.

– Coś nie tak? – zapytała LeAnne.

Harvey nie odpowiedział. Podeszli do stojących pod drzewem mężczyzn. Wszyscy mieli nogawki spodni ubłocone aż do kolan. LeAnne rozpoznała w jednym z nich policjanta wychodzącego z domu Coreen. Drugiego nie знаła. Ale czy już gdzieś nie widziała tego wysokiego mężczyzny o okrągłej twarzy, z kruczoczarłą grzywką opadającą na czoło? Od razu przypomniał jej się Wakil Razaq Salam, co było śmieszne, bo konstruktor bomb zginął w wybuchu, a poza tym wcale nie przypominał tego mężczyzny.

– Cześć, Harvey – powiedział pierwszy policjant.

– Dzień dobry, szeryfie – odpowiedział Harvey. – Co się dzieje?

– Nie jestem pewien... – zaczął szeryf i urwał, odwracając się do LeAnne.

– To LeAnne, koleżanka Marci z armii – przedstawił ją Harvey. – LeAnne, to szeryf Cosgrove i jego zastępca Lima. – Po tej krótkiej

prezentacji Harvey odwrócił się w stronę najwyższego mężczyzny i spojrzał na niego wzrokiem wypranym z emocji. – A ten dżentelmen to Max Skelly.

Wielkolud gapił się na jej blizny tak samo jak obaj policjanci.

– Bardzo mi miło – powiedział i uprzejmie skinął głową.

Harvey nie był wysoki i nie wyglądał na agresywnego faceta, więc LeAnne zdziwiła się, kiedy zrobił krok w stronę Maxa i powiedział:

– Co ty tu w ogóle robisz, jeśli mogę zapytać? – Druga część zdania ociekała sarkazmem, brzmiała niemal jak wyzwanie.

– Przyjechałem, żeby pomóc w poszukiwaniach – odparł Max. Sądząc po tonie głosu, nie czuł się w najmniejszym stopniu urażony. – W końcu Mia to moja córka.

– Technicznie rzecz biorąc – powiedział Harvey.

– Nie będę się kłócił. Kłótnie to strata czasu, a w sytuacjach takich jak ta czas ma kluczowe znaczenie. Prawda, szeryfie?

– Chłopaki – powiedział szeryf Cosgrove – cokolwiek do siebie macie, nie wciągajcie mnie w to. Zadzwoiłem do ciebie, Harvey, bo prosiłeś, żeby dać ci znać, jeśli czegoś się dowiemy.

– No i? – ponaglił go Harvey.

– Champ podjęła trop Mii – odezwał się Lima.

– To znaczy jej zapach?

Zastępca skinął głową i wyciągnął plastikową torebkę z wewnętrznej kieszeni kurtki. W środku znajdowała się dziecięca skarpetka z małym przetarciem na palcach.

– Leżała na podłodze w pokoju Mii. Każdego ranka dajemy ją Champ do obwąchania, żeby odświeżyć jej pamięć. Dzisiaj, kiedy zaczęliśmy przeszukiwać ten sektor, podniosła alarm. Pobieгла tam. – Zastępca szeryfa wskazał palcem porośnięte krzakami zbocze i bagno u jego podnóża.

– Cokolwiek ją zaalarmowało, nie potrafimy tego znaleźć – powiedział szeryf.

– Można na niej polegać? – zapytał Harvey, patrząc na Champ.



– Bez dwóch zdań – zapewnił go zastępca szeryfa.

– W takim razie spróbujmy jeszcze raz – zaproponował Harvey.

Ruszył w stronę krzaków, jego noga od razu uwięzła w gąszczu jeżyn.

– Najlepiej iść za Champ – poradził mu zastępca. – Ona zawsze znajdzie najłatwiejszą...

Coś poruszyło się w krzakach na wysokości połowy zbocza.

– Mia?! – zawołał Harvey. – Mia?!

Cokolwiek buszowało w krzakach, było większe od dziecka. Szeryf i jego zastępca chwycili za kolby swoich rewolwerów. Coś w zaroślach szurało, chrobotąło, skrobało i pękało z trzaskiem. Po chwili jej pies – LeAnne używała tego skrótu myślowego jedynie dla wygody – wyskoczył z najgęstszej i najbardziej kolczastej mierzwy znajdującej się zaledwie parę metrów od nie tak gęsto porośłego fragmentu zbocza, po którym łatwiej było się poruszać. Suka miała chyba zamiar wbiec na ścieżkę, zrobiła nawet kilka kroków w jej kierunku, gdy nagle zauważyła Champ.

LeAnne niewiele wiedziała o tym, jak działa psi umysł, ale było dla niej jasne, że jej podopieczna nie polubiła Champ. Suka zawarczała – coś miękkiego i czarnego wypadło jej z pyska – obnażyła zęby, przy okazji obficie się śliniąc, i doskoczyła do Champ. Champ była psem podobnej wielkości, może nawet trochę większym, ale natychmiast przewróciła się na grzbiet, odsłaniając gardło. Pies LeAnne stanął nad nią w taki sposób, żeby nie było wątpliwości, kto tu jest górą. Champ nie zrobiła nic, żeby się bronić, nawet się nie poruszyła. Wywracała tylko rozpaczliwie oczami.

– Co, do cholery? – zastępca szeryfa wyciągnął broń.

– Powoli – powiedziała LeAnne głosem, którego używała kiedyś w trakcie musztry; przydał jej się teraz. Wszyscy mężczyźni obrócili się w jej kierunku. Zastępca opuścił lufę rewolweru. Zignorowała ich, podeszła do psa, klasnęła w dłonie, raz, ale donośnie; dźwięk, który się rozległ, przypominał krótki grzmot. – Chodź tu!

Pies natychmiast przytruchtał do niej i usiadł przy jej prawym boku.

Szturchnął nawet LeAnne łbem w nogę, domagając się chyba w ten sposób pieszczot.

– Nie rozumiem – powiedział szeryf Cosgrove. – To pani pies?

LeAnne skinęła głową.

– Zdominowała Champ? – zdziwił się szeryf. – Wow.

Zastępca nie wyglądał na zadowolonego z obrotu sytuacji.

– Taką bestię trzeba trzymać na smyczy. Cały czas.

LeAnne nie przejęła się tą uwagą.

– Uciekła – oznajmiła jedynie; jeśli liczyli, że ich przeprosi, to się przeliczyli.

– Jak się wabi? – zapytał szeryf.

LeAnne namyślała się przez moment.

– Goody – powiedziała w końcu.

Goody – to imię wydawało się w ogóle nie pasować do jej towarzyszki, a jednak przylgnęło do niej jak druga skóra.

– Chryste – sarknął zastępca.

LeAnne przypięła smycz do obroży. Goody wciąż grzecznie siedziała przy jej nodze i zamiatała ogonem mokry chodnik. Harvey podszedł do miejsca, w którym Goody upuściła miękką, czarną przedmiot; podniósł go z ziemi i wrócił do pozostałych.

– Co to takiego? – zapytał szeryf.

– Czarna opaska na ramię – odpowiedział Harvey.

– Rozdają chyba takie u McCutcheona, prawda? – przypomniał szeryf.

– U McCutcheona? – Ta nazwa nic nie mówiła LeAnne.

– To dom pogrzebowy. Rodzina zmarłego dostaje takie opaski od pracowników – wyjaśnił Harvey.

Szeryf Cosgrove włożył jednorazowe rękawiczki, wziął opaskę od Harveya, odwrócił ją na lewą stronę i pokazał wszystkim nadrukowany tam napis: „Dom pogrzebowy McCutcheona, Bellville, WA”.

– Kto dostał taką opaskę? – zapytał szeryf. – O ile to nie jest opaska

z innego pogrzebu.

– Nie zwróciłem wtedy na to uwagi – powiedział Harvey i spojrzął na Maxa.

Max obojętnym wzrokiem przypatrywał się opasce. Szeryf włożył opaskę do torby na materiał dowodowy, po czym wyciągnął z kieszeni telefon i odszedł kawałek dalej.

– Wstawaj, na litość boską – powiedział zastępca do Champ, która wiała się, leżąc na grzbiecie i nie spuszczać Goody z oczu. – Wstawaj!

Champ posłuchała polecenia. LeAnne poczuła, jak napinają się wszystkie mięśnie Goody; musiała teraz trzymać smycz obiema rękami. Championka tymczasem zrobiła kilka kroków w kierunku zastępcy i zatrzymała się – bardziej za nim niż obok niego – lekko przy tym dygocąc.

Szeryf schował telefon do kieszeni i dołączył do ich grupki.

– W domu pogrzebowym opaski wręczono trójce żałobników: pani Cummings, jej siostrze i dziewczynce.

– Pani Cummings jest w domu – powiedział Harvey. – Jej siostra wróciła do Boise. Domyślam się też, że pobierzecie ode mnie odciski palców.

– A niby po co? – powiedział szeryf.

Harvey wyglądał na zdziwionego.

– Do analizy, dla techników. Właśnie trzymałem w rękach materiał dowodowy.

Szeryf miał sumiaste wąsy, wciąż mokre od deszczu. Kiedy mówił, poruszały się, co przyprawiało LeAnne o lekkie mdłości.

– Nie zapędzajmy się tak, Harvey.

– Co masz na myśli?

– Nie wyciągajmy przedwczesnych wniosków – odezwał się Max.

Harvey spiorunował go wzrokiem, ale szeryf powiedział:

– Otóż to. Jak już mówiłem, nie wiemy, na jakim pogrzebie wręczono tę konkretną opaskę.

Teraz szeryf zwrócił się do LeAnne:

– Jest pani przyjaciółką Marci? Dobrze zrozumiałem?

– Tak.

– Służyła pani razem z nią w Iraku?

– Nie.

– Tutaj w kraju?

LeAnne pokiwała głową.

– A gdzie konkretnie?

– W Walter Reed.

Zapadła cisza.

Poraniona część jej twarzy znowu zadziałała jak magnes na spojrzenia wszystkich mężczyzn z wyjątkiem Harveya.

– Chyba trochę się w tym gubię – powiedział szeryf.

– Nie rozumiem dlaczego – powiedział Harvey. – LeAnne jest przyjaciółką Marci z wojska, przyjechała tutaj, żeby się z nią pożegnać.

– Przecież nie było jej na pogrzebie – powiedział zastępca szeryfa.

– Ale jestem tutaj – zwróciła mu uwagę LeAnne. – Może pan zwracać się bezpośrednio do mnie.

– W porządku – powiedział zastępca. – Dlaczego nie było pani na pogrzebie?

– George? – wtrącił się szeryf. – Zajmę się tym, jeśli pozwolisz. – Żyła na szyi zastępcy zaczęła pulsować.

– Dlaczego nie było pani na pogrzebie? – zapytał szeryf Cosgrove; to samo pytanie zadane bardziej życzliwym tonem brzmiało zupełnie inaczej.

– Nie zdążyłam na czas – odpowiedziała LeAnne.

– Skąd pani przyjechała?

– Z prowincji Herat.

– A gdzie to, do cholery, jest? – zapytał zastępca szeryfa.

– LeAnne chyba trochę się z nas nabija – stwierdził szeryf.

– Nie nabijam się – odpowiedziała LeAnne. – Pomagam w poszukiwaniach.

Szeryf skinął głową.

– Doceniam pani zaangażowanie – zerknął na Goody, która w tym momencie rozdziawiła pysk w szerokim ziewnięciu. – Skoro jest pani taka skora do pomocy, proszę pomóc nam rozwiązać tę małą zagadkę. Załóżmy na potrzeby tej rozmowy, że technicy albo pracownicy domu pogrzebowego potwierdzą, że to właśnie tę opaskę nosiła Mia. Jakim cudem spośród wszystkich rzeczy leżących w tym bloku pani pies przyniósł akurat to?

LeAnne ledwo nadążała za tokiem myślenia szeryfa, więc tym bardziej nie potrafiła udzielić mu żadnej sensownej odpowiedzi. Ale czy oni nie próbowali właśnie obrazić jej psa? Tego nie mogła zaakceptować.

– Może jest w tym lepsza – powiedziała.

– Lepsza? – zdziwił się szeryf. – Nie rozumiem.

– Lepsza niż pana pies – powiedziała to specjalnie, żeby go zdenerwować.

Rzadko stosowała takie chwytły konwersacyjne, być może nawet nigdy do tej pory jej się to nie zdarzyło, ale teraz nie żałowała. Trafiony, zatopiony!

– Cholera jasna – rzucił zastępca szeryfa, ruszając w jej kierunku.

LeAnne wiedziała, jak należy reagować w takich sytuacjach. W jej głowie natychmiast pojawił się plan. Pierwszy punkt planu: wyciągnąć trzydziestkę ósemkę zastępcy z jego kabury. Szeryf wkroczył pomiędzy nich.

– Uspokójcie się oboje.

– Nie słyszałeś, co powiedziała? – zapytał Lima podniesionym głosem. – Champ jest najlepsza w całym stanie.

– Już nie – wyprowadziła go z błędu LeAnne.

To, co powiedziała, było najprawdziwszą prawdą, ale gdzie ulotniła się przyjemność, jaką czerpała z denerwowania swoich rozmówców.

– Jezu Chryste! – wrzasnął zastępca. – Odupścisz jej to?

Szeryf Cosgrove uniósł obie dłonie.

– Harvey, a może zabrałbyś swoją znajomą na kawę? I tak nie ma tu nic do roboty, dopóki nie dowiemy się czegoś więcej o tej opasce. Zadzwoń do ciebie, gdy będziemy coś mieli.

– W porządku – Harvey położył delikatnie swoją dłoń na plecach LeAnne.

Odruchowo strząsnęła jego rękę i sama ruszyła przed siebie. Nie sama. Goody dreptała obok niej, jak zawsze po jej prawej stronie, ciągnąc za sobą smycz. LeAnne pomyślała, że musiała ją upuścić, kiedy szykowała się do ataku na kaburę zastępcy.

– Dobry piesek – powiedziała.

– Pewnie, że dobry – potwierdził Harvey, który, jak się okazało, podążał jej śladem. Nie zdawała sobie sprawy, że cały czas był tam, w zasięgu głosu.

Resztę drogi do samochodu pokonali w milczeniu. Pies zawarczał raz czy dwa razy.

– Może nie lubi komplementów – wysunął przypuszczenie Harvey.

LeAnne otworzyła tylne drzwi. Goody wskoczyła do środka i podniosła coś z podłogi.

– Ma własnego psa?

LeAnne zobaczyła, że Goody trzyma w pysku zabawkę Mii – małego pieska.

– Oto twoja odpowiedź.

– Odpowiedź na co?

Przez chwilę LeAnne nie wiedziała, do czego właściwie zmierzała. Nagle coś w jej głowie ponownie zaskoczyło.

– To była opaska, którą nosiła Mia, na sto procent.

– Nie rozumiem.

– Wyjaśnię ci w drodze powrotnej.

– Drodze powrotnej dokąd?

LeAnne nie miała odpowiedzi na to pytanie.

Harvey rzucił jej krótkie spojrzenie, po czym opuścił wzrok.

- Co powiesz na filiżankę kawy? – zapytał. – Znam fajne miejsce.
- Nie mam ochoty na kawę.
- To może herbata?
- Nie pijam herbaty.
- Nie? Marci uwielbiała herbatę.
- Naprawdę?
- Zwłaszcza zieloną.

LeAnne odjechała sprzed dawnej stacji kolejowej – Harvey usiadł z przodu obok niej, Goody zajęła miejsce z tyłu – i wjechała na Main Street.

Znowu zaczęło padać.

- W porządku – powiedziała.
- Co w porządku? – zapytał Harvey.
- Spróbuję zielonej herbaty.

\* \* \*

Bitterroot Cafe było niewielką kawiarnią z zaledwie czterema czy pięcioma stolikami i ładnym widokiem na rzekę rozciągającym się z okna na tyłach sali. Siedząc przy stoliku, LeAnne widziała swoją hondę zaparkowaną na ulicy i okupującą tylne siedzenie Goody, która gapiała się na ceglana ścianę.

Na początku zielona herbata wydała jej się zupełnie nijaka, po chwili stwierdziła, że nie jest taka zła. Kilka kolejnych łyków później uznała, że ma całkiem przyjemny smak. Uświadomiła sobie wtedy, że po raz pierwszy od powrotu z Afganistanu użyła słowa „przyjemny”; ból głowy zupełnie zniknął.

- Zjesz coś? – zapytał Harvey.

Nieźły pomysł. LeAnne zamówiła smażonego kurczaka, cheeseburgera, kanapkę z tuńczykiem i kilka dodatków. Harvey w żaden sposób nie skomentował jej zamówienia. Sam wybrał dla siebie zupę.

– Wciąż myślę o tym, jak rozwiązano sprawę opieki nad Mią – powiedziała LeAnne.

– Mając na uwadze zwłaszcza Maxa? – Spojrzała uważnie na Harveya. – Co? Przeraza mnie ten rentgen w twoich oczach.

– Kłamiesz – odpowiedziała LeAnne. – Ale masz rację, chodzi mi zwłaszcza o Maxa. Wybiegasz myślami dalej niż ja.

Harvey podniósł do ust łyżkę i podmuchał na jej zawartość.

– Miałeś kiedyś wąsy?

– Zabawne pytanie – rzekł Harvey po kilku sekundach milczenia.

Co się z nią działo? Obraz przyprawiających ją o mdłości wąsów szeryfa nałożył jej się na gładko ogoloną skórę nad górną wargą Harveya, całkiem przyjemną dla oka.

– Przepraszam – powiedziała.

Ból głowy powrócił, na razie słaby jak dźwięk gitary elektrycznej strojonej przez gitarzystę przed podłączeniem do prądu. Odłożyła w połowie zjedzonego burgera.

– Nie ma sprawy – powiedział Harvey, przelękając zupę i osuszając usta chusteczką. – Kiedyś zapuściłem wąsy, ale Marci ich nienawidziła. Zapuściłem je znowu po naszym rozstaniu. Niezła manifestacja, co? Ale, dzięki Bogu, pewnego dnia przyjrzałem się sobie w lustrze. Jeśli chodzi o Maxa, zadzwoniłem do szeryfa, kiedy tylko dowiedziałem się, że Mia zniknęła, czyli rankiem następnego dnia po pogrzebie. Wyjaśniłem mu, w jakich okolicznościach Max zrzekł się prawa do opieki nad Mią. Cosgrove nie jest głupi. Sam dopowiedział sobie resztę historii. Wiadomość o śmierci Marci musiała przypomnieć Maxowi o całej sprawie, uruchomić w jego umyśle mechanizmy samousprawiedliwiania się, które pchnęły go do podjęcia działania. Przypomniawszy sobie pewnie, że jest teraz jedynym rodzicem Mii, że Coreen jest za stara i tak dalej, i tak dalej. Twój tok myślenia był podobny?

– Czego uczysz? – zapytała LeAnne.

– Co?

– Mówiłeś, że jesteś nauczycielem. Czego uczysz?



– Uczę w trzeciej klasie. W tej, do której chodzi Mia. Nie wspominałem o tym?

LeAnne potrzebowała teraz więcej czasu, żeby coś sobie przypomnieć, więcej niż ktokolwiek mógłby jej dać. Ależ ją to złościło.

– Jakie przedmioty? To znaczy, jakich przedmiotów uczysz?

Harvey odchylił się na krześle.

– Przedmiotów, jakie wykłada się w trzeciej klasie: czytania, liczenia, ortografii i tak dalej.

Nie o to jej chodziło. Nie zamierzała wypytywać go o takie szczegóły. Chciała mu tylko powiedzieć, że ma cechy dobrego nauczyciela, a wszystko pogmatwała. LeAnne także odchyliła się na krześle i skrzyżowała ramiona na piersi.

Harvey przyglądał się pozostawionemu przez nią jedzeniu. Oho, zaraz padnie pytanie o brak apetytu albo ocenę umiejętności tutejszego kucharza. A jednak nie padło. Zamiast tego Harvey uśmiechnął się do niej.

– Co cię tak rozbawiło?

– Nic. Po prostu się uśmiecham.

– Dlaczego?

Harvey wzruszył ramionami.

– Śmieszna sprawa z tym szczęściem – powiedział. – Czasami po prostu wyskakuje na powierzchnię. Dziwne, że ten opis pasuje do dwóch tak skrajnie różnych rzeczy jak wybuch miny lądowej i przyptyw radości.

LeAnne od razu zrozumiała, co Harvey miał na myśli. Pamiętała chwile, kiedy sama tak się czuła. Ale teraz musiała patrzeć trzeźwo na rzeczywistość. Będzie dobrze, jeśli uda jej się nie zboczyć z obranego kursu, pokonać odcinek z punktu A do punktu B.

– Cosgrove jakoś zareagował na twoje informacje?

Harvey skinął głową.

– Cosgrove to prostolinijski facet. Od razu pojechał do Seattle i wziął Maxa na spytaki.

– Max mieszka w Seattle?

– Przeprowadził się tam jakieś pięć czy sześć lat temu. Kilka lat temu zainwestował w firmę zajmującą się wycinką drzew, teraz jest jej właścicielem. Jak się okazało, ma alibi: w dniu pogrzebu był na jakiejś konferencji na Bainbridge Island. Kilka osób widziało go tamtego wieczora w barze i następnego poranka na śniadaniu.

– Jak zareagował na pytania szeryfa?

– Nie obraził się. Martwił się tylko o Mię. Tak twierdzi szeryf.

– Ożenił się?

Harvey pokręcił głową.

– Ale miał dziewczynę. A może dwie. Zniknął z mojego radaru na długi czas.

A więc to ślepy zaulek. LeAnne zapatrzyła się w kubek z herbatą. Miała dziwne wrażenie, że twarz Marci za chwilę pojawi się na powierzchni zielonej cieczy; że Marci za chwilę podpowie jej, co robić. Zanim wydarzył się jakikolwiek cud, dobiegło ją z ulicy szczekanie psa, szczekanie stłumione, ale w pełni słyszalne. Spojrzała przed siebie. Goody stała teraz na fotelu pasażera i wściekle ujadając, skrobała pazurami w przednią szybę.

LeAnne wstała i pospiesznie wyszła na zewnątrz.

– Goody! Uspokój się, na miłość boską. – Otworzyła drzwi samochodu.

Goody wyskoczyła jak pocisk, pobiegła w dół ulicy, wróciła, po czym stanęła obok LeAnne i zaczęła obszczekiwać samochód. Jej ujadanie było tak donośne, że niemal zagłuszyło dzwonek telefonu. Tak, nie było wątpliwości, wewnątrz jej samochodu rozlegało się dzwonienie, chociaż nie miała telefonu.

Wsiadła i spróbowała zlokalizować ten dźwięk. Dochodził spod fotela kierowcy. Włożyła tam dłoń i wymacała wibrujący przedmiot. Wyciągnęła go. Był to czerwony telefon. Widziała go już kiedyś, właśnie taki aparat próbował nieskutecznie wcisnąć jej kapitan Stallings z G-2, kiedy rozmawiali przed jej namiotem rozstawionym na działce o numerze 2241

przy Lost Hills Roads. Ten telefon był jak wspomnienie z innego życia.

Odebrała połączenie. Dzwonienie ustało, a Goody umilkła.

– Halo? – powiedziała LeAnne.

– Dzień dobry, LeAnne. – Od razu rozpoznała łagodny głos w słuchawce. – Mówi Stallings z G-2. Dziękuję, że pani odebrała. Niełatwo się z panią skontaktować.

LeAnne milczała.

– Halo? Jest tam pani? Słyszysz mnie pani?

– Powiedział pan, że już nie będzie mi się naprzykrzać.

– Może pani mówić głośniej? Nie usłyszałem.

LeAnne powtórzyła, tym razem głośniej. Wsiadła z samochodu i stanęła obok niego. Goody wpatrywała się w nią intensywnie swoimi czarnymi jak węgielki oczami. Wydawała się żywo zainteresowana prowadzoną przez LeAnne rozmową.

– Wtedy byłem przekonany, że dotrzymam obietnicy. Mówiłem szczerze, a szczerść to najlepsze, na co mnie stać. Ale jak się pani miewa? Po głosie wnoszę, że dużo lepiej.

– Jak pan to zrobił?

LeAnne próbowała sobie przypomnieć szczegóły ich ostatniego spotkania. Częściowo jej się udało. Ale wciąż nie знаła odpowiedzi na pytanie, w jaki sposób Stallings podrzucił telefon do jej samochodu. Złościło ją nie tylko to, co zrobił kapitan – niedomagania jej własnego umysłu irytowały ją równie mocno.

– O, słyszę, że z całą pewnością lepiej niż wtedy, gdy widzieliśmy się po raz ostatni – Stallings umilkł na krótko, a po chwili dodał: – W Arizonie.

Podniosła głos.

– Wiem, gdzie się spotkaliśmy. Nie odpowiedział pan na moje pytanie.

– A czy to naprawdę ma jakieś znaczenie? – powiedział. – Jak przypuszczam, przebywa pani teraz w stanie Waszyngton.

– Śledzi mnie pan za pomocą tego telefonu?  
– Ale nie robię tego potajemnie.  
– O czym pan, do cholery, mówi?  
– Źle się wyraziłem. Chciałem powiedzieć, że nie robię tego podstępnie.  
– Nie śledzi mnie pan podstępnie, bo... – Fakty zaczęły się układać w całość w jej głowie. – ...bo tamtego dnia powiedział pan mojej matce, że jestem w Oregonie? I to niby sprawia, że to, co pan robi, jest w porządku?  
– Formalnie wciąż jest pani na służbie.  
– I co zamierza pan zrobić? Wsadzić mnie do więzienia?  
– Coś takiego nie byłoby dobrze widziane przez opinię publiczną.  
– Nie byłoby dobrze widziane? Dupek z pana.  
– Nie chciałem pani urazić, jak sama pani na pewno się domyśla.  
– Dosłowne znaczenie tego, co pan powiedział, jest wystarczająco paskudne.

– Czasami nie da się tego uniknąć. Ale gdy ma się do zrealizowania konkretne zadanie, tak jak ja teraz, lepiej mówić wprost. Co to za hałas? – LeAnne uświadomiła sobie, że Goody znowu zaczęła warczeć. – Brzmi jak jakiś silnik.

LeAnne skinęła zachęcająco głową w kierunku Goody. „Rób tak dalej”. Niestety jej działanie przyniosło skutek odwrotny od zamierzonego. Warczenie natychmiast ucichło. Goody podeszła bliżej i zaczęła ocierać się o nogi LeAnne, prawdopodobnie chciała w ten sposób wyrazić sympatię do swojej opiekunki, ale robiła to tak mocno, że przycisnęła LeAnne do samochodu.

– Uf, teraz ucichło – zauważył Stallings. – Co się tak pani spodobało w stanie Waszyngton?

– Deszcz.

Zapadła cisza. W końcu Stallings powiedział:

– Zdaje sobie pani sprawę, że pani matka się o panią martwi? Wydaje się bardzo miłą kobietą.

– Zadzwoń pan, żeby mi to powiedzieć?

– Między innymi. – Jego głos nieco stwardniał. – Ale głównie po to, żeby poprosić panią o pomoc. Nie zajmę pani wiele czasu. Dwa, maksymalnie trzy dni.

– Jakiego rodzaju pomoc?

– Wolałbym porozmawiać o tym w cztery oczy.

– A jeśli powiem nie, przyjedzie pan tutaj?

– Nic takiego przecież nie sugerowałem. Nie zamierzam naruszać pani prywatności. Poza tym zależałoby mi na tym, żeby to pani wsiadła w samolot i przyleciała do mnie.

– A gdzie pan jest?

– W Kabulu.

LeAnne usłyszała w słuchawce dźwięk, który wzięła za suchy afgański wiatr.

– Nie ma mowy – powiedziała. – I niech pan do mnie więcej nie dzwoni.

– Proszę posłuchać. Nie chciałaby pani...

Rozłączyła się i drżącą ręką rzuciła telefon na tylne siedzenie. Minęło sporo czasu, zanim opanowała ten dygot.

Harvey wyszedł z kawiarni i schował portfel do kieszeni.

– Jakiś problem? – zapytał.

– Nie.

Kucnął i ujął łeb Goody w obie dłonie.

– Nie lubisz być sama, prawda, duża dziewczynko?

Goody zaczęła machać swoim dziwnym ogonem. Nie dziwnym, ale okaleczonym, upomniała się w myślach LeAnne.

– Dzwonił szeryf. – Harvey nie patrzył na LeAnne, wciąż wpatrywał się w Goody. – Nadal czekają na potwierdzenie zgodności odcisków palców, ale miałaś rację. Pracownicy domu pogrzebowego potwierdzili, że to opaska Mii.

– Skąd to wiedzą?

– To była ich ostatnia opaska w tak małym rozmiarze. Musieli zamówić nową partię. Grupa poszukiwawcza zaczęła ponownie przeszukiwać teren wokół ścieżki rowerowej.

– W takim razie jedźmy.

– I tu pojawia się problem. Cosgrove wolałby, żebyś na razie, hmm... im nie pomagała.

– Pieprzyć go.

– Słuszny postulat. I pomyśleć, że dopiero co ci powiedziałem, że jest prostolinijnym gościem. Nie poznasz nikogo, dopóki nie zjesz z nim beczki soli.

– To nie twoja wina. Cosgrove nie ma jaj, żeby postawić się własnemu zastępcy. O to w tym chodzi, widziałam takie gówna już wiele razy. Wskakuj.

Harvey wstał. Podniósł ręce, jakby chciał je położyć na ramionach LeAnne, a potem je opuścił.

– Rzecz w tym, LeAnne, że szeryf był bardzo stanowczy.

– I co z tego? – powiedziała, wsiadając do samochodu.

Goody już była w środku, na tylnym siedzeniu, czujna i wyprostowana.

– Jeśli tam pojedziesz, będzie awantura.

– I co z tego? – spytała po raz kolejny.

– Awantura, która tylko niepotrzebnie wszystkich rozproszy – ciągnął Harvey. – Nie wiem, w jaki sposób miałyby to pomóc w odnalezieniu Mii.

LeAnne spojrzała na niego.

– Jesteś jednym z tych facetów, którzy nie potrafią stanąć na wysokości zadania, Harvey? To dlatego rozpadło się twoje małżeństwo z Marci? Bo nie potrafiłeś podjąć walki?

Twarz Harveya oblała się czerwienią, jakby wymierzyła mu dwa siarczyste policzki.

– Wsiadaj – powiedziała LeAnne. – Nie martw się, nie pojedę tam. Podwiozę cię tylko do twojego samochodu.

LeAnne wysadziła Harveya przy jego pikapie zaparkowanym nieopodal domu Coreen. Nie zamienili ani słowa, dopóki Harvey nie otworzył drzwi.

- Postaram się udobruchać szeryfa.
- Na pewno będziesz bardzo miły.
- Co chcesz przez to powiedzieć?
- Nieważne.
- Nie. Powiedz, co zamierzałaś powiedzieć.
- Czasami trzeba podjąć walkę.
- Zaczynam myśleć, że walka to u ciebie odruchowa reakcja.

Harvey nie trzasnął drzwiami. Nie zamknął też ich w przesadnie delikatny sposób. Po prostu zamknął drzwi. Zdziwiło ją to. Był wkurzony, a wkurzeni mężczyźni trzaskają drzwiami. Inteligentni wkurzeni mężczyźni zamykają drzwi w przesadnie delikatny sposób. Nie potrafiła wyciągnąć żadnych wniosków z jego zachowania.

\* \* \*

LeAnne patrzyła w ślad za odjeżdżającym Harveym. Jego samochód nie oddalił się na więcej niż kilkadziesiąt metrów, gdy Goody precyzyjnie się do przodu i objęła w posiadanie fotel pasażera – nie ma innego wyrażenia, które równie trafnie opisałoby tę sytuację.

– Tylne siedzenie ci nie odpowiada? – LeAnne wolała, gdy Goody siedziała właśnie tam, bo mogła w każdej chwili sprawdzić, co robi pies, zerkając we wsteczne lustro. – Dlaczego zawsze wybierasz sobie takie miejsce, że nie mogę cię zobaczyć?

Usłyszała, jak Goody mości się na fotelu. LeAnne jeździła przez chwilę po miasteczku. Nie miała żadnego konkretnego celu, próbowała tylko uspokoić się i zgubić gdzieś po drodze ból głowy. Bezskutecznie. Nagle poczuła nacisk psiej łapy na swoim udzie. Zbyt mocny, aby uznać, że Goody próbuje ją pocieszyć. Pazury psa wbiły się w nogawkę jej spodni.

- Co jest, do cholery? – LeAnne obróciła się w kierunku psa. Goody



siedziała wyprostowana, obnażyła zęby i zbliżyła swój wielki łeb do jej twarzy. – Chcesz jeść? Pić? O co chodzi? – Pazury wbiły się jeszcze głębiej.

LeAnne zawróciła i podjechała do okienka dla zmotoryzowanych przy jakimś fast foodzie. Zamówiła burgera bez bułki. Zatrzymała się na parkingu. Wyjęła kotlet z papierowej torebki i podetknęła psu pod nos.

– Masz. Jedz.

Goody kłapnęła zębami, chwyciła kawałek mięsa i błyskawicznie go połknęła. Spojrzała na swoją panią. LeAnne odniosła wrażenie, że jej podopieczna ma ochotę na dokładkę. W tej samej chwili uświadomiła sobie, że sama jest głodna. Ale przecież jadła niedawno? Przypomniała sobie niedawny lunch w Bitterroot Cafe – większość jej zamówienia pozostała nietknięta na stoliku. LeAnne odpaliła silnik z zamiarem złożenia kolejnego zamówienia, kiedy na budynku z białymi kolumnami po drugiej stronie ulicy dostrzegła szyld: „Dom pogrzebowy McCutcheona”.

Opuściła szybę w oknie Goody na kilka centymetrów, nie więcej. W oknie Goody? Chryste, co się z nią działo?

– Zostajesz tutaj. Leż spokojnie. Bądź grzeczna.

Goody nie położyła się, ale nie zrobiła żadnego ruchu, kiedy LeAnne wysiadała z samochodu.

\* \* \*

Drzwi wejściowe w domu pogrzebowym były otwarte. LeAnne weszła do środka. Znalazła się w szerokim i wysokim holu; na podłodze leżał gruby, jasny dywan. Powietrze stało nieruchomo, światło miało zimny odcień, a wszystkie dźwięki były stłumione. Przypomniał jej się film, który kiedyś oglądała. Właśnie tak przedstawiono w nim niebo. Ale jeśli niebo naprawdę tak wyglądało, to pobyt w nim trudno nazwać życiem po śmierci. Bo to miejsce nie miało absolutnie nic wspólnego z życiem. Najchętniej obróciłaby się na pięcie i czym prędzej stąd wyszła.

Ale przecież miała zadanie do zrealizowania. Brała udział w tajnej

operacji. Innej niż Nocny Pociąg – „kurewsko ogromny pociąg towarowy, zapieprzający do piekła i z powrotem” – znacznie... spokojniejszej. W końcu działała teraz na terytorium własnego kraju.

Szła przed siebie. Minęła pustą kaplicę i puste biuro. Zobaczyła urnę wypełnioną drobnymi, białymi kwiatami. Ich zapach przypominał jej o pogrzebie ojca; mogłaby odtworzyć w myślach każdy szczegół tej uroczystości, ale nie chciała do tego wracać.

Kilka kroków dalej usłyszała dźwięki znajomej piosenki – *Rip This Joint*. Kierując się nimi, podeszła do otwartych drzwi kolejnego biura – mniejszego niż poprzednie i wypełnionego sprzętem elektronicznym. Siwowłosa mężczyzna odwrócony do niej plecami pracował przy monitorze, na którym wyświetlało się zdjęcie uśmiechniętej Marci w czapce bejsbolowej założonej daszkiem do tyłu. Wystukał coś na klawiaturze, muzyka zatrzymała się, a potem rozbrzmiała ponownie od saksofonowego solo. LeAnne zapukała do drzwi.

Mężczyzna obrócił się w jej kierunku. Wcisnął jakiś klawisz na klawiaturze i zatrzymał muzykę. Miał bladą cerę i cienie pod oczami. Jego uwagę najpierw przyciągnęły blizny na jej twarzy, ale szybko oderwał od nich wzrok i patrzył po prostu na całą jej twarz. Być może to, jak szybko różnym ludziom udawało się to zrobić, mówiło o nich coś ważnego. Miała całe życie, żeby się tego dowiedzieć. Niezależnie od tego, ile go jej jeszcze zostało.

– Dzień dobry, w czym mogę pomóc?

LeAnne przedstawiła się.

– Byłam przyjaciółką Marci – dodała, wskazując podbródkiem na monitor.

– Z wojska?

– Jak pan na to wpadł?

Zakłopotało go jej pytanie. Zakłopotać pracownika zakładu pogrzebowego – to chyba niełatwe zadanie. LeAnne poczuła coś w rodzaju

dumy.

– Przepraszam – powiedział. – Sam nie wiem jak. Po prostu znam większość przyjaciół Marci z miasteczka i...

– To w sumie nieważne – powiedziała LeAnne. Duma zamieniła się we wstyd. Niepewność zawiązała jej język w supeł.

– Tak przy okazji, nazywam się McCutcheon. Wszyscy w tej części stanu mówią do mnie Fred. Nie pamiętam pani z pogrzebu.

– Przyjechałam zbyt późno.

– Szkoda. Jeśli pani chce, może pani obejrzyć uroczystość.

– Obejrzyć?

– Niestety, na razie nie w całości. – Wskazał kciukiem na ekran. – Montaż zajmie mi jeszcze jakiś dzień lub dwa.

– Zrobił pan film z pogrzebu Marci? Jak film ze ślubu?

– Coś w tym rodzaju. Zarówno pod względem technicznym, jak i duchowym, jeśli mogę tak powiedzieć. Jest zaskakujący popyt na takie filmy. A może wcale nie taki zaskakujący, wzięwszy pod uwagę, że śmierć to kolejny... ostatni kamień milowy w naszym życiu.

– Tak – powiedziała LeAnne. – Chciałabym obejrzyć ten film.

McCutcheon podsunął jej nogą krzesło.

– Proszę usiąść.

LeAnne usiadła, McCutcheona miała po prawej, ale po jego drugiej stronie nie było miejsca. Pachniał tak samo jak białe kwiaty na korytarzu.

– Lubię zacząć film od kolażu zdjęć przedstawiających czyjeś życie – powiedział McCutcheon. – Chociaż nazywanie tego kolażem to może lekka przesada. Po prostu ze wszystkiego, co udało mi się zdobyć, robię dwuminutowy, maksymalnie dwuipółminutowy film. Potem przechodzę do samej uroczystości. A oto i Marci.

Obraz uśmiechniętej Marci w czapce bejsbolowej rozpląnął się w ziarnisty film, na którym malutka Marci szarpała za szczebelki swojego łódeczka. Chwilę później pojawiło się kolejne zdjęcie: Marci zdmuchiwała

świeczki na urodzinowym torcie. LeAnne zdążyła je policzyć – było ich siedem. Kolejne fotki: nastoletnia Marci z Coreen na plaży, Marci stojąca na krawędzi Wielkiego Kanionu z rozłożonymi ramionami, jakby miała zaraz wzlecieć w przestworza; roześmiana Marci z przyjaciółmi, Marci w trakcie zawodów zapaśniczych, przygważdżająca jakiegoś chłopaka do maty. Tutaj film się urwał i przez kilka sekund nic nie wyświetlało się na ekranie.

– Ups – powiedział McCutcheon. – Jak to się, u diabła, stało?

Teraz na ekranie pojawiło się zdjęcie z sesji ślubnej, to samo, które LeAnne widziała na ścianie werandy w domu Coreen: Marci w mocno wyciętej sukni i wpatrujący się w nią z uwielbieniem Harvey.

– To zdjęcie jest przepiękne – powiedział cicho McCutcheon, chyba sam do siebie.

LeAnne skinęła głową. Tempo filmu przyspieszyło, tak jakby montażysta zaczął się martwić, że nie zdąży pokazać wszystkiego w założonym limicie czasu. Kolejne zdjęcia przesuwają się przed ich oczami: Marci w mundurze, Marci na pokładzie łodzi podwodnej, Marci trzymająca w uniesionych rękach małą Mię, Marci i Mia – tak samo duża, jak na zdjęciu, które trafiło na plakat informujący o jej zaginięciu – stojące na krawędzi Wielkiego Kanionu.

– Tutaj po raz drugi zdjęcie przejdzie płynnie w film – zapowiedział McCutcheon. – Po raz drugi i ostatni. Niektórzy w branży zbyt często wykorzystują ten chwyt.

Nadszedł zapowiadany urywek filmu. Marci siedziała na brzegu... fontanny? Fontanny, obok której rosły drzewa wiśni? I nosiła protezę?

– Co to? – powiedziała LeAnne, być może trochę zbyt głośno.

– Coreen poznała jedną z pielęgniarek, kiedy przyjechała odwiedzić Marci w szpitalu wojskowym. Pielęgniarka nagrała ten filmik w trakcie przerwy na lunch. Przesłała mi go dopiero wczoraj.

Na filmie uwieczniono również ciemnowłosą kobietę odwracającą twarz od kamery. Ona także siedziała na brzegu fontanny. Sama mowa jej ciała

pozwalala przypuszczać, że jest osobą bardzo zdecydowaną, może nawet skłonną do agresji. Ściągną z tyłu jej szyi były napięte. Widać było, że nie jest kimś miłym – że nie jest kimś, z kim miałyby się ochotę zawrzeć znajomość.

Marci coś mówiła, jej usta poruszały się szybko. Potem spojrzala na drugą kobietę. Kobieta odpowiedziała. To musiało spodobać się Marci, bo wybuchnęła śmiechem. Odrzuciła głowę do tyłu i cała trzęsła się ze śmiechu – wyglądała w tym momencie na młodą, szczęśliwą i beztroską. Promienie słońca odbijały się od srebrnych fragmentów jej protezy.

– To dużo o niej mówi – zauważył McCutcheon.

LeAnne wyczuła, że na nią patrzy. Po jej twarzy płynęły łzy, ale tylko z prawdziwego oka, więc może ich nie zauważył. Chciał chyba coś powiedzieć, ale potem zmienił zdanie. Na ekranie znowu pojawiło się zdjęcie Marci w czapce bejsbolowej.

– To już koniec wideokolażu. Następną część to nagranie z uroczystości pogrzebowych. Chce pani zobaczyć?

LeAnne skinęła głową.

– Proszę pamiętać, że to wersja przed ostatecznym montażem – zastrzegł McCutcheon. – Na dodatek od zeszłego miesiąca wykorzystuję materiał z trzech kamer, więc wszystko się trochę skomplikowało. No i jeszcze ta muzyka. Wielu ludzi ma swoje ulubione piosenki, które podkładamy pod taki film. Radziliśmy sobie z najróżniejszymi gatunkami, ale pierwszy raz dostaliśmy coś tak niepasującego do okoliczności jak to.

– *Rip This Joint?*

– Kojarzy pani tę piosenkę?

– Marci znała każde jej słowo.

– Niezły wyczyn. Słyszałem to już dziesięć razy i wciąż nie mam pojęcia, o czym to jest. Chyba o narkotykach, jak pani myśli? – Wcisnął jeden czy dwa klawisze i na ekranie pokazały się rzędy kościelnych ławek widzianych z góry.

– Raczej o paczce przyjaciół podróżujących po Ameryce – powiedziała LeAnne.

– Tak? Co za kraj! – zdziwił się McCutcheon, po czym wskazał palcem na ekran. – To nagranie z kamery umieszczonej na balkonie, z tej perspektywy pokazuję końcówkę pogrzebu; to, co dzieje się od momentu włączenia piosenki. Ale nie jestem zadowolony z jakości. – Przekreślił jakieś gałki w mrugającym kontrolkami urządzeniu ustawionym nad monitorem. – Teraz powinno być dobrze.

LeAnne zobaczyła pastora na podwyższeniu i żałobników siedzących w ławkach; między podwyższeniem a ławkami stała trumna przykryta amerykańską flagą. Pastor mówił to, co zwykle mówią pastory w takich sytuacjach: nie straciliśmy Marci, bo wiemy, gdzie jest teraz jej dusza. LeAnne słyszała to już tyle razy. Zawsze ten sam stek pocieszających bredni. Kiedy kamera zrobiła zbliżenie na osoby siedzące w pierwszym rzędzie, LeAnne przestała słuchać słów pastora. Rozpoznała Coreen, Harveya i Mię. Mia siedziała obok innej dziewczynki, mniejszej niż ona. Nie płakała, ale w jej szeroko otwartych oczach widać było przerażenie. Druga dziewczynka, patrząc wciąż przed siebie, przechyliła się w stronę Mii i wzięła ją za rękę. Ich głowy niemal niedostrzegalnie zbliżyły się do siebie. McCutcheon znowu wskazał palcem na ekran:

– To Mia, córka Marci. Zaginęła. Słyszała pani o tym?

– Jak pan myśli, co się z nią stało?

– Nie mam pojęcia. Ale kilka lat temu mieliśmy tu podobny przypadek. Dzieciaka znaleziono na opuszczonej posiadłości, w której mieszkał kiedyś jako małe dziecko. Zamieszkał w domku na drzewie. Uciekł do czegoś, co uważał za swój azyl.

– Znaleziono go żywego?

– Tak, nic mu się nie stało. Módlmy się, żeby teraz było podobnie.

LeAnne nie miała teraz ochoty na modły.

– Kim jest ta druga dziewczynka? – zapytała.

– Ta obok Mii? To moja wnuczka Belinda Jane, ale wszyscy nazywają ją B.J.

– Przyjaźniły się?

McCutcheon skinął głową.

– Wydaje mi się, że szczególnie zaprzyjaźniły się w tym roku. Chodzą do tej samej klasy.

– Klasy Harveya Walda?

– Zgadza się. – McCutcheon zerknął na nią. – Jak na przyjezdną dużo pani wie o naszej mieścinie.

Kamera przesunęła się w kierunku podwyższenia; pastor skończył już przemawiać. Z głośników popłynęły pierwsze takty *Rip This Joint*. Tak jak mówił McCutcheon, dźwięk był kiepski, z przesterowanym basem. Żalobnicy zaczęli opuszczać ławki. Mia i B.J. szły powoli zatopione w rozmowie, ich głowy znów prawie się stykały. Właściwie to Mia mówiła, a B.J. słuchała. Mia musiała powiedzieć coś zaskakującego, bo na twarzy B.J. pojawił się wyraz zdziwienia. Tak to przynajmniej wyglądało. LeAnne nie miała czasu przyjrzeć się temu, bo cała scena trwała ułamek sekundy i dziewczynki zniknęły sprzed obiektywu kamery.

– Może pan cofnąć?

– Proszę powiedzieć kiedy.

– Kiedy.

Znowu przyglądała się dziwnej interakcji dziewczynek. A może doszukiwała się w tej scenie rzeczy, których tam nie było?

– Jak pan myśli, o czym rozmawiają?

– W przeciwieństwie do chłopców dziewczynki prowadzą czasem bardzo poważne rozmowy – powiedział McCutcheon. – Czasy się zmieniają, ale to jedno pozostaje niezmiennie.

O, z tym LeAnne się nie zgadzała. Miała okazję przysłuchiwać się rozmowom wielu osiemnasto-, dziewiętnasto- i dwudziestoletnich chłopaków. Choć różniły się stylem, słownictwem, składnią, a nawet tym,

jak głośno je prowadzono, to waga poruszanych w nich tematów była taka sama.

– Był pan w wojsku?

– Nie. – Umilkł i wrócił do swoich urządzeń. Podkładał pod film lepszą wersję *Rip This Joint*.

– Czy dzisiaj jest dzień zajęć szkolnych? – zapytała LeAnne. – Straciłam poczucie czasu.

McCutcheon pokręcił głową.

– Przerwa wielkanocna.

– A co tutejsze dzieciaki robią w trakcie przerwy wielkanocnej? Na przykład B.J.

McCutcheon zerknął na zegarek.

– Teraz jest na gimnastyce.

– Naprawdę?

– To taka kruszyna, ale trener mówi, że dobrze się zapowiada.

– To właśnie takich kruszyn szuka się do drużyn gimnastycznych.

– Naprawdę? Zna się pani na gimnastyce?

– Trochę – odpowiedziała LeAnne. Nagle poczuła, że zgubiła wątek. Miała wrażenie, że chwilę wcześniej była na właściwym tropie, że dostrzegła coś ważnego. Zacisnęła powieki, tak jak robią to dzieci, gdy usilnie starają się coś sobie przypomnieć. Obie powieki. Przynajmniej do tego przydawała się proteza. Poszczęściło się jej. – Gdzie są te zajęcia? – zapytała.



Kiedy LeAnne wróciła do samochodu, Goody spała rozłożona na dwóch siedzeniach, jednak większa część jej ciała znajdowała się na fotelu LeAnne. Nierówno ucięty ogon podniósł się, po czym opadł, a właściwie grzmotnął o podłogę. Być może wcale nie spała, oczy miała jednak zamknięte.

– Przesuń się.

Goody nawet nie drgnęła.

– Nie mam czasu na takie zabawy.

LeAnne ogarnęło jakieś nieprzyjemne uczucie. To było dla niej coś nowego; co gorsza, nie potrafiła sprecyzować, co dokładnie czuje. W końcu do niej dotarło: bała się. Tylko czego? Czegoś konkretnego? A może to jakaś nieokreślona trwoga?

Goody otworzyła oczy. Spojrzała na nią swoimi czarnymi jak dwa węgielki ślepiami. Trudno było odgadnąć, co oznacza to spojrzenie (jeśli w ogóle cokolwiek oznaczało). LeAnne zepchnęła na bok psi zadek. Goody obróciła głowę i zawarczała, dając w ten sposób wyraz swojej wewnętrznej dzikości. LeAnne podniosła w górę zaciśniętą pięść i... Zastanowiła się nad tym, co robi, i opuściła podniesioną pochopnie rękę. Goody wstała i przeniosła się na fotel pasażera. Gdyby była człowiekiem, LeAnne opisałaby jej ruchy jako pełne godności. Na fotelu kierowcy leżał pluszowy pies.

LeAnne podniosła mokrą od psiej śliny zabawkę. Pluszowy pies miał tylko jedno oko? Kiedy odpadło to drugie? To odkrycie zdumiało LeAnne. W tym musiało czaić się jakieś ukryte znaczenie. Ale jakie? Obróciła w rękach zabawkę. Biało-brązowy piesek miał obwisłe uszy i wydawał jej się dziwnie znajomy. Może przypominał wyglądem jakąś popularną rasę? Ścisnęła go w dłoni, starając się wyczuć, co jest w środku. Sprawdziła też, czy zabawka nie ma żadnych ukrytych kieszonek. Nie miała. Nagle Goody

zbliżyła łeb i odebrała jej swoją własność.

\* \* \*

## **Wstępne badanie w kierunku zespołu stresu pourazowego**

### **Podsumowanie i wnioski:**

#### **5. Funkcjonowanie psychiczne i społeczne – prognoza (nieobligatoryjna):**

Zajęcia gimnastyczne odbywały się w niskim budynku z płaskim dachem i kolistym podjazdem; przed budynkiem stała tablica, do której przypięto pinezkami plakat informujący o zaginięciu Mii. LeAnne wjechała na podjazd, po czym zatrzymała się przed tablicą i przyjrzała się uważnie twarzy Mii w nadziei, że uda się jej jakoś wejrzeć w umysł dziewczynki. Po chwili zawróciła i zaparkowała samochód na ulicy. Czekwała. Każdą misję należy zaplanować. Sęk w tym, że teraz nie miała żadnego planu. Ze swojego wojskowego doświadczenia wiedziała, że improwizacja zwykle przynosi fatalne skutki. Ale starannie obmyślony plan też mógł skończyć się katastrofą. Same minusy. Plusy? Siłacz mocujący się z pokrywką na dnie jej pustego oczodołu zapadł w sen i ból ustąpił. Poza tym Goody położyła ogon na jej kolanie. Zabawne, że zaliczyła to do plusów; że w ogóle wzięła to pod uwagę.

Na okrągły podjazd wjeżdżały kolejne samochody. Drzwi do budynku otworzyły się i na zewnątrz wybiegły ubrane w dresy i trykoty dziewczynki w wieku od ośmiu do dziesięciu lat i zaczęły wsiadać do samochodów. W końcu wszystkie samochody odjechały. Na parkingu została tylko jedna mała kruszyna – B.J. Usiadła na ławce i zajęła się oglądaniem końcówek swoich włosów. LeAnne uderzyło coś, co przegapiła, oglądając film z pogrzebu. B.J. była niezwykle podobna do Tashy, innej drobinki, z którą LeAnne przyjaźniła się, kiedy jeszcze trenowała gimnastykę. Takie samo

gibkie ciało, takie same drobne, lekko kwadratowe stopy, nawet ich twarze były podobne, miały identyczną brzoskwińską karnację. LeAnne zerknęła na Goody.

– Przydasz się czy będziesz przeszkadzać?

Goody zacisnęła mocniej szczęki na swojej zabawce.

– Wiele dzieciaków szaleje za psami. Ale jak to będzie z tą dziewczynką i z tobą? – LeAnne zerknęła na B.J., która tak intensywnie wpatrywała się w końcówki swoich włosów, że aż zrobiła lekkiego zęza. – Niełatwo przestraszyć małą gimnastyczkę, prawda? – LeAnne przyczepiła smycz do obroży Goody. – Nie spieprz tego. Na początek musisz rozstać się na chwilę ze swoim kolegą.

Goody wypuściła zabawkę z pyska.

– Zrozumiałaś? A może to zwykły przypadek?

Goody posłała jej długie spojrzenie. LeAnne otworzyła drzwi i wysiadły z samochodu; LeAnne jako pierwsza, nie musiała nawet walczyć o ten przywilej. Weszły na trawnik w kształcie półksiężyca, oddzielający ulicę od kolistego podjazdu. Goody kroczyła po jej prawej; nie wrywała się do przodu, szła grzecznie przy nodze niczym wyszkolony pies. B.J. usłyszała, że ktoś nadchodzi. Spojrzała na LeAnne i wygładziła włosy po obu stronach głowy.

– Cześć – przywitała się LeAnne. – Nie przejmuj się Goody. Jest duża, ale niegroźna. Stosunkowo niegroźna.

– Lubię psy – odpowiedziała B.J, znowu przyglądając włosy. – Mogę ją pogłaskać?

– Czemu nie – powiedziała LeAnne, podchodząc bliżej. Zatrzymała się tuż przed ławką. B.J. wyciągnęła małą, lekko kwadratową dłoń i niepewnie poklepała Goody po wielkim łbie. – Podoba jej się to – stwierdziła LeAnne.

– Nie macha ogonem – zauważyła B.J.

– Pod tym względem jest trochę dziwna. Spróbuj podrapać ją między uszami.

B.J. podrapała Goody między uszami. Goody zachowywała się bardzo spokojnie. LeAnne skróciła smycz i mocno ją trzymała, ale nie było o co się martwić – pies sprawiał wrażenie pogrążonego w transie.

– Nadal nie macha. – B.J. zerknęła na LeAnne i dopiero teraz dostrzegła blizny na jej twarzy. Szybko odwróciła wzrok, cofnęła się lekko i splótła dłonie na kolanach.

LeAnne poczuła, że kręci się jej w głowie. Próbowала jakoś to zwalczyć i uśmiechnęła się blado. Chciała powiedzieć coś zabawnego na temat Goody, ale nie potrafiła niczego wymyślić.

– Nie bój się. Nie... nie jest tak źle, jak na to wygląda.

– Przepraszam – powiedziała B.J. – Nie chciałam...

– Nie zrobiłaś niczego złego – zapewniła ją LeAnne. – Mam na imię LeAnne. Jestem przyjaciółką mamy Mii. – Dziewczynka spojrzała w bok, jakby coś nagle przyszło jej do głowy. – Przyjaciółką z wojska – dodała LeAnne na wypadek, gdyby Mia chciała wiedzieć coś więcej na temat relacji, jaka łączyła ją z Marci. – Nie będzie ci przeszkadzać, jeśli tu usiądę?

– Tak – odpowiedziała B.J. – To znaczy nie. To znaczy, oczywiście, może pani tu usiąść.

LeAnne roześmiała się. Jej śmiech był cichy i pełen rezerwy.

– Trudno się w tym połapać. – Usiadła tak, żeby mieć B.J. po lewej. Zawroty głowy zaczęły ustępować. Goody, próbując zająć pozycję po prawej stronie LeAnne, zaplątała się w smycz. LeAnne pomogła jej się uwolnić. Czuła na sobie spojrzenie B.J. – Jak ci idzie z gimnastyką? – zapytała.

– W porządku.

– Co dziś ćwiczyłyście?

– Przejdźcie w tył na równoważni.

– Dobrze ci poszło?

– Niezbyt dobrze.

– A jak sobie radzisz na macie?

– Przewrotka na macie? To chyba wychodzi mi najlepiej. Nie żebym była w czymś naprawdę dobra.

– Nie bądź dla siebie zbyt surowa. Mnie też przez długi czas to kompletnie nie wychodziło.

– Przewrotka?

– Na równoważni. Zleciałam z niej tyle razy, że powinnam zamienić się w ptaka.

B.J. zaśmiała się cicho.

– Trenowała pani gimnastykę?

– Szło mi tak sobie. Ale miałam przyjaciółkę, bardzo podobną do ciebie nawiasem mówiąc, która wyrosła na piękną kobietę. I właśnie ona dała mi wtedy bardzo przydatną radę.

– Tak?

– Zanim podniesiesz piętę nogi ustawionej z przodu, złóż ręce w taki sposób.

– Jakbym się modliła?

– Właśnie tak. Tasha mówiła, że dzięki temu jej ciało jest węższe, niemal tak wąskie jak równoważnia.

– Wow!

– Spróbuj następnym razem.

– Tak zrobię – zapewniła ją B.J. – A czy oprócz składania rąk naprawdę się pani modliła?

– Ja nie. Ale modlitwa na pewno nie zaszkodzi. Pamiętaj tylko, żeby była krótka.

B.J. skinęła poważnie główką, najprawdopodobniej odnotowując w pamięci wskazówkę co do długości modlitwy. LeAnne policzyła w myślach do trzydziestu. B.J. znowu zaczęła przyglądać włosy.

– Przegapiłam pogrzeb – powiedziała LeAnne. – Pewnie odmówiono na nim niejedną modlitwę.

– Mnóstwo.

– Martwisz się o Mię, prawda?

B.J. znowu skinęła głową.

– Mój tata bierze udział w poszukiwaniach. Dlatego się spóźnia.

– A mama?

– Jest teraz w pracy.

– Mogę podpowiedzieć ci dobrą, krótką modlitwę dla gimnastyczek – zaproponowała LeAnne. – „Proszę, spraw, żeby było fajnie”.

– „Proszę, spraw, żeby było fajnie”. Dzięki.

– Nie ma za co. Wiesz, że twój dziadek sfilmował uroczystość?

– Nie.

– Widziałam kawałek tego filmu. Głównie końcówkę. Wyglądało na to, że bardzo pomogłaś Mii.

– Naprawdę?

– Zauważyłam, że kiedy wychodziłyście, Mia powiedziała ci coś, co cię zaskoczyło. – LeAnne wyczuła, że B.J. zeszywniała i obróciła się w jej stronę. Ona sama wciąż patrzyła na wprost, nie pozwalając dziewczynce zobaczyć poranionej strony jej twarzy. – Zastanowiło mnie, co to było.

– Czy ktoś inny też to zauważył?

– Na pewno nie.

Zapadła cisza. Goody położyła się na ziemi, zamknęła oczy i lekko pochrapywała. LeAnne miała dziwne uczucie, że pies na swój własny sposób stara się jej pomóc.

– Jest pani żołnierzem?

– Tak.

B.J. ściszyła głos:

– Też bierze pani udział w misji?

– Zależy, o jakiej misji mówisz.

B.J. jeszcze bardziej ściszyła głos:

– Tajnej misji.

– Mam certyfikat dostępu do niejawnych informacji.

- Więc... więc wie pani o wszystkim?
- Jest wiele tajnych misji. Przypomnij mi, o którą chodzi.
- O tajną misję mamy Mii – wyszeptała B.J.
- Aha – LeAnne także ściszyła głos.
- Więc to wszystko prawda?
- Zależy, co słyszałaś.

LeAnne obróciła się w kierunku B.J. Nagle dziewczynka wydała jej się jeszcze młodsza niż była w rzeczywistości, wyglądała niemal jak przedszkolak.

– Że nie umarła – powiedziała B.J. – Że jest na sekretnej misji, ale nikt nie może się o tym dowiedzieć, bo wtedy umrze.

Zawroty głowy powróciły. Silniejsze niż wcześniej. Gdyby próbowała wstać, zemdlalaby.

– Mia o tym wie?

– Mama Mii wysłała jej wiadomość. Żeby Mia się nie martwiła. I faktycznie przestała się martwić.

– Co masz na myśli?

– To właśnie dzięki temu to zauważyłam. Na początku Mia cały czas płakała. A potem przestała. Chciałam wiedzieć czemu. No i powiedziała mi.

LeAnne wzięła głęboki wdech, żeby opanować zwroty głowy.

– Mia powiedziała ci, że jej mama żyje?

– I że chce się z nią spotkać. Nie kłamała, prawda?

– Mama Mii na pewno chciała ją zobaczyć – odpowiedziała LeAnne niczym polityk, bardzo starannie dobierając słowa. Czuła się z tym fatalnie, ale nie powstrzymało jej to przed kontynuowaniem rozmowy.

– Przysięgam jej, że nikomu nie powiem. Ale skoro już i tak pani wie...

– Dobrze zrobiłaś. Jedyne, co jest dla mnie niejasne, to jak Mia dowiedziała się tego wszystkiego.

– Dostała wiadomość z wojska.

– Wiadomość z wojska?

– W nocy przed pogrzebem. Do jej okna zapukał komandos.

– Komandos?

– Z twarzą pomalowaną we wzór maskujący.

– Strasznie dziwnie to brzmi.

B.J. skinęła głową.

– Jak sen. O to samo ją zapytałam: „Jesteś pewna, że to nie był sen?”.

– I co odparła Mia?

– Rozplakała się. Więc już nie pytałam.

Furgonetka z napisem „Usługi i narzędzia ogrodnicze” na przesuwanych drzwiach wjechała na podjazd, kierowca wcisnął klakson. Goody natychmiast się obudziła i podniosła. Kierowca wyjrzał na zewnątrz, był mniej więcej w wieku LeAnne i wyglądał jak młodsza, mniej zadowolona z życia wersja Freda McCutcheona. Spojrzał najpierw na B.J., potem na LeAnne, Goody i znowu na LeAnne.

– Nie powie pani nikomu? – spytała B.J.

– Nie powiem.

B.J. podbiegła do furgonetki i wskoczyła do szoferki. Samochód odjechał. Goody spokojnym krokiem podeszła do miejsca, w którym zatrzymała się furgonetka, kucnęła i opróżniła pęcherz.

\* \* \*

Kiedy LeAnne zaparkowała samochód przed domem pogrzebowym, Fred McCutcheon schodził właśnie po frontowych schodach prowadzących do budynku. Na ramieniu niósł torbę na kije golfowe, w klapę jego marynarki wpięty był jeden z tych białych kwiatów. LeAnne wysiadła z samochodu.

– To nie potrwa długo – powiedziała do Goody i podeszła do schodów.

Z gardła pozostawionej w samochodzie Goody zaczął wydobywać się cichy, ale dość niepokojący pomruk.

McCutcheon zatrzymał się na ostatnim stopniu.

– Wróciła pani – powiedział.



– Mam jedno dziwne pytanie.

– Doprawdy?

LeAnne wyczuła, że coś zmieniło się w jego postawie. Czyżby obawiał się, że spóźni się przez nią na partyjkę golfa? A może chodziło o coś innego? Tak czy owak, LeAnne miała to gdzieś.

– Tak. Chodzi o Marci. Mówiąc wprost... wspominałam, że to będzie dziwne pytanie... czy widział pan ciało Marci na własne oczy?

McCutcheon przyjrzał jej się uważnie.

– O tak, to z pewnością dziwne pytanie. Na dodatek niestosowne, dość grubiańskie i aroganckie. To samo można powiedzieć o pani zachowaniu. Nie wiem, o co pani chodzi, ale nic więcej już pani ze mnie nie wyciągnie. Nie życzę sobie, żeby obcy ludzie przychodzili tu, a potem nagabywali moją wnuczkę.

– Nagabywali?

– Mój syn właśnie do mnie dzwonił. Nie wiem, co naopowiadała pani B.J., w każdym razie nie chce o tym z nami rozmawiać. Ona ma dopiero dziewięć lat, na miłość boską! Nie takie zwyczaje panują w naszej rodzinie. Nie miała pani prawa jej zaczepiać.

– Mam w nosie zwyczaje pańskiej rodziny – powiedziała LeAnne, wyobrażając sobie, jak syn McCutcheona obsztorcował B.J., zobaczywszy wcześniej, że jego córka rozmawia z kimś o twarzy pokrytej bliznami. – Chcę tylko wiedzieć, czy widział pan ciało Marci. Tak czy nie?

McCutcheon był jednym z tych ludzi, których twarze od razu wydają się sympatyczne. Teraz wyraz poczciwości zniknął z jego twarzy.

– Żałosne – powiedział.

Pokonał ostatni stopień i skierował się w stronę swojego samochodu.

– Odpowiedz mi, dupku!

McCutcheon wszedł do samochodu i odjechał. LeAnne wydawało się, że całe miasto ucichło. Tylko Goody drapała przednimi łapami w szybę okna przy fotelu pasażera i ujadała, niemal wypluwając płuca.

\* \* \*

Kiedy LeAnne dotarła do domku numer sześć, miała wrażenie, że jej głowa zaraz eksploduje. Na dnie krateru, jakim był jej oczodół, siły wroga ze zdwojoną siłą wznowiły swoje działania. Gdzie były tabletki? Szukała, ale nie znalazła. Przecież miała tabletki... Może chociaż ibuprofen? Przecież całkiem niedawno go brała. Usiadła na łóżku, próbując poskładać w całość rozsypane wspomnienia. To, jak wyglądał domek numer sześć po gwałtownych poszukiwaniach tabletek, było idealną metaforą stanu jej umysłu.

– Chryste, pomóż mi.

Na razie nie mogła nic zrobić. Musiała poczekać, aż zapadnie zmrok. Położyła się. Goody stała przy drzwiach, patrząc na nią swoimi czarnymi jak węgiel ślepiami.

\* \* \*

Obudziła się. Głowa pękała jej z bólu i od nadmiaru środków przeciwbólowych. Różne części jej ciała podłączone były do różnych maszyn.

– A może do jednej maszyny.

– Co takiego, kochanie? Nie zrozumiałam, co powiedziałaś.

Wokół panował półmrok. Może dlatego, że miała zamknięte oczy. Więc je otworzyła. W zasadzie to otworzyła jedno. Drugie nie chciało się otworzyć. Natężenie światła nie zmieniło się. Czyżby coś uciskało oko, które odmówiło współpracy? Chciała podnieść rękę do twarzy, żeby to sprawdzić, ale nie znalazła w sobie dość siły. Postać o niewyraźnych konturach podeszła bliżej. Matka? Tak. Pochyliła się nad nią matka.

– Co, kurwa?! Przecież się nie zgodziłam. Nie! Nie! Nie! Jak mogli mi to zrobić?!

– W porządku. Nie denerwuj się tak. Postaraj się uspokoić. Przejdziemy

przez to.

– Ty może tak.

\* \* \*

Noc była czarna jak węgiel, bezksiężycowa i bezgwiezdna, ale nie padało. LeAnne zapaliła lampkę przy łóżku. Goody stała nieruchomo przy drzwiach i nie spuszczała jej z oczu. A może po prostu pograżyła się w jednym z tych swoich transów i zupełnie przypadkowo zastygła zwrócona akurat w jej stronę. LeAnne poszła do łazienki i opryskała twarz chłodną wodą. Obejrzała w lustrze swoje blizny, wyglądały niczym barwy wojenne. Za jej plecami Goody chłepotała wodę z muszli klozetowej.

– Dzisiaj nie wolno ci szczekać – upomniała ją LeAnne. Wzięła latarkę z szuflady biurka. – Żadnego dźwięku. Ani pary z pyska.

Opuściły domek i wysypaną białym tłuczonym kamieniem ścieżką dotarły do samochodu. LeAnne ruszyła na południe, a potem skręciła w polną drogę biegnącą obok cmentarza. Po jakichś stu metrach zatrzymała się i zaparkowała pod wysokim drzewem. Włączyła latarkę, otworzyła bagażnik i wyjęła z niego łopatę z długim styliskiem, którą kupiła w sklepie ze sprzętem turystycznym w Arizonie. Ruszyły w kierunku grobu Marci. Spuszczona ze smyczy Goody stąpała bezgłośnie u prawego boku LeAnne.

LeAnne oświetliła latarką okrągłą tabliczkę wykonaną z brązu, kwiaty – niektóre z nich świeże – i nagrobek Marci. „Córka. Matka. Patriotka. Oddała życie w służbie ojczyzny”. Obróciła się w kierunku Goody.

– Musimy to wiedzieć na pewno.

Oparła latarkę o wystający korzeń drzewa i ustawiła ją tak, żeby oświetlała nagrobek. Nie chodziło tylko o Marci. Może w ogóle nie chodziło o Marci. Musiała wiedzieć na pewno chociaż jedną rzecz. Otaczała ją noc pełna grozy. Wszędzie czaił się strach. Przenikał przez nią na wskroś, jakby była jakimś niematerialnym bytem. Przewróciła nagrobek, zwinęła świeżo położone pasmo darni i wbiła łopatę w ziemię.

Nie odzyskała jeszcze pełni sił, ale grób wykopany był niedawno. Ziemia nie zdążyła stwardnieć, więc nie stawiała oporu. Można by nawet pomyśleć, że celowo starała się ułatwić LeAnne zadanie. LeAnne znalazła właściwy rytm: nabrać ziemi, wysypać, nabrać ziemi, wysypać. To było łatwe; przypominało trochę maszerowanie. Dziura szybko się pogłębiała. Goody siedziała na krawędzi wykopu; w świetle latarki jej oczy wydawały się złote.

– Musimy to wiedzieć. Jasny gwint, powiedziałam: „musimy”? My?

LeAnne kontynuowała swoją pracę. Podobno trumny zakopuje się na głębokości sześciu stóp pod ziemią, ale dziura nie miała więcej niż pół metra, kiedy łopata uderzyła w coś twardego. LeAnne pochyliła się, odgarnęła ziemię i zobaczyła, że dokopała się do zewnętrznej białej trumny z włókna węglowego. Kopała dalej, żeby mieć dostęp do boków trumny, po czym znowu pochyliła się i podniosła wieko. W środku znajdowała się drewniana trumna, także biała, z kwiatami wyrzeźbionymi na jednym z jej krańców. Drobiniki pyłu zawirowały w świetle latarki. LeAnne zorientowała się, że drżą jej ręce. Chociaż wewnętrzna trumna nie była w żaden sposób zabezpieczona przed otwarciem – po co ktoś miałby ją otwierać? – musiało minąć trochę czasu, zanim zdołała pewnie chwycić pokrywę i dźwignąć ją do góry.

W środku leżała Marci – w twarzowej fryzurze, ubrana w ładną letnią sukienkę. Oczy miała zamknięte, jej zastygła twarz była pozbawiona jakiegokolwiek wyrazu. No i co z tego? Czy to, jak wyglądała jej twarz, miało jakiegokolwiek znaczenie? Na pewno nie dla Marci. Nie przejmowała się takimi rzeczami. A teraz trafiła do królestwa beztroski – miejsca, gdzie wręcz trzeba przestać się nimi przejmować. W bonusie dostała eleganckie łaszki i nową fryzurę. LeAnne uklękła w rozkopanej ziemi.

– Obudź się, do cholery.

Pochyliła się, żeby pocałować zastygłą twarz. Zanim zdążyła to zrobić, usta Marci poruszyły się. To było ledwie dostrzegalne drgnienie, ale LeAnne

widziała je na własne oczy. A raczej oko. To, którego nie było. Bo to, które jej zostało, miała wtedy zamknięte. Potem usłyszała głos Marci.

– A co, jeśli coś mi się stanie?

– Wiem – odpowiedziała LeAnne.

Goody chwyciła zębami za kołnierz jej kurtki i odciągnęła ją od trumny. Zaczęła cicho i groźnie warczeć. Basowy pomruk ucichł dopiero, kiedy LeAnne zasypała wykop, położyła na miejscu pasmo darni, ustawiła nagrobek i ułożyła kwiaty. Nic się nie zmieniło, tylko nocne powietrze pachniało trochę inaczej. Dało się w nim wyczuć słaby odór śmierci. Być może dla Goody to wcale nie był słaby zapach. A co z królestwem beztroski? Nie istniało.

LeAnne obudziła się w pomieszczeniu wypełnionym cmentarnym zapachem. Otworzyła oczy. Leżała na swoim łóżku, w brudnych ciuchach, które nosiła zeszłej nocy. Do domku numer sześć wpadało intensywne światło późnego poranka. Goody leżała na podłodze oparta grzbietem o drzwi. LeAnne wzięła prysznic i zmyła z siebie ten zapach. Wycierając się ręcznikiem, uświadomiła sobie, że niewielka część jej ciała również obumarła. Może to ona sama była źródłem tego trupiego smrodu? Jak miała z tym żyć? Wytarła zaparowane lustro i przyjrzała się protezie. Może była to tylko gra światła, może niedokładnie wytarła lustro, ale sztuczne oko nie wyglądało na zupełnie martwe. Jak to możliwe? Nie potrafiła odpowiedzieć na to pytanie. Jednak w ciągu tej nocy zdarzyło się coś, co sprawiło, że prawe, sztuczne oko zmieniło się i przestało być tylko bezużytecznym rewersem sprawnego oka. Kiedy patrzyła na nie w lustrze, wydało się jej oczywiście znacznie mniej żywe od lewego, ale zarazem bardziej rozsądne? Bardziej dojrzałe? Miała nieodparte wrażenie, że jej proteza staje się czymś więcej, niż była do tej pory.

– Zaczynam tracić rozum.

Wróciła do sypialni. Goody leżała na grzbiecie ze wszystkimi czterema łapami w powietrzu.

– Gubię się w tym wszystkim. Pomóż mi coś wymyślić.

Goody zaczęła się wiercić, wciąż leżąc do góry brzuchem. Otworzyła pysk i wystawiła język. W umyśle LeAnne zaczął kiełkować pewien plan.

\* \* \*

– Mapa miasta? – powiedziała Dot, otwierając szufladę biurka.

Wręczyła LeAnne broszurę dla turystów wydrukowaną na lśniącym papierze.

LeAnne rozłożyła ją i znalazła w środku mapkę w rodzaju tych, jakie czasem można kupić w sklepie z pamiątkami – jej autorzy nie zawracali sobie głowy skalą, topografią terenu ani informacjami na temat wysokości nad poziomem morza.

– Szukam czegoś bardziej szczegółowego – powiedziała LeAnne.

– Żeby wziąć udział poszukiwaniach? Szeryf na pewno ma dobre mapy.

– Nie wątpię.

– Nie dogaduje się pani z naszymi władzami?

– Ja nie...

– Proszę się nie martwić. Mam tak samo. – Dot wstała, poszła na zaplecze i przyniosła stamtąd duży segregator z trzema pierścieniami. – Zanim podnieśli lokalne podatki, dokładnie wymierzyli całe miasteczko.

LeAnne usiadła i zaczęła kartkować dokumenty, Goody stała tuż obok niej, oczywiście po prawej stronie.

– Piesek trochę złagodniał, co?

– Niespecjalnie. Ale ma już imię.

– Jakie?

– Goody.

– Fajne – oceniła Dot. – Jedno z tych ironicznych imion. Czy to znaczy, że ogłoszenie o psie do adopcji jest już nieaktualne?

LeAnne obróciła się, żeby zerknąć na Goody, która bez żadnego skrępowania zabrała się za obgryzanie dywanika.

– Pomyślę nad tym.

Wróciła do map. Strona po stronie podążała ścieżką rowerową: z bocze, bagno, potem górzysta część miasteczka po drugiej stronie rzeki. Poza granicami miejscowości łagodne pagórki zamieniały się w strome zbocza. LeAnne próbowała wyobrazić sobie, jak to wszystko wygląda w rzeczywistości, próbowała zapamiętać każdy szczegół, tak jakby

przygotowywała się do operacji na tym terenie.

– Co to takiego? – zapytała. – Tu, na wschód od miasta.

– Lasy państwowe – powiedziała Dot. – Piękne miejsce. Zimą można tam pobiegać na nartach, latem pojeździć na rowerze górskim, a jesienią zapolować.

– Myśliwi noszą kamuflaż.

– Hm, tak, czasem tak.

– To mógł też być ktoś, kto służył kiedyś w wojsku. Albo zwykły sen.

Dot przekrzywiła głowę na jedną stronę.

– Chyba nie nadążam.

– Tak tylko plotę trzy po trzy.

– Nie wygląda pani na kogoś, kto plecie trzy po trzy – stwierdziła Dot. –

Wyspała się pani zeszłej nocy?

– Nie narzekam.

– Mam pigułki na sen, gdyby była pani zainteresowana – ciągnęła Dot. –

Bez dodatkowej opłaty.

Pigułki na sen: postanowiła to zapamiętać. Natomiast jeśli chodzi o plany, które pokazała jej Dot, to chociaż w swoim życiu nauczyła się na pamięć setek, a może nawet tysięcy map, teraz zdołała zapamiętać jedynie, że poszczególne elementy podpisano małymi literkami wyglądającymi jak schludne odręczne pismo.

– Mogę to pożyczyć?

\* \* \*

Wyjeżdżając z miasta, LeAnne wybrała drogę prowadzącą na wschód, znalazła zarośniętą ścieżkę z głębokimi koleinami, oznaczoną na mapie jako „dawny trakt leśny 31N” i jechała nią aż do zalesionych wzgórz.

– Albo zwykły sen. Nie można wykluczyć takiej możliwości – powiedziała, spoglądając na psa. Goody spała na siedzeniu pasażera. Pod łapą leżał pluszowy pies. – Ale jeśli Mia uwierzyła, że to prawda... –



LeAnne nie udało się wyciągnąć kolejnych wniosków. Jej mózg odmawiał współpracy.

Pokonała zakręt i dotarła do punktu widokowego umiejscowionego z lewej strony drogi. Zatrzymała samochód. Poniżej tarasu rozpościerało się porośnięte drzewami zbocze, a jeszcze niżej – bagno. Po drugiej stronie bagna, u stóp płaskowzgórza, które przecinała ścieżka rowerowa, poruszały się maleńkie jaskrawe punkciki – ubrani w odblaskowe stroje członkowie ekipy poszukiwawczej, oddaleni od LeAnne o jakieś trzy kilometry.

– Naprzód – LeAnne otworzyła drzwi. – Zobaczmy, co potrafisz. – Goody otworzyła oczy. Ziewnęła, wyszła z samochodu, przeciągnęła się i po prostu stała. – Dlaczego nie wężysz? Wzięłam cię tu, żebyś trochę powęszyła. – Goody nie zareagowała na jej słowa. Była w jednym ze swoich transów, a jeśli nawet nie w transie, to w stanie daleko posuniętej obojętności na świat. LeAnne sięgnęła po leżącą na fotelu zabawkę i podsunęła ją Goody pod nos. Goody odwróciła się. – Co, do diaska? Przywiozłam cię tutaj, żebyś wykonała swoje zadanie. – Goody przeszła na drugą stronę ścieżki i usiadła pod najbliższym drzewem w smudze światła.

LeAnne przyglądała się bagnu. Składały się na nie skrawki twardego gruntu porośnięte trawą i krzakami wystarczająco wysokimi, żeby rzucać cień, a także grząskie, brązowe błocko i połyskująca w słońcu woda. Czy ktoś mógł przejść przez bagno, skacząc od jednej zielonej wysepki do drugiej? Z tego, co była w stanie zobaczyć, nie. Ale żeby się upewnić, potrzebowała lornetki. Gdzie ją zgubiła? Wróciła myślami do siedemnastego stycznia. Przypomniało jej się, jak mijali opuszczoną stację benzynową i jak dotarli do skupiska pięciu budynków. Kolejny obraz: zatłoczone pomieszczenie, w którym razem z nią i Katie znajdowało się szesnaścioro osób; zdecydowanie zbyt dużo jak na tak małą przestrzeń. Przypomniała sobie dwie kury i stopy cywilów obute w sandały i zgrzebne, tkane pantofle. A potem przypomniała sobie owłosioną dłoń wynurzającą się spomiędzy fałd burki. Próbowwała skupić się na lornetce, ale jej umysł zafiksował się na

obrazie owłosionej dłoni. Czas płynął. W końcu dotarło do niej, że stoi zgarbiona niczym jakaś niezdyscyplinowana łamaga.

Natychmiast się wyprostowała.

– To nie ma najmniejszego znaczenia. Liczy się tylko...

Próbowała sformułować dalszą część zdania. Mimo początkowych trudności w końcu jednak zrozumiała. Albo po prostu sobie przypomniała. Liczy się Mia. Mia zgubiła czarną opaskę, schodząc ze wzgórza lub błakając się po bagnie. Czy próbowała przejść na drugą stronę? Jeśli próbowała i się nie udało, jaskrawe punkciki znajdą jej ciało. Jeśli jej się powiodło, powinna była dojść do tej starej leśnej drogi. LeAnne podeszła do traktu i sprawdziła, co znajduje się po drugiej stronie. Zobaczyła łagodne wzniesienie porośnięte drzewami, głównie iglastymi, a także gęstymi krzakami. Czy ktoś przedzierałby się przez gąszcz, mając do wyboru tę wygodną drogę? LeAnne ruszyła w kierunku północnym. Nie znalazła żadnych śladów, które świadczyłyby, że ktoś tutaj był: żadnych odcisków butów ani opon, żadnych papierków czy plastikowych śmieci. Prawdopodobnie było to jedno z tych miejsc, gdzie wciąż rządzi natura. Ośmiolatka, która trafiłaby tutaj w nocy, porządnie by się wystraszyła. Ojciec LeAnne nie miał cierpliwości do takich dziecięcych strachów: „Zamierzasz się poddać, bo widzisz gorzej niż w dzień?”.

Bo widzisz gorzej?

– Tata przewidział wszystko, psinko – powiedziała LeAnne. Nagle zorientowała się, że nie wyczuwa Goody przy swoim boku. Odwróciła się i spojrzała na leśną drogę. Pies nie ruszył się nawet na milimetr, wciąż siedział w plamie światła. – Hej! – Goody wyzywająco powoli odwróciła łeb. Gdyby psy potrafiły robić pompki, LeAnne kazałaby jej zrobić setkę.

– Chodź tu natychmiast, do cholery!

Pies wstał, przeciągnął się i niespiesznie potruchtął w jej stronę. Goody przebyła już niemal cały dystans, jaki dzielił ją od LeAnne, gdy nagle zatrzymała się z jedną łapą uniesioną w powietrzu. Jej zachowanie

momentalnie się zmieniło. Popędziła przed siebie, nie oglądając się na swoją opiekunkę. LeAnne pobiegła za nią. Już niemal ją dogoniła, kiedy Goody skręciła gwałtownie w prawo, bez najmniejszego wysiłku wysokim łukiem przeskoczyła nad butwiejącym pniem i zniknęła między drzewami. LeAnne przyspieszyła. Dysząc i sapiąc – żaloszne – dotarła do pnia. Ani śladu po Goody. Wokół LeAnne były tylko pnie drzew, migotliwe cienie, skały i strome zbocza. Podniosła z ziemi jakąś gałąź i weszła głębiej w las.

Czy zdarzało jej się biegać po równie stromych i porośniętych tak gęstą roślinnością pagórkach? Wiele razy. Ale nie po tym, jak straciła oko. Nie chodziło nawet o to, że jej ciało nie nadążało za jej umysłem. Obie te płaszczyzny bytu były uszkodzone. Postanowiła zapamiętać tę myśl. Ale tyle rzeczy wylatywało jej z głowy, szanse na to, że przypomni sobie w odpowiednim momencie swoje spostrzeżenie, były naprawdę niewielkie. To było nawet zabawne na swój sposób i LeAnne uśmiechnęła się do siebie, przeciskając się między dwiema skałami, które stykały się czubkami, tak jakby zsunęły się na siebie. W końcu dotarła do niewielkiej, mniejszej niż pół akra, i zupełnie płaskiej polany. Goody, z ogonem naprężonym jak struna, krążyła szybkim truchtem po obrzeżach polany, węsząc pod rosnącymi tam drzewami.

LeAnne przywołała ją niskim głosem:

– Goody?

Polana tonęła w głębokiej ciszy, kiedy nagle spomiędzy drzew wyszedł Max Skelly, z papierosem w kąciu ust i z lornetką zawieszoną u szyi.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu, jakby spotkała go jakaś przyjemna niespodzianka.

– LeAnne, prawda? Przyjaciółka Marci z wojska?

Chwilę wcześniej serce LeAnne nieco przyspieszyło, teraz powróciło do swojego normalnego rytmu.

– Zgadza się.

– Szeryf też odsunął cię od poszukiwań?

LeAnne skinęła głową.

– Sam nie wie, co chce osiągnąć – powiedział Max. Sięgnął do kieszeni swojej bluzy kangurki z napisem „Skelly. Wycinka drzew” i wyciągnął paczkę papierosów. – Zapalisz?

– Nie.

– Wydawałoby się, że w takiej sytuacji przyda się każda pomoc. Zwłaszcza pomoc kogoś takiego jak ty, kto od razu orientuje się w trudnym terenie.

– Skąd wiesz, że orientuję się w trudnym terenie?

– Nie słyszałem, jak nadchodzisz. Twojego psa także nie słyszałem. Trudno o lepszy dowód.

LeAnne uświadomiła sobie, że Goody znowu stoi przy niej i napiera na jej prawą nogę.

– Co tu robisz? – zapytała.

– Przypuszczam, że to samo, co ty. – Max wyciągnął papierosa z paczki. – Jeśli ta opaska faktycznie jest jakąś wskazówką, to być może Mia dotarła do tej drogi.

– Jasne – powiedziała LeAnne. – Ale nie sprawdzasz teraz drogi.

– Przeszedłem ją już dwa razy, ma nie więcej niż pięć kilometrów od początku do końca. Z jednej i drugiej strony znajduje się droga krajowa, po której jeździ sporo samochodów, więc gdyby Mia tędy szła, ktoś prędzej czy później by ją zobaczył.

LeAnne skinęła głową. To, co mówił, miało sens, zwłaszcza ten fragment o ruchliwej drodze na początku i na końcu traktu. Powinna była zwrócić na to uwagę, przeglądając mapy, ale jakoś jej to umknęło.

– Potem wałęsałem się trochę po okolicy i w końcu dotarłem tutaj – ciągnął Max. – To jedyna otwarta przestrzeń, do której można dotrzeć nocą, zwłaszcza jeśli jest się dzieckiem. Taki leśny ślepy zaułek – powiedział, wskazując głową rosnący za nimi las. – Kolejne trzy kilometry to gęszcz praktycznie nie do przejścia.

– Znasz ten teren.

– Uwielbiałem spędzać czas na dworze jako dzieciak. Włóczyłem się po okolicznych lasach, górach, wszędzie.

Max rzucił niedopałek papierosa na ziemię i rozgniół go obcasem. Nosił duże, ciężkie wojskowe buty. Tropy.

– Fajna lornetka. – LeAnne rozpoznała, że to steiner. Jej lornetka, ta, którą zgubiła, nie była tak dobra. Max miał na sobie kurtkę we wzór maskujący. – Służyłeś w wojsku?

Zerknął na poranioną stronę jej twarzy.

– Nie.

– Marci się zaciągnęła.

– Wiem.

– Z twojego powodu.

Jeszcze przez chwilę uśmiechał się lekko, ale nagle kąciki jego ust opadły, jakby coś przestało je podtrzymywać. Przez chwilę LeAnne miała wrażenie, że Max wybuchnie gniewem. Myliła się. Odwrócił się.

– Nie chcę się kłócić – powiedział. – Żałuję tego, co zrobiłem, nie żeby miało to teraz jakiegokolwiek znaczenie. Byłem wtedy zupełnie inną osobą.

– Żałujesz, że pobiłeś Marci? – zapytała LeAnne, nie mając ochoty owijać w bawełnę ani bawić się w żadne uprzejmości. – O tym mówisz?

Skinął głową. LeAnne czekała na jakąś wymówkę – coś o tym, że Marci sama się o to prosiła, że to ona go sprowokowała – ale się nie doczekała. Czowała przemożną chęć, żeby go przycisnąć; żeby mu dokopać. Zastanawiała się właśnie, jak zrobić to w możliwie najbardziej bolesny sposób, kiedy Goody skoczyła do przodu i zaczęła obwąchiwać Maxa, zaczynając od butów i przesuwając nosem coraz wyżej.

– Cześć, koleżanko – powiedział Max. – Co słyhać? – Próbował poklepać Goody po głowie, ale Goody uchyliła się i kontynuowała obwąchiwanie. – Wiem, co wyczułaś. – Wyciągnął torebkę z tylnej kieszeni spodni, po czym wyjął z niej kanapkę.

– Szynka i ser – zaanonsował. – Mogę jej to dać?

– Pewnie.

Max wyciągnął kanapkę w stronę psa. Goody zignorowała ten gest i dalej go obwąchiwała. Max się roześmiał. Goody wciąż go obwąchiwała. Śmiech Maxa ucichł. W końcu Goody chwyciła kanapkę i odbiegła na bok, żeby pochłonąć ją w samotności. Max znowu się roześmiał.

– Nieprzeciętna osobowość – ocenił. – Jak ma na imię?

– Goody.

– Fajnie. – Max zapalił kolejnego papierosa, polizał kciuk i palec wskazujący i zgasił nimi płonąca zapałkę. – W sumie to nie dowiedziałem się, co dokładnie stało się z Marci – powiedział.

– A ma to dla ciebie jakieś znaczenie?

Zerknął na nią, potem odwrócił wzrok.

– Twarda z ciebie sztuka – rzucił. – Ale przecież piękna kobieta może być twarda – dodał obniżonym, dużo łagodniejszym głosem. – Po prostu niektórzy muszą się do tego przyzwyczaić, zwłaszcza takie małomiasteczkowe chłopaki jak ja. – Zaciągnął się głęboko i powoli wypuścił chmurę dymu, która na moment skryła jego twarz.

Piękna kobieta? Nie przesłyszała się? Te słowa oraz niski tembr głosu Maxa sprawiły, że coś przeskoczyło w jej głowie; wyczuwała teraz emanującą od niego seksualną energię.

Dym się rozwiął. Max podszedł krok bliżej i wpatrywał się w nią intensywnie. Miał ciemne oczy, od których trudno było odwrócić wzrok. Dotknął jej ramienia. Jego dotyk sprawił jej przyjemność, nie mogła się tego wyprzeć. Był jednym z tych facetów, którzy znali się na rzeczy.

– Jesteś głodna? – zapytał. – Może pojedziemy coś zjeść?

Oto nagle pojawiła się przed nią szansa na doświadczenie przyjemności, krótkotrwałej i bardzo ulotnej, ale jednak przyjemności. Nie wiedziała, jak zareagować. Ale potem przypomniała sobie słowa trenera Adelsona: „Idioci wciąż powtarzają te same błędy, a bystrzy ludzie popełniają nowe”. To nie

była dokładnie taka sama sytuacja. Max nie był jej błędem, był błędem Marci. Mimo wszystko przestroga trenera w jakiś sposób wciąż była aktualna. W tym momencie przypomniała sobie słowa Marci: „Chciałabym cofnąć tamtą decyzję. Tyle tylko ci powiem”. Rzadko dostaje się w życiu okazję, żeby naprawić swoje błędy. Ona miała teraz taką szansę: mogła w pewien sposób naprawić życie Marci. Oczywiście nie było to logiczne ani racjonalne, jednak właśnie tak należało teraz postąpić. LeAnne cofnęła bark, dłoń Max ześlizgnęła się z jej ramienia.

– Marci straciła nogę w wybuchu miny lądowej. W szpitalu miała zator płucny i utopiła się we własnej krwi. To właśnie przydarzyło się Marci.

Coś zmieniło się w oczach Maxa. Napięcie między nimi opadło? A może wzrosło? LeAnne nie potrafiła tego określić. Max uśmiechnął się nieznacznie, bardzo chłopięco.

– Zapytałem, a ty mi odpowiedziałaś. Dziękuję.

LeAnne skinęła głową.

– Nie zasłużyła na taki los – powiedział Max.

– Co do tego możemy się zgodzić.

– Optymistyczne podsumowanie. – Max rozejrzał się dookoła. – Zbieramy się?

LeAnne pomyślała, że faktycznie mogą już wracać. Jedynym śladem obecności ludzi na tej polanie był niedopałek rzucony przez Maxa. Otaczał ich gęsty las. Żadnej innej ścieżki oprócz tej, którą przyszli.

– Goody, idziemy.

Goody przybiegła, oblizując się. Ruszyli z powrotem w stronę leśnego traktu. Max szedł pierwszy z papierosem nonszalancko wetkniętym w kącik ust. Jego ruchy były szybkie i pewne.

\* \* \*

– Tam zaparkowałem.

Max wskazał północny kraniec leśnej drogi. Podał jej rękę. LeAnne

uścisnęła tę dużą i cieplejszą niż jej własna dłoń, której krótki uścisk jedynie sygnalizował drzemiącą w niej siłę. „Straciła głowę dla jednego z tych facetów w typie macho”. I kto mógłby ją za to winić?

Max ruszył w kierunku północnym. LeAnne wciąż go obserwowała. Nie przeszedł nawet dwudziestu metrów, kiedy zawołała:

– Max?! – Zatrzymał się i odwrócił. – Czy miała jakichś wrogów? – zapytała.

Uniósł rękę do czoła, jakby próbował osłonić oczy przed zbyt jasnym światłem, chociaż chmury na niebie były ciemne i gęste.

– Co?

– Mia. Czy ktoś ją prześladował?

– Pytasz niewłaściwą osobę – odpowiedział Max, opuszczając dłoń. – Co ja mogę wiedzieć o jej życiu? Odseparowano mnie od niej.

– Biedaczek.

Max rzucił jej długie spojrzenie. Potem odwrócił się i znowu ruszył przed siebie. LeAnne pomaszerowała w przeciwnym kierunku. Kiedy dotarła do samochodu, odwróciła się. Zniknął. Spojrzała na bagno i zauważyła, że jaskrawe kropeczki znajdowały się teraz nieco bliżej.

LeAnne jechała dawną drogą leśną N31. Skręciła na zachód i wjechała na krajową autostradę prowadzącą do Bellville. Przejechała niecały kilometr, kiedy zobaczyła we wstecznym lusterku niebieskie światło policyjnego koguta. To szeryf Cosgrove nakazywał jej się zatrzymać.



Szeryf podszedł do jej samochodu. Czyżby miał jakieś dobre wieści? LeAnne opuściła szybę w oknie. Zgarbił się i zajrzał do środka niczym stereotypowy glina szukający narkotyków.

– Pies pod kontrolą? – zapytał.

Zapomniała już o jego krzaczastych wąsach wijących się niby jakieś dwa włochate zaskrońce. Ten widok pochłaniał całą jej uwagę i przyprawiał ją równocześnie o mdłości.

– Co, do diaska? To dlatego mnie pan zatrzymał? Żeby zapytać o psa?

Co z Mią?

– Jak to co?

– Na litość boską, znaleźliście ją?

– Nie. A pani?

– Czy ja ją znalazłam? A cóż to ma znaczyć?

– Proszę wysiąść z samochodu.

Goody zaczęła mocniej sapać, ślina ściekała jej z języka.

– Dlaczego? Przecież nie przekroczyłam prędkości.

– Proszę wysiąść z samochodu.

– Aresztuje mnie pan?

– To zależy. Proszę wysiąść z samochodu i nie utrudniać mi pracy.

LeAnne złapała kierownicę obiema rękami.

– Za co chce mnie pan aresztować?

Cosgrove spojrział na nią. Nic nie mówił, ale wydawało się, że jego wąsy wciąż się poruszają. LeAnne pomyślała, że zwymiotuje, jeśli natychmiast nie wstanie. Otworzyła drzwi i wysiadła. Szybko zamknęła je za sobą na wypadek, gdyby Goody chciała za nią podążyć. Ale Goody nawet się nie poruszyła, wciąż dyszała; tym razem chyba niczego nie knuła. LeAnne

wzięła głęboki oddech i poczuła się trochę lepiej. Przyjrzała się uważnie szeryfowi, był mężczyzną średniej budowy, kilka centymetrów wyższym od niej, z lekko wystającym brzuchem.

– Czego pan chce?

– W imieniu prawa żądam wszelkich informacji na temat pobytu zaginionego dziecka, jakie być może pani ukrywa.

– Oszalał pan?

– A może powie mi pani, gdzie dokładnie była w noc pogrzebu, czyli dziewiątego tego miesiąca? – Cosgrove poczerwieniał, ale wciąż mówił spokojnym głosem, może nawet przesadnie spokojnym.

LeAnne roześmiała mu się w twarz.

– Jestem podejrzana? Jest pan albo głupi, albo szalony, albo jedno i drugie. Dlaczego miałabym skrzywdzić Mię?

– Nie twierdzę, że chciała ją pani skrzywdzić. I nie wiem nic o pani motywach. Ale dziś rano rozmawiałem z kimś, kto ma wiedzę na ten temat.

– Z kimś, kto ma wiedzę o moich motywach? O czym pan, do cholery, gada?

– Nazywa się... – Cosgrove wyciągnął notes z kieszeni na piersi i z rozmachem go otworzył. – ...Machado. Doktor Ernest Machado, zastępca kierownika oddziału psychiatrycznego w szpitalu wojskowym imienia Waltera Reeda. – Zerknął na nią. – Coś to pani mówi?

Słowa szeryfa oszołomiły LeAnne. Przez chwilę lub dwie nie miała nawet siły, żeby oderwać wzrok od jego wąsów. Jej pole widzenia zawężyło się do malutkiego okręgu jak w ostatniej scenie jakiegoś niemego filmu. Pochyliła się i zwymiotowała.

Cosgrove w porę się odsunął, zdołał więc uchronić swoje buty przed falą wymiocin. LeAnne oparła się ręką o samochód i jakoś opanowała targające nią mdłości.

– Doktor Machado twierdzi, że opuściła pani szpital bez pozwolenia – ciągnął coraz głośniej Cosgrove, jakby się nakręcał. – Co więcej, nie

otrzymałaby pani takiego pozwolenia, nawet gdyby o nie poprosiła, z uwagi na pani stan psychiczny, który doktor Machado opisał jako... – Znowu zerknął do swoich notatek. – ...bardzo niestabilny. Doktor powiedział mi także, że stworzyła pani z Marci Cummings krótki, ale bardzo intensywny i mentalnie... a może mutualnie? cholera jasna, nie mogę odczytać własnego pisma... destrukcyjny związek i że kiedy Marci zmarła, miała pani epizod psychotyczny. – Szeryf znów na nią spojrzał. – To znaczy, że całkiem pani puściły nerwy. Kiedy zapytałem doktora, czy ktoś w pani stanie mógłby przejawiać obsesyjne zainteresowanie córką Marci, powiedział, że to całkiem możliwe. Kolejna rzecz to opowieść wnuczki McCutcheona o przerażająco wyglądającym komandosie pukającym do okna Mii. Zapytam więc raz jeszcze: gdzie była pani w noc po pogrzebie?

Przerażający wygląd? Czy on naprawdę to powiedział czy tylko to sobie wyobraziła?

LeAnne odwróciła się w stronę szeryfa i spojrzała na niego, próbując jakoś opanować gonitwę myśli.

– Co pan powiedział?

– Słyszała pani. Gdzie była pani w noc po pogrzebie?

– Nie to. Wcześniej. Kiedy pan mówił o B.J.

– Zamierza pani podważyć wiarygodność zeznań dziecka? Nie pani pierwsza stosuje taką strategię, ale moim zdaniem to dosyć tani chwyt. Według B.J. Mia powiedziała jej, że widziała komandosa za oknem w noc...

– Jakiego komandosa?

– Co?

– Słyszał pan.

Szeryf spojrzał w bok, a potem agresywnie wysunął podbródek.

– Wyglądającego przerażająco.

LeAnne całą swoją siłę włożyła w wyprowadzenie ciosu. Szeryf zatoczył się i niemal upadł, jedną ręką przytrzymując się za twarz, a drugą gmerając w okolicach kabury. LeAnne sięgnęła po jego broń, ale była teraz jedynie

uszkodzoną wersją samej siebie i zrobiła to zbyt wolno; tak wolno, że ten otyły prowincjonalny glina nie tylko zdążył wyciągnąć broń, ale też przyłożył jej lufą rewolweru w prawy policzek; nawet nie mogła zobaczyć nadchodzącego uderzenia. Siedząca w samochodzie Goody zaczęła ujadać i szturmować drzwi.

LeAnne czuła teraz coś dziwnego; miała wrażenie, że się roztopia. Uklękała, myśląc, że dzięki temu złapie równowagę, ale myliła się. Upadła. Pomyślała, że nie wstanie o własnych siłach. Ale wtedy poczuła rozchodzące się po ziemi drgania, których przyczyną była Goody. Wstała. Podniosła ręce. I zacisnęła pięści.

Cosgrove cofnął się i wycelował rewolwer w jej głowę. Krew sączyła mu się z warg, barwiąc na czerwono końcówki jego wąsów.

– Użyję tego, jeśli będę musiał się bronić – powiedział.

Jego spojrzenie mówiło, że chętnie zrobiłby to nie tylko w samoobronie.

– Zastrzeli mnie pan?

– Tak właśnie zrobię.

LeAnne miała ochotę powiedzieć mu: „Nie krępuj się”, ale wtedy spojrzała na samochód. Goody nieźle go rozbijała. Popatrzyła na szalejącego psa i – zbyt cicho, by Goody mogła ją usłyszeć – powiedziała:

– Spokój tam.

Goody natychmiast się uspokoiła.

– Ręce za głowę. – Cosgrove nieznacznie poruszył bronią.

– Nie ma mowy. – LeAnne wciąż trzymała ręce w ten sam sposób, zaciśnięte w pięści i gotowe do walki.

Spojrzał na nią. Odwzajemniła spojrzenie. Gwałtowne emocje, które nią zawładnęły, teraz nieco opadły. Opuściła dłonie.

– Nie mam nic wspólnego z zaginięciem Mii. Nie było mnie tutaj tamtej nocy.

– Niech pani to udowodni.

To jakieś szaleństwo. Jak miała to udowodnić? Niektóre szczegóły

swojej podróży – na przykład pokruszone piernikowe ludziki z jasnozielonymi oczami – pamiętała doskonale, ale nie potrafiła chronologicznie uszeregować poszczególnych wydarzeń ani nawet przypomnieć sobie ich wszystkich. Nie umiała dokładnie określić, gdzie była i kiedy.

– Może pobyt w celi odświeży pani pamięć. To ciche i spokojne miejsce – powiedział Cosgrove. – Aresztuję panią za napaść na funkcjonariusza. Proszę się odwrócić i położyć dłonie na dachu samochodu.

LeAnne nie wykonała polecenia. Cosgrove powiedział coś do nadajnika umieszczonego przy kołnierzyku. Wzywał wsparcie? LeAnne nie przysłuchiwała się temu, co mówił. Obserwowała Goody. A Goody obserwowała ją. Jedną z jej łap spoczywała na czerwonym telefonie komórkowym wrzuconym do uchwytu na kubek.

– Po co to pani utrudnia? – zapytał Cosgrove. Wierzchem dłoni wytarł wąsy i zobaczył krew na ręce. – Tak czy inaczej zabiorę panią do aresztu – powiedział podniesionym głosem.

LeAnne spojrzała na niego i nic nie odpowiedziała. Czy powinna się bać? Przecież już jej oddał, też uderzył ją w twarz. Nie, nie pozwoli, żeby ją zapuszkował. Od zachodu dobiegły ją dźwięki syren, coraz głośniejsze.

– Ma pani teraz jedyną szansę, żeby się ze mną dogadać. Nie wniosę zarzutów w sprawie napaści, jeśli powie mi pani, gdzie jest Mia.

– Ośmiesza się pan – odpowiedziała LeAnne. – Ale niech to zostanie między nami.

– O czym, do cholery, pani mówi?

– Mogę udowodnić, że nie mam nic wspólnego z zaginięciem Mii.

– Tak ni z tego, ni z owego? Coś się zmieniło?

– Tak, ni z tego, ni z owego. Wygrał pan. – LeAnne umilkła na chwilę, ale nie musiała czekać zbyt długo.

– Proszę mówić.

– Muszę wykonać jeden telefon.

LeAnne niemal słyszała, jak pracują jego szare komórki. Wyciągnął telefon z kieszeni.

LeAnne pokręciła głową.

– Muszę użyć mojego telefonu. – Wskazała na samochód. Podszedł bliżej, wciąż trzymając ją na muszce, i zajrzał do środka. – W uchwycie na napoje – powiedziała LeAnne.

Skinął głową.

– Ma tam pani broń?

– Nie.

– W jaki sposób chce pani wziąć telefon i nie dopuścić do tego, żeby to zwierzę mnie zaatakowało?

– Proszę nie nazywać jej zwierzęciem.

– Jeśli mnie zaatakuje, zastrzelę ją.

„To byłaby ostatnia rzecz, jaką zrobiłbyś w życiu”. LeAnne otworzyła drzwi.

– Siedź – powiedziała do Goody, wzięła telefon i zamknęła drzwi. Goody nawet się nie poruszyła. LeAnne przyszła do głowy dziwna myśl: w końcu ma wszystko pod kontrolą, nie tylko Goody – a właściwie wszystko z wyjątkiem Goody. Cosgrove znowu poruszył bronią, tym razem znaczyło to: „Dzwoń”. Był niczym dyrygent stojący przed orkiestrą, tyle że zamiast batuty trzymał trzydziestkę ósemkę. LeAnne niemal się uśmiechnęła, wciskając klawisz.

– Miło panią słyszeć – powiedział Stallings.

– Wie pan, gdzie byłem w nocy dziewiątego tego miesiąca.

– To pytanie czy stwierdzenie?

– Jedno i drugie. A właściwie żadne z nich. Po prostu proszę mi powiedzieć.

– Dlaczego pani o to pyta?

– Właściwie to szeryf pyta.

Zapadła cisza.

– I byłoby dla pani lepiej, gdyby nie było pani wtedy w jego hrabstwie?

– Dokładnie.

– Dziewiąty tego miesiąca.

– Tak. Miejmy to za sobą.

Znowu chwila ciszy.

– Mam pomysł – powiedział Stallings. – Przyjadę tam i osobiście porozmawiam z szeryfem.

– O czym pan mówi? Zaraz podam mu telefon.

– Moim zadaniem rozmowa w cztery oczy zawsze przynosi lepsze skutki.

– W takim razie będziemy musieli zadowolić się gorszym rozwiązaniem. To nie może czekać.

– Nawet przez godzinę?

– Godzinę? Podobno miał pan być w Kabulu.

Stallings się rozłączył.

\* \* \*

Cosgrove zerknął na zegarek.

– Minęło pięćdziesiąt osiem minut – oznajmił.

W ciągu tych pięćdziesięciu ośmiu minut na poboczu autostrady stanowej, kawałek na zachód od wylotu dawnej drogi leśnej N31, pojawiły się dwa kolejne radiowozy oraz karetka. Sanitariusze, szeryf oraz drugi policjant stali nieopodal hondy; LeAnne opierała się o swój samochód. Zastępca szeryfa został w radiowozie, jego twarz wykrzywiał nieprzyjemny grymas. Tuż obok niego siedziała Champ i wpatrywała się w siedzącą w hondzie Goody, która z kolei nie spuszczała z oka Champ.

Goody uniosła lekko uszy. Chwilę później do LeAnne dotarł daleki odgłos śmigieł młócących powietrze. Uszy Goody wyprostowały się. Teraz dźwięk był na tyle głośny, że wszyscy go usłyszeli. Na niebie pojawił się mały ciemnozielony helikopter. Po jego charakterystycznym nosie LeAnne

od razu poznała, że to kiowa. Helikopter przeleciał nad drzewami, pochylił się, zmniejszył prędkość i wylądował na płaskim poboczu drogi. Śmigło się zatrzymało. Kapitan Stallings, z jakiegoś powodu ubrany niczym as przestworzy w skórzaną lotniczą kurtkę narzuconą na mundur – pilot śmigłowca miał na sobie zwykłe dżinsy i flanelową koszulę – wyskoczył na drogę i podszedł do grupki mężczyzn. Szedł sprężystym krokiem, jakby dobry nastrój niemal go rozsadzał.

– Dzień dobry wszystkim – powiedział i skinął lekko głową LeAnne. – Nazywam się Stallings. Służę w G-2, wywiadzie amerykańskiej armii. Kto tu dowodzi?

Szeryf zrobił krok do przodu.

– Szeryf Cosgrove? – zapytał.

– Zgadza się.

– Może przejdziemy się kawalek i porozmawiamy przez chwilę? – Stallings położył dłoń na plecach szeryfa i poprowadził go na przeciwległe pobocze.

Pokazał mu swoją legitymację i jakieś dwa dokumenty. LeAnne nie słyszała rozmowy, ale widziała, że mówił głównie Stallings. Szeryf skinął głową. Po chwili wszyscy – szeryf, drugi policjant, sanitariusze – wsiedli do swoich samochodów, ale nie odjechali. Stallings podszedł do LeAnne. Przyjrzał się prawej stronie jej twarzy, opatrzonej wcześniej przez ratowników.

– Dobry Boże. Doszło do rękoczynów?

LeAnne machnęła niecierpliwie dłonią.

– Powiedział mu pan?

– Co miałem mu powiedzieć?

– Czy powiedział mu pan, po co tutaj przyjechał. Czy wyjaśnił pan sytuację. Wie pan, gdzie wtedy byłem, ma pan dane z GPS.

– W zachodniej części San Jacinto, w Newadzie. Spała pani w samochodzie albo zapłaciła gdzieś za pokój gotówką. Udało mi się zdobyć



nagranie z kamer zamontowanych w sklepie, w którym robiła pani zakupy tego wieczora o godzinie 20.32. – Wyciągnął telefon i pokazał jej zdjęcie.

Zrobiono je z góry, została na nim uchwycona *en face*. Wyglądało na to, że rozmawiała wtedy z kimś, kogo obiektyw kamery już nie uchwycił, i nie była przyjaźnie nastawiona do swojego rozmówcy. O dziwo, na zdrowej części jej twarzy lepiej widać było wyraz pewnej niestabilności psychicznej niż na tej pokiereszowanej. Tak czy owak, nie miało to żadnego znaczenia. Liczyły się tylko data i godzina wydrukowane w prawym górnym rogu zdjęcia.

– Pokazał pan to zdjęcie szeryfowi? Sprawa załatwiona?

– Nie do końca – zastrzegł Stallings. – Ale wszystko jest na dobrej drodze. Z przyjemnością wyjaśnię tę dziwną sytuację i wyciągnę panią z kłopotów, ale najpierw chciałbym, żeby zrobiła pani coś dla mnie.

– Ty sukinsynu.

Stallings uśmiechnął się do niej. Szczerze i delikatnie. To nie był wyrachowany uśmiech, ale tylko utwierdził ją w przekonaniu, że delikatni ludzie też mogą być dupkami.

– Rozumiem, że może się pani czuć urażona – powiedział.

– Urażona?

– Albo że może odczuwać pani dużo silniejsze emocje. Ale znaleźliśmy się w sytuacji, w której najlepiej sprawdza się realistyczne podejście. Realpolitik, jeśli woli pani takie określenie.

LeAnne uniosła dłoń, żeby powstrzymać ten potok bzdur.

– Czego pan chce?

– Maksymalnie siedemdziesięciu dwóch godzin pani czasu. Proszę powiedzieć: „Tak”, a natychmiast podejść do szeryfa i wyjaśnić mu całą sytuację.

– A jeśli powiem: „Nie”?

Stallings posłał jej zmartwione spojrzenie.

– Wtedy nasz szeryf zadecyduje o pani dalszym losie.

– Chce mnie wsadzić do celi.

– Tak słyszałem.

LeAnne próbowała coś wymyślić.

– A co, jeśli pana oszukam? – To była najlepsza riposta, jaka przyszła jej do głowy.

Stallings pokręcił głową.

– Widziałem pani akta. Nie zrobiłaby pani czegoś takiego. Nie tylko dlatego, że wcześniej zachowała się pani jak bohaterka. To był jedynie wyraz tego, jaka jest pani naprawdę.

– Co za brednie – podsumowała LeAnne.

Stallings wzruszył ramionami. Być może był jednym z tych ludzi o dwoistej naturze – delikatnych na zewnątrz, lodowatych w środku.

– Niech pani wierzy, w co pani chce.

A w co chciała wierzyć? W rzeczy, które nie mogły się ziścić.

– Siedemdziesiąt dwie godziny – powiedziała. – Maksimum.

Być może istnieją ludzie, którzy potrafiliby wymyślić jakieś inne rozwiązanie; ona nie potrafiła, na pewno nie teraz. Mieli ją zamknąć? Wsadzić za kratki? Nie mogła na to pozwolić. Nie mogła spędzić w celi nawet jednej nocy, jednej godziny, jednej minuty.

Stallings uklonił się lekko.

– Dziękuję.

– Dokąd jedziemy?

– Wolałbym o tym porozmawiać już w drodze.

– Rozumiem – LeAnne nie naciskała na odpowiedź.

I tak domyślała się celu podróży.

Stallings roześmiał się, po czym podszedł do Cosgrove'a i spełnił swoją obietnicę. Cała rozmowa zajęła mu może dwie minuty. Pozostawała jeszcze kwestia Goody. LeAnne spojrzała w dół. Goody stała po jej prawej stronie, tuż przy nodze, i patrzyła na nią swoimi czarnymi jak węgiel ślepiami. LeAnne chciałaby wziąć ją ze sobą, ale przecież nie mogła tego zrobić.

– Proszę znaleźć mi numer do Harveya Walda.

– Już się robi.

\* \* \*

Harvey mieszkał w małym, białym domu na końcu ślepej uliczki, w tej części miasteczka, która rozciągała się na równinie. Kiedy przyjechali (Goody na miejscu pasażera obok LeAnne, Stallings z tyłu), czekał już na nich przed drzwiami.

– Harvey Wald. – Dokonała prezentacji LeAnne. – A to kapitan Stallings.

Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie.

– Właściwie nie wiem, o co chodzi – przyznał Harvey.

– LeAnne panu nie wyjaśniła? – zdziwił się Stallings. – Porywam ją na siedemdziesiąt dwie godziny. W tym czasie pan zajmuje się psem.

– To zrozumiałem – powiedział Harvey.

LeAnne zwróciła uwagę na postawę Harveya. Stał wyprostowany niczym żołnierz, ale jednocześnie był zrelaksowany.

– Zaprowadźmy Goody do środka – powiedziała. – Może pan tutaj chwilę poczekać? – zapytała Stallingsa.

Stallings zerknął na zegarek.

– Musimy zdążyć na samolot.

– Przecież nie odleci bez nas, prawda? Chodź, Goody.

Goody wyskoczyła z samochodu i podbiegła do drzwi domu Harveya, jakby wiedziała, co zaplanowali. Harvey otworzył drzwi i weszli do środka.

– O, ciekawe – powiedziała LeAnne.

– Zburzyłem wszystkie ściany. Poza ścianami sypialni i łazienki.

Zerknęła na czarno-białe zdjęcie chmury rozdieranej błyskawicą.

– Ty je zrobiłeś?

– Od czasu do czasu bawię się w fotografa.

Harvey przeszedł do aneksu kuchennego, napełnił miskę wodą i postawił

ją na podłodze.

– Goody, masz.

Goody, która właśnie obwąchiwała pokój, natychmiast podeszła do LeAnne i usiadła przy jej nodze.

– Woli wodę z muszli klozetowej.

– Dostosuję się do jej preferencji.

– Je suchą karmę dwa razy dziennie. I różne przekąski. Lubi spacerować. Tu jest jej smycz.

Oddała Harveyowi smycz. Ich dłonie się zetknęły.

– Słyszałem różne dziwne rzeczy – powiedział Harvey. – Ponoć jesteś podejrzana w tej sprawie.

– To stare wieści, Harvey.

– I nieprawdziwe?

– A jak myślisz?

– Myślę, że zupełnie wyssane z palca, ale nie rozumiem, dlaczego wyjeżdżasz tak nagle. Myślałem... myślałem, że zaangażowałaś się w tę sprawę.

– Zaangażowałam się. Ale mam też pewne zobowiązania.

– Jakie zobowiązania?

– Nieważne. To wojskowe sprawy.

– Mają coś wspólnego z Marci?

– Nie.

– No to o co chodzi? – O co chodzi? O Jamiego. O całą jednostkę. O obowiązek chronienia innych. O nią samą i jej cholerne życie. – Nie powiesz mi?

Spojrzała na Harveya. Przyszła jej do głowy szalona myśl: fotografia burzowej chmury rozdzieranej błyskawicą była dobrą metaforą tego, co się w niej działo. I co musiało się skończyć. A jak odpowiedzieć na jego pytanie? Znalazła prostą odpowiedź. Poklepała się lekko w pokrytą bliznami część twarzy.

Harvey odwzajemnił jej spojrzenie. Powoli, dając jej mnóstwo czasu, żeby mogła go powstrzymać, pochylił się i pocałował jej pokiereszowany policzek.

– Dlaczego to zrobiłeś?

– Bo słowa brzmiałyby jak tanie pocieszenie.

– Wszystkie te gówniane rady w rodzaju „zostaw to za sobą” i „rusz do przodu ze swoim życiem”?

Harvey pokręcił głową.

– Moim zdaniem twoja twarz wygląda dobrze. Tylko tyle chciałem ci powiedzieć.

Kiowa miała cztery siedzenia – dwa z przodu, dwa z tyłu. Stallings usiadł obok pilota, LeAnne zajęła jedno z tylnych miejsc. W środku było zbyt głośno, żeby rozmawiać. Można było komunikować się tylko za pomocą słuchawek, których LeAnne nie założyła. Przeszkadzał jej hałas. Podobnie jak końcówki śmigła obracające się nieustannie w górnej części jej pola widzenia; ten widok – to, że coś nieustająco zakłócało błękit nieba – przyprawiał ją o mdłości. Prawie cały lot spędziła zgarbiona, z głową niemal między kolanami, niczym jakiś rekrut, który po raz pierwszy w życiu wsiadł do helikoptera.

\* \* \*

Śmierć jest dobra. Nowa myśl, w pewien sposób zaskakująca, ale prawdziwa. Potężne silniki warczały, z każdą sekundą przybliżając ją do celu. Miała wrażenie, jakby do jednego z jej policzków przyciśnięto rozpalone żelazo – ale ona sama przebywała teraz w innym wymiarze, więc nie czuła bólu. Czuła tylko, że coś kruszy się i przesuwają wewnątrz jej czaszki, jak fragmenty łądu po trzęsieniu ziemi. Ale ból się nie pojawił. Uświadomiła sobie, że nic nie widzi. Zasnęła.

Usłyszała znajomy głos:

– Długo jeszcze?

Inny, nieznany jej głos wspomniał coś o Alpach i wietrze czołowym. Zmartwiło to pierwszego rozmówcę, a mówiąc ściślej, rozmówczynię.

– Dlaczego zdecydowali się przewieźć ją tak szybko?

– To jej jedyna szansa. Gdyby poczekali, nie przeżyłaby tego.

Ktoś chwycił ją za rękę. Rozpoznała tę drugą dłoń, tak podobną do jej

własnej pod względem wielkości i siły uścisku.

– Trzymaj się – powiedziała pułkownik Bright. – Nie pozwolę ci odejść.

\* \* \*

Na wschodzie, na tle gór pojawiło się miasto o niskiej zabudowie. To musiało być Spokane. Helikopter przechylił się i zaczął się powoli zniżać, aż wylądował na lądowisku bazy powietrznej Fairchild. Stallings chwycił swoją aktówkę i ruszył do wyjścia, LeAnne podążyła za nim. Przeszli kilkusetmetrowy pas startowy i po rozwijanych schodach wspięli się do ładowni boeinga C-17, który mógł przetransportować pięćdziesięcioro czworo żołnierzy. Jednak teraz wszystkie siedzenia były puste. Tylko dwa fotele ustawiono w pozycji siedzącej. LeAnne i Stallings usiedli. Oprócz nich samolot przewoził sześć zupełnie nowych pojazdów opancerzonych.

Stallings zerknął na nie.

– Osiemset tysięcy dolarów za sztukę – powiedział. – To się nigdy nie skończy.

– Racja – przyznała LeAnne.

Odwrócił się w jej kierunku.

– Nie chciałem pani urazić. Wiem, jak wiele poświęciła pani dla kraju. To był tylko ogólny komentarz dotyczący tego konfliktu.

– Nie poczułam się urażona. Może pan mówić, co tylko chce.

Stallings skinął głową.

– Najbardziej irytuje mnie, że armia straciła kogoś o takiej inteligencji i takich zdolnościach.

LeAnne prychnęła.

Stallings poczerwieniał. Przez chwilę wyglądał niczym zakłopotany wujaszek jakiegoś nastolatka.

– Przepraszam, jeśli niezręcznie zacząłem – powiedział. – Jeśli w ogóle zastanawiała się pani nad tą kwestią, pewnie ma pani świadomość, że moim zadaniem jest rozwikłać zagadkę siedemnastego stycznia, dowiedzieć się, co

dokładnie poszło nie tak w operacji Nocny Pociąg. Wskazać, który z uczestników wydarzeń stał po niewłaściwej stronie.

– Po co zawracać sobie tym głowę, skoro to i tak nigdy się nie skończy?  
– zapytała LeAnne.

– To pytanie do ludzi, którzy stoją w hierarchii wyżej ode mnie – odparł Stallings. – Chodzi o to, że w tej misji zginęło sześciu naszych ludzi, w tym kapitan Cray. Nie zapominajmy też o tym, co przydarzyło się pani. Powinniśmy chyba zrobić wszystko, co w naszej mocy, żeby to się nie powtórzyło?

LeAnne nie odpowiedziała. Wciąż powtarzała w myślach słowa „nie zapominajmy też o tym, co przydarzyło się pani”. Brzmiało to tak, jakby istniała wtedy jakaś możliwość wyboru, jakby wypadki mogły potoczyć się inaczej. Być może, jeśli spojrzeć na to z perspektywy czasu, tak właśnie było. Może wszystko mogło się inaczej – lepiej – ułożyć.

– Przede wszystkim chciałbym, żeby opowiedziała mi pani o tym, jak zachowywała się wasza tłumaczka tej nocy. A właściwie jak zachowywała się w ogóle.

– Katie? Przecież już o tym rozmawialiśmy?

– Ledwie dotknęliśmy tematu. Proszę przypomnieć sobie wszystko, co robiła.

Wszystko? To nie było możliwe. Zresztą nie chciała sobie przypominać niczego.

– Nawiasem mówiąc, zabezpieczyłem na ten cel pewne fundusze. – Stallings wyciągnął kopertę z wewnętrznej kieszeni swojej lotniczej kurtki.

– O czym pan mówi?

– Fundusze na zbieranie informacji. Jest taka pozycja w budżecie, którym dysponuję. Trzy tysiące dolarów. Wszystko dla pani.

– Nie chcę tych pieniędzy.

– Technicznie rzecz biorąc, wciąż służy pani w wojsku. Mógłbym wydać pani rozkaz ich przyjęcia. – Stallings położył kopertę między nimi. –



Zacznijmy od obowiązków tłumaczki. Zgodnie z obowiązującymi zasadami przez cały czas trwania misji powinna towarzyszyć żołnierzom, do których została przydzielona. Biorąc pod uwagę fakt, że nie została nawet drażnięta w trakcie ataku polegającego na zdetonowaniu M67 w małej, zamkniętej przestrzeni, możemy założyć, że zaniedbała swoje obowiązki pod tym względem.

LeAnne intensywnie przeszukiwała swoją pamięć. Przypomniała sobie brytyjski akcent Katie i to, jak Katie używała go, żeby wykpiwać afgańskich mężczyzn. Chwilę później, zupełnie znikąd, powrócił do niej słodko-kwaśny zapach cukierków Jolly Rancher. W jej umyśle pojawiło się wspomnienie z tamtej pamiętnej nocy siedemnastego stycznia: mały chłopiec w zatłoczonym pomieszczeniu mamroczący coś pod nosem. Na początku obraz był niewyraźny, ale potem zobaczyła każdy szczegół. Chłopcu ciekło z nosa, wydawał się bardzo zdenerwowany, ale z uwagi na różnice kulturowe takich rzeczy nigdy nie można być pewnym. Zapytała Katie, co mówi chłopiec. I nie usłyszała odpowiedzi. Rozejrzała się. Katie nie było w pomieszczeniu.

– Nie widzę tego.

– To znaczy?

– Katie uwielbiała naszą kulturę. Uczyła się naszego slangu. Pytała mnie na przykład o takie słowo jak „trepy”.

– Wie pani, że modliła się pięć razy dziennie?

To zabrzmiało znajomo. Ale co z tego?

– Miałam podkomendnych, którzy robili to samo.

– Tak?

– Właściwie to jednego.

– Był dobrym żołnierzem?

– Przeciętnym.

– To i tak jedna z bardziej pokrzepiających rzeczy, jakie ostatnio usłyszałem – oświadczył Stallings. – Wróćmy jednak do Katie i jej

motywów. – Ponownie sięgnął do kieszeni swojej lotniczej kurtki i tym razem wydobyl z niej zdjęcie. W tej fotografii było coś szczególnego. LeAnne albo widziała ją już wcześniej, albo uwieczniony na niej mężczyzna tak przykuł jej uwagę: nosił czapkę z karamulów podobną do czapki prezydenta Karzaia, miał pociągłą twarz, duże, odstające uszy i głęboko osadzone, ciemne oczy o inteligentnym spojrzeniu.

– Kto to?

– Nie widziała go pani wcześniej?

– A widziałam?

– Nie – odpowiedział Stallings. – Zbieram jedynie informacje. Jego nazwisko, prawdziwe nazwisko, choć na początku mieliśmy co do tego wątpliwości, to Gulab Yar-Muhammad. Pracuje dla talibańskiego wywiadu. Jest prawą ręką jego szefa albo kimś w tym rodzaju. Jest również wujkiem Katie.

LeAnne przyjrzała się oczom Gulaba Yara-Muhammada. Nie chciała uczestniczyć w niczym, co te oczy spodziewały się zobaczyć.

– Jak... Jakim cudem do tego doszło?

– Jakim cudem, sprawdzając przeszłość Katie, przeoczono jej powiązania rodzinne?

LeAnne podniosła głos:

– Tak, na miłość boską, właśnie o to pytam.

– Przyglądamy się temu.

– Kto? Pan osobiście?

– Nie, nie zajmuję się tym osobiście. Ale to się oczywiście zmieni, jeśli nasz mały plan wypali. – Stallings zatarł swoje delikatne dłonie, jakby już nie mógł się tego doczekać.

– O jakim planie pan mówi?

– O tym tutaj. – Stallings poklepał swoją aktówkę. – O planie, w którym odegra pani ważną rolę – powiedział, prostując dwa palce. Wszystko, co robił, zaczynało działać jej na nerwy. – Mamy dwa cele. Pierwszy: określić,

czy Katie panią wystawiła, a właściwie, czy wystawiła nas wszystkich. Drugi: dotrzeć przez nią do jej wujka. Nie muszę pani tłumaczyć, jak cenny byłby dla nas ten mężczyzna. Zgadza się pani?

LeAnne wzruszyła ramionami. Niemal natychmiast zapomniała, z czym miała się zgodzić. Oczami wyobraźni zobaczyła sześć dziewczynek stojących nieśmiało przy stanowisku do skoku o tyczce. Nie potrafiła sobie przypomnieć ich imion, nawet jednego. Jedyne imiona, jakie przychodziły jej na myśl, to Mia i B.J.

– Oto na czym stoimy – tłumaczył jej Stallings. – Zatrzymaliśmy Katie. Przebywa teraz w bezpiecznym miejscu w Kabulu. Twierdzi, że nie wiedziała o planach ataku. Twierdzi również, że nie odstępowała pani na krok, że była zdumiona eksplozją i że nie ma żadnych wspomnień związanych z całym tym wydarzeniem. Jak widać, zaprzecza sama sobie, ale nie potrafimy niczego innego z niej wyciągnąć. – Otworzył swoją teczkę i zaczął przerzucać jakieś papiery. LeAnne spodobał się zapach skóry, z której zrobiono aktówkę. Natomiast zapach Stallingsa: cytrusowy dezodorant niezbyt skutecznie maskujący woń potu, nie był przyjemny. Te dwa zapachy wymieszały się, tworząc trudne do opisanego połączenie. Czy podobnie odbierała świat Goody? Uświadomiła sobie, że za nią tęskni. Stallings patrzył na nią wyczekująco, jakby oczekiwał od niej jakiejś odpowiedzi.

– Co? Czego pan chce?

Odchylił się w fotelu. Czyżby powiedziała to zbyt głośno? Trudno jej było to ocenić, zwłaszcza że cztery silniki boeinga zaczęły właśnie zwiększać obroty.

– Chciałem tylko upewnić się, że zdaje sobie pani sprawę, dokąd teraz zmierzamy. Do Kabulu.

LeAnne skinęła głową.

– W porządku – Stallings poklepał walizkę. – Czyli się rozumiemy.

Samolot zaczął kołować po pasie startowym. Szkoda, że nie ma tu

żadnego okna, pomyślała LeAnne. Bardzo chciała wyrzucić na zewnątrz. Miała dziwne przeczucie, że już tu nie wróci.

Tymczasem Stallings rzucał jej spojrzenia z ukosa, znów wchodząc w rolę zakłopotanego wujka.

– Niech pan to z siebie wyrzuci.

Samolot zadygotał i oderwał się od ziemi.

– To może zabrzmieć trochę dziwnie – zastrzegł się Stallings. – Proszę nie brać tego do siebie. Ale nie mogłem nie zauważyć... chyba ująłem to w niewłaściwy sposób... Próbuję właśnie powiedzieć, że ktoś naprawdę postarał się, tworząc dla pani tę protezę. Wygląda tak realistycznie. Mam nadzieję, że pani nie uraziłem.

– Ale właściwie czego mam nie brać do siebie?

– No właśnie. Jako cywil nie pozwoliłbym sobie na coś takiego, ale tutaj chodzi o naszą misję.

– Ale o czym pan mówi?

– Tę protezę oka da się wyjąć?

– Co? Tak, oczywiście, można ją wyjąć.

– Bez problemu można ją wyciągnąć i włożyć z powrotem?

LeAnne wzruszyła ramionami.

– Tak myślę. Dlaczego pan o to pyta?

Stallings znowu zatarł ręce.

– Czy wie pani, że Katie bardzo panią podziwiała? Albo przynajmniej tak twierdzi.

– Całkiem dobrze się dogadywałyśmy.

– Dla niej jest pani wzorem... jakby to ująć? ... kobiecości w wydaniu amerykańskim. Coś w tym stylu. Zrobiła pani na niej ogromne wrażenie. Pewnie dlatego poczuła tak ogromną ulgę, kiedy powiedzieliśmy jej, że nie odniosła pani żadnych poważnych ran w ataku.

LeAnne chciała wstać, ale zapomniała o pasie bezpieczeństwa, który przytrzymał ją na siedzeniu.

– Co pan powiedział?

– Zgodnie z wersją, którą jej podaliśmy, miała pani wstrząs mózgu i przez pewien czas obawialiśmy się o stan pani zdrowia, ale amerykańscy lekarze zdołali uratować pani oko, które zachowało wszystkie swoje funkcje, i nie pozostały pani żadne blizny.

LeAnne próbowała odpiąć klamrę pasa, ale jej palce nie potrafiły tego zrobić.

– Kiedy jej to powiedzieliśmy, upadła na kolana i dziękowała Allahowi, że nic się pani stało – ciągnął Stallings. – Właśnie dlatego uważamy, że pani niezapowiedziana wizyta może sprowokować ją do wyjawienia prawdy. To będzie dla niej prawdziwy szok, kiedy panią zobaczy.

LeAnne wydawało się, że jej własny głos dochodzi do niej z bardzo daleka:

– I chce pan, żebym najpierw wyjęła oko?

– Dziękuję, że sama to pani powiedziała. Zdaję sobie sprawę, że to naprawdę dziwna prośba.

LeAnne poczuła, jak jej twarz oblewa się rumieńcem, przynajmniej ta strona, której nie pokrywały blizny, jakby była czymś głęboko zawstydzona. Ale czy to nie Stallings powinien się teraz czerwienić? Tymczasem wyglądał jak zwykły pracownik biurowy w zwyczajny roboczy dzień. Na szczęście udało jej się odpiąć klamrę. Odrzuciła pas i natychmiast wstała.

– Przepraszam, być może mogłem przekazać to pani w bardziej delikatny sposób.

LeAnne nawet na niego nie spojrzała. Pomaszerowała na tył samolotu i usiadła w ostatnim rzędzie, za pojazdami opancerzonymi. Skrzyżowała ręce na klatce piersiowej i zastygła w tej pozycji. W środku targała nią burza uczuć, której nie pojmowała.

\* \* \*

– To nielegalne? – zapytała LeAnne.

– Nie według prawa – odparła Katie. – Ale według tradycji to rzecz zakazana. A tradycja to coś silniejszego niż prawo, o czym ludzie w Stanach pewnie nie mają pojęcia.

– Faktycznie nie wiedziałam.

– Phi – prychnęła Katie. – Prawo można zmienić. Na tym polega różnica.

– Aha – przytaknęła jej LeAnne. – Włóż nogawki spodni do skarpetek.

– Po co miałabym robić coś takiego?

– Żeby nie wkręciły się w łańcuch i żebyś nie pieprznęła tyłkiem o ziemię.

– Pieprznęła tyłkiem? Nie rozumiem.

– Ależ rozumiesz.

– Ale dlaczego: pieprznęła?

– Tak się mówi.

– To wulgarne – powiedziała Katie.

Upchnęła do skarpetek brzegi nogawek swoich czarnych, luźnych spodni – spodni dobrze skrojonych i zrobionych z kosztownie wyglądającej tkaniny. Zgodnie z poleceniem LeAnne miała też na sobie adidas. LeAnne po raz pierwszy widziała ją w innych butach niż szpilki czy eleganckie botki. Adidasy – białe z białą podeszwą – wyglądały, jakby Katie dopiero co wyciągnęła je z pudełka.

– Chwyć kierownicę – instruowała ją LeAnne, przytrzymując rower. – Przerzuć nogę przez ramę. Usiądź.

– Nie jest mi wygodnie.

– Stopy na pedały. Nie w ten sposób.

– Przecież trzymam stopy na pedałach.

– Przednią część stopy.

– Przednią część stopy. Masz dyktatorskie zapędy, zdajesz sobie z tego sprawę? Przypominasz mi...

– Kogo?

Katie pokręciła tylko głową.

– Nie krępuj się – zachęciła ją LeAnne. – Kiedy ktoś mnie obraża, chcę usłyszeć wszystko, co ma do powiedzenia.

– Przypominasz mi członka pewnej rodziny.

– Twojej rodziny?

– Nikt nie ma idealnej rodziny – stwierdziła Katie. – Teraz mnie popchniesz?

LeAnne popchnęła swoją uczennicę. Rower, którym starała się kierować Katie, chybotliwie potoczył się przed siebie.

– Szybciej! Pedałuj szybciej!

Katie zaczęła pedałowac szybciej i zyskala pełną kontrolę nad rowerem. Przejechała całe osiedle po drodze z ubitej ziemi aż do ściany zwieńczonej drutem kolczastym. Zawróciła niepewnie i popedałowała z powrotem, rozwijając stanowczo zbyt dużą prędkość.

– Jadę! Jadę!

\* \* \*

Ucichł warkot silników. Cisza, która zapadła, była przytłumiona i miękka niczym kłaczki bawełny. Wszelkie wibracje ustały, ale LeAnne miała wrażenie, że samolot wciąż ślizga się wśród przestworzy.

– Przepraszam, że panią budzę.

LeAnne spojrzała w górę. Stallings stał przed nią z pokrowcem na ubranie przewieszonym przez ramię i turystyczną lodówką w drugiej ręce.

– Czego pan chce?

– Coś pani przyniosłem. – Wyciągnął przed siebie pokrowiec.

LeAnne nawet się nie poruszyła, więc położył go na fotelu obok niej, a lodówkę postawił na podłodze.

– Gdzie jesteśmy?

– W Lajes. Postój techniczny. Za piętnaście minut wylot. Potrzebuje pani czegoś? A może ma pani jakieś pytania?

– Tak, mam pytanie. Czy pułkownik Bright wie o tym wszystkim?

– Ma pani na myśli naszą misję?

– A cóż innego?

– Nie miałem przyjemności poznać pułkownik Bright, chociaż, oczywiście, słyszałem o niej. Natomiast krótka odpowiedź na pani pytanie brzmi: nie. Nie dzielimy się naszymi informacjami.

– I jakie są tego rezultaty?

– Zrozumiałem aluzję.

Stallings wrócił do przedniej części samolotu. LeAnne zauważyła otwarte drzwi tuż za prawym skrzydłem. Podniosła się z fotela, podeszła do nich i stanęła w świetle księżyca. W oddali zobaczyła sylwetki górskich szczytów. I usłyszała muzykę.

\* \* \*

LeAnne zazwyczaj przesypiała okresy bezczynności tuż przed misją, ale teraz sen nie przychodził. Gdzieś nad Morzem Śródziemnym wzięła do ręki pokrowiec i otworzyła go. W środku znajdował się nowy mundur polowy z naszywką „Hogan” po prawej stronie. LeAnne rozebrała się, włożyła mundur i obejrzała się w lustrze. Chwilę później zdjęła go, starannie powiesiła na wieszaku i schowała w pokrowcu. Kiedy wysiadła z samolotu na Międzynarodowym Lotnisku w Kabulu, miała na sobie to, w co była ubrana, gdy do niego wsiadała: džinsy, T-shirt, cienką kurtkę i czerwone adidas Marci. Pół świata dzieliło ją od miejsca, w którym powinna teraz być. LeAnne wyprostowała się i ruszyła za Stallingsem zmierzającym w kierunku dżipa czekającego na pasie startowym.

Jego kierowca wyskoczył z kabiny i ruszył ku nim biegiem. Był to kapral Crannack; w ogóle się nie zmienił. Uśmiechał się, z każdym krokiem coraz szerzej. Zupełnie zignorował Stallingsa, stanął przed LeAnne i jej zasalutował.

– Witamy z powrotem, pani sierżant. Cholernie dobrze panią widzieć.

– Cześć, Luke – powiedziała, a potem umilkła. Nagle, po raz pierwszy



od bardzo dawna, bez trudu znalazła właściwe słowa. – Ciebie też dobrze widzieć.

Wysunęła dłoń zaciśniętą w pięść, żeby przybić żółwika z Crannackiem, ale on chwycił ją w ramiona i wyściskał, podrywając z ziemi. Klepał ją po plecach tak mocno, że aż sprawiło jej to ból, ale chciała, żeby nigdy nie przestawał. Była w domu.

LeAnne знаła podobny wystrój wewnątrz z filmów i seriali, ale wcześniej nie dostrzegала, jak skutecznie potrafi on budować nastrój grozy. Razem ze Stallingsem siedziała w słabo oświetlonym pomieszczeniu, przy biurku ustawionym przed weneckim lustrem. Na blacie przed każdym z nich leżały długopis i notes. Za weneckim lustrem znajdowało się kolejne pomieszczenie, lepiej oświetlone, gdzie troje ludzi siedziało przy stole. Z jednej strony stołu, tyłem do lustra, siedzieli wysoki mężczyzna i wysoka kobieta, zaś naprzeciwko nich, obrócona twarzą do lustra, siedziała Katie.

Nie wyglądała dobrze. Chyba schudła, a przecież zawsze była bardzo szczupła. Cienie pod jej oczami miały kolor siniaków. To właśnie oczy – dwa niemal czarne jeziora – dominowały teraz w jej twarzy. Jednak to brwi Katie najbardziej przykuły uwagę LeAnne. Tłumaczka zawsze bardzo o nie dbała. Wręcz obsesyjnie. Teraz były zaniedbane, grube i krzaczaste. Zrosły się nawet, przez co Katie zupełnie nie przypominała samej siebie.

Z głośnika umieszczonego gdzieś poza zasięgiem ich wzroku wydobył się dźwięk.

– Może spróbuje pani odświeżyć sobie nieco pamięć? – zapytała kobieta.

LeAnne pamiętała, że wyrażenie „odświeżyć pamięć” zaintrygowało kiedyś Katie, ale teraz tłumaczka nie okazała cienia zainteresowania tą frazą. Jej powieki opadły na chwilę, jakby miała je zamknąć.

LeAnne napisała w notesie: „Możemy rozmawiać?”, i pokazała kartkę Stallingsowi.

Odpisał jej w swoim notesie: „B. cicho”.

Dlaczego nie powiedział tego na głos? To miał być jakiś żarcik? Czy Stallings sobie teraz dowcipkował? Obróciła się, żeby na niego spojrzeć, ale to on pierwszy wybrał sobie krzesło i siedział teraz po jej prawej stronie, nie

miała więc dobrego widoku na jego twarz.

– Nafaszerowali ją czymś? – zapytała cicho.

– Nikt jej nie maltretował. Wszystko zgodnie z regulaminem – Stallings odpowiedział jeszcze ciszej.

– Ta rozmowa nie ma sensu. Tracimy tylko czas – stwierdził mężczyzna.

– Katie? – zagadnęła ją kobieta. – Nic nie powiesz?

Cisza. Czy Katie właśnie intensywnie nad czymś myślała? LeAnne nie umiała odpowiedzieć na to pytanie. Tłumaczka zastygła w jednej pozycji. Cały pokój przesłuchań tonął w bezruchu. Od czasu do czasu migąło tylko światło w oczach Katie.

– Ale nie pozwalają jej spać – dopowiedział Stallings, znowu bardzo cicho.

To rozzłościło LeAnne. Ale dlaczego? Jeśli Katie zrobiła to, o co podejrzewał ją Stallings i inni wojskowi, czyli w dosłownym sensie zrujnowała jej życie, powinna być na nią wściekła, powinna jej nienawidzić. Ale nie potrafiła. Co było z nią, do cholery, nie tak?

– Katie? – powiedziała kobieta. – Odpowiesz? Staram się być dla ciebie miła.

Katie ledwie zauważalnie skinęła głową.

– Co chcecie wiedzieć?

– Chcemy wiedzieć, ty głupia kłamliwa dziwko, co dokładnie zrobiłaś siedemnastego stycznia i kto kazał ci to zrobić – powiedział mężczyzna.

Głowa LeAnne odskoczyła, tak jakby mężczyzna za szybą uderzył ją w twarz. Tłumaczka nawet nie drgnęła. Katie nie przepadała za wulgaryzmami, chyba że ktoś używał ich bardzo oszczędnie i z finezją. Gdyby nie była wyczerpana brakiem snu, nawet w sytuacji takiej jak ta dałaby jasno do zrozumienia swoim rozmówcom, co o tym myśli. W tej chwili LeAnne wiedziała już wszystko. Jej gniew odszukał właściwą drogę ujścia.

– Mówiłam wam to już tyle razy – odezwała się Katie. – Nic nie

wiedziała o ataku.

– W takim razie jak, do diabła...

Kobieta uciszyła mężczyznę, podnosząc dłoń; być może mężczyzna umilkł o sekundę za wcześnie. Mimo to LeAnne musiała przyznać, że oboje dobrze przygotowali się do odegrania swoich ról.

– Musimy zrozumieć, dlaczego, chociaż miałaś nie odstępować sierżant Hogan na krok, ona została ranna, a ty nie masz nawet zadrapania – powiedziała kobieta.

– Ale przecież nie została poważnie ranna – odpowiedziała Katie.

– Słucham?

– Z tego, co wiem, LeAnne, to znaczy sierżant Hogan, nie odniosła ciężkich obrażeń.

– Do czego zmierzasz? – zapytał mężczyzna.

– Przecież to prawdziwa informacja...? – dopytywała się Katie. – Ta o jej obrażeniach?

– I co z tego? – rzucił mężczyzna.

– A co to za różnica? Nie widzimy tu żadnego związku – powiedziała kobieta.

Po raz pierwszy Katie wyglądała na poruszoną.

– Przecież to oczywiste. Jeśli nie została poważnie ranna, to przecież znaczy, że stała w pewnej odległości od wybuchającego granatu. Ja byłem przy niej, ale po drugiej stronie, jeszcze trochę dalej. To właśnie dlatego.

– Co właśnie dlatego? – zapytała kobieta. – Nie rozumiem.

– Dlatego nie odniosłam żadnych obrażeń.

– Tak brzmi twoje wytłumaczenie?

Katie skinęła głową.

– Kompletne bzdury – podsumował mężczyzna.

Katie nie zareagowała.

– To taka mieszanka – wtrąciła kobieta. – Mnóstwo bzdur i trochę prawdy. Jakie wrażenie wywarła na tobie sierżant Hogan?

– Jakie wrażenie?

– Co o niej myślałaś?

Katie zamyśliła się. Minęła chyba cała minuta, zanim powiedziała:

– Sierżant Hogan była dla mnie wzorem.

– To dlaczego naraziłaś ją na niebezpieczeństwo? – zapytała kobieta.

– Nie zrobiłam tego. Już wam to mówiłam.

– Kiedy wreszcie do ciebie dotrze, że nie kupujemy tej bajeczki? –

Kobieta i jej kolega wstali. – Wymyśl coś nowego – rzuciła na odchodnym kobieta.

Przesłuchujący ruszyli w stronę drzwi. Mężczyzna już miał sięgnąć za klamkę, kiedy nagle odwrócił się.

– Nawet nie myśl o tym, żeby położyć głowę na stole. Jeśli tu wrócę i zobaczę, że śpisz, przyjebię ci tak, że twoja głowa nie utrzyma się na tej pierdolonej chudej szyjce.

Wyszli. Zamknęli za sobą drzwi. Katie wzięła głęboki wdech. Pochyliła się, położyła łokcie na stole i podparła głowę dłońmi. Zamknęła powieki i zaczęła coraz bardziej nachylać się nad blatem. Drzwi otworzyły się gwałtownie. Do środka wkroczył mężczyzna przesłuchujący Katie, chwycił ją za włosy i usadził prosto na krześle. Nie wydała z siebie nawet dźwięku. Po prostu siedziała bez ruchu z otwartymi oczami i potarganymi włosami.

– Dobra – rzekł Stallings.

LeAnne podążyła za nim przez ciemny korytarz o ścianach z żużlobetonowych pustaków. Przeszli obok małego biura, gdzie mężczyzna i kobieta, których widzieli wcześniej, siedzieli z nosami w telefonach – kobieta popijała kawę, a mężczyzna wolną ręką grzebał w torebce chipsów – i podeszli do zamkniętych drzwi. Stallings pchnął je i ich oczom ukazała się mała łazienka.

– Dopilnowałem, żeby starannie tu posprzątało – powiedział Stallings. – Może się tutaj pani przygotować.

– Przygotować?

– Zrobić z okiem to, co trzeba.

LeAnne weszła do łazienki. Tak, chyba najczystszej łazienki w tym kraju. Lustro lśniło. Czy to nie w jakiejś bajce czytała kiedyś o takim lustrze? Próbowała sobie przypomnieć. „Chryste, pomóż mi”.

Umyła ręce dopiero co wyjętą z opakowania kostką mydła o kwiatowym zapachu. Osuszyła dłonie białym puszystym ręcznikiem z wyhaftowaną literą W. Pochyliła się w stronę lustra i wyjęła protezę. Dawno już nie oglądała wnętrza swojego oczodołu i musiała bardzo się postarać, żeby stłumić w sobie szok, obrzydzenie, odrazę... wszelkie uczucia. Owinęła sztuczne oko – piękny przedmiot, jak sobie pomyślała po raz kolejny – w chusteczkę, którą wyciągnęła z pudełka leżącego obok umywalki, i wyszła na korytarz. Stallings zerknął na nią i skinął głową. Ruszyli korytarzem, pokonali zakręt i doszli do zamkniętych drzwi. Stallings ponownie skinął głową. LeAnne otworzyła drzwi i weszła do środka.

Znajdowała się w pokoju przesłuchań. Katie siedziała przy stole, plecami do LeAnne, twarzą do powieszonego na przeciwległej ścianie lustra, które można by wziąć za zupełnie zwykłe lustro. Czy Katie usłyszała ją i pomyślała, że śledczy wrócili? A może nie zauważyła, że ktoś wszedł do pokoju? W adidasach Marci LeAnne poruszała się bezszelestnie. Te buty były wręcz stworzone do skradania się. LeAnne poczuła zapach Katie – zapach kogoś, kto się boi i kto dawno nie miał okazji wziąć prysznic. Okrążyła stół i weszła w pole widzenia Katie.

Jak bardzo może wstrząsnąć kimś czyjś widok? Twarz Katie wyglądała, jakby za chwilę miała się rozpaść; jakby uwiecznił ją na obrazie jakiś nienawistny portrecista. Krew napłynęła do jej policzków, odpłynęła i napłynęła z powrotem. Katie ściągnęła swoje krzaczaste brwi, które utworzyły dziwną powykręcaną kreskę, i podniosła ręce; jej zakrzywione palce przypominały szpony drapieżnego ptaka. Otworzyła usta tak szeroko, że LeAnne po raz pierwszy zauważyła braki w jej uzębieniu, i zaczęła krzyczeć. Na początku jej krzyk nie był zbyt głośny, potem przeszedł

w niepowstrzymane zawrodozenie. Katie, drząc, wstała z krzesła, podeszła do LeAnne i upadła na kolana.

LeAnne poczuła, jak kamienieje w środku.

Katie spojrzała w górę, łzy zalewały jej twarz.

– Błagam, wybacz mi.

– Dlaczego miałabym ci wybaczyć?

– Och, LeAnne, wolałabym zranić siebie niż ciebie. Zdradziłam mu jedynie twoją metodę. Nic więcej. Tylko to jedno!

– Nie rozumiem.

– Powiedziałam mu o butach. O trebach. Nic więcej. Przysięgam! Żadnego innego szczegółu. Obiecał mi, że nic ci się nie stanie. Zupełnie nic!

LeAnne spojrzała w dół na Katie, dając jej okazję do uważnego przyjrzenia się „niczemu”.

– Zabiłby mnie. Zabijanie przychodziło mu z taką łatwością – załkała Katie.

– Kto?

– Nie mogłam wam o nim powiedzieć, kiedy starałam się o pracę. Nigdy byście mnie nie zatrudnili. A ja tak potrzebowałam tej posady. I wizy.

– Kto?

– Mój wujek. Gulab Yar-Muhammad. – Spojrzała na LeAnne i stłumiła szloch. – Czy to boli? Mam nadzieję, że nie, będę modlić się o to każdego dnia przez resztę mojego życia.

– A co z Jamiem? Czy twój wujek dał jakieś gwarancje także Jamiemu?

Katie odwróciła wzrok i ucichła.

– Wstawaj – rozkazała LeAnne.

Katie stanęła przed nią – niska, drobna kobieta z twarzą mokrą od łez i smarków. LeAnne wiedziała, że mogłaby ją zabić gołymi rękami, tu i teraz. Miała wystarczająco dużo siły i wiedziała, jak się do tego zabrać. Nie próbowano by też jej powstrzymać, nawet pomimo tego, że nikt nie przewidywał takiego rozwoju wydarzeń.

Katie powoli i nieśmiało wyciągnęła dłoń i dotknęła ręki LeAnne. Przysunęła się bliżej i położyła głowę na jej ramieniu. A LeAnne po prostu stała. Nagle, bez żadnego szczególnego powodu, pomyślała o Goody. Objęła rękami plecy Katie, nie uściskała jej, nie przytuliła jej mocno. I tak zrobiła więcej, niż sama się po sobie spodziewała.

Drzwi otwały się i do pokoju wszedł Stallings.

– Dziękuję, pani sierżant – powiedział.

\* \* \*

– Czuję się tak, jakbym wziął udział w wymianie ognia – powiedział kapral Crannack. On i LeAnne siedzieli teraz w biurze, w którym wcześniej odpoczywali śledczy. – A przecież nawet nie uczestniczyłem w tym przesłuchaniu.

LeAnne miała zupełnie inne wrażenia. Po wymianie ognia, jeśli nikt z jednostki nie został ranny, przychodziła euforia, która dopiero po chwili ustępowała wyczerpaniu i odrętwieniu. A ona nie poczuła ani ekscytacji, ani radości. Po jakiejś minucie ciszy kapral Crannack zaczął się niespokojnie wiercić na krześle. Podszedł w końcu do lodówki i wyjął z niej dwie puszki piwa. Otworzył obie, po czym podał jedną LeAnne.

– Dziękuję, nie chcę – powiedziała LeAnne, ale wzięła do ręki puszkę. Po chwili upiła z niej łyk, potem kolejny. – Znasz się na psach?

– Od dziecka zawsze miałem jakiegoś psa. Nie wiedziałem, że jest pani miłośniczką psów. – Stuknął swoją puszką w jej puszkę.

– Nie jestem. A przynajmniej nie byłam. Ale tak jakoś wyszło, że mam teraz psa.

– Jakiej rasy?

Chyba Dot wspominała kiedyś coś na ten temat. Niestety, LeAnne nie pamiętała szczegółów.

– To mieszaniec. Jest duża. I ma ogromny łeb.

– Super. Jak się wabi?



– Goody. Ale to nie ja nadałam jej to imię.  
– Tak? Miałem kiedyś pitbula, którego nazwałem Baddie.  
– Serio?  
– Baddie jako skrót od Badass. Skurczybyk nie brał jeńców. Kiedyś nawet pogonił niedźwiedzia.  
– Jakiego niedźwiedzia?  
– Na klatce wisiała tabliczka, ale nie pamiętam. Pamiętam tylko, że było z tego misia wielkie bydlę.  
– Niedźwiedź siedział w klatce?  
– W całkiem ładnej klateczce. W zoo.  
– I Baddie przestraszył niedźwiedzia siedzącego w klatce?  
– Szkoda, że pani tego nie widziała. W klatce czy nie w klatce, żadna różnica.

LeAnne roześmiała się. Znowu stuknęli się puszkami.

– A może... – zaczął Crannack, ale nie dokończył, bo do biura wkroczył Stallings.

Kapral wstał i zaszalutował.

– Spocznij – powiedział Stallings.  
– Ma pan ochotę na coś zimnego?  
– Może później. – Stallings obrócił się w kierunku LeAnne. – Mamy umowę. Wyda nam swojego wujka. W zamian dostanie wizę. Nie ma pani nic przeciwko temu?  
– Jaką miała inną możliwość?  
– Albo to, albo trafiłaby w ręce afgańskich władz.  
– To nie musiała się długo zastanawiać – wtrącił kapral Crannack. – Crannackowie też nigdy się długo nie zastanawiają. To u nas rodzinne.

Stallings zamrugał skonsternowany, jakby usłyszał wypowiedź w obcym języku.

– Pani sierżant?

– W porządku. Nie mam nic przeciwko temu.

– A więc załatwione. Kapralu, odwiezcie sierżant Hogan na lotnisko. Samolot odlatuje... – Stallings zerknął na zegarek. – ...za godzinę i trzydzieści trzy minuty.

– Tak jest, panie kapitanie.

Stallings wyszedł. Crannack osuszył puszkę piwa.

– Pani sierżant?

– Tak, Luke?

– Ma pani teraz nowe oko, prawda?

– Tak.

– Ono działa?

– Luke, zastanów się, co ty pierzysz?

– Mówię tylko, że dobrze wygląda. Więc chyba można w sumie powiedzieć, że działa? – powiedział, unosząc pustą puszkę tak, jakby chciał wznieść nią toast.

\* \* \*

LeAnne podążyła za Crannackiem przez kilka kondygnacji betonowych schodów; towarzyszył im wciąż nasilający się zapach moczu. Wreszcie wyszli na zewnątrz. Przed budynkiem czekał na nich zakurzony dżip, kierowca siedział już za kółkiem. Piętnaście metrów dalej stał pojazd opancerzony, niemal całkowicie blokując przejazd. Nagle otworzyły się inne drzwi w tym samym kompleksie niezbyt wysokich podniszczonych budynków. LeAnne zobaczyła Katie w białym szalu owiniętym wokół głowy i dwóch żołnierzy – jednego przed nią i jednego za nią. Obaj wyglądali przy niej na olbrzymów. LeAnne znieruchomiała z jedną stopą na wąskim stopniu samochodu, chcąc zobaczyć, czy Katie spojrzy w jej stronę. Katie zaczęła się obracać w jej kierunku, ale w tym samym momencie LeAnne usłyszała, że gdzieś u góry rozległ się cichy trzask, i zobaczyła małą czerwoną kropkę na czole Katie. Katie osunęła się w ramiona idącego za nią żołnierza. Jej biały szalik błyskawicznie nasiąknął krwią.

LeAnne widziała tę rozlewającą się po szaliku czerwień zaledwie przez ułamek sekundy, bo Crannack wepchnął Katie na tylne siedzenie dżipa i zasłonił własnym ciałem, jakby była zwykłym cywilem. Potem docierały do niej jedynie dźwięki: krzyki, tupot nóg, polecenia dotyczące przysłania posiłków, odgłosy ładowania broni, hurkot śmigieł tnących powietrze – ale nie usłyszała już kolejnego strzału. Ani z góry, ani z dołu. Snajper uciekł. Czują, jak serce Luke'a łomocze gwałtownie, by po chwili odzyskać swój miarowy rytm.

Ktoś wspominał o pragnieniu cofnięcia pewnych decyzji. Ale kto? LeAnne przypomniawszy to sobie w środku nocy osiem kilometrów nad oceanem. Marci. „Chciałabym cofnąć tamtą decyzję. Tyle tylko ci powiem”. Och, gdyby to tylko było możliwe, LeAnne też zmieniłaby wiele w swoim życiu. Co mogła zrobić inaczej? Wypróbowywała w myślach różne nowe strategie postępowania, ale wszystkie te wyobrażone ścieżki jej życia wiodły donikąd. Czy byłaby lepszą osobą, gdyby zakładała, że każdy, z kim ma do czynienia, może dostać kulkę w głowę jeszcze tego samego dnia? Pogubiła się kompletnie w labiryncie swojego umysłu. Nagle przypomniawszy sobie kilka imion. Znalazła długopis, ale nie miała papieru, więc zapisała je na dłoni, żeby ich znowu nie zapomnieć: Wrashmin, Durkhani, Hila, Muska, Laila (×2).

\* \* \*

Harvey czekał na nią w hali przylotów lotniska Seattle-Tacoma. Ściął włosy, może trochę zbyt krótko, ale w tej fryzurze wyglądał młodziej.

– Witamy z powrotem – powiedział i wyciągnął ręce po jej torbę. LeAnne nie pozwoliła mu jej wziąć. Nie była już żołnierzem, nie mogła nic na to poradzić, ale mogła przynajmniej nosić swój własny bagaż. – Jak poszło? – zapytał.

– Nie wiem, co ci powiedzieć.

– Nie ma pośpiechu – pochylił się i trochę niezgrabnie pocałował ją w usta.

To miał być szybki całus, ale ku zdziwieniu LeAnne przerodził się w namiętny pocałunek. Przytulili się mocno. Czowała jego ciało w swoich

ramionach, w porównaniu z twardą muskulaturą Jamiego czy Luke'a wydawało się miękkie, ale i tak go pragnęła, pomimo – a może właśnie z powodu – tej miękkości. Nieważne. Klamka zapadła. Położyła dłonie na klatce piersiowej Harveya i lekko go odepchnęła.

– Śmierdę.

– Dla mnie nie śmierdzisz.

– Nie bądź taką siostrą miłosierdzia, Harvey.

– Dlaczego nie?

Przyciągnęła go z powrotem i pocałowała, tym razem lekko muskając jego wargi swoimi. Ruszyli w stronę kilkupoziomowego parkingu, weszli do windy, wysiedli na odpowiednim piętrze i zaczęli rozglądać się za pikapem Harveya. Stał na samym końcu. W oknie po stronie pasażera nagle pojawił się wielki łeb. Natychmiast rozległo się szczekanie, a także drapanie, skrobanie i głuche łomoty. Harvey podbiegł do samochodu i otworzył drzwi. Goody wyskoczyła jak z procy, wielkimi susami popędziła w kierunku LeAnne, stanęła na tylnych łapach, przednie kładąc na ramionach LeAnne, i zaczęła gorączkowo lizać ją po twarzy.

– Cześć, maleńka. Spokojnie – powiedziała LeAnne. – No, już chyba wystarczy – dodała po chwili, ale reakcja psa ją rozczuliła.

Goody w końcu oderwała się od niej, przebiegła wzdłuż cały parking, pędem wróciła do LeAnne i znowu zaczęła się z nią witać.

Pięć minut później byli już w drodze do Bellville. Goody spała na tylnym siedzeniu, przytrzymując przednimi łapami swojego pluszaka.

– Nie zapytałaś mnie, co z Mią.

– Pomyślałam, że gdybyś miał jakieś wieści, sam byś mi powiedział.

– Przepraszam. Chciałem się z tobą najpierw przywitać.

– Więc są jakieś wieści? Coś już wiadomo?

Nagle LeAnne poczuła, że nie może oddychać, tak jakby sama śmierć chwyciła ją za gardło.

– Znaleziono Mię.

– Żywą?

– O tak. Nic jej się nie stało.

– Dzięki Bogu. – Więc to była ta zmiana, ta cofnięta decyzja, ten unieważniony wyrok losu. Wzięła głęboki oddech. Czuła się jednocześnie lekka i silna, tak jak w czasach sprzed wyjazdu do Afganistanu. – Co się stało?

– Max ją znalazł. Doszedł do wniosku, że ścieżka rowerowa znajduje się zbyt daleko od domu Coreen: cztery i pół kilometra w linii prostej, i że żadna ośmiolatka nie zdołałaby tam dotrzeć o własnych siłach i to w nocy. Przeszukał więc teren w promieniu kilometra od domu Coreen. Znalazł Mię w domku letniskowym należącym do pewnego starszego małżeństwa spędzającego zimę na Hawajach.

– Ale... – wykrztusiła LeAnne, na powrót czując się jak uszkodzona wersja samej siebie. Miała kilka takich „ale” i próbowała jakoś uporządkować swoje wątpliwości.

– Chcesz wiedzieć, co jadła? – domyślił się Harvey.

– Tak.

– Okazało się, że starsi państwo trzymali tam trochę rzeczy. Mieli tam butelkowaną wodę i różne przekąski: krakersy, chipsy, masło orzechowe.

– A... a co z opaską?

– Nie wiadomo. Mia twierdzi, że poszła spać z opaską na rękę, ale nie pamięta, co dokładnie robiła, kiedy wyszła z domu przez okno. Szeryf uważa, że błąkała się przez jakiś czas po okolicy, zgubiła opaskę i jakieś zwierzę zawlokło ten skrawek materiału w pobliże ścieżki rowerowej.

– Na litość boską.

– Albo że McCutcheon się pomylił i że to wcale nie była opaska z pogrzebu Marci. Najważniejsze, że Mia jest cała i zdrowa.

– A komandos pukający do okna? Tajna misja Marci?

– Teraz Mia mówi, że to musiał być jeden z jej koszmarów. I faktycznie brzmi to jak opis snu, a nie prawdziwego wydarzenia.

– Jaki miała plan? Co robiła w tym domku?

Harvey pokręcił głową.

– Głównie spała. Biedny dzieciak.

– Jak długo to trwało?

– Siedziała tam od pogrzebu.

– Ile to było dni, Harvey? – LeAnne podniosła głos.

Zerknął na nią.

– Osiem.

Tylko tyle? LeAnne wyjrzała przez okno. Padał deszcz, niezbyt rześisty. Goody cicho pochrapywała. Przytulnie było w tym pikapie Harveya.

– Jest teraz w szpitalu?

– Przebadali ją od razu, była w dobrym stanie, więc wypuścili ją do domu.

– Jest teraz z Coreen?

– Tak – potwierdził Harvey. – Ale nie tylko z nią – dodał po chwili.

– Nie rozumiem.

– Jak na razie jest też z nią Max.

LeAnne wyprostowała się w fotelu. Z tylnego siedzenia dobiegło ją jakieś szuranie. Goody także się podniosła.

– Ale dlaczego? – zdziwiła się LeAnne.

– Tego chciała Mia. – Harvey odchrząknął. – Pojawił się też temat współdzielonej opieki. Mia podczas roku szkolnego miałaby mieszkać w Seattle, a wakacje spędzać z Coreen. – Znowu na nią spojrzał. Czyżby spodziewał się jakiejś gwałtownej reakcji?

Pikap połykał kolejne kilometry, a LeAnne zastanawiała się nad swoim życiem. Jaki był wynik tego bilansu? Trzy misje. Dwie z nich – operacja Nocny Pociąg i przesłuchanie Katie – zakończyły się całkowitą porażką. Misja numer trzy była jej ostatnią szansą, żeby wszystko wyprostować. „Co z nią będzie, jeśli coś mi się stanie?”

– Chcę zobaczyć ten domek – powiedziała LeAnne.

Harvey westchnął.

– Myślisz, że to dobry pomysł? Mia miewa się dobrze i tak naprawdę tylko to się liczy. A Max to, jak by nie patrzeć, jej ojciec.

– Jak by nie patrzeć? Idiotyczne wyrażenie – prychnęła LeAnne. – Po prostu podrzuć mnie do Cienistego Zagajnika.

Deszcz się nasilił. Samochodowe wycieraczki pracowały z pełną mocą.

– Zawiozę cię do tego domku.

\* \* \*

Harvey wjechał w ślepy zaułek, na którego końcu znajdowała się winnica. Winorośl właśnie zakwitła i wyglądała, jakby obsypał ją śnieg. Do ostatniego domu na tej uliczce prowadził długi podjazd. Harvey zaparkował samochód naprzeciwko budynku.

– Wrócą dopiero w czerwcu – powiedział.

LeAnne zorientowała się, że mówi o starszym małżeństwie spędzającym zimę na Hawajach. Nie była jedynie pewna, jaki jest teraz miesiąc. Wysiadła z pikapa.

– Goody! Idziemy.

Goody spojrzała na nią, ale się nie ruszyła. Zabawka wciąż leżała między jej łapami.

– Goody? – To było do niej zupełnie niepodobne. – Zachowywała się dziwnie, kiedy mnie nie było?

– No cóż, tak – przyznał Harvey. – Ale ona chyba zawsze dziwnie się zachowuje.

– Goody. Już.

Goody wstała, ziewnęła, wyskoczyła z samochodu i się przeciągnęła.

Harvey poprowadził je w stronę domu. Przeszli przez szeroki i soczyście zielony, ale niezbyt starannie pielęgnowany trawnik do niskiego, pokrytego gontem budynku, który bardziej przypominał podmiejską willę niż zwykły domek letniskowy. LeAnne zajrzała do środka przez okno. Zobaczyła ładnie



urządzony pokój: drewniany parkiet, biurko, głęboki fotel. W kącie pomieszczenia stała mała lodówka i kuchenka.

– Jak dostała się do środka?

– Otworzyła drzwi. Staruszek zapomniał zamknąć je na klucz.

– Skąd masz tę informację?

– Jego żona powiedziała to szeryfowi przez telefon.

Harvey wskazał ręką na winnicę.

– Za tym wzgórzem zaczyna się ulica, na której mieszka Coreen.

LeAnne wciąż miała w pamięci teorię Maxa, o której opowiadał jej Harvey – ośmiolatka błąkająca się sama nocą, przeszukiwanie terenu w promieniu jednego kilometra od domu Coreen i tak dalej, i tak dalej. Uznała, że nie warto się nad nią zastanawiać ani chwili dłużej. Zerknęła w dół, spodziewając się ujrzeć Goody po prawej stronie, ale Goody tym razem dała sobie wolne. Leżała na środku trawnika z wszystkimi czterema łapami w powietrzu.

– Goody! Chodź tutaj!

Goody spacerowym krokiem podeszła do LeAnne, usiadła przy jej nodze, ziewnęła, a potem zaczęła się drapać za uchem.

– To mi wystarczy – powiedziała LeAnne.

\* \* \*

– Co robisz dzisiaj wieczorem? Masz ochotę pójść ze mną na kolację? – zapytał Harvey, kiedy zaparkował pikapa na parkingu przed Cienistym Zagajnikiem.

Zwykle pytanie, które w uszach LeAnne zabrzmiało jak zbłąkany sygnał radiowy z innego, niezwykłego świata.

– Chyba że wolisz nadrobić braki snu? – dodał po dłuższej chwili niezręcznej ciszy.

LeAnne zerknęła na niego i skinęła głową.

– Może innym razem?

Poklepała go po kolanie, na koniec przytrzymując rękę nieco dłużej. Spojrzeli na siebie.

– Jasne – zgodził się Harvey. – Co tylko zechcesz.

LeAnne zarzuciła torbę na ramię i pomaszerowała ścieżką wyłożoną białym tłuczonym kamieniem do domku numer sześć. Kiedy otworzyła drzwi, Goody z pluszowym psem w pysku przemknęła obok niej i rzuciła się na łóżko. Wierciła się przez chwilę, zanim znalazła wygodną pozycję. LeAnne weszła do łazienki. Ściągnęła z siebie ubrania, które nosiła o wiele za długo, odkręciła gorącą wodę i weszła pod prysznic. Zbyt późno przypomniała sobie o zapisanych na dłoni imionach. Sprawdziła: wszystkie litery się rozmazały, tusz razem z wodą ściekał do odpływu.

Weszła do łóżka.

– Przesuń się – powiedziała do psa.

Goody nie posłuchała, a LeAnne nie miała siły, żeby cokolwiek z tym zrobić.

\* \* \*

Czuła dotyk czyichś dłoni. Znajomych dłoni. Usłyszała kobiecy głos:

– Tu jestem, aniołku.

Głos też wydawał jej się znajomy. Na podstawie tych wskazówek odgadła, kto ją odwiedził.

– Powiedziałam im, żeby cię nie wpuszczali.

– Nie martw się. Jestem tu, żeby ci pomóc.

– Pomóc? Jak, do kurwy nędzy, możesz mi pomóc?

Matka pogłaskała ją po dłoni.

– Jak tylko zechcesz. Po prostu powiedz mi, co mogę dla ciebie zrobić.

Czego chciała? Wyłącznie rzeczy, które nie mogły się ziścić, wyłącznie cudów.

– Piernikowe ludziki.

To była jedyna możliwa do spełnienia prośba, jaka przyszła jej do głowy.

LeAnne obudziły odgłosy mlaskania dobiegające z łazienki. W pokoju było zupełnie ciemno. Zerknęła na zegarek. Pierwsza czterdzieści. To znaczy, że spała od... nie pamiętała, o której się położyła. Wiedziała tylko, że było jeszcze wtedy jasno. Wstała, wyciągnęła kilka rzeczy ze swojej torby i ubrała się. Goody już czekała przy drzwiach. Chwilę później siedziała wyprostowana na fotelu pasażera, czujna i skupiona.

Blady półksiężyc wisiał nisko na niebie. LeAnne nie lubiła, kiedy podczas misji towarzyszył im księżyc, ale ten cienki srebrny sierp jej nie przeszkadzał. Jego światło odbijało się od kałuż wody porozrzucanych po całym bagnie rozpościerającym się na lewo od dawnego leśnego traktu, którym teraz jechała. Wyglądało to tak, jakby cały ten grząski teren usiany był małymi półksiężycami. Pochyliła się do przodu i wypatrywała pękatego, zgniłego pieńka po górzystej stronie drogi. Jej mózg kiepsko sobie teraz radził z percepcją głębi. Nagle Goody napięła mięśnie i agresywnie wysunęła łeb. Kilka sekund później reflektory samochodu wydobyły z mroku zgniły pieńek. LeAnne zjechała na pobocze i zgasła silnik.

Wyjęła latarkę ze schowka i razem z Goody wysiadła z samochodu.

– Żadnego szczekania, żadnego hałasowania i żadnych numerów – napomniała psa.

Włączyła latarkę. Minęły pieńek i zaczęły się wspinać na strome, gęsto porośnięte krzakami zbocze. LeAnne sprawiało trudność poruszanie się po tym terenie nawet za dnia, więc tym wolniej wdrapywała się tutaj w nocy, ale Goody była jeszcze szybsza niż wcześniej. Wybiegła poza krąg światła i zniknęła jej z oczu.

– I żadnych samowolnych wypadów – mruknęła pod nosem LeAnne, teraz już do samej siebie.

Przecisnęła się między dwiema ogromnymi skałami, które w świetle latarki wydawały się nierzeczywiste, i wkroczyła na małą polanę, gdzie spotkała wcześniej Maxa. Omiotła przestrzeń światłem latarki. Na

przeciwległym skraju przesieki zobaczyła Goody z ogonem postawionym na sztorc. Podeszła do niej. Goody wpatrywała się intensywnie przed siebie. LeAnne nie widziała tam niczego poza grubymi pniami drzew rosnących tuż obok siebie i gęstymi krzakami jeżyn zanurzonymi w nieprzeniknionej ciemności. Goody obniżyła łeb, powęszyła i ruszyła przed siebie, utrzymując tempo, któremu mogła sprostać także LeAnne. Nie było przed nimi żadnej wydeptanej ścieżki, LeAnne, przyświecając sobie latarką, nie była nawet w stanie wytyczyć żadnej potencjalnej drogi, ale nie miało to żadnego znaczenia. Musiała po prostu trzymać się Goody.

\* \* \*

Wspięły się na zwalone drzewo, a potem weszły na ostrą stromiznę zbocza. Raz czy dwa LeAnne musiała podeprzeć się rękami i przytrzymać latarkę w zębach. Na szczycie zatrzymała się, żeby zdjąć pnącze, które przyczepiło się do rękawa jej kurtki. Rozejrzała się, błyskając tu i ówdzie światłem, i zobaczyła, że doszły do ścieżki. Bardzo wąskiej i zarośniętej, czasami znikającej w gąszczu krzaków, ale jednak ścieżki. LeAnne czuła, że jest coś, co musi sobie teraz przypomnieć. Czekała. Po chwili Goody wydała z siebie głęboki pomruk i zaczęła niecierpliwie potrząsać łbem.

– Spokój.

I wtedy to do niej dotarło. Kiedy rozmawiała z Maxem na polanie, powiedział jej: „Kolejne trzy kilometry to gąszcz praktycznie nie do przejścia”. A przecież pokonały zaledwie pół kilometra i natrafiły na ścieżkę. Mgła, która spowijała jej umysł od siedemnastego stycznia, nieco się uniosła.

Przyjrzała się uważnie ścieżce. Biegła po dość równym terenie, zarówno w jedną, jak i w drugą stronę. Spojrzała w górę, między korony drzew, i odnalazła na niebie Gwiazdę Polarną, trochę na lewo i wzwyż od księżyca. Ścieżka, przynajmniej na tym odcinku, prowadziła ze wschodu na zachód. Wschód, powinna iść na wschód, w kierunku gór. Ruszyła przed siebie

i przekonała się, że Goody podjęła taką samą decyzję – zobaczyła ją czterdzieści metrów przed sobą, na zakręcie ścieżki.

Za zakrętem ścieżka serpentynami wspinała się na zbocze góry. LeAnne nie widziała Goody, ale ją słyszała. Pies zignorował krętą drogę i parł pod górę w linii prostej. Gdzieś po lewej LeAnne usłyszała szmer wody i wkrótce doszła do prymitywnego mostu – dwóch grubych desek przerzuconych przez wąski strumień. Goody stała na brzegu i łapczywie gasiła pragnienie; w czarnych oczach odbijało się światło księżyca, a z szerokiego języka skapywały kropelki wody. Podniosła łeb i spojrzała na LeAnne. Jej dziwny, nierówno obcięty ogon poruszał się na boki. Po chwili bez żadnego wysiłku wskoczyła na mostek i przycisnęła się do nogi swojej pani. Zrobiła to z takim impetem, że zrzuciłaby LeAnne do wody, gdyby ta nie napięła wszystkich mięśni. LeAnne pomyślała, że Goody byłaby najbardziej szczęśliwa, gdyby mogły zostać tu już na zawsze. Pozazdrościła jej tej umiejętności odnajdywania szczęścia w najprostszyc rzeczach.

Przeszły na drugą stronę strumienia, pokonały kolejne wzniesienie i minęły głązy wysokości dorosłego człowieka. Między drzewami, po lewej stronie, LeAnne dostrzegła ciemną, kanciastą sylwetkę jakiegoś budynku. Skierowała w tę stronę strumień światła i zobaczyła małą chatkę zbudowaną z grubo ciosanych bali, z której dachu sterczała rura od pieca. W jej wyostrzonym teraz umyśle od razu pojawiła się potrzebna informacja: „Trzeci raz zdarzył się, kiedy pojechali do chatki myśliwskiej należącej do jego rodziny, w takich miejscach mężczyźni zawsze za dużo piją. I odeszła”.

Ale nie było ważne, co udało jej się wydobyć z zakamarków własnej pamięci, bo Goody już biegła zygzakami w stronę chatki z nosem przy ziemi. Rozpędzona przeskakiwała z jednego miejsca na drugie. LeAnne słyszała tylko, jak psie pazury drapią o ziemię. Goody dobiegła w końcu do celu; stanęła na tylnych łapach przed drzwiami chatki i zaczęła w nie drapać.

LeAnne podeszła do okna i oświetliła latarką wnętrze domku. Nikogo nie było w środku, ale tego domyśliła się już wcześniej. Zobaczyła pokój

z piecykiem na drewno, a za nim kolejny z dwoma piętrowymi łózkami pod ścianą. Drzwi do sypialni były otwarte, ale w zamku od zewnętrznej strony tkwił klucz. LeAnne obeszła chatkę i znalazła okno sypialni. W oknie zainstalowano kraty. Między prętami było nie więcej niż dziesięć centymetrów wolnej przestrzeni. Zerknęła do środka. Zobaczyła koc na dolnym posłaniu jednego łóżka i na górnym posłaniu drugiego. Dzieciaki lubią spać na górnym piętrze.

Goody precisięła się pod jej ramieniem i również zajrzała do środka; machała ogonem jak szalona. LeAnne poczuła na policzku jej oddech.

– Dobra dziewczynka.

Z nieba zniknął srebrny sierp księżyca; zniknęła też Gwiazda Polarna, a także wszystkie inne gwiazdy. LeAnne siedziała w samochodzie zaparkowanym przy Apple Street, cztery domy dalej od numeru 136. Goody spała, tylna część jej ciała zajmowała fotel pasażera, ciężki łeb opierał się na nodze LeAnne. LeAnne przeciągnęła się i przetarła oczy. Dziwne. Po co przecierała także to sztuczne? Najwidoczniej jednak tak właśnie należało zrobić.

Ulicą powoli toczył się samochód dostawcy gazet; zrolowane gazety wystrzeliwały z okna po stronie kierowcy niczym pociski i z impetem lądowały na trawnikach i podjazdach. Piękny widok. Życie jest takie kruche, pomyślała LeAnne. Sama nie wiedziała, skąd wzięła się w jej głowie ta myśl. Z wiekiem coraz mniej rozumiała z tego, co działo się wokół niej i w niej samej. Drzwi domu numer 136 otworzyły się i Max wyszedł na zewnątrz. Miał na sobie marynarkę i niebieskie dżinsy, w ręku trzymał dużą kopertę. Może szedł do pracy? Z tego, co pamiętała, zajmował się wycinką drzew. Podszedł do sportowego samochodu, chyba drogiego i wcale nie małego, choć właśnie taki się wydawał, gdy Max stanął obok niego. Wsiadł do środka, po czym ruszył w górę ulicy, mijając jej samochód. LeAnne siedziała nieruchomo. Max przejechał obok niej, wpatrując się intensywnie w drogę przed sobą. Silnik jego samochodu wydawał z siebie głośne basowe pomruki. Goody uniosła łeb.

– Lepiej by było, gdybyś została tutaj – powiedziała LeAnne. Goody uderzyła ogonem o siedzenie. – To nie potrwa długo. – LeAnne otworzyła drzwi.

Goody natychmiast wyskoczyła na ulicę.

Podeszły do domu numer 136.

– Nie spieprz tego.

LeAnne zapukała do drzwi. Goody, stojąc u jej prawego boku, zaczęła dyszeć. LeAnne zapukała ponownie. Coreen otworzyła drzwi.

– O, LeAnne – powiedziała, zapinając górny guzik swojej podomki. – Co za niespodzianka.

– Gdzie jest Mia?

– Śpi. Chcesz... Chcesz się z nią zobaczyć? Może umówimy się...

– Musimy porozmawiać. Ty i ja.

Coreen zerknęła na ulicę. Miała rozczochrane włosy i wyglądała starzej, niż kiedy LeAnne zobaczyła ją po raz pierwszy.

– Kiedy on wraca? – zapytała LeAnne.

– Nie wiem.

– Gdzie poszedł?

– Na spotkanie ze swoim, cóż, chyba naszym, prawnikiem.

– Czego ma dotyczyć to spotkanie?

Coreen cofnęła się.

– To rodzinne sprawy.

– Właśnie o nich chcę porozmawiać.

– Dobry Boże. Wiem, że byłaś przyjaciółką Marci, doceniam twoją troskę, ale naprawdę nie widzę powodu...

– Chodzi o zmianę ustaleń dotyczących opieki nad Mią?

– Wciąż dyskutujemy nad różnymi szczegółami, jeśli już musisz wiedzieć. Ale wygląda na to, że Max naprawdę się zmienił. I cóż, ostatecznie to jej ojciec. W ich żyłach płynie ta sama krew.

– Daruj sobie takie frazesy. – LeAnne przepchnęła się obok Coreen i weszła do środka. Goody pospieszyła za nią, ale nie minęła nawet sekunda, a już była przed nią.

– Chwileczkę – zdenerwowała się Coreen. – Nie możesz tu sobie tak po prostu wchodzić i...

LeAnne odwróciła się gwałtownie.



– Nawet nie wiesz, na co mnie stać. Zamknij drzwi.

Coreen z szeroko otwartymi oczami wykonała polecenie.

– Chodźmy do kuchni – zakomenderowała LeAnne.

Tak też zrobiły.

– Usiądź.

I Coreen usiadła. LeAnne nalała do dwóch kubków świeżo zaparzonej kawy ze stojącego na blacie kuchennym dzbanka.

– Dolej trochę śmietanki – poprosiła Coreen.

LeAnne wyciągnęła śmietankę do kawy z lodówki. Usiadła naprzeciwko Coreen świadoma, że poranne światło wpadające do kuchni przez okno doskonale oświetla jej blizny. O to jej chodziło.

– Dziękuję – powiedziała Coreen.

LeAnne skinęła głową. Usłyszała, jak Goody mości się pod stołem.

– Pamiętasz, co powiedziałaś mi, kiedy byłam tu ostatnim razem?

– Nie jestem pewna, co masz na myśli.

– Powiedziałaś... – W głowie miała pustkę.

Kiedy siedziała w samochodzie i czekała na wschód słońca, nie tylko dokładnie pamiętała te słowa, ale powtarzała je sobie w myślach raz po raz.

To był klucz do serca Coreen.

Coreen zmrużyła oczy. Pod stołem Goody położyła się na stopie LeAnne.

– Więc... Ty... – Przypomniała sobie! – Pytałaś mnie, co z ciebie za matka i babcia, skoro nie potrafiłaś sobie poradzić lepiej z tym wszystkim. Pamiętasz?

Oczy Coreen wypełniły się łzami. Jej otwarte usta wykrzywił grymas, jakby zaraz miała się kompletnie załamać.

– Nie płacz – powiedziała LeAnne. – Nie ma czasu na łzy. To twoja ostatnia szansa, żeby zostać wspaniałą matką i babcią. Tego chcesz?

Coreen siedziała w milczeniu, ale łzy pociekły po jej policzkach.

LeAnne wlała kolejną porcję śmietanki do kubka. Kawa przelała się

ponad porcelanowym brzegiem.

– Max wiedział, że Mia miewa koszmary?

– Tak.

– Skąd?

– Marci mu to powiedziała. Wprost. Twierdziła, że to jego wina.

Uważała, że powodem koszmarów Mii są jej złe wspomnienia.

– Czy Mia widziała, jak Max bije Marci?

Coreen opuściła wzrok.

– Może raz. Ale była wtedy bardzo mała.

– A teraz Mia chce z nim mieszkać?

– Przynajmniej przez jakiś czas. Już ci mówiłam, wygląda na to, że naprawdę się zmienił i...

– Oszczędź mi tego. Oto co musisz wiedzieć. Mii nigdy nie było w domku letniskowym za winnicą. Nawet przez minutę. Max zabrał ją do tej chatki położonej na wschód od bagna. Była tam przez cały czas.

Coreen przycisnęła dłoń do piersi.

– Do tej starej chatki myśliwskiej? Wszystkie te budynki przeznaczone są do rozbiórki.

LeAnne machnęła niecierpliwie ręką.

– Mia nie wyśniła sobie tamtej tajnej misji. Jak mówiła, usłyszała o tym w noc po pogrzebie od komandosa stojącego pod jej oknem. Czy ty to rozumiesz, Coreen? Max wmówił jej, że Marci wróci kiedyś do domu, ale tylko pod warunkiem, że nie piśnie ani słowa.

Coreen przestała płakać. Na jej twarzy pojawiły się czerwone plamy – wyraz zdumienia, upokorzenia i gniewu.

LeAnne wstała.

– Nie przeszkadzaj mi teraz.

\* \* \*

LeAnne ruszyła w dół korytarzem. Goody najpierw szła za nią, potem przed

nią; po chwili zatrzymała się przed pierwszymi drzwiami i stała tam czujna i napięta. LeAnne przekreśliła gałkę, zerknęła na Goody i przytknęła palec do ust, nakazując jej zachowanie ciszy, co nie miało żadnego sensu, bo przecież wcześniej nie nauczyła jej, jak ma reagować na taki sygnał. Co więcej, Goody chyba nie byłaby w stanie nauczyć się takich sztuczek.

W pokoju panowała ciemność. Na początku LeAnne nie widziała zupełnie nic. Jej oko, zapewne zmęczone tym, że zawsze musi samo wykonywać całą robotę, wolno adaptowało się do tak małej ilości światła. To był kiepski pomysł: wejść do ciemnego pokoju i stanąć przy framudze oświetlonej światłem z korytarza. LeAnne wiedziała, że jest teraz łatwym celem. Nie brała jednak udziału w wojskowej operacji. Zanim zdążyła zrobić krok naprzód, usłyszała cichy szelest, jaki wydaje ciało poruszające się pod kołdrą. Potem zapadła cisza. Nie była to jednak zwykła cisza bezruchu, ale cisza pełna wyczekiwania.

Dziecięcy głos zapytał:

– Mama?

LeAnne zaczęła obmacywać ścianę, znalazła włącznik światła i wcisnęła przycisk. Uczesana w dwa warkoczyki dziewczynka siedziała na łóżku, mrużąc oczy od światła; wyglądała na chudsza niż na plakacie informującym o jej zaginięciu.

– Mam na imię LeAnne. Ja i twoja mama byliśmy przyjaciółkami w wojsku.

Mia zamknęła oczy, otworzyła je i przyjrzała się uważnie LeAnne. Cofnęła się.

– Twoja babcia jest w kuchni. Wie, że tu jestem.

– Chcę, żeby tu przyszła.

– Za chwilę. Teraz jest bardzo smutna.

Mia odchyliła się jeszcze bardziej.

– Zasmuciło ją to, jak zostałeś potraktowana – ciągnęła LeAnne.

Postąpiła o krok w głąb pokoju, ale drzwi zostawiła otwarte.

Mia podniosła rękę.

– Nie rób mi krzywdy.

– Nigdy bym czegoś takiego nie zrobiła. Moja twarz wygląda kiepsko, ale nie musisz się mnie bać. Zostałam ranna na wojnie, to wszystko.

Mia odwróciła wzrok od twarzy LeAnne i spojrzała na Goody.

– To Goody – przedstawiła swoją podopieczną LeAnne. – To przyjazny pies, na swój sposób.

– Ale duża.

Sierść na grzbiecie psa zjeżyła się. Goody zaczęła węszyć i ruszyła w kierunku Mii. LeAnne już miała ją powstrzymać, kiedy Goody nagle zatrzymała się z jedną łapą wciąż uniesioną w powietrzu. Sierść na jej grzbiecie opadła i Goody położyła swój łeb na kołdrze, którą okryta była Mia. Czarne jak dwie bryłki węgla ślepie patrzyły na dziewczynkę spokojnie, niemal ulegle.

– Możesz ją pogłaskać, jeśli chcesz.

Mia ostrożnie i powoli wyciągnęła rękę i klepnęła lekko Goody w nos. Goody zamruczała prawie jak kot; przy LeAnne nigdy wcześniej nie wydała z siebie takiego dźwięku. LeAnne przeszła przez pokój i usiadła na skraju łóżka, zwracając w stronę Mii swój niepoznaczonego bliznami profil. Uniosła stopę tak, żeby Mia mogła ją zobaczyć.

– To buty twojej mamy. Dała mi je, kiedy byliśmy w szpitalu. – Czy faktycznie tak było? LeAnne uświadomiła sobie, że nie pamięta okoliczności, w jakich weszła w posiadanie czerwonych adidasów. Ale czy miało to jakiegokolwiek znaczenie? – Wojna to koszmar – powiedziała. Głos jej się załamał. Wzięła głęboki oddech i jakoś się opanowała. – Ale nie taki koszmar, z którego można się obudzić. Wojna to nie sen, to jawa. Ty tkwisz teraz w podobnym koszmarze na jawie. Ale możemy go przerwać. Chciałabyś tego?

Mia skinęła głową.

Kolana Mii tworzyły pod kołdrą dwie małe wypukłości. LeAnne, bardzo

delikatnie, położyła swoją rękę na jednej z nich.

– Nie ma żadnej sekretnej misji. Twoja mama była bardzo silna i odważna, ale umarła w szpitalu. Cała reszta to tylko kłamstwa twojego ojca.

Mia wysunęła wyzywająco podbródek – identyczny gest LeAnne widywała nieraz u Marci.

– Tata powiedział, że tak właśnie będą mówić.

– Kto będzie tak mówić?

– Każdy, kto się o tym dowie.

– O czym się dowie?

– O... O misji. – Mia wysunęła kolano spod ręki LeAnne. – W trumnie są tylko kamienie.

LeAnne spojrzała na Mię. Czuła, jak narasta w niej gniew. Jednak ujawnienie tego gniewu było najgorszą rzeczą, jaką mogłaby teraz zrobić.

– Czy twoja mama nie kazała ci rozplatać tych warkoczyków na noc?

– Zawsze. – I Mia się rozplakała.

LeAnne wyciągnęła rękę, żeby ją pocieszyć, ale dziewczynka znowu się od niej odsunęła.

– Ubierz się. Zrobimy sobie przejażdżkę.

– Dokąd?

– Pokażę ci dowód. Nie chcesz wiedzieć na pewno?

Mia zaczęła się gramolić, żeby wstać z łóżka, a LeAnne pomyślała, że chyba usłyszała dobiegające z korytarza ciche kroki, które cofały się w stronę kuchni.

\* \* \*

Mia usiadła na fotelu pasażera z przodu, Goody – z tyłu. Po kilku minutach Mia zauważyła leżącego między przednimi siedzeniami pluszowego psa. Wzięła go do ręki.

– Skąd wziął się tutaj Ruben?

– To długa historia – odpowiedziała LeAnne. – Ale Ruben miał na sobie twój zapach. Dzięki temu Goody wyczuła, że byłaś w chatce myśliwskiej.

Mia zerknęła na Rubena i dotknęła małej dziurki po brakującym oku.

– Ten komandos pod twoim oknem to był twój ojciec. Wiesz o tym, prawda?

Mia milczała. LeAnne skręciła na wysypany żwirem parking pod cmentarzem.

– Czy ten komandos mówił, że to twój ojciec będzie się tobą opiekował, dopóki mama nie wróci? I że potem będziecie wszyscy razem?

Znowu cisza. Goody podniosła się na tylnym siedzeniu. Wyrwała Rubena z rąk Mii i cofnęła się. LeAnne zaparkowała samochód, wysiadła i wyciągnęła łopatę z bagażnika.

\* \* \*

*Kapral Marci Cummings. Córka. Matka. Patriotka.*

*Oddała życie w służbie ojczyzny.*

LeAnne i Mia stały przed nagrobkiem. Goody leżała nieopodal w kwietnej rabatce. Przewróciła się na grzbiet i zapadła w jeden ze swoich transów.

– Musisz przygotować się na ten widok – powiedziała LeAnne, chociaż nie miała zamiaru rozkopywać grobu. Wciąż miała nadzieję, że okaże się wystarczająco przekonująca.

– To znaczy?

– Musisz być silna.

– Jak mam to zrobić?

– Dobre pytanie – powiedziała LeAnne. Przewróciła nagrobek. Upadł na miękką trawę z głuchym dźwiękiem. Mia wzdrygnęła się. LeAnne po raz kolejny zwinęła pasmo darni. – To nie zajmie nam wiele czasu – oznajmiała.

– Trumna jest jakieś pół metra pod ziemią.

– Skąd wiesz?

LeAnne obróciła się w jej stronę.

– Bo robiłam to już wcześniej.

Myślała, że ta informacja powinna załatwić sprawę. Mia spojrzała na LeAnne, a potem na przewrócony nagrobek. Nie powiedziała ani słowa. LeAnne czekała i czekała, w końcu wbiła łopatę w ziemię i odrzuciła na bok kupkę ziemi. Na dnie wykopanej dziury wił się duży, tłusty robak.

– Przestań – powiedziała Mia.

LeAnne zerknęła na dziewczynkę. Widziała już taki wyraz twarzy – u żołnierzy biorących po raz pierwszy udział w wymianie ognia. Zgarnęła łopatą ziemię i wysypała ją z powrotem do dziury. To był wietrzny dzień, chmury pędziły po niebie, jakby śpieszyły się na jakieś ważne spotkanie.

– Pomóż mi poustawiać to wszystko.

Mia, krokiem lunaticzki, podeszła bliżej. Rozwinęła pasmo darni i przyklepała je własnymi rękami. Potem podniosły razem nagrobek i ustawily go w odpowiednim miejscu.

– A może pomyślimy teraz o niej przez chwilę? – zaproponowała LeAnne.

Uklękły. Umysł LeAnne był zupełnie pusty, więc tylko patrzyła na cienie chmur przesuwające się po ziemi. Potem wstały i wróciły do samochodu. Goody cały czas trzymała się prawego boku LeAnne. Po raz pierwszy – może trochę poniewczasie – LeAnne zaczęła się zastanawiać, czy Goody nie chroni intencjonalnie jej prawej, słabszej strony. Spojrzała w psie oczy, ale nie wyczytała z nich żadnej odpowiedzi. Mia maszerowała po jej lewej stronie – otarła oczy wierzchem dłoni i wzięła LeAnne za rękę.

Doszły do hondy. Mia usiadła z przodu. Goody razem z Rubenem zameldowała się z tyłu. LeAnne wkładała właśnie łopatę do bagażnika, kiedy drogi sportowy samochód z dużą prędkością wjechał na parking. Tyłem samochodu zarzuciło, opony zapiszczały i pojazd się zatrzymał. Ze środka wyskoczył czerwony na twarzy Max i podszedł do LeAnne, wysuwając agresywnie szczękę.

- Co ty wyprawiasz, do cholery?! – krzyknął.
- Już po ptakach. Spadaj – odpowiedziała LeAnne.
- Z drogi. To moja córka!

Max ruszył w kierunku drzwi hondy. LeAnne uprzedziła go, zaszła mu drogę, trzymając łopatę w obu dłoniach. Łopata to kiepska broń, ale LeAnne trzymała ją poziomo, tak jak trzyma się treningowego „okrągłaka”, pamiętając, żeby metalową szufłę mieć po lewej.

- Wbiję ci ten szpadel w gardło – warknął Max.

Siedząca wewnątrz samochodu Mia zaczęła krzyczeć. Goody zupełnie oszalała, szczekała, wyła i drapała w okno. Max podszedł do LeAnne. Był wielki i bardzo silny; nawet w swoich najlepszych czasach LeAnne nie zdołałaby go pokonać w walce, w której liczyłaby się tylko siła. Ale w żadnej walce nie liczy się wyłącznie siła – najlepszym tego dowodem była jej własna twarz. Max wyciągnął dłoń po łopatę. LeAnne dwukrotnie zamarkowała uderzenie od lewej. Max za każdym razem dał się wywieść w pole. Gwałtownie odsuwał głowę od ostrza łopaty, więc po drugim zwodzie ustawiony był do niej tą stroną, którą chciała zaatakować. Z rozmachem uderzyła go drewnianym styliskiem w skroń. Coś chrupnęło – niczym pojedyncze staccato – i Max zatoczył się do tyłu. Wtedy LeAnne wbiła ostrze łopaty w jego klatkę piersiową, tuż poniżej mostka. Nie włożyła jednak w ten ruch całej swojej siły. Zdołała się powstrzymać przed pozbawieniem go życia, choć bardzo chciała to zrobić. Skończyła z zabijaniem. Max usiadł ciężko na ziemi. Z jego ust wydobył się świst. Twarz wykrzywił mu grymas bólu. Hałasy w samochodzie ucichły.

LeAnne stała nad Maxem, wciąż trzymając w rękach szpadel, który okazał się wcale nie najgorszą bronią. Max spojrzał na nią, chwytając się za klatkę piersiową.

- Nie rób tego – powiedział.

Wielki, silny facet, ale miękki w środku. Znała takich. Nawet jej ojciec zaliczał się do tej kategorii, chociaż był dużo lepszym człowiekiem. LeAnne



klepnęła Maxa łopata w głowę, dość mocno.

– Jak załatwiłeś sobie alibi?

Spojrzał w bok. Nie odpowiedział na jej pytanie.

Przyłożyła mu znowu, tym razem mocniej. Max skulił się, kiedy wzięła zamach, i wrzasnął, kiedy dosięgła celu.

– Tej nocy po pogrzebie – powiedziała LeAnne, zerkając na sportowy samochód – przyjechałeś tu z Seattle tym swoim cackiem, zawiozłeś Mię do chatki, a potem pognałeś z powrotem, żeby wszyscy mogli zobaczyć cię na śniadaniu?

Uniosła łopata.

Max podniósł wzrok i popatrzył na LeAnne. To spojrzenie upewniło go, do czego była zdolna. Skinął głową.

– Coś w tym stylu – przyznał.

– Nie jesteś zbyt rozmowny – powiedziała LeAnne, opuszczając swoją improwizowaną broń. – Ale szeryfowi powinno to wystarczyć.

– Chyba mam krwotok wewnętrzny – poskarżył się Max.

– Wątpię.

LeAnne zastanawiała się właśnie, czy powinna powiadomić policję. Prawdopodobnie tak, ale nie miała na to ochoty. W tym momencie, na tym parkingu, to ona stanowiła prawo. I podobało jej się to.

Obróciła się plecami do Maxa, wrzuciła łopata do bagażnika, usiadła za kierownicą i odjechała. Spojrzała w bok. Okazało się, że Goody przecisnęła się do przodu i zajęła miejsce Mii przy oknie. Dziewczynka przycupnęła między fotelami.

– Przykro mi, że musiałaś na to patrzeć – powiedziała LeAnne.

– Właściwie nic nie widziałam, tylko słyszałam.

– Goody zasłoniła ci widok?

Mia przytaknęła.

– Wszystko w porządku? – LeAnne poklepała ją po kolanie.

– Nie.

– A może chociaż trochę lepiej?

– Nie wiem.

– Zastanów się nad tym wszystkim. Ale niezbyt długo. Twój ojciec myślał tylko o sobie i swoich potrzebach, a nie o tobie. Musisz teraz wyrzucić go z pamięci.

– Niby jak? – zapytała Mia.

LeAnne skinęła głową.

– Faktycznie, być może to zbyt trudne zadanie.

LeAnne była bardzo podekscytowana, zapomniała już, że w ogóle można się tak czuć. Harvey zabrał ją na kolację do Bitterroot Cafe. Wypili cydr z jabłek z tutejszych sadów i białe wino z okolicznej winnicy. Między daniem głównym – nóżkami krabowymi dla LeAnne i kotлетem schabowym dla Harveya – a deserem Harvey wręczył jej małe pudełko owinięte w ozdobny papier.

LeAnne otworzyła je. W środku leżały perłowe kolczyki.

– Przepiękne – powiedziała. – Ale nie trzeba było. – Pomyślała, że jest jeszcze o wiele za wcześnie na takie prezenty.

Harvey rozpromienił się.

– Nie przymierzysz?

LeAnne poszła do łazienki i założyła kolczyki. Może dzięki specyficznemu światłu, może dzięki temu konkretnemu lustru poznaczona bliznami część jej twarzy nabrała perłowego blasku, gdy w jej prawym uchu zawisł kolczyk. Wróciła do stolika.

– Wow – powiedział Harvey. – Mam nadzieję, że ci się podobają.

– Podobają mi się.

Kelner dolał im wina, opróżniając do reszty butelkę. Stuknęli się kieliszkami.

– Za biżuterię – wzniósł toast Harvey.

LeAnne roześmiała się.

– Prawda jest taka, że kupiłem te kolczyki już wcześniej.

– Tak?

– I czekałem na właściwą okazję. Nawet jeśli nie była to do końca świadoma decyzja.

– Co masz na myśli?

– Kupiłem je dla Marci na jej urodziny. Ale odeszła, zanim... Ale rozstaliśmy się. – Otworzył szerzej oczy, jakby uderzyła go jakaś myśl. – Nie przeszkadza ci to, prawda?

LeAnne pokręciła głową.

– Jestem dumna, że mogę je nosić.

Harvey odwiózł ją do domku numer sześć w Cienistym Zagajniku. Zaprosiła go do środka. Goody weszła do łazienki, napiła się wody z klozetu, głośno przy tym mlaskając. Najwyraźniej postanowiła zapewnić im trochę prywatności, bo została w łazience na dłużej.

LeAnne poczuła, że trochę się denerwuje. Harvey również wyglądał na przejętego. Nalała wódki jemu i sobie. Nie pamiętała, kiedy zaopatrzyła się w alkohol. Przyciemniła światło i chwilę później, kiedy już weszli do łóżka, zgasiła je zupełnie. Mogła to zrobić tylko po ciemku. Przynajmniej na razie.

Harvey zaczął tak, jak trzeba – był ostrożny, delikatny, uważny. Zdumiewająco uważny, jakby doskonale wiedział, co się w niej działo. A działo się bardzo dużo, ku jej własnemu zaskoczeniu. Wciągnęła go na siebie. Pozwoliła mu wejść do środka. Czowała, jak rośnie w nim pożądanie. Harvey był mężczyzną, który nie wstydził się swoich emocji. Z każdą kolejną minutą wypełnioną przyjemnością ona również pozwalała samej sobie odczuwać coraz więcej i coraz mocniej. W końcu doszedł.

– Och, Marci – wymruczał.

Wkrótce potem zasnął, chyba nieświadomy tego, co powiedział. Ale LeAnne była zadowolona, że stało się to, co się stało. Kiedy później w nocy wstał, żeby wrócić do swojego domu – rano prowadził lekcje – pocałowała go na do widzenia.

\* \* \*

LeAnne zawiązała sznurówki czerwonych adidasów. Spakowała się, wyprowadziła Goody na spacer, napoiła ją i nakarmiła, a następnie wymeldowała się z Cienistego Zagajnika. Potem wpadła z wizytą do Coreen,

zostawiając Goody w samochodzie.

– Wyjeżdżam – powiedziała.

– Myślałam, że może zostaniesz.

– Nie – odpowiedziała LeAnne. – Mam nadzieję, że mogę ci ufać?

Coreen cofnęła się o krok.

– Chodzi ci o Mię? Cóż za pytanie!

– To właśnie chciałam usłyszeć. Gdzie ona teraz jest?

– W szkole.

– Daj jej to. Jak będzie starsza. – Wręczyła Coreen perłowe kolczyki. –

Jak się gdzieś urządzę, wyślę ci kartkę.

Coreen odprowadziła ją do drzwi.

– O, Boże. Niemal zapomniałam. Mam dla ciebie przesyłkę. – Podala LeAnne kopertę z adresem szpitala wojskowego imienia Waltera Reeda w lewym górnym rogu.

LeAnne otworzyła ją, kiedy wyszła na zewnątrz. W środku był list od doktora Machado. Cieszył się, że dobrze sobie radziła, że nawet zaadoptowała psa – jego zdaniem był to świetny pomysł. Prosił, żeby wpadła do niego za pół roku przy okazji badań kontrolnych. „Przypominam, że ma się Pani zgłosić na prześwietlenie – napisał. – To standardowa procedura w wypadku pacjentów, którym odłamek granatu utkwiał w czaszce; trzeba czujnie obserwować wszelkie zmiany. Chirurdzy na pewno dokładnie to pani wyjaśnili”.

Odłamek granatu? Chirurdzy? Badania kontrolne za sześć miesięcy? Zapomniała o tym wszystkim. I przy odrobinie szczęścia za chwilę znowu o tym zapomni. To był dzień odbioru śmieci w Bellville; Coreen wystawiła swój kubeł na końcu podjazdu. LeAnne zgmiotła list w kulkę i wrzuciła go do pojemnika.

\* \* \*

– Gotowa? – zapytała, wsiadając do samochodu.

Goody leżała na grzbiecie, z łapami w powietrzu i wywieszonym językiem. Nie zareagowała w żaden sposób na pytanie LeAnne. LeAnne wjechała na Apple Street, przejechała przez most, skręciła w biegnącą na północ Main Street i pomknęła w stronę granicy z Kanadą.

Przez mniej więcej osiem kilometrów jechała wąską, krętą drogą, biegnącą po pofałdowanym terenie, zupełnie pustą. Okoliczne lasy w zależności od kąta padania światła i wiatru zmieniającego ułożenie liści mieniły się setkami barw: od żółci przez wszystkie odcienie zieleni po granat. Wjechała na krótki, zupełnie prosty odcinek drogi i dotarła do bramki z pojedynczym szlabanem. Zatrzymała się przed tablicą: Kanada, przejście otwarte w godzinach od 9 do 17.

Umundurowany funkcjonariusz straży granicznej podszedł do bramki.

– Bądź grzeczna – powiedziała LeAnne.

Goody usiadła prosto i zajęła się oblizywaniem pyska.

LeAnne opuściła szybę w oknie.

– Dzień dobry – powiedział mężczyzna. – Dokąd się pani wybiera?

– Do Kanady.

– Może pani dokładniej określić planowane miejsce pobytu?

– Chcę pokręcić się trochę po okolicy.

Strażnik zerknął na Goody.

– Ma wszystkie potrzebne szczepienia?

– Z tego, co wiem, tak.

– Z tego, co pani wie?

– Owszem.

– Poproszę paszport.

Paszport. Miała czerwony wojskowy paszport. Gdzieś go tu ostatnio widziała. Otworzyła schowek przed fotelem pasażera. Coś wypadło z niego na podłogę. Pogrzebała w środku, znalazła czerwoną książeczkę i wręczyła ją pogranicznikowi.

– Wojskowy paszport – powiedział.

– Tak.

– To znaczy, że podróżuje pani służbowo? Otrzymała pani rozkaz, żeby pokręcić się trochę po okolicy?

LeAnne milczała. Goody ziewnęła szeroko. Czy to znaczyło, że czuła się w tej chwili zupełnie bezpieczna? Dobrze wiedzieć.

Teraz mężczyzna przyglądał się jej zdjęciu w paszporcie.

– Proszę się do mnie odwrócić.

Zwróciła twarz w jego kierunku. Przyjrzał jej się, prawie w ogóle nie zareagował na to, co zobaczył. Spojrzał w bok i wskazał na coś palcem.

– Co to takiego?

Z otwartego schowka na rękawiczki zwisała Brązowa Gwiazda.

– Medal.

– Mogę zobaczyć?

LeAnne wręczyła mu Brązową Gwiazdę.

– Za co?

Nie odpowiedziała.

Mężczyzna obrócił w dłoniach medal i przeczytał inskrypcję wyrytą z tyłu.

– „Za odwagę w obliczu nieprzyjaciela lub przykładną służbę”. – Oddał jej paszport, medal i zastukał pięścią w dach samochodu. – Miłego pobytu.

LeAnne odjechała w kierunku północnym.

– Doktor Machado uważa, że jesteś dobrym pomysłem.

Goody wystawiła jedną łapę poza krawędź fotela i ułożyła się wygodniej. LeAnne nie przejechała nawet kilometra, kiedy w jej umyśle, zupełnie nieproszone, pojawiły się zapomniane imiona: Wrashmin, Durkhani, Hila, Muska, Laila (razy dwa).

# Podziękowania

Jestem bardzo wdzięczny dwóm weteranom amerykańskiej armii – Chrisowi Hochstetlerowi, emerytowanemu pierwszemu sierżantowi, oraz Anthonemu Saffierowi – którzy przeczytali pierwszą wersję tej książki i podzielili się ze mną swoimi cennymi uwagami. Składam wam najserdeczniejsze podziękowania, panowie. Oczywiście odpowiedzialność za wszystkie ewentualne błędy spada wyłącznie na mnie.